

Lara Adrian

Pocafunek o północy

Rasa Środka Nocy

Tom 1

Prolog

Dwadzieścia siedem lat temu

Dziecko nie przestawało płakać. Zaczęło marudzić na ostatnim postoju w Portland, gdzie autokar Greyhound jadący z Bangor zatrzymał się, żeby zabrać kolejnych pasażerów. Teraz, nieco po pierwszej w nocy, zbliżali się już do dworca autobusowego w Bostonie. Ponad dwie godziny bezskutecznych prób uspokajania córeczki sprawiły, że powoli traciła panowanie nad sobą. Miała zszargane nerwy, jak mawiały jej przyjaciółki ze szkoły.

Mężczyzna, który siedział obok, też nie był zachwycony.

- Bardzo mi przykro – zwróciła się do niego po raz pierwszy, odkąd wsiadł do autokaru. – Zwykle nie jest taka marudna. Jeszcze nigdy nie podróżowałyśmy tak długo. Chyba chce już dotrzeć na miejsce.

Mężczyzna zamrugał i uśmiechnął się, nie odsłaniając zębów.

- Dokąd jedziecie?

- Do Nowego Jorku.

- Ach, miasto wielu możliwości. – jego głos był szorstki i jakby stłumiony. – Ma tam pani rodzinę?

Pokręciła głową. Jej bliscy mieszkali w Rangeley, małym miasteczku otoczonym lasami. A w dodatku dali jej jasno do zrozumienia, że teraz ma sobie radzić sama.

- Jadę do pracy. Chcę zostać tancerką. Może na Broadwayu albo w zespole Rockettes.

- Na pewno jest pani wystarczająco ładna. – Mężczyzna na nią patrzył. W autokarze było ciemno, ale odniosła wrażenie, że jego oczy są jakieś dziwne. Uśmiechał się tym samym dziwnym uśmiechem. – Z takim ciałem zostanie pani wielką gwiazdą.

Zaczerwieniła się i spojrzała na marudzącą córeczkę. Jej chłopak, w Maine, też ciągle to powtarzał. Mówił zresztą wiele różnych rzeczy, tylko po to, żeby dobrać się do niej na tylnym siedzeniu samochodu. A teraz nie byli już razem. Zerwał z nią w trzeciej klasie liceum, kiedy okazało się, że jest w ciąży.

Gdyby nie dziecko, w tym roku kończyłaby szkołę.

- Jadła pani coś dzisiaj? – spytał mężczyzna, kiedy autokar wjechał na dworzec.

- Niewiele. – Kołysała dziecko w ramionach, choć nic to nie dawało. Mała była czerwona na twarzy, machała piąstkami i zanosila się płaczem, jakby jej świat właśnie się kończył.

- Proszę, jaki zbieg okoliczności – powiedział nieznajomy. – Ja też nic nie jadłem. Chętnie wezmę coś na ząb. Przyłączy się pani?

- Nie, dziękuję. Mam w torbie krakersy. Zresztą to i tak ostatni postój przed Nowym Jorkiem. Zdążę pewnie tylko przewinąć małą. Mimo to dziękuję.

Nie powiedział nic więcej. Przyglądał się tylko, gdy zbierała swoje rzeczy, a potem wstał z fotela, żeby ją przepuścić,

Kiedy wyszła z łazienki, czekał na nią.

Poczuła dziwny niepokój na jego widok. Kiedy siedział nie wydawał się taki wysoki. I zdecydowanie coś było nie tak z jego oczami. Może to narkoman?

- O co chodzi?

Zachichotał cicho.

- Mówiłem ci. Muszę się pożywić.

Jakoś dziwnie to ujął.

Mimo woli spojrzała w bok. O tej porze na dworcu było niewiele osób. Zaczął padać drobny deszcz, który zmoczył chodnik i zapędził pasażerów pod daszki. Jej autokar miał włączony silnik, ludzie zaczęli już wsiadać. Ale żeby się do niego dostać, musiała minąć tego człowieka.

Wzruszyła ramionami, zbyt zmęczona i niespokojna, by silić się na dyplomację.

- Skoro jest pan głodny, proszę iść do McDonalda. Spóźnię się na autobus, jeśli...

- Posłuchaj, suko... - Poruszał się tak szybko, że nawet nie zorientowała się, co się dzieje. W jednej chwili stał metr od niej, a w następnej trzymał ją za gardło i dusił. Wepchnął ją w cień, rzucając przez budynek dworca. Tu nikt nie zauważył, jak ją okrada albo coś jeszcze gorszego. Jego usta znalazły się tuż przy jej twarzy i poczuła nieświeży oddech. Wyszczrzył ostre zęby i zasyczał:

- Tylko piśnij, a zobaczysz na własne oczy, jak pożeram serce twojego bachora.

Dziecko, które trzymała w ramionach, zaczęło wrzeszczeć, ale ona sama nie mogła wyksztusić ani słowa.

Nawet nie pomyślała, żeby uciekać.

Liczyło się tylko dobro jej córeczki. Zapewnienie jej bezpieczeństwa. Dlatego niczego nie zrobiła, kiedy ostre zęby nieznajomego wbiły się głęboko w jej szyję.

Stała, sparaliżowana strachem, przyciskając do siebie dziecko, a napastnik z niezwykłą siłą wysysał jej krew. Podtrzymywał jej głowę. A długie palce zakończone ostrymi paznokciami raniły jej ciało jak szpony demona. Pomrukując, wgryzł się w nią głębiej. Choć ze strachu miała szeroko otwarte oczy, widziała tylko mrok. Myśli zaczęły się płatać,

rozpadać na niespójne, oderwane od siebie fragmenty. Świat wokół się rozpląwał.

Zabijał ją. Ten potwór ją zabijał! A potem zamorduje jej dziecko.

- Nie. – Chciała zaczerpnąć powietrza, ale w gardle miała pełno krwi. – Niech cię szlag, nie!

W desperackim przypiływie siły walnęła go głową, trafiając skronią prosto w jego twarz. Kiedy zawarczał i cofnął się zaskoczony, wyrwała się z żelaznego uścisku. Potknęła się i omal nie upadła na kolana, ale utrzymała równowagę. Jedną ręką tuliła płaczące dziecko, a drugą zakryła ranę na szyi. Cały czas cofała się, byle dalej od tego stworzenia, które podniosło głowę i wyszczerzyło zęby w uśmiechu. Miało żarzące się żółte oczy i zakrwawione usta.

- O Boże – jęknęła. Zrobiło jej się niedobrze.

Znowu się cofnęła. Wreszcie odwróciła się, gotowa uciekać, nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, którą zrobi w życiu.

I wtedy zobaczyła tego drugiego.

Dziki bursztynowe spojrzenie przeszło ją na wylot. Syk, który wydobywał się pomiędzy jego wielkich kłów, zwiastował śmierć. Była pewna, że skoczy na nią i dokończy to, co zaczął ten pierwszy, ale nic się nie stało. Mężczyźni wymienili między sobą gardłowe, niezrozumiałe słowa, a potem przybysz ją wyminął. Trzymał srebrzysty miecz.

„Zabierz dziecko i uciekaj”.

Rozkaz dobiegł z nikąd, przebił się przez mgłę spowijającą jej umysł. Po chwili rozległ się ponownie, tym razem ostrzejszy. Zmusił ją do działania. Pobiegnęła.

Oślepią paniką i otumaniona strachem wbiegła na ulicę. Biegła w stronę obcego miasta. Ogarnęła ją panika, każdy odgłos – nawet tupot jej własnych nóg – zdawał się przerażający.

A córeczka nie przestawała płakać.

Odszukają je, jeśli nie uciszy małej. Musi ją położyć do łóżeczka, ciepłego i wygodnego. Wtedy córeczka na pewno się uspokoi. Będzie bezpieczna. Tak to właśnie robi. Położy dziecko do łóżka. Tam potwory go nie dopadną.

Była bardzo zmęczona, ale nie mogła sobie pozwolić na odpoczynek. To było by zbyt niebezpieczne. Musi wrócić do domu, nim mama odkryje, że znów się spóźnia. Więc pobiegła. Biegła tak długo, aż wreszcie upadła, wyczerpana, niezdolna zrobić ani jednego kroku.

Kiedy się ocknęła, miała wrażenie, że jej mózg roztrzaskał się jak skorupa jaja. Zaczęła tracić zmysły. Rzeczywistość zmieniała się w coś czarnego i oślizgłego, coś co

oddalało się coraz bardziej poza jej zasięg.

Usłyszała stłumiony płacz. Taki cichutki, żalony dźwięk. Uniosła ręce, żeby zasłonić uszy, ale nadal słyszała to rozpaczliwe kwilenie.

- Ciii – wyszeptała w przestrzeń, kołysząc się w tył i w przód. – Uspokójcie się, dziecko zasnęło. Bądźcie cicho, bądźcie cicho, bądźcie cicho...

Ale płacz nie milkł. I tak bez końca. Serce się krajało, kiedy siedziała na brudnej ulicy i patrzyła niewidzącymi oczami na nadchodzący świt.

Rozdział 1

Czasy obecne

Wspaniale. Tylko popatrz na światło i cień..

- Spójrz, jak się przenikają, podkreślając smutek i nadzieję tej sceny...

- Najmłodsza fotografka. Jej prace włączono do kolekcji sztuki nowoczesnej.

Gabrielle Maxwell stała opodal grupy zwiedzającej wystawę. Trzymała smukły kieliszek z ciepłym szampanem i słuchała, jak kolejni bezbarwni i bezimienni Bardzo Ważni Goście rozprawiają o czarno-białych fotografiach w galerii. Nieco skonsternowana spojrzała na zdjęcie wiszące naprzeciwko niej, po drugiej stronie Sali. Wiedziała, że jej prace są dobre, choć nieco ponure. Ich tematem były zamknięte fabryki i opuszczone stocznie położone na obrzeżach Bostonu. Nie rozumiała, co inni w nich widzą.

Ale zawsze tak było. Ona robiła zdjęcia, zostawiając ocenę i interpretację innym. Z natury była introwertyczką, źle się czuła, kiedy była w centrum uwagi, ale dzięki takim imprezom zarabiała na życie. I to całkiem niezłe. A dziś wieczorem skorzysta na tym również Jamie, jej przyjaciel i właściciel małej galerii sztuki przy Newbury Street. Bo dziś, choć do zamknięcia zostało tylko dziesięć minut, nadal kręciło się w środku mnóstwo potencjalnych klientów.

Czuła się nieswojo z powodu tego całego zamieszania. Uprzejmych uśmiechów, ściskania rąk i słuchania, jak wszyscy, od bogatych żon z dzielnicy Back Bay, po upstrzonych kolczykami i tatuażami gotów, próbując zaimponować innym wnikliwą analizą jej prac. Nie mogła się doczekać końca wystawy. Przez ostatnią godzinę stała w cieniu, myśląc tylko o tym, jak miło byłoby wrócić do domu, gdzie czekały na nią ciepły prysznic i miękka poduszka.

Ale obiecała przyjaciółom – Jamiemu, Kendrze i Megan – że po wystawie zje z nimi kolację i wypije drinka. Kiedy ostatni klienci wyszli, Jamie wepchnął ją do taksówki tak szybko, że nie miała czasu zaprotestować.

- Co za niezwykły wieczór! – Jamie potrząsnął blond grzywą, ekstrawagancko ostrzyżoną. Pochylił się i chwycił Gabrielle za rękę. – Nigdy nie miałem w galerii takiego ruchu, a dzisiejsza sprzedaż pobiła rekord! Dziękuję, że pokazałaś u mnie swoje prace.

Gabrielle się uśmiechnęła.

- Nie ma za co. Naprawdę nie musisz mi dziękować.

- Bardzo było Ci tam źle?

- Żartujesz? Miała u stóp połowę Bostonu! – zawołała Kendra, zanim Gabrielle zdążyła odpowiedzieć. – To z gubernatorem rozmawiałaś przy bufecie?

Gabrielle kiwnęła głową.

- Obiecał, że zamówi zdjęcia do swojej posiadłości w Vineyard.

- Super!

- Jasne – odpowiedziała bez wielkiego entuzjazmu. Miała w torebce górę wizytówek, dość propozycji na rok pracy, jeśli zechce je przyjąć, więc dlaczego miała ochotę otworzyć okno i cisnąć je na wiatr?

Wyjrzała przez szybę, prosto w noc. Patrzyła obojętnie, jak mijają ją światła i ludzie. Na ulicach było mnóstwo przechodniów: pary spacerujące pod rękę, grupy rozgadanych przyjaciół. Wszyscy świetnie się bawili. Pewnie zjedli kolację w ogródku modnej restauracji, a potem ruszyli oglądać wystawy sklepów. Miasto wokół niej pulsowało życiem i kolorami. Chłoneła to, a jednak nic nie czuła. Życie tych ludzi – i jej własne również – wydawało się toczyć bez jej udziału. Ostatnio coraz częściej miała wrażenie, że tkwi na diabelskim młynie, który nie przestaje się obracać.

- Co ci jest, Gab? – spytała Megan. – Jesteś jakaś milcząca.

Gabrielle wzruszyła ramionami.

- Przepraszam. Ja tylko... Sama nie wiem. Chyba jestem zmęczona.

- Niech ktoś da tej kobiecie drinka. I to szybko! – zawołała Kendra, ciemnowłosa pielęgniarzka.

- Nie – zaprotestował Jamie, przebiegły jak lis. – tak naprawdę to nasza Gaba potrzebuje mężczyzny. Jesteś zbyt poważna, kotku. Niezdrowo tak ciągle pracować. Musisz się zabrać! No powiedz, kiedy ostatnio z kimś spałaś?

Zbyt dawno, pomyślała, choć nie prowadziła dokładanych obliczeń. Nigdy nie cierpiała na brak propozycji, kiedy miała ochotę na męskie towarzystwo. Ale seks – choć uprawiała go sporadycznie – nie był dla niej tak ważny, jak dla jej przyjaciół. Zdawała sobie jednak sprawę, że ostatnio wypadła z obiegu, choć nawet porządny orgazm niewiele by zmienił, biorąc pod uwagę jej dziwny nastrój.

- Jamie ma rację – stwierdziła Kendra. – Musisz się trochę wyluzować, poszaleć.

- ta chwila nie powtórzy się już nigdy więcej – oświadczył filozoficznie Jamie.

- Och, to przypało – odparła Gabrielle, kręcąc głową. – Sorry, ale naprawdę nie czuje się dziś na upojną noc, kochani. Takie imprezy zawsze mnie wykańczają i...

- Proszę pana? – Jamie zignorował jej słowa, zsunął się na brzeg siedzenia i postukał

w szybkę oddzielającą kierowcę taksówki od pasażerów. - Zmiana planów. Postanowiliśmy się zabawić, więc precz z restauracją. Proszę nas zawieźć tam, gdzie się coś dzieje.

- W północnej dzielnicy otworzyli właśnie nowy klub – powiedział kierowca, cały czas żując głośno gumę. – W tym tygodniu ciągle tam jeżdżę, dziś wieczorem byłem już dwa razy. To musi być modne miejsce. Nazywa się La Notte.

- O La Not-ta – zamruczał Jamie, rzucając przez ramię figlarne spojrzenie na dziewczyny i znacząco unosząc brew. – Moim zdaniem brzmi wystarczająco dekadenco, prawda kochane? Jedziemy!

Klub La Notte mieścił się w neogotyckim budynku kościoła, który jeszcze niedawno należał do Parafii Świętego Jana. Ostatnio jednak archidiecezja Bostonu, żeby uregulować rachunki za skandale seksualne księży, musiała sprzedać dziesiątki takich kościołów. Kiedy Gabrielle z przyjaciółmi weszła to zatłoczonego lokalu, usłyszała transową muzykę techno, dobiegającą z ogromnych głośników, umieszczoną wraz z konsolą didżeja na balkonie nad niegdysiejszym ołtarzem. Stroboskopowe światło odbijało się w trzech wysokich, zwieńczonych łukami witrażach. W powietrzu unosił się papierosowy dym, pulsując w takt gorączkowego rytmu utworu, który zdawał się nie mieć początku ani końca. Na parkiecie i na galerii ludzie ocierali się o siebie, wyginając ciała w bezmyślnym i zmysłowym tańcu.

- Jasny gwint! – wrzasnęła Kendra. Starła się przekrzyczeć muzykę. Uniosła ręce i tanecznym krokiem przedzierała się przez falujący tłum. – Ale lokal, co nie? Czyste szaleństwo!

Ledwie przedarli się między pierwszymi tancerzami, gdy u boku Kendry zmaterializował się nagle wysoki, przystojny facet i szepnął jej coś do ucha. Czarnowłosa Kendra roześmiała się gardłowo i z entuzjazmem pokiwała głową.

- Chłopak chce tańczyć – zachichotała, przekazując Gabrielle na przechowanie swoją torebkę. – Jak mogłabym odmówić?

- Tędy! – krzyknął Jamie, wskazując mały pusty stolik w pobliżu baru. Kendra odeszła ze swoim partnerem.

Usiedli w trójkę przy stoliku, a Jamie zamówił kolejkę drinków. Gabrielle szukała wzrokiem przyjaciółki, ale pochłonął ją tańczący tłum. Choć w około była masa ludzi, nagle odniosła dziwne wrażenie, że ich stolik znalazł się w świetle reflektorów, że ktoś ich obserwuje. Co za idiotyzm. Może rzeczywiście za dużo pracuje, spędza za dużo czasu w domu, skoro czuje się tu taka skrępowana. I najważniejsze ma paranoję.

- Zdrowie Gab! – zawołał Jamie, wznosząc toaście kieliszek martini.

Megan uniosła swój i trąciła się z Gabrielle.

- Gratuluję wspaniałej wystawy!

- Dzięki, kochani.

Gabrielle napiła się jaskrawożółtego koktajlu i znowu poczuła, że jest obserwowana. Mogłaby przysiąc, że ktoś na nią patrzy. Uniosła wzrok i w stroboskopowym świetle dostrzegła parę ciemnych okularów.

Ciemnych okularów, zza których ktoś się jej uważnie przyglądał.

Surowe rysy twarzy mężczyzny to pojawiały się, to znikwały w pulsującym blasku, ale zdążyła się mu przypatrzeć. Czarne włosy nierówno przystrzyżone, szerokie, myślące czoło i zapadnięte policzki. Ostro zarysowany podbródek. A usta... usta były duże i zmysłowe, choć obcy zaciskał je w cyniczną, niemal okrutną linię.

Odwróciła spojrzenie, wytracona z równowagi. Poczowała, jak przenika ją fala gorąca. Twarz mężczyzny utrwaliła się w jej pamięci jak zdjęcie na światłoczułym papierze. Odstawiła drinka i znowu zerknęła. Zniknął.

Po drugiej stronie baru rozległ się głośny brzęk. Gabrielle obejrzała się przez ramię. Na jednym ze stolików z potłuczonych kieliszków skapywał na podłogę alkohol. Pięciu facetów ubranych w czarne skóry i ciemne okulary otaczało chłopaka w koszulce bez rękawów z napisem „Dead Kennedys” i podartych, spranych dżinsach. Jeden z tych w skórkach obejmował ramieniem pijaną farbowaną blondynkę. Chyba była z młodym punkiem. Chłopak złapał ją za ramię, ale go odepchnęła. Przechyliła głowę, a jeden ze zbirów przycisnął usta do jej szyi. Blondyna rzuciła buntownicze spojrzenie i wplotła palce w ciemne włosy faceta przyssanego do jej gardła.

- Rozróżba – Stwierdziła Megan, odwracając się w stronę hałasu.

- Aha. – Jamie dopił martini i skinął na kelnera po następną kolejkę. – Najwyraźniej matka zapomniała ją pouczyć, że nie należy wychodzić z imprezy z innym chłopakiem, niż się przyszło.

Gabrielle przyglądała się jeszcze przez chwilę scenie po drugiej stronie baru. Zobaczyła, że drugi zbir całuje dziewczynę w usta. A ta poddaje się mu, nie przestając pieścić pierwszego gościa. Wyglądają, jakby chcieli pożreć ją żywcem. Zlekceważony chłopak obrzuca ją wyzwiskami, a potem obraca się i przedziera przez gapiący się tłum.

- To miejsce przyprawia mnie o dreszcze – stwierdziła Gabrielle. Widziała jak klubowicze wciągają ścieżki kokainy z marmurowego baru.

Przyjaciele jednak nie reagowali. Najwyraźniej nie podzielali jej niepokoju, niemniej Gabrielle czuła, że coś tu jest nie tak. Nie mogła się pozbyć wrażenia, że zaraz wydarzy się

coś paskudnego.

Jamie i Megan zaczęli rozmowę na temat lokalnych zespołów. Gabrielle dopiła drinka i czekała na okazję, żeby powiedzieć, że wychodzi. Jej spojrzenie powędrowało przez moze podskakujących głów i chwiejących się ciał, szukając oczu ukrytych za ciemnymi szklami, które obserwowały ją wcześniej. Czy ten facet należał do bandy zbirów w skórach i szukał zaczepki? Ubrany był tak samo i też sprawiał wrażenie niebezpiecznego.

Nie zdołała go odszukać w sami.

Odchyliła się na oparcie krzesła i skóra jej ścierpła, kiedy na jej ramionach spoczęły czyjeś dłonie.

- Tu jesteście! Szukałam was wszędzie! – zawołała Kendra. Była zdyszana i podniecona. Pochyliła się nad stołem. – Chodźcie, mam dla nas stół po drugiej stronie klubu. Brent i jego znajomi chcą się z nami zabawić.

- Ekstra!

Jamie od razu się podniósł. Megan wzięła Martini i sięgnęła po rzeczy, swoje i Kendry. Kiedy Gabrielle nie ruszyła się z miejsca, zawahała się.

- Idziesz?

- Nie. – Gabrielle wstała i wzięła swoją torebkę. – Idźcie, bawcie się dobrze. Ja mam dość. Złapię taksówkę i pojedę do domu.

Kendra naburmuszyła się jak mała dziewczynka.

- Gab, nie możesz jeszcze iść!

- Chcesz, żebym poszła z tobą? – spytała Megan, choć Gabrielle wiedziała, że chce zostać w klubie.

- Dam sobie radę. Bawcie się, ale uważajcie na siebie, dobrze?

- Na pewno nie chcesz zostać? Jeszcze jeden drink.

- Nie. Naprawdę muszę wyjść i odetchnąć świeżym powietrzem.

- Rób jak chcesz – parsknęła Kendra, udając, że jest oburzona. Podeszła i pocałowała szybko Gabrielle w policzek, Kiedy się cofnęła, Gabrielle poczuła od niej wódkę i jeszcze coś. Coś piżmowego, dziwnie metalicznego. – Jesteś do niczego, ale i tak cię kocham.

Mrugnęła do niej, złapała Jamiego i Megan pod ręce i pociągnęła ich za sobą przez tłum na parkiecie.

- Zadzwoń do mnie jutro! – krzyknął Jamie przez ramię, nim zniknęli w tłumie.

Gabrielle natychmiast ruszyła w stronę drzwi, chcąc jak najszybciej wydostać się z klubu. Im dłużej tu była, tym głośniejsza wydawała się muzyka. Dudniła jej w głowie, uniemożliwiając myślenie. Trudno było jej się skupić. Ludzie popychali ją ze wszystkich

stron, kiedy przeciskała się wśród roztańczonych, wirujących i podrygujących ciał. Niewidzialne ręce szturchały ją, biły i obmacywały. Wreszcie zdołała dotrzeć do przedsiionka klubu, a potem wyjść przez wielkie dwuskrzydłowe drzwi na zewnątrz.

Noc była chłodna i ciemna, Odetchnęła głęboko. Powoli dochodziła do siebie po hałasie i dziwnej, zadymionej atmosferze La Notte. Nadal słyszała muzykę. Za wysokimi witrazami mrugały światła. Mogła się teraz jednak odprężyć. Zdołała się uwolnić.

Nikt nie wracał na nią uwagi. Stała przy krawężniku i czekała na taksówkę. Na zewnątrz prawie nikogo nie było, paru przechodniów, kilka osób wchodzących po schodkach do klubu. Zauważyła żółtą taksówkę i wyciągnęła rękę, żeby ją zatrzymać.

- Taksówka! – zawołała.

Kiedy samochód podjechał do krawężnika, drzwi nocnego klubu otworzyły się gwałtownie.

- No co jest? Porąbało was? – Gabrielle usłyszała za plecami męski głos, piskliwy ze strachu. – Tknij mnie jeszcze raz, a...

- A co gnojku? – zadrwił inny głos, niski i nieludzki. Towarzyszyły mu nieprzyjemne kpiny kumpli.

- Powiesz, mała punkowa gnido, co nam zrobisz.

Gabrielle chwyciła dłonią klamkę taksówki i odwróciła głowę. Bała się, choć równocześnie spodziewała się tego, co zobaczy. To był ten gang z baru, rzekomi motocykliści w czarnych skórach i ciemnych okularach. Sześciu. Znów, niczym stado wilków, otaczali młodego punka. Popychali go na zmianę, bawili się nim jak zdobyczą.

Chłopak zamachnął się na jednego z nich – spudłował 0 i sytuacja w mgnieniu oka zrobiła się jeszcze gorsza.

Szamotanina zbliżała się do Gabrielle. Bandziory rzuciły punka na maskę taksówki, tłukąc go pięściami po twarzy. Krew trysnęła z jego nosa i ust, opryskała Gabrielle, która cofnęła się o krok, zaskoczona i przerażona. Chłopak próbował uciec, ale napastnicy przytrzymali go i bili z furją, której Gabrielle nie mogła pojąć.

- Zjeżdżajcie z mojego wozu! – wrzasnął kierowca, wychylając się przez boczne okno. – Jezu Chryste! Zabierajcie go stąd, słyszycie?

Jeden z napastników obrócił głowę w stronę taksówkarza, wykrzywił usta groźnym uśmiechem, a następnie walnął w przednią szybę samochodu, pokrywając ją siecią pęknięć przypominających pajęczynę. Gabrielle zobaczyła, jak taksówkarz żegna się znakiem krzyża, bezdźwięcznie poruszając ustami. Rozległ się zgrzyt skrzyni biegów, a potem ostry pisk opon. Taksówka gwałtownie cofnęła się, zrzucając ludzi z maski.

- Poczekaj! – krzyknęła Gabrielle, ale na próżno.

Jej taksówka – sposób na wydostanie się z tej niebezpiecznej sytuacji – uciekła. Patrzyła bezradnie, jak samochód przyśpiesza, a jego tylne światła nikną w mroku. Czuła w gardle zimną kulę strachu.

Chwilowo sześciu zbirów było zbyt zajętych masakrowaniem nieszczęśnika, żeby zwracać na nią uwagę. Wykorzystała to, odwróciła się i pomknęła schodami do wejścia La Notte, cały czas szukając w torebce komórki. Znalazła wreszcie telefon, otworzyła klapy i wystukała na klawiaturze numer ratunkowy. Czuła, jak narasta w niej panika. Ponad łoskotem muzyki, szumem rozmów i pulsującym w uszach tętnem słyszała trzaski po drugiej stronie linii. Odsunęła telefon od ucha.

Sygnal zniknął.

- Cholera.

Znów wybrała numer. Bezskutecznie.

Ruszyła biegiem do sali klubowej, krzycząc co sił w płucach:

- Pomocy! Niech ktoś mi pomoże! Potrzebuję pomocy!

Nikt jej nie słuchał. Klepała ludzi po ramionach, ciągnęła za rękawy. Szarpnęła za rękę wytatuowanego faceta, który wyglądał na żołnierza. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Ludzie tańczyli i rozmawiali, jakby jej tu wcale nie było.

Czy to był sen? Jakiś koszmar, w którym tylko ona zdawała sobie sprawę z brutalnego napadu na zewnątrz?

W końcu przestała zaczepiać nieznajomych i ruszyła na poszukiwania przyjaciół. Przepychając się przez tłum, wybierała numer ratunkowy. Modliła się o zasięg. Ale bezskutecznie. Na domiar złego szybko zorientowała się, że nigdy nie znajdzie Jamiego i dziewczyn w tym tłumie.

Oszołomiona i zrozpaczona ponownie skierowała się do wyjścia. Może uda jej się zatrzymać jakiś samochód, znaleźć policjanta, cokolwiek!

Kiedy otworzyła ciężkie drzwi i wyszła na zewnątrz, w twarz uderzyło ją zimne powietrze. Dysząc ciężko, zbiegła z betonowych schodów, przerażona tym, w co się pakuje – samotna kobieta i sześciu, zapewne naćpanych, członków gangu.

Nigdzie nie było ich widać.

Zniknęli.

Po schodach wchodziła grupa młodych klubowiczów, jeden udawał, że gra na gitarze. Rozmawiali o jakiejś imprezie, na którą wybierali się później.

- Hej! – zawołała Gabrielle, bojąc się, że miną ją obojętnie. Zatrzymali się jednak i

uśmiechnęli do niej, choć była od nich zapewne o dziesięć lat starsza.

Ten, który szedł pierwszy, kiwnął głową w jej stronę.

- Co jest, mała?

- Czy któryś z was... - zawahała się, niepewna, czy poczuje ulgę, jeśli się okaże, że jednak nie jest to sen. - Czy widzieliście może bójkę, która się tu rozgrywała parę minut temu?

- Rozróżba? Super! - cieszył się chłopak.

- Nie, skarbie - powiedział jego kolega. - Właśnie przyszliśmy. Niczego nie widzieliśmy.

Minęli ją i ruszyli ku drzwiom. Gabrielle zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie traci rozumu. Zeszła na chodnik. Widać było na nim ślady krwi, ale punk i jego oprawcy zniknęli.

Stała pod latarnią i pocierała zziębnięte ramiona. Obracała się co chwila, żeby mieć widok na ulicę. Szukała jakiegokolwiek śladu szarpaniny, której świadkiem była zaledwie kilka minut temu.

Nic.

A potem... potem to usłyszała.

Dźwięk napływał z wąskiego załka po jej prawej stronie. Nieoświetlone przejście, ograniczone betonowym murkiem sięgającym jej do ramienia, który działał jak ekran akustyczny. Dochodziły z stamtąd ciche zwierzęce pochrząkiwania. Gabrielle była w stanie sobie wyobrazić, kto lub co mógł tak mlaskać. Krew zastygła w jej żyłach. Musiała uciekać.

Ale jej nogi same ruszyły w tamtą stronę. Komórka ciążyła jej w dłoni jak cegła. Wstrzymała oddech. Kilka kroków dalej w przejście zobaczyła postaci majaczące w mroku.

Bandziory w skórach i ciemnych okularach.

Kłęczeli, uderzali w coś rękami, szarpiąc głowami. W marnym świetle docierającym tu z ulicy Gabrielle zauważyła naziemni jakąś podartą szmatę. To była koszulka bez rękawów należąca do punka.

Gwałtownie przycisnęła klawisz powtarzania numeru. Po drugiej stroni linii rozległ się sygnał, a następnie głos dyspozytora, głośny niczym wystrzał armatni:

- Numer 911! Proszę określić rodzaj zagrożenia.

Jeden z napastników odwrócił się i wbił w Gabrielle dziki, pełen nienawiści wzrok. Twarz miał zalaną krwią, a jego zęby...! Ostre jak u zwierzęcia - to niebyły ludzkie zęby, tylko kły wilka. Wyszczrzył je i wysyczał coś w nieznanym języku.

- Tu 911 - powtórzył dyspozytor. - proszę określić rodzaj zagrożenia.

Gabrielle nie mogła wyksztusić ani jednego słowa. Była tak wstrząśnięta, że ledwie była w stanie oddychać. Podniosła komórkę do ucha i bezdźwięcznie poruszała ustami.

Nie uda jej się wezwać pomocy.

Uświadomiła to sobie z przerażeniem, a następnie zrobiła jedyną rzecz, która przysła jej do głowy. Trzęsącą się ręką obróciła telefon w stronę sadystycznych bandziorów i przycisnęła migawkę. Rozbłysk małego flesza aparatu fotograficznego w komórce na moment oświetlił zaułek.

Teraz już wszyscy napastnicy na nią patrzyli. Unieśli ręce, żeby osłonić przed światłem oczy.

O Boże. Może uda jej się uciec. Ponowni przycisnęła migawkę i jeszcze raz, i jeszcze, przez cały czas wycofując się na ulicę. Słyszała mamrotanie, przekleństwa i tupot stóp na chodniku, ale bała się obejrzeć. Nie zrobiła tego nawet wtedy, gdy powietrze przeciął ostry świt stali, po którym nastąpił nieziemski wrzask bólu i wściekłości.

Uciekła prosto w noc, napędzana strachem i adrenaliną. Zatrzymała się dopiero na Commercial Street, przy stojącej przy krawężniku wolnej taksówce. Wskoczyła na tylne siedzenie i zatrzaskała drzwiczki. Dyszała ciężko, był półprzytomna ze strachu.

- Niech mnie pan zawiezie na najbliższy komisariat!

Taksówkarz położył rękę na oparciu fotela i obrócił się do niej.

- Wszystko w porządku proszę pani?

- Tak – odpowiedziała automatycznie, ale zaraz się poprawiła. – Nie. Muszę zgłosić...

Jezu, co właściwie zamierzała zgłosić? Kanibalistyczną ucztę szalonych motocyklistów? A może tę drugą możliwość, zbyt niedorzeczną, żeby o niej myśleć?

Spojrzała w zaniepokojone oczy taksówkarza.

- Proszę, niech się pan pośpieszy. Właśnie byłam świadkiem morderstwa.

Rozdział 2

Wampiry.

Pełno ich tu było. W klubie naliczył więcej niż dziesięć. Szukały ofiary roztańczonym, rozneglizowanym tłumie. Kobiet, które umiejętnie uwiedzione zaspokoją tej nocy ich pragnienie. Ten symboliczny układ dobrze funkcjonował przez ponad dwa stulecia. Pokojowe współżycie z ludźmi było możliwe dzięki zdolnością wampirów do modyfikowania pamięci ofiar i wymazywania wspomnień. Nim wszędzie słońce, poleje się krew, ale rano członkowie Rasy, powrócą do rozsianych po mieście mrocznych przystani, a ludzie, na których żerowali, nic nie będą pamiętać.

Jednak w zaułku koło klubu sprawy wyglądały zupełnie inaczej.

Dla sześciu drapieżników to polowanie będzie ostatnim. Żądza krwi sprawiła, że stali się nieostrożni i nie zauważyli, że są obserwowani. Ani w klubie, ani na ulicy. Przyglądał im się z gzymsu kościoła.

Nałóg krwi, chorobliwe uzależnienie szerzące się wśród członków Rasy niczym epidemia, zamieniał wampiry w dzikie bestie. Nazywano je Szkarłatnymi.. Otwarcie i bez skrępowań zerowały na ludziach, wśród których przyszło im żyć.

Lucan Thorne nie żywił jakiegóż szczególnej sympatii dla rodzaju ludzkiego, ale jego stosunek do Szkarłatnych, trudno było nazwać przyjaznym. Podczas nocnych patroli w takim mieście jak Boston wielokrotnie natykał się na pojedyncze osobniki. Ale grupa, która poluje i żywi się na ulicy, była czymś nowym. Najwyraźniej liczba Szkarłatnych znów zaczęła rosnać. Stawali się coraz śmielsi.

Coś musiał z tym zrobić.

Dla Lucana i jego towarzyszy każda noc była wyprawa na łowy. A celem eliminacja jak największej liczby Szkarłatnych, którzy narażali na niebezpieczeństwo pokój, z takim trudem zbudowany przez Rasę. Dziś polował sam, ale nie martwił się liczebną przewagą przeciwnika. Czekał spokojnie na swoją kolej – chwilę, kiedy drapieżnicy zaczną zaspokajać nałóg ,rządzący ich umysłami.

W tej chwili opici krwią szarpali ciało młodego człowieka, którego upolowali w klubie. Bili się i szarpali jak stado dzikich psów. Lucan już miał zeskoczyć na dół i wymierzyć sprawiedliwość, kiedy w ciemnym zaułku pojawiła się rudowłosa kobieta. Sytuacja zmieniła się w mgnieniu oka – nieznajoma odciągnęła uwagę krwio pijców od

zdobyczy.

Kiedy ciemność oświetliło światło flesza, Lucan zeskoczył z parapetu i cicho wylądował na chodniku. Błysk częściowo go oślepił, podobnie jak Szkarłatnych. Kobieta wycofała się pośpiesznie z zaułka, strzelając fleszem jeszcze kilka razy. Tych kilka błysków zapewne ocaliło jej życie.

Zmysły drapieźników, przytępione nalożem krwi, nie pozwalały im szybko zareagować. Natomiast myśli Lucana były krystalicznie czyste. Spod ciemnego płaszcza wyciągnął broń – dwa miecze z pokrytej tytanem stali – i bez wysiłku odciął głowę najbliższemu przeciwnikowi.

Chwilę później na ziemię padły dwa kolejne ciała. Ich rozkład następował błyskawicznie. Wijąc się w agonii, zmieniały się najpierw w cuchnącą breję, a potem w proch. Zaułek wypełniły zwierzęce wrzaski. Lucan ściął głowę kolejnego Szkarłatnego, po czym obrócił się z gracją i wbił miecz w klatkę piersiową piątego przeciwnika. Mężczyzna zasyczał przenikliwie i wyszczerzył kły, z których kapłał posoka. Jego bladozłote oczy patrzyły na Lucana z pogardą – wielkie tęczówki rozdęte nalożem i źrenice zwężone w cienką, pionową kreskę. Ciało Szkarłatnego zaczęło drgać spazmatycznie, kiedy tytan wszedł w reakcję z jego krwią. Wampir wyciągnął ręce w stronę Lucana i otworzył usta w okropnym, zwierzęcym uśmiechu. Po chwili zmienił się w tłącą kupkę popiołu.

Został jeszcze jeden przeciwnik. Lucan obrócił się, by stawić mu czoła i uniół oba miecze.

Ale szkarłatny zniknął – uciekł w noc.

Cholera.

Nigdy wcześniej nie przydarzyło mu się nic podobnego. Przez chwilę rozważał, czy gonić uciekiniera, ale to było zbyt duże ryzyko. Najpierw musiał uprzątnąć bałagan, który zrobili Szkarłatni. Ludzie nie mogli poznać prawdy o Rasie, która żyła obok nich. To właśnie z powodu tych potworów Raca Lucana tyle wycierpiała w dawnych czasach. Dziś ludzie wyposażeni w nowoczesną broń mogli łatwo stawić czoła przeciwnikowi.

Nie, ludzkość nie może dowiedzieć się o istnieniu wampirów, póki nie wybije się Szkarłatnych – to musi być totalna eliminacja zagrażającego gatunku.

Zaczął usuwać ślady zbrodni, a jego myśli wciąż wracały do kobiety o świetlistych włosach i alabastrowej cerze.

Jak to się stało, że znalazła ich w tym zaułku?

Choć ludzie wierzyli, że wampiry mogą zniknąć na życzenie, prawda wygląda nieco inaczej. Po prostu członkowie Rasy byli zwinniejsi od ludzi i poruszali się szybciej, niż

ludzkie oko mogło zarejestrować. Ponadto posiadali zdolności hipnotyczne, które pozwalały im kontrolować umysły niższych istot. Dziwne, ale kobieta w zaułku najwyraźniej potrafiła się temu oprzeć.

Uświadomił sobie, że widział ją wcześniej w klubie. Jego uwagę zwróciły jej oczy pełne smutku. Miał wrażenie, że jest równie zagubiona jak on. Zauważyła go, patrzyła prosto na niego, nie słuchając przyjaciół. A choć w klubie śmierdziało potem i dymem papierosowym, wyczuł lekki zapach jej perfum – coś egzotycznego, niespotykanego.

Czuł ten zapach i teraz. Delikatna nuta unosiła się w powietrzu, drażniąc jego zmysły i budząc w nim coś pierwotnego. Poczul ból, z jakim kły wysunęły mu się z dziąseł – była to fizyczna reakcja na pożądanie, nie tylko zmysłowe. Nie mógł nad tym zapanować. Czuł jej zapach a równocześnie głód, niewiele mniejszy niż jego opętani nałogiem bracia.

Odrzucił w tył głowę i zaczął łowić zapach kobiety. Jego niesamowicie rozwinięty zmysł powonienia śledził jej drogę przez miasto. Była jedynym świadkiem ataku Szkarłatnych i nie byłoby mądrze pozwolić zachować jej wspomnienia. Odszuka ją i poweźmie wszelkie środki ostrożności konieczne, by zapewnić Rasie bezpieczeństwo.

Czuł, że w jego umyśle ocknęło się coś prastarego, mówiło mu, że bez względu na to, kim jest ta kobieta, należy wyłącznie do niego.

- Powtarzam, wszystko widziałam. Było ich sześciu, szarpali tego chłopaka jak zwierzęta. Zabili go!

- Panno Maxwell, powtórzyliśmy sobie to wszystko już wiele razy. Wszyscy jesteśmy zmęczeni, to bardzo długa noc.

Gabrielle siedziała na komisariacie od trzech godzin i składała zeznania o tym, co widziała w zaułku koło la Notte. Dwaj policjanci, początkowo sceptyczni, obecnie byli wyraźnie nią zniecierpliwieni. Zaraz po jej zgłoszeniu wysłali patrol pod klub, żeby rozeznac się w sytuacji i zabezpieczyć ciało, ale radiowóz niczego nie znalazł. Nie było innych świadków ataku i żadnych dowodów na to, że komuś stała się krzywda. Zupełnie tak, jakby to wszystko nie wydarzyło się – albo w jakiś cudowny sposób miejsce zbrodni zostało wyczyszczone.

- Gdybyście mnie tylko posłuchali... gdybyście obejrzel zdjęcia, które zrobiłam...

- Widzieliśmy je kilka razy. Niestety nic z tego, co nam tu pani opowiada, nie znajduje potwierdzenia w faktach. A te zamazane fotki w pani komórce też niczego nie wyjaśniają.

- Przepraszam za taką kiepską jakość – powiedziała Gabrielle sarkastycznie. – Następnym razem będę mieć przy sobie moją leikę i odpowiednie obiektywy, kiedy natknę

się na kolejne morderstwo.

- Może pani przemyśli swoje zeznanie? – zasugerował starszy z policjantów. Jego silny bostoński akcent podszyty był irlandzkim zaśpiewem charakterystycznym dla robotniczej dzielnicy Southie. Potarł pulchną dłonią łysiejące czoło, a potem przesunął w stronę Gabrielle komórkę. – Powinna pani pamiętać, że składanie fałszywych zeznań to przestępstwo.

- To nie są fałszywe zeznania – parsknęła, zdenerwowana i coraz bardziej zła, że policjanci traktują ją jak przestępcę. – Ręczę za wszystko, co tu dziś powiedziałam. Po co miałabym zmyślać coś takiego?

- Tylko pani zna odpowiedź na to pytanie, panno Maxwell.

- Po prostu nie wierzę! Przecież macie nagranie mojego zgłoszenia pod numerem ratunkowym!

- Istotnie, mamy – zgodził się policjant. – Zadzwoiła pani pod 911, ale nagrały się tylko szумы. Nic pani nie powiedziała, nie podała pani dyspozytorowi żadnych informacji.

- Cóż, trudno znaleźć słowa, kiedy na twoich oczach podrzynają komuś gardło!

Policjant rzucił jej pełne powątpienia spojrzenie.

- Ten klub, la Notte. To niebezpieczne miejsce, jak słyszałem. Popularne wśród gotów, narkomanów...

- Co chce pan przez to powiedzieć?

Gliniarz wzruszył ramionami.

- Dziś dzieciaki wdają się w różne rzeczy. Może była pani świadkiem jakiejś pokręconej zabawy?

Gabrielle stłumiła przekleństwo i sięgnęła po swoją komórkę.

- Pana zdaniem to wygląda jak zabawa?

Wyświetliła na ekranie komórki zdjęcie i przyjrzała mu się ponownie. Choć było zamazane i ciemne, widziała wyraźnie grupę mężczyzn otaczających leżące na ziemi ciało. Wyświetliła kolejne zdjęcie i zobaczyła błysk kilku par oczu wpatrzonych w obiektyw. Na twarzach malowała się prawdziwie zwierzęca furia.

Dlaczego policjanci nie widzieli tego co ona?

- Panno Maxwell – włączył się młodszy policjant. Obszedł biurko i przysiadł na blacie tuż przed nią. To był ten, który słuchał, pozostawiając partnerowi możliwość wyrażania wątpliwości i podejrzeń. – Rozumiem, że jest pani przekonana, iż widziała dziś pani w klubie coś okropnego. Detektyw Carrigan i ja bardzo chcemy pani pomóc, ale najpierw musimy mieć pewność, że gramy w tej samej drużynie.

Kiwnęła głową.

- Mamy zeznanie i widzieliśmy zdjęcia. Sprawia pani wrażenie osoby rozsądnej, dlatego pójdziemy dalej, muszę zapytać, czy zgodzi się pani poddać testowi na obecność narkotyków.

- Testowi na obecność narkotyków! – Gabrielle poderwała się z krzesła. Teraz już naprawdę była wściekła. – To śmieszne! Nie jestem ćpunką i nie zgadzam się, żeby tak mnie traktowano! Próbuję zgłosić morderstwo!

- Gab? Gabby?

Głos Jamiego odezwał się gdzieś za nią. Zadzwoiła do przyjaciela wkrótce po przyjeździe na komisariat. Potrzebowała wsparcia po horrorze, którego była świadkiem.

- Gabrielle! – Jamie podbiegł do niej i otoczył ją ramionami. – Przepraszam, że nie przyjechałem wcześniej, ale byłem już w domu, kiedy odebrałem twoją wiadomość. Nic ci nie jest?

Gabrielle kiwnęła głową.

- Chyba tak. Dzięki, że przyjechałeś.

- Panno Maxwell, może przyjaciel odwiezie panią do domu? – zaproponował młodszy policjant. – Dokończymy innym razem. Może zmieni pani zdanie, kiedy się pani prześpi.

Obaj mężczyźni wstali i gestem nakazali Gabrielle to samo. Nie protestowała. Była zmęczona. Czowała się wyczerpana. Wiedziała, że nawet jeśli zostanie tu do rana, nie przekona policji. Odprowadzili ją do drzwi. Była w połowie schodów prowadzących na parking, kiedy zawołał za nią młodszy gliniarz:

- Panno Maxwell?

Zatrzymała się i obejrzała. Policjant stał na progu do komisariatu.

- Może wyślemy kogoś do pani domu. Porozmawia z panią jeszcze raz. Ale najpierw proszę przemyśleć swoje zeznanie.

Nie spodobał jej się jego troskliwy ton. Nie miała jednak dość energii, by odrzucić tę propozycję. Zresztą po dzisiejszej masakrze z chęcią przyjmie policję, nawet jeśli będzie protekcyjna. Kiwnęła głową i ruszyła za przyjacielem do samochodu.

Archiwista w komisariacie stuknął w klawisz drukowania na swoim komputerze. Laserowa drukarka stojąca za nim ożyła, wypluwając jedną stronę wydruku. Mężczyzna dopił zimną kawę z wyszczerbionego kubka Red Soksów, wstał z rozchwianego beżowego krzesła i od niechcenia wziął dokument.

Na komisariacie było pusto i cicho, akurat przysłała nowa zmiana. Ale nawet gdyby

panował tu ruch, nikt nie zwróciłby uwagi na milczącego i niezdarnego praktykanta, który trzymał się na uboczu.

Na tym polegał paradoks tej sceny.

Dlatego go wybrali.

Nie był jedynym pracownikiem policji, który został zwerbowany. Wiedział, że są inni, choć ich tożsamość pozostawała dla niego tajemnicą. W ten sposób było bezpieczniej. Sam już nie pamiętał, ile czasu minęło, odkąd poznał swego Pana. Wiedział tylko, że teraz żyje po to, by mu służyć.

Ściskając w rękę raport, archiwista wyszedł na korytarz. Musiał poszukać ustronne miejsce. W pokoju socjalnym, który nigdy nie był pusty, bez względu na porę dnia i nocy, obecnie siedzieli dwie sekretarki i Carrigan, gruby, hałaśliwy gliniarz, który pod koniec tygodnia przechodzi na emeryturę. Gadał coś o doskonałym interesie, jaki zrobił, kupując mieszkanie w jakiejś zapadłej dziurze na Florydzie. Kobiety w zasadzie go ignorowały, podjadając wczorajszy tort i pijąc dietetyczną colę.

Mężczyzna przesunął palcami po jasnobrązowych włosach i minął otwarte drzwi pokoju. Szedł w stronę toalet na końcu korytarza. Zatrzymał się przed męskim ustępem, położył dłoń rękę na zniszczonej klamce i niedbale obejrzał się przez ramię. Ponieważ nikt go nie obserwował, przesunął się do następnych drzwi, które prowadziły do schowka gospodarczego. Powinny być zamknięte, ale to się zdarzało niezwykle rzadko. Zresztą i tak nie było tam nic cennego, chyba że ktoś gustował w papierze toaletowym marnej jakości, płynach do czyszczenia i brązowych papierowych ręcznikach.

Archiwista przekręcił gałkę i pchnął stalowe drzwi. Kiedy znalazł się w ciemnym schowku, przekręcił zamek i wyciągnął z kieszeni telefon. Nacisnął przycisk szybkiego wybierania. W komórce miał zaprogramowany tylko jeden numer telefonu. Po dwóch sygnałach w słuchawce zapadła złowroga cisza. Dzwoniący wyczuł obecność swojego Pana po drugiej stronie linii.

- Panie – szepnął z nabożeństwem. – Mam dla ciebie informację.

Szybko i cicho opowiedział o wizycie kobiety i o jej zeznaniach. Kiedy skończył, usłyszał warczenie i cichy syk. Jego Pan złowrogo milczał. Archiwista wyczuł wściekłość w jego oddechu i zrobiło mu się zimno.

- Wyszukałem dla ciebie jej dane osobowe, Panie. Wszystkie – powiedział. Potem, przyświecając sobie komórką, podał adres Gabrielle, zastrzeżony numer telefonu i inne informacje. Jak każdy uniżony sługa, za wszelką cenę chciał zadowolić swojego potężnego Pana.

Rozdział 3

Minęły dwa dni.

Gabrielle próbowała przegnać z myśli wydarzenia, których była świadkiem pod klubem La Notte. Choć z drugiej strony – jakie to miało znaczenie? Nikt jej nie wierzył. Ani policja, która notabene nikogo jeszcze do niej nie przysłała, mimo obietnic, ani nawet przyjaciele.

Jamie i Megan, którzy byli świadkami przepychanki w klubie, twierdzili, że grupa motocyklistów wyszła z imprezy spokojnie. Kendra była zbyt zajęta Brentem – facetem, który ją poderwał – żeby zauważyć zamieszanie. Według policji, wszystkie osoby przepytane przez patrol wysłany do La Notte zeznały to samo. Małe nieporozumienie w barze i to wszystko. Żadnej bójki na zewnątrz, żadnego morderstwa w zaułku.

Nikt nie widział napaści, która zgłosiła. Nikogo nie przyjęto do szpitala ani kostnicy. Nawet taksówkarz nie zgłosił stłuczonej szyby.

Nic.

Jak to możliwe? Czyżby naprawdę miała omamy?

Zupełnie tak, jakby tylko ona naprawdę widziała tej nocy. Albo była świadkiem czegoś niemożliwego do wyjaśnienia, albo traciła rozum.

A może jedno i drugie.

Nie mogła sobie z tym wszystkim poradzić, więc poszukała pociechy w jednej rzeczy, jaka dawała jej radość. Zeszła do ciemni znajdującej się w piwnicy jej mieszkania i teraz zanurzała papier fotograficzny w wywoływaczu, patrząc, jak z białej nicości wyłania się obraz. Obserwowała, jak obraz się ożywia – bluszcz oplatający rozsypujące się cegły gotyckiego gmachu, w którym kiedyś mieścił się zakład psychiatryczny. Odkryła go ostatnio pod miastem. Zdjęcia wyszły lepiej, niż się spodziewała, a jej artystyczną duszę zaczęła drażnić pokusa wykonania całej serii fotografii tego pustego niesamowitego budynku. Odłożyła zdjęcie na bok i wywołała kolejne. Tym razem było to zbliżenie młodej sosny wyrastającej ze szpary opuszczonego składu drewna.

Bezwiednie uśmiechała się, wyjmując zdjęcia z roztworu i wieszając je na sznurku, żeby wyschły. Na górze, na stole, leżało kilkanaście podobnych fotografii. Gorzkie świadectwo upadku natury oraz ludzkiej głupoty i arogancji.

Gabrielle zawsze, już od dzieciństwa, czuła się outsiderką, milczącą obserwatorką, a

nie uczestniczką życia. Przypisała to temu, że nie miała rodziców – żadnej rodziny. Poza małżeństwem, które adoptowało ją, gdy była dwunastolatką sprawiającą problemy. Przenoszono ją z jednej rodziny zastępczej do następnej. Maxwellowie, pochodzący z wyższej klasy średniej, nie mieli własnych dzieci. Okazali jej wiele współczucia, ale ich akceptacja była pełna rezerwy. Niemal natychmiast została wysłana do szkoły z internatem, potem na obozy letnie, a wreszcie na uniwersytet w innym stanie. Jej przybrani rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy była na studiach.

Nie poszła na pogrzeb, ale pierwsze prawdziwe zdjęcia zrobiła na cmentarzu Mount Auburn – były na nich dwa pomniki ocienione klonami. Od tamtej pory nie przestała fotografować.

Starła się jednak nie myśleć o przeszłości. Wyłączyła oświetlenie ciemni i poszła z powrotem na górę, planując, co zje na kolację. Była w kuchni może wie minuty, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Jamie był tak dobry, że spędził u niej dwie noce, żeby poczuła się pewniej. Martwił się o nią, zawsze zachowywał się wobec niej opiekuńczo, jak starszy brat, którego nigdy nie miała. Kiedy wychodził dziś rano, zaproponował, że wróci wieczorem, ale zapewniła, że sobie poradzi. W gruncie rzeczy brakowało jej samotności. Kiedy dzwonek odezwał się po raz drugi, poczuła lekkie zniecierpliwienie. Dziś wieczorem znowu nie będzie sama.

- Już idę! – krzyknęła z progu przedpokoju.

Zgodnie ze zwyczajem najpierw wyjrzała przez wizjer, ale zamiast blond czupryny Jamiego zobaczyła ciemne włosy i twarz o rysach zapadających w pamięć. Na schodach wejściowych stał obcy mężczyzna. Oświetlała go jedynie imitacja latarni gazowej. W jego jasnoszarych oczach, patrzących prosto w wąskie oko judasza, było coś złowieszczonego, a równocześnie pociągającego.

Otworzyła drzwi, ale nie zdjęła łańcucha. Obcy spojrzał na łańcuch, który oddzielał ich od siebie. Kiedy uniósł wzrok na Gabrielle, obdarzył ją lekkim uśmiechem, jakby rozbawiła go jej wiara, że powstrzyma go coś tak żalosego.

- Panna Maxwell? – jego głos rozbudził jej zmysły. Był niczym gruby, ciemny aksamit.

- Tak?

- Nazywam się Lucan Thorne. – Mówił równym, spokojnym tonem. W sposób, który natychmiast rozwiął jej obawy. Kiedy nic nie powiedziała, ciągnął dalej: - Jak rozumiem, dwa dni temu miała pani na posterunku pewne trudności. Postanowiłem wpaść i upewnić się, że nic pani nie jest.

Kiwnęła głową.

Czyli jednak policja nie spławiła jej tak do końca. Ale, ponieważ minęły już dwa dni, przestała się spodziewać tej wizyty, nie była też pewna, czy ten facet o elegancko zaczesanych czarnych włosach i rzeźbionych rysach twarzy rzeczywiście jest policjantem.

Doszła do wniosku, że wygląda dostatecznie ponuro jak na glinę. A choć był niebezpiecznie przystojny, odniosła wrażenie, że nie zamierza uczynić jej krzywdy. Uznała jednak, że lepiej będzie okazać nadmiar ostrożności niż jej brak.

- Ma pan odznakę?

- Oczywiście.

Niespiesznym, niemal zmysłowym ruchem otworzył cienkie skórzane etui. Uniósł je w górę, w stronę szpary w drzwiach. Na zewnątrz zmierzchało, i to pewnie dlatego potrzebowała chwili, żeby zobaczyć błyszczącą odznakę i zdjęcie w legitymacji.

- W porządku, niech pan wejdzie.

Zdjęła łańcuch, otworzyła drzwi i pozwoliła mu wejść. Z mimowolnym podziwem zauważyła, że ma szerokie ramiona. Miała wrażenie, że jej przedpokój jest dla niego za mały. Był wysoki i mocno zbudowany, co było widać nawet pod płaszczem. Czerń jego stroju i jedwabiste kruczoczarne włosy zdawały się absorbować przyćmione światło żyrandola. Był pewny siebie. Zachowywał się jak król. Nawet wyraz twarzy miał poważny, jakby odpowiednim dla niego zajęciem było dowodzenie oddziałem rycerzy, a nie zajmowanie się cierpiącą na halucynacje kobietą z Beacon Hill.

- Nie sądziłam, że ktoś przyjdzie. Po przyjęciu, jakie mi zgotowano na komisariacie, doszłam do wniosku, że bostońska policja uznała mnie za wariatkę.

Ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył, po prostu wszedł w milczeniu do salonu i spokojnie się rozejrzał. Jego wzrok zatrzymał się na stole, gdzie leżały robocze odbitki jej ostatnich zdjęć. Szła za nim, obserwując jego reakcję na jej prace. Uniósł brew, studiując zdjęcia.

- To pani dzieło? – spytał, zwracając na nią jasne, przenikliwe oczy.

- Tak – odpowiedziała Gabrielle. – To część serii, którą nazwałam *Miasto Odnowione*.

- Interesujące.

Znów spojrzął na zdjęcia, a Gabrielle poczuła lekką irytację z powodu jego ostrożności i beznamiętnego zachowania.

- To coś, nad czym dopiero pracuję... Jeszcze nie są gotowe do wystawienia.

Chrząknął, nadal w milczeniu przyglądając się fotografią.

Podeszła bliżej. Chcąc zrozumieć jego chłodną reakcję lub raczej jej brak.

- Robię wiele fotografii na zamówienie. Zapewne w tym miesiącu będę fotografować rezydencję gubernatora w Vineyard.

Och, zamknij się, nakazała sobie w myślach. Dlaczego tak ci zależy, żeby zainteresować sobą tego faceta?

Detektyw Thorne nie wydawał się szczególnie zainteresowany jej słowami. W milczeniu wyciągnął rękę i palcami, zdecydowanie zbyt wysmukłymi jak na gliniarza, delikatnie przesunął po blacie stołu dwa zdjęcia. Nagle Gabrielle zobaczyła w wyobraźni, jak te długie, zręczne palce przesuwają się po jej nagiej skórze, wplatają się w jej włosy, odchylają do tyłu jej głowę... prosto na jego silne ramię. I te chłodne szare oczy wpatrujące się w nią przenikliwie.

- Założę się, że wolałby pan obejrzeć zdjęcia, które zrobiłam w sobotę koło klubu – wykrztusiła, zmuszając się do powrotu do rzeczywistości.

Nie czekając na jego odpowiedź, poszła do kuchni i wzięła z blatu komórkę. Otworzyła ją, wyświetliła zdjęcie i pokazała wyświetlacz detektywowi.

- To pierwsze jakie zrobiłam. Ręce mi się trzęsły, więc jest trochę zamazane. Światło flesza rozmyło szczegóły, ale jeśli dobrze się pan przyjrzy, zobaczy pan sześć ciemnych sylwetek zgarbionych tuż przy ziemi. Ofiara leży między nimi. Oni...Oni go rozszarpują jak zwierzęta.

Thorne spojrział na zdjęcie. Wyraz jego twarzy się nie zmienił. Gabrielle wyświetliła następne.

- Błysk flesza ich zaskoczył. Nie wiem... Mam wrażenie, że ich oślepił. Kiedy robiłam kolejne zdjęcia, niektórzy na mnie patrzyli. Nie potrafię rozpoznać rysów twarzy, ale tu widać lepiej jednego z nich. Te dziwne smugi to odbicie flesza w jego oczach. – wzdrygnęła się na wspomnienie żółtego blasku tych bezwzględnych, nieludzkich oczu. – patrzył prosto na mnie.

Detektyw nadal milczał. Wziął komórkę i sam przejrzał kolejne zdjęcia.

- I co pan o tym sądzi? – spytała, mając nadzieję, że potwierdzi jej słowa. – Widzi pan to wszystko, prawda?

- Tak... coś widzę.

- Dzięki Bogu. Pana koledzy na komisariacie próbowali mnie przekonać, że oszalałam albo że się naćpałam i nie mam pojęcia, co mówię. Nawet moi przyjaciele mi nie uwierzyli, kiedy im opowiedziałam.

- Pani przyjaciele? – powtórzył powoli. – Ktoś jeszcze prócz mężczyzny, który był na komisariacie? Pani kochanka?

- Mojego kochanka? – Roześmiała się. – Nie, Jamie nie jest moim kochankiem.

Thorne oderwał wzrok od wyświetlacza komórki i popatrzył jej w oczy.

- Spędził tu z panią dwie ostatnie noce. Byliście sami.

Skąd on to wie? Gabrielle poczuła złość na myśl, że ktoś ją śledził. Nawet jeśli to była policja, która zapewne zrobiła to z powodu podejrzeń, a nie chęci ochrony obywatela. Jednak obecność detektywa Lucana Thorne'a sprawiła, że złość wyparowała z niej równie nagle, jak się pojawiła, a jej miejsce zajęła spokojna akceptacja. Subtelna, leniwa współpraca. Dziwne, pomyślała. Wcale jej nie peszyły te uczucia.

- Jamie spędził u mnie dwie noce, ponieważ martwił się o mnie. To tylko przyjaciel, nic więcej.

Dobrze.

Usta Thorne'a nie poruszyły się, ale Gabrielle była pewna, że usłyszała odpowiedź. To niewypowiedziane słowo, aprobata, że nie ma kochanka, sprawiło jej ogromną przyjemność. Może to tylko pobożne życzenie, ale... Minęło tyle czasu, odkąd miała chłopaka. Obecność Lucana Thorne'a dziwnie na nią wpływała.

Kiedy na nią patrzył, czuła jak po jej ciele rozchodzi się przyjemne ciepło. Jego wzrok był przenikliwy, fizyczny i intymny. Nagle w jej umyśle pojawił się obraz: leżą nadzy, spleceni ze sobą w oświetlonej światłem księżyca sypialni. Zalała ją gwałtowna fala gorąca. Czuła pod palcami jego twarde mięśnie, jego ciało falowało nad nią... A wielki członek wypełnił ją do granic wytrzymałości i eksplodował w jej wnętrzu.

O tak, pomyślała, prężąc się wewnątrz, Jamie ma rację. Naprawdę zbyt długo żyła w celibacie.

Thorne zamrugał powoli, jego grube czarne rzęsy przysłoniły srebrzyste oczy. Gabrielle poczuła, że napięcie jej mięśni znika, jakby pod wpływem chłodnego powiewu wiatru na rozpalonej skórze. Sece nadal waliło głośno w piersiach. Miała wrażenie, że w pokoju jest dziwnie gorąco.

Kiedy odwrócił wzrok, spojrzała na jego kark, gdzie linia włosów stykała się z kołnierzykiem dobrze uszytej koszuli. Miał na szyi tatuaż – przynajmniej tak wyglądał. Skomplikowane zawijasy i geometryczne symbole, wykonane tuszem kilka odcieni ciemniejszym niż skóra. Linie obejmowały kark i bok szyi, niknąc pod gęstymi włosami. Zastanawiała się, jak wygląda reszta tego tatuażu i czy ten piękny wzór ma jakieś konkretne znaczenie.

Poczuła niemal irracjonalną potrzebę przesunięcia palcem po tych dziwnych znakach. A może nawet językiem.

- Proszę mi powtórzyć, co powiedziała pani przyjaciółom o zdarzeniu pod klubem.

Przełknęła z trudem ślinę – zaschło jej w ustach – i potrząsnęła głową, żeby się skupić.

- Tak, oczywiście.

Boże, co się ze mną dzieje? Z trudem skupiła się na wydarzeniach tej strasznej nocy. Opowiedziała Thorne'owi całą historię dokładnie tak, jak wcześniej opowiedziała ją jego kolegom na komisariacie, a potem swoim przyjaciółom. Przytoczyła wszystkie koszmarnie szczegóły, a on słuchał uważnie, nie przerywając. Pod wpływem jego uwagi wspomnienia stały się bardziej precyzyjne, jakby patrzyła przez okulary, a wszystkie szczegóły uległy powiększeniu.

Kiedy skończyła, Thorne ponownie zaczął przeglądać zdjęcia w jej komórce. Tera wyraz jego twarzy nie był już surowy, a ponury.

- Co dokładnie pani zdaniem przedstawiają te zdjęcia, panno Maxwell?

Uniosła wzrok i napotkała jego oczy, mądre, przenikliwe, przewiercające ją na wylot. Nagle do głowy przysła jej myśl, niewiarygodna, śmieszna, a równocześnie przeraźliwa.

Wampir.

- Nie wiem – powiedziała bez przekonania, niemalże przekrzykując uporczywy szept w swojej głowie. – To znaczy, nie bardzo wiem, co mam myśleć.

Jeśli nawet do tej pory nie uważał, że oszalała, na pewno tak pomyśli, jeśli wypowie to słowo na głos. A przecież było to jedyne sensowne wyjaśnienie tej makabrycznej zbrodni.

Wampiry?

Jezu Chryste. Naprawdę oszalała.

- Będę musiał pożyczyć od pani ten telefon, panno Maxwell.

- Proszę mi mówić po imieniu. – Uśmiechnęła się ze skrepowaniem. – Myśli pan, że w laboratorium policyjnym zdołają wyostrzyć te zdjęcia?

Lekko skinął głową, a potem schował jej komórkę do kieszeni.

- Oddam ci ją jutro wieczorem. Będziesz w domu?

- Jasne. – jak to możliwe, że to proste pytanie zabrzmiało zupełnie jak rozkaz? – Dziękuję, że pan przyszedł, panie Thorne. To były dla mnie ciężkie dni.

- Lucan – poprawił ją, przyglądając się jej przez chwilę uważnie. – Proszę mi mówić po imieniu.

Miała wrażenie, że te oczy prześwietlają ją na wylot, choć wypełniało je niezgłębione, stoickie zrozumienie, jakby ten człowiek widział w życiu więcej strasznych rzeczy, niż ona byłaby w stanie pojąć. Nie potrafiła nazwać uczucia, jakie ogarnęło ją w owej chwili, ale puls przyspieszył i miała wrażenie, że w pokoju zrobiło się duszno. Nadal na nią patrzył, czekał,

jakby spodziewa się, że natychmiast usłucha i zwróci się do niego po imieniu.

- Dobrze... Lucanie.

- Gabrielle.

Zadrżała, słysząc swoje imię w jego ustach.

Jego uwagę przyciągnęło coś na ścianie za jej plecami. Wisiały tam jej najbardziej znane fotografie. Lekko wydał wargi, jakby rozbawiony, z może zaskoczony. Gabrielle obejrzała się i stwierdziła, że patrzy na zdjęcie przedstawiające park miejski, zamarznęty i całkowicie opustoszały, pokryty grubą warstwą grudniowego śniegu.

- Nie podobają ci się moje prace – stwierdziła.

Lekko pokręcił głową.

- Uważam, że są... intrygujące.

Zaciekawił ją.

- W jakim sensie?

- Znajdujesz piękno w najmniej prawdopodobnych miejscach – wyjaśnił po dłuższej chwili milczenia. – Twoje zdjęcia są pełne namiętności...

- Ale?

Ku jej konsternacji wyciągnął rękę i przesunął palcem po linii jej podbródka.

- Nie ma na nich ludzi, Gabrielle.

- Oczywiście, że tam są... -zaczęła zaprzeczać, ale nagle uświadomiła sobie, że ma rację. Przesuwała wzrokiem po wiszących na ścianach oprawionych fotografiach, przeszukiwała w pamięci inne, te które wisiały w galeriach oraz muzeach, i w prywatnych kolekcjach w mieście.

Miał rację. Bez względu na tematykę, wszystkie prezentowały puste miejsca, wymarłe.

Na żadnym z nich nie było ani jednej twarzy, nie było nawet cienia człowieka.

- O mój Boże – szepnęła, zaskoczona tym odkryciem.

W kilka chwil ten człowiek zdefiniował jej prace lepiej niż ktokolwiek przed nim. Nawet ona sama na to nie wpadła. Dopiero Lucan Thorne otworzył jej oczy. Zupełnie jakby zajrzał w głąb jej duszy.

- Muszę już iść – powiedział i ruszył w stronę drzwi.

Gabrielle poszła za nim. Chciała, żeby został dłużej albo przyszedł później jeszcze raz. Omal nie poprosiła go o to, ale zmusiła się do zachowania choć odrobiny rozsądku. Thorne zatrzymał się w progu i obrócił w jej stronę. Nagle znaleźli się zbyt blisko siebie w tym ciasnym przedpokoju.

Czuła się przytłoczona tym wielkim ciałem, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Ledwie mogła oddychać.

- Czy coś się stało?

Jego nozdrza zadrżały niemal niedostrzegalnie.

- Jakich perfum używasz?

Zmieszała się pod wpływem tego pytania. Było takie nieoczekiwane, takie osobiste. Poczowała, że się rumieni, choć nie miała pojęcia dlaczego.

- Nie używam perfum. Nie mogę. Mam alergię.

- Doprawdy?

Jego usta wygięły się w dziwnym uśmiechu, jakby nagle zęby przestały mu się mieścić w ustach. Pochylił się ku niej powoli, aż jego głowa znalazła się na wysokości jej szyi. Usłyszała cichy szelest jego oddechu, kiedy wciągał w płuca jej zapach i uwalniał go przez usta. – poczuła go na skórze, najpierw chłód, potem ciepło. Znow ogarnęła ją fala pożądania, mogłaby przysiąc, że czuje przelotne muśnięcie jego warg na pulsującej tuż pod skórą tętnicy szyjnej. Usłyszała przy uchu niskie warknięcie, coś bardzo zbliżonego do przekleństwa.

Thorne cofnął się natychmiast, unikając jej zaskoczonego spojrzenia. Nie próbował przeproszać ani wyjaśniać swojego dziwnego zachowania.

- Pachniesz jaśminem – powiedział tylko, a potem, nie patrząc na nią, wyszedł za próg i zniknął w ciemnej ulicy.

Źle, że śledził tę kobietę.

Był o tym przekonany już w chwili, kiedy pokazywał jej odznakę i legitymację policyjną. Nie należały do niego. Tak naprawdę niebyły nawet prawdziwe, była to jedynie wampirza iluzja, skłaniająca umysł kobiety do wiary, że jest tym, za kogo się podaje.

Prosta sztuczka, jaką znali wszyscy starsi w jego świecie. Rzadko ją stosował.

A mimo to wrócił, nieco po północy, naginając jeszcze bardziej swój kodeks honorowy. Dotknął klamki i stwierdził, że nie zamknęła zamka. Wiedział, że tego nie zrobi. Zasugerował jej to, gdy z nią rozmawiał. Pokazał, co pragnie z nią zrobić, i wyczytał w jej łagodnych brązowych oczach zaskoczenie, ale i aprobatę.

Mógł ją wziąć już wtedy. Był pewien, że przyjęłaby go z ochotą, a myśl o rozkoszy, jakiej oboje doświadczą, omal go do tego nie sprowokowała. Ale miał obowiązki przede wszystkim wobec Rasy i towarzyszy, którzy pomagali mu w walce z narastającym problemem Szkarłatnych.

Już dostatecznie źle się stało, że Gabrielle była świadkiem zabójstwa pod klubem i że opowiedziała o nim policji i przyjaciółom, nim zdążył zmodyfikować jej pamięć. Ale najgorsze było to, że zrobiła również zdjęcia, choć niewyraźne i niemal zupełnie nieczytelne. Musiał je zabezpieczyć, nim komuś je przekaże. Przynajmniej tyle mu się udało. Miał świadomość, że powinien teraz siedzieć w laboratorium z Gideonem i identyfikować tego Szkarłatnego, który uciekł mu w La Notte, albo patrolować miasto z Dantem, Rio i Conlanem. Oczyszczać je ze współbraci opętanych nałogiem. I właśnie to robi, kiedy już skończy ze śliczną panną Gabrielle Maxwell.

Wśliznął się do starego budynku przy Willow Street i zamknął za sobą drzwi. Jego nozdrza nappełnił kuszący zapach kobiety. Prowadził go do niej tak samo, jak tamtej nocy, spod klubu na komisariat. Cicho przemierzał mieszkanie, aż wreszcie wszedł na schody prowadzące do jej sypialni na poddaszu.

Światliki w skośnym dachu wpuszczały do środka blade światło księżyca, które igrało łagodnie na wdzięcznych krzywiznach ciała Gabrielle. Spała nago, jakby czekała na jego przybycie. Jej długie nogi zaplątane były w prześcieradło, włosy rozsypały się na poduszce jak wachlarz.

Ogarnął go jej zapach, słodki i ponętny, wywołując rozkoszny ból dziąseł.

Jaśmin, pomyślał, rozchylając wargi w uśmiechu pełnego gorczy uznania. Egzotyczny kwiat, który otwiera swe pachnące płatki tylko pod osłoną nocy.

Otwórz się dla mnie, Gabrielle.

Postanowił sobie, że jej nie weźmie, jeszcze nie. Chciał jej dziś tylko zakosztować, odrobinę, tylko tyle by zaspokoić ciekawość. Na więcej nie zamierzał sobie pozwolić. Kiedy skończy, Gabrielle nie będzie pamiętać ani spotkania z nim, ani masakry, której była świadkiem dwa dni temu.

Jego własne potrzeby będą musiały poczekać.

Podszedł do niej i usiadł na łóżku. Pogładził ognistą grzywę jej włosów, przesunął palcami po smukłej linii ramienia.

Poruszyła się, zajęczała słodko, podniecona jego lekkim dotknięciem.

- Lucan – wymamrotała sennie, nie do końca obudzona. Zupełnie jakby podświadomie wyczuwała jego obecność w sypialni.

- To tylko sen – wyszeptał, zaskoczony dźwiękiem swojego imienia. Nie wykorzystał swych wampirzych mocy, by skłonić ją do jego wypowiedzenia.

Westchnęła głęboko, przytuliła się do niego.

- Wiedziałam, że wrócisz.

- Tak?

- U-hm. – Ten dźwięk, chrapliwy, pełen erotyzmu. Zupełnie jak mruczenie kota. Oczy nadal miała zamknięte, jej umysł oplatała pajęczyna snów. – Chciałam, żebyś wrócił.

Lucan uśmiechnął się, przesunął palcami po jej gładkim czole.

- Nie obawiasz się mnie, moja piękna?

Pokręciła lekko głową, ocierając się policzkiem i jego dłoń. Jej wargi były rozchylone. W przyćmionym świetle połyskiwały drobne białe zęby. Miała wdzięczną szyję jak królewska kolumna z alabastru. Jakże będzie słodka w smaku, jak miękkie będzie jej ciało pod jego językiem!

A jej piersi! Nie mógł się oprzeć sutkom, rysującym się wyraźnie pod okrywającym je prześcieradłem. Ścisnął lekko jedną w palcach, pociągnął troszeczkę i omal nie zajęczał z pożądania, kiedy zmieniła się pod jego dotykiem w twardej paciorek.

On również zrobił się twardy. Oblizwał wargi. Czuł głód, czuł potrzebę, by znaleźć się w jej wnętrzu.

Gabrielle poruszyła się leniwie pod splątanym okryciem. Powoli sunął je, obnażając jej nagość. Była wspaniale zbudowana, wiedział, że tak będzie. Jej ciało było niewielkie, ale silne, gibkie i piękne. Widział mięśnie rysujące się na jej smukłych rękach i nogach. Miała artystyczne dłonie o długich palcach. Zacisnęła je bezwiednie, kiedy przesunął palcem między jej piersiami, a potem niżej, po jej wklęsłym brzuchu. Miała aksamitną, ciepłą skórę. Ledwie był w stanie się jej oprzeć.

Wszedł na łóżko, przykląkł nad nią i wsunął ręce pod jej plecy. Uniósł nieco jej pośladki, całował krzywiznę jej biodra, a potem zaczął pieścić językiem niewielkie wgłębienie pępka. Westchnęła, kiedy zanurzył w nim język. Poczł jej odurzający zapach.

- Jaśmin – szepnął, muskając wargami rozgrzane ciało. Czuł, jak kły wysuwają mu się z dziąseł, kiedy całował ją poniżej pępka.

Jej jęk rozkoszy, kiedy przycisnął usta do jej łona, wywołał w nim gwałtowną falę pożądania. Czuł, jak członek pulsuje boleśnie, skrzepowany ubraniem. Była mokra i śliska, jej wagina otwierała się szeroko pod jego językiem. Spijał jej sok, jakby to był słodki nektar, póki jej ciało nie wyciągnęło się w orgazmie. A potem nadal z niej pił, aż doprowadził ją do kolejnego szczytu, i kolejnego.

Nagle zrobiła się zupełnie bezwładna w jego ramionach, jakby jej ciało pozbawione było kości. Drżała. On również drżał, trzęsły mu się ręce, kiedy delikatnie układał jej biodra na łóżku. Nigdy jeszcze tak bardzo nie pożądał kobiety.

I czuł, że pragnie czegoś jeszcze. Zdumiała go własna potrzeba chronienia tej istoty.

Gdy minął ostatni orgazm, dyszała lekko. Nagle przekręciła się na bok i zwinęła w kłębek, niewinna jak kociątko.

Patrzył na nią w niemej furii, walcząc z siłą własnego pożądania. Czuł tępy ból dziąseł, powodowany przez wysunięte kły. Język miał suchy, a żołądek skurczył się boleśnie z głodu. Pożądanie krwi i spełnienia zacisnęło się na nim uwodzicielską obręczą. Jego wzrok wyostrzył się, a źrenice szarych oczu zmieniły się w wąskie szparki, jak u kota.

Weź ją, nalegała ta część jego jaźni, która nie była człowiekiem, nie pochodziła z Ziemi.

Jest twoja. Weź ją.

Tylko spróbuj – to przecież sobie przysiągł. Nie skrzywdzi jej, a jedynie zintensyfikuje jej rozkosz, jeśli weźmie nieco jej krwi. A gdy nadejdzie świt, ona o niczym nie będzie pamiętać. Przyjmie go, da mu odżywczy łyk życia, a potem obudzi się, półprzytomna i zaspokojona. I całkowicie nieświadoma przyczyn tego stanu.

To będzie mniejsze zło, powiedział sobie, czując, jak jego ciało gotuje się na przyjęcie pokarmu.

Pochylił się nad nieruchomym ciałem Gabrielle i czule odsunął na bok pukle rudych włosów. Serce waliło mu jak młotem. Żądało, by zaspokoił palące pragnienie. Tylko spróbuj, nic więcej. Wyłącznie dla przyjemności. Pochylił się jeszcze niżej, otworzył usta, a jego zmysły zalał cudowny zapach tej kobiety. Przycisnął wargi do jej ciepłej szyi, w miejscu, gdzie delikatnie bił puls. Drasnął zębami aksamitną skórę jej gardła. Kły pulsowały bólem, one też domagały się spełnienia.

Gdy już miał je zatopić w tętnicy, zauważył maleńkie znamię tuż za uchem.

Było niemal niewidoczne, miało kształt kropli spadającej w miseczkę leżącego na boku półksiężyca. Zaszokowany, cofnął się gwałtownie. Takie znamię, niezwykle rzadko pojawiało się u ludzkich kobiet, mogło oznaczać tylko jedno...

Dawczyni Życia.

Poderwał się z łóżka jak oparzony. Wysyczał w ciemność gwałtowne przekleństwo. Nadal czuł pożądanie, choć już zaczęły docierać do niego konsekwencje tego odkrycia.

Gabrielle Maxwell była Dawczynią Życia. Wśród ludzi zdarzały się kobiety o unikalnym kodzie DNA, zdolnym dopełnić materiał genetyczny wampirów. To były prawdziwe królowe dla Rasy, która składała się wyłącznie z osobników płci męskiej. Dla wampirów taka kobieta była boginią, Dawczynią Życia, a jej przeznaczeniem było związać się więzami krwi z jednym z nich i przyjąć jego nasienie, by umożliwić Rasi przetrwanie.

A on, w swoim pożądaniu, omal nie uczynił jej swoją na wieki.

Rozdział 4

Gabrielle mogłaby policzyć na palcach jednej ręki wszystkie erotyczne sny, jakie przytrafiły jej się w życiu. Jednak jeszcze nigdy nie doświadczyła czegoś równie silnego – ani tak rzeczywistego – jak seksualna fantazja, którą sprowadził na nią Lucan Thorne. Nocny wietrzyk wpadający przez otwarty świetlik był jego oddechem. Głęboka ciemność wypełniająca kwadrat okna nad jej łóżkiem była jego włosami, zimny blask księżyca był jego srebrzystymi oczami. Jedwabiste fały prześcieradła, owinięte wokół jej ciała były jego rękami, otwierającymi ją szeroko, przytrzymującymi.

Żar jej skóry był jego ustami przesuwającymi się po niej jak niewidzialny ogień. „*Jaśmin*”, powiedział do niej we śnie. Cichy szmer tego słowa wibrował w jej wilgotnym ciele. Czowała, jak jego ciepły oddech porusza jej skręcone włosy łonowe.

Wiła się i jęczała pod dotykiem jego wprawionego języka, poddawała się tej torturze i miała nadzieję, że nigdy się nie skończy. Ale wszystko minęło zbyt szybko. Obudziła się sama w ciemnościach szepcząc imię Lucana. Jej ciało było znużone i bezsilne, domagało się więcej.

Nadal czuła się obolała, a to martwiło ją dużo bardziej niż fakt, że detektyw Thorne najwyraźniej wystawił ją do wiatru.

Oczywiście jego zapowiedź, że wpadnie dziś wieczorem nie miała nic wspólnego z randką. Tyle, że bardzo chciała znów go zobaczyć. Chciała dowiedzieć się więcej o mężczyźnie, który potrafi ją rozszyfrować jednym spojrzeniem. Miała nadzieję, że nie będą mówić wyłącznie o tej koszmarnej sprawie, ale że porozmawiają spokojnie, przy kolacji i winie. I oczywiście był to czysty przypadek, że akurat dziś dwukrotnie ogoliła nogi, a pod jedwabną bluzkę z długimi rękawami i ciemne jeansy włożyła seksowną czarną bieliznę.

Czekała na niego prawie do dziesiątej nim zupełnie porzuciła nadzieję. Wreszcie zadzwoniła do Jamiego i zapytała czy nie zjadłby z nią kolacji na mieście.

Siedli naprzeciwko siebie pod oknem w Ciao Bella. Po pewnym czasie Jamie odstawił kieliszek pinot noir i spojrzał na jej niemal nietknięte frutti di Mare.

- Od dziesięciu minut bawisz się tym samym małżem, skarbie. Nie smakuje ci?
- Nie, jest wyśmienite. Tu zawsze doskonale karmią.
- Aha, towarzystwo jest do bani?

Spojrzała na niego i pokręciła głową.

- Wcale nie. Jesteś moim najlepszym przyjacielem i dobrze o tym wiesz.

- Jasne. Ale ani się umyłam do twojego mokrego snu – powiedział z uśmiechem.

Gabrielle zarumieniła się kiedy klient przy sąsiednim stoliku obejrzał się ciekawie w ich stronę.

- Czasami jesteś okropny, wiesz? – szepnęła. – Nie powinnam była nic ci mówić.

- Och, kotku, nie wstydz się. Gdyby mi ktoś płacił centa za każdym razem, kiedy budzę się rozpalony, wykrzykując imię jakiegoś gorącego faceta...

- Nie wykrzykiwałam jego imienia! – Nie, tylko jęczała, najpierw w łóżku, a potem pod prysznicem, i ciągle nie mogła pozbyć się obrazu Lucana Thorne'a. – To było takie realne, jakby naprawdę tam był. W moim łóżku, fizycznie, tak rzeczywisty, że mogłabym go dotknąć.

Jamie westchnął.

- Niektóre dziewczyny mają szczęście. Jak następnym razem zobaczysz tego swojego wyśnionego kochanka, bądź tak dobra i przyślij go do mnie, jak już z nim skończysz.

Gabrielle uśmiechnęła się, wiedząc, że potrzeby jej przyjaciela są całkowicie zaspokojone. Od czterech lat żył w szczęśliwym i monogamicznym związku z Davidem, handlarzem dziełami sztuki, który wyjechał właśnie z miasta w interesach.

- A wiesz, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze – spytała. – Kiedy się obudziłam dziś rano, okazało się, że nie zamknęłam drzwi na zamek.

- I?

- No przecież mnie znasz. Nigdy nie zapominam zamknąć drzwi.

Ciemne wyskubane brwi Jamiego spotkały się nad nosem.

- Chcesz powiedzieć, że ten facet włamał się do ciebie, jak spałaś?

- Oj wiem jak to brzmi, policjant wdzierający się w środku nocy do mojego domu, żeby mnie uwieść. Chyba tracę rozum.

Powiedziała to swobodnie, ale nie po raz pierwszy kwestionowała w ten sposób własne zdrowie psychiczne. Naprawdę nie po raz pierwszy. Zaczęła bezmyślnie bawić się rękawem bluzki, a Jamie nie spuszczał z niej oczu. Był wyraźnie zaniepokojony, co tylko zwiększało jej zażenowanie.

- Posłuchaj. Od tygodnia żyjesz w stresie, a stres wyrabia z nami bardzo dziwne rzeczy. Jesteś zdenerwowana i zdezorientowana. Zapomniałaś zamknąć drzwi.

- A ten sen?

- To tylko sen. W ten sposób twój udręczony umysł starał się ci powiedzieć, żebyś wyluzowała.

Automatycznie pokiwała głową.

- Racja. Na pewno masz rację.

Gdyby tylko mogła w to uwierzyć! Tymczasem jej umysł odrzucał taką możliwość. Nigdy nie zostawiła otwartych drzwi. Takie rzeczy się jej nie zdarzały, bez względu na stres.

- Hej. – jamie pochylił się nad stołem i wziął ją za rękę. – Wszystko będzie dobrze. Wiesz, że zawsze możesz do mnie zadzwonić. Zawsze możesz na mnie liczyć.

- Dzięki.

Puścił jej dłoń, wziął widelec i wycelował we frutti di Mare.

- Zamierzasz to zjeść, czy mogę coś od ciebie wysepić?

Gabrielle postawiła przed nim swój talerz.

- Możesz zjeść wszystko.

Kiedy Jamie pochłaniał jej zimne danie, oparła podbródek na ręce i napiła się wina. Przesunęła palcem po niewyraźnych śladach, które dziś rano odkryła na szyi. Otwarte drzwi nie były jedyną niewyjaśnioną sprawą. Bez wątplenia, dziwniejsze były te dwa zadrapania tuż za uchem.

Skóra nie była przecięta, ale dziwne ślady dało się zauważyć. Dwa symetryczne drapania w miejscu, gdzie pod skórą bije puls. Początkowo sądziła, że zadrapała się przez sen, pobudzona jego erotyzmem.

Ale to nie wyglądało na zadrapanie paznokciem. Wyglądało raczej na... coś innego.

Jakby ktoś albo coś chciało ugryźć ją w szyję.

Szaleństwo.

Czyste szaleństwo. Musi przestać myśleć w ten sposób, nim zrobi sobie krzywdę. Musi się wziąć w garść i przestać snuć paranoidalne teorie na temat nocnych gości i monstrów rodem z horrorów, które przecież nie istniały w realnym świecie. Jeśli nie będzie ostrożna, skończy jak jej rodzona matka...

- A niech mnie! Możesz mnie walnąć, albowiem jestem kompletnym debilem! – Wykrzyknął nagle Jamie, przerywając jej rozmyślenia! – ciągle zapominam ci o tym powiedzieć! Wczoraj miałem telefon w sprawie twoich zdjęć. Jakaś szychka jest zainteresowana prywatnym pokazem.

- Serio? Kto?

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, kochana. Rozmawiałem tylko z jakimś wyniosłym dupkiem, chyba jego sekretarzem. Powiem ci jedno, bez względu na to, kim jest ten twój wielbiciel, kasy ma jak lodu. Mam w tej sprawie spotkanie w centrum, w jednym z tych drogich drapaczy chmur,

jutro wieczorem. Mówimy tu o apartamentach na ostatnim piętrze.

- O mój Boże – sapnęła z niedowierzaniem.

- Właśnie. *Tres* zajebicie. Wkrótce będziesz za droga dla takich dorywczych dilerów jak ja – żartował, podniecony.

Była zaintrygowana wiadomością, szczególnie że tyle jej się przydarzyło w ostatnich dniach. Miała wprawdzie grono stałych wielbicieli, ale prywatny pokaz dla anonimowego kupca to było coś nowego.

- Które fotografie masz zabrać?

Jamie uniósł kieliszek i trącił się z nią, wznosząc żartobliwy toast.

- Wszystkie, moja pani. Wszystko co masz w kolekcji.

Na dachu starego budynku z cegły w dzielnicy teatrów klęczał wampir ubrany na czarno. Szcherzył zęby w blasku księżyca. W pewnej chwili obrócił głowę i gestykułując, przekazał wiadomość.

„Czterech szkarłatnych. Jedna ofiara. Ruszamy prosto na nich”.

Lucan skinął głową Dantemu na znak, że zrozumiał, i opuścił swój punkt obserwacyjny na czwartym piętrze schodów przeciwpożarowych, gdzie tkwił przez ostatnie pół godziny. Jednym płynnym ruchem wylądował na ulicy cicho jak kot. Na plecach miał dwa skrzyżowane miecze bojowe. Ich rękojeści sterczały powyżej jego ramion niczym kości demonicznych skrzydeł. Wyciągnął ostrza powleczone tytanem i zniknął w cieniu pobliskiego zaułka.

Było około jedenastej wieczorem. Kilka godzin temu powinien był się zjawić u Gabrielle Maxwell i oddać jej komórkę, tak jak obiecał. Ale telefon nadal był w laboratorium. Gideon obrabiał zajęcia i przepuszczał je przez Międzynarodową Bazę Identyfikacyjną Rasy.

Jeśli chodzi o Lucana, to nie miał zamiaru zwracać Gabrielle jej komórki, osobiście czy w inny sposób. Po pierwsze zdjęcia z akcji Szkarłatnych nie powinny trafić w ręce ludzi, a po drugie, po tym wstrząsającym odkryciu w jej sypialni, był zdecydowany trzymać się od niej jak najdalej.

Przeklęta dawczyni Życia.

Powinien był to przewidzieć. Kiedy teraz o tym myślał, dostrzegał w niej cechy, które powinny były wzbudzić jego czujność. Potrafiła na przykład widzieć rzeczywistość, pomimo prób kontrolowania jej umysłu przez wampiry obecne w klubie. Widziała Szkarłatnych – w zaułku i na niewyraźnych zdjęciach zrobionych komórką – choć inni ludzie tego nie potrafili. A potem, podczas wizyty u niej, kiedy próbował nagiąć jej myśli, sam się przekonał, że

opiera się jego umysłowi. Podejrzał, że poddała się jego woli bardziej z powodu własnego podświadomego pożądania niż w wyniku jego wysiłków.

Powszechnie wiadomo było, że kobiety posiadające ten unikatowy zestaw genów są inteligentne i zdrowe. Wiele miało również paranormalne zdolności, które wzmacniały się po zawarciu związku krwi z wampirem.

Jeśli chodzi o Gabrielle Maxwell, najwyraźniej miała szczególnie wyostrzony zmysł wzroku, co pozwalało jej widzieć to, czego inni nie byli w stanie dostrzec. Choć Lucan nie wiedział, jak bardzo były rozbudowane te zdolności. Zamierzał się upewnić. Jego instynkt wojownika domagał się tej wiedzy.

Ale związek z kobietą to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebował.

Dlaczego więc nie potrafił zapomnieć o jej słodkim zapachu, o jej miękkiej skórze? Nienawidził uczuć, jakie w nim wzbudzała. A jego nastroju nie polepszał głód szarpiący wnętrzności.

Jedynym jasnym punktem tej nocy był odgłos kroków Szkarłatnych, gdzieś na końcu zaułka, zbliżający się w jego stronę.

Nagle zza rogu wyszedł młody mężczyzna, ubrany w spodnie w biało-czarną pepitkę i poplamioną białą tunikę. Śmierdział tłuszczem z restauracyjnej kuchni i potem wywołanym przez strach. Oglądał się niespokojnie przez ramię na cztery wampiry, które zbliżały się do niego coraz bardziej. W ciemności rozległo się stłumione przekleństwo. Mężczyzna przyspieszył, zaciskając pięści. Oczy rozszerzone strachem patrzyły w ciemny asfalt.

- Gdzie tak pędzisz, stary?! – zawołał drwiąco jeden ze Szkarłatnych. Jego głos był zgrzytliwy jak żwir.

Drugi wydał wysoki pisk i wysunął się na czoło grupy.

- Właśnie, nie uciekaj. I tak nie uciekniesz daleko.

Śmiech drapieżników odbił się echem od budynków otaczających wąską ulicę.

- Cholera – wyszeptał mężczyzna. Nie obrócił się ponownie, tylko przyspieszył kroku. Widać było, że za sekundę rzuci się do panicznej, i beznadziejnej ucieczki.

Lucan powoli wyszedł z cienia i stanął w rozkroku na środku zaułka. Rozłożył ręce, blokując w ten sposób przejście. Uśmiechnął się chłodno do Szkarłatnych. Podniecenie zbliżającą się walką sprawiło, że jego kły wysunęły się z dziąseł na całą długość.

- Witam, moje panie.

- O Jezu! – jęknął mężczyzna. Zatrzymał się gwałtownie na widok Lucana, a kolana się pod nim ugięły. Stracił równowagę. – Cholera!

- No już. – Lucan obdarzył go nieuważnym spojrzeniem. – Spadaj.

Skrzyżował przed sobą miecze, napelniając ciemność dźwięczeniem stali o stal. Za plecami czterech Szkarłatnych na ulicę zeskoczył Dante. Miał prawie dwa metry wzrostu. Walczył parą ostrych jak brzytwa, przypominających szpony noży, które stanowiły piekielne przedłużenie jego szybkich rąk. Nazywał je *malebranche*. Wyciągnął je teraz za pasa, przy którym nosił rozmaitą śmiercionośną broń. Ale najbardziej kochał walkę wręcz.

- O mój Boże! – wykrzyknął mężczyzna. Głos mu się załamał. Pomału docierało do niego, co widzi. Zagapił się na Lucana, po czym drżącą ręką wyciągnął zniszczony portfel z tylnej kieszeni spodni i rzucił go na ziemię. – Bierz, człowieku! Po prostu bierz. Tylko mnie nie zabijaj, błagam!

Lucan nie spuszczał wzroku z czterech Szkarłatnych, którzy szykowali się do walki, wyciągając broń.

- Zjeżdżaj stąd. Już!

- On jest nasz – zasyczał jeden z przeciwników, Wbił w Lucana żółte oczy przepełnione czystą nienawiścią. Jego źrenice, jak u każdego nałogowca, były zwężone na stałe – wyglądały jak dwie pionowe kreski. Długie kły ociekały mu śliną, co było kolejnym dowodem na zaawansowaną chorobę.

Ten nałóg działał na członków Rasy równie niszcząco jak uzależnienie od silnego narkotyku u ludzi, przy czym łatwo było przekroczyć granicę pomiędzy zaspokajaniem głodu a przedawkowaniem krwi. Niektóre wampiry z własnej woli pogrążały się w otchłani, inne wpadały w nałóg z powodu braku doświadczenia lub dyscypliny. Jeśli nadużywały krwi przez zbyt długi czas, zmieniały się w Szkarłatnych, zdziczałe bestie takie jak te, które szczyrzyły właśnie kły na Lucana.

Lucan uderzył o siebie mieczami, niecierpliwie wyczekując walki. Kiedy jedno ostrze zetknęło się z drugim, pojawiły się iskry.

Niedoszła ofiara Szkarłatnych nadal tkwiła w miejscu, ogłupiała z przerażenia. Mężczyzna obracał głowę to na zbliżających się napastników, to na nieruchomego Lucana. To wahanie miało kosztować go życie, ale ta świadomość nie wywołała u Lucana żadnych emocji. Ten człowiek nie był jego zmartwieniem. Liczyło się tylko zlikwidowanie tych czterech Szkarłatnych i reszty ogarniętej zarazą populacji.

Jeden z napastników otarł brudną ręką zaślinione usta.

- Cofnij się dupku. Pozwól nam się pożywić.

- Nie dziś – odwarknął Lucan. – Nie w moim mieście.

- W twoim mieście? – reszta bandy zaczęła chichotać, a ten na czele grupy splunął Lucanowi pod nogi. – To miasto należy do nas. Niedługo zdobędziemy je całe.

- Właśnie – włączył się inny szkarłatny. – Zdaje się, że to ty jesteś intruzem.

Mężczyzna ocknął się wreszcie z odrętwienia i rzucił do panicznej ucieczki. Nie ubiegł daleko. Jeden z drapieźników runął na niego z niewiarygodną szybkością i złapał za gardło. Następnie poderwał go tak, że wysokie czarne buty mężczyzny zwisały jakieś piętnaście centymetrów nad ziemią. Człowiek dławił się i charczał, próbując się bronić. Jednak Szkarłatny coraz mocniej zaciskał chwyt. Dusił ofiarę. Lucan przyglądał się temu obojętnie nawet wtedy, gdy wampir puścił wijącego się nieszczęśnika i wyrwał zębami wielką dziurę w jego szyi.

Kątem oka Lucan zobaczył, że Dante podkrada się bezszelestnie do Szkarłatnych. Wojownik obnażył kły i oblizwał wargi, gotów do walki. Nie mógł mu sprawić zawodu, dlatego uderzył pierwszy. W zaułku rozległ się świst metalowych ostrzy i trzask łamanych kości.

Dante walczył niczym szponiasty demon, *malebranche* połyskiwały złowrogo. Nocną ciszę przecięły jego wojenne okrzyki. Lucan zachował kontrolę i zabójczą precyzję. Pod jego ciosami Szkarłatni padali jeden po drugim. Tytan, którym powleczone były klingi jego mieczy, działał na przeciwników jak trucizna, przyspieszając śmierć i powodując błyskawiczny rozpad ciała.

Pokonawszy wrogów, których ciała szybko zmieniły się w proch, Lucan i Dante spojrzeli na siebie z przeciwległych stron ulicy.

Mężczyzna napadnięty przez Szkarłatnych nie ruszał się, krwawił z wielkiej rany na gardle.

Dante przykląkł przy nim, węsząc.

- Nie żyje. Albo umrze za chwilę.

Zapach rozlanej krwi dotarł do nozdrzy Lucana. Zupełnie jakby ktoś walnął go pięścią w żołądek. Jego kły, wydłużone podczas walki, teraz zaczęły domagać się pożywienia. Popatrzył z obrzydzeniem na umierającego człowieka. Choć musiał pić krew, żeby przeżyć, nie zamierzał dojadać resztek po Szkarłatnych. Wolał żerować na uległych Karmicielach, których sam sobie wybierał, choć zabierana im niewielka ilość krwi tylko przytłumiała głębszy głód.

Wcześniej czy później każdy wampir musi zabić.

Lucan nie próbował zaprzeczać swojej naturze, ale gdy zabijał, robił to z wyboru, wedle własnych zasad. Na swoje ofiary wybierał prymitywnych kryminalistów, dilerów narkotyków, narkomanów i inne szumowiny. Był ostrożny i efektywny, nigdy nie zabijał dla samego zabijania. To właśnie odróżniało go od zdiczających Szkarłatnych.

Poczuł bolesny skurcz żołądka, kiedy w jego nozdrza uderzyła kolejna fala zapachu krwi. Do ust napłynęła mu ślina.

Kiedy pił po raz ostatni?

Nie pamiętał. Jakiś czas temu. Co najmniej kilka dni, a i wtedy wypił za mało, by przetrwać. Zamierzał zaspokoić głód – zarówno fizyczny, jak i zmysłowy – wczoraj w nocy, z Gabrielle Maxwell, ale nie wyszło. I teraz ledwie panował nad tym uczuciem, które usuwało z mózgu wszelkie myśli poza koniecznością zaspokojenia potrzeb ciała.

- Lucanie. – Dante przyłożył palce do szyi człowieka, szukając pulsu. Kły nadal miał wysunięte; była to fizjologiczna reakcja na ten zapach. – Jeśli będziemy dłużej czekać, krew stężeje.

I tym samym przestanie być dla nich użyteczna, gdyż tylko świeża krew, prosto z tętnicy, mogła zaspokoić głód wampira. Dante czekał, choć widać było, że najbardziej ze wszystkiego pragnie żerować na człowieku, który był na tyle głupi, że nie uciekł, kiedy miał szansę.

Lucan wiedział, że przyjaciel będzie czekał, nawet ryzykując zmarnowanie krwi, gdyż zgodnie z niepisanim prawem Rasy młodsze pokolenia wampirów nie pożywiają się przed starszymi, szczególnie jeśli są to członkowie Pierwszego Pokolenia.

Ojcem Lucana był jeden z Prastarych, czyli ośmiu obcych wojowników, którzy przybyli z odległej mrocznej planety. Rozbili się tysiące lat temu na surowej, niegościnniej Ziemi. Żeby przeżyć, musieli pić krew ludzi, a ponieważ byli okrutni i nienasyчени, dziesiątkowali ludzkie populacje. Mimo to zdołali się rozmnożyć za pośrednictwem ludzkich kobiet – pierwszych Dawczyń Życia – które powiły nowe pokolenia rasy wampirów.

Przodkowie, którzy przybyli z obcego świata, już dawno temu zmarli, ale nadal żyło ich potomstwo – Lucan i kilku innych. W wampirzej społeczności tworzyli coś na kształt rodu królewskiego – byli szanowani i wzbudzali strach. Przeważająca część członków Rasy była od nich młodsza, pochodziła co najwyżej z drugiego lub trzeciego pokolenia. A większość z pokoleń późniejszych.

Głód działał najsilniej w Pierwszym Pokoleniu. W przypadku jego członków większe też było ryzyko, że poddadzą się nałogowi krwi i przemienią w Szkarłatnych. Rasa nauczyła się żyć z tym niebezpieczeństwem. Większość wampirów potrafiła nad sobą panować, pożywiali się tylko wtedy, gdy naprawdę musieli. A i to w niewielkich ilościach, umożliwiających przeżycie. Była to konieczność, ponieważ z nałogu krwi nie było już powrotu.

Lucan popatrzył na drgające ciało człowieka, zarejestrował ledwie widoczne ruchy

klatki piersiowej przy oddechu. Zwierzęcy dźwięk, jaki dobiegł jego uszu, wyrwał się z jego własnego gardła. Ruszył ku ofierze i jej zbawczej krwi, a Dante pokłonił się lekko i cofnął, by wampir mógł się pożywić.

Rozdział 5

Nawet się nie pofatygował, żeby zadzwonić i zostawić jej wiadomość.

Typowe.

Pewnie miał ważną randkę z pilotem od telewizora i kanałem ESPN albo spotkał kogoś i dostał bardziej interesującą ofertę niż taszczenie komórki Gabrielle z powrotem na Beacon Hill. Cholera, przecież mógł być żonaty albo związany z kimś na stałe. Nawet o to nie zapytała. A zresztą, przecież nie ma gwarancji, że powiedziała jej prawdę. Lucan Thorne zapewne nie różnił się pod tym względem od innych facetów.

Tyle że był... inny.

Miała wrażenie, że bardzo się różni od ludzi, których znała. Był zamknięty w sobie, niemal tajemniczy. Na pewno niebezpieczny. Nie potrafiła go sobie wyobrazić ani na kanapie przed telewizorem, ani w poważnym związku, a tym bardziej z żoną i dziećmi. Musiał po prostu dostać lepszą ofertę i dlatego wystawił ją do wiatru. Zabolalo ją to bardziej, niż powinno.

- Zapomnij o nim – nakazała sobie półgłosem, parkując swojego czarnego minicoopera na poboczu wymarłej wiejskiej drogi. Wyłączyła silnik. Obok niej, na siedzeniu pasażera leżała torba z aparatem fotograficznym i akcesoriami. Wzięła ją, wyciągnęła ze schowka niewielką latarkę, włożyła kluczyki do kieszeni żakietu i wysiadła.

Zamknęła cicho drzwiczki samochodu i szybko rozejrzała się po okolicy. Ani żywego ducha. Nic dziwnego, przecież była zaledwie szósta rano, a budynek, do którego zamierzała bezprawnie wtargnąć, żeby zrobić zdjęcia, był zamknięty od prawie dwudziestu lat. Ruszyła po popękanej nawierzchni podjazdu i skręciła ostro w prawo. Zeszła do rowu, a potem wspięła się na jego drugą stronę, między sosny i dęby, które jak kotara osłaniały stary zakład psychiatryczny.

Słońce właśnie wyłoniło się zza horyzontu. Światło było niesamowite, nieziemskie, lekka mgiełka róży i lawendy spowijała blaskiem gotycki budynek. Ale budowla budziła nieokreśloną grozę nawet wtedy, gdy była skąpana w pastelowych barwach świtu.

To właśnie ten kontrast sprowadził ją tu tak wcześnie rano. Bardziej naturalne byłoby sfotografowanie opuszczonego budynku wieczorem, co podkreślałoby jego niepokojącą atmosferę. Ale to właśnie zestawienie ciepłego światła poranka z zimną złowieszczą bryłą z cegły przemawiało do wyobraźni Gabrielle. Zatrzymała się, żeby wyjąć aparat z torby

przewieszanej przez ramię. Zrobiła kilka zdjęć, po czym założyła pokrywkę na obiektyw i ruszyła w stronę budynku.

Przed nią pojawił się wysoki płot z drutu, chroniący posiadłość przed wścibskimi gośćmi. Ale ona знаła lukę w tej linii ochrony. Znalazła ją, kiedy przyjechała tu po raz pierwszy, żeby zrobić zdjęcia z daleka. Szła wzdłuż płotu, aż dotarła do południowo-zachodniego narożnika, gdzie ktoś dyskretnie przyciął drut. Otwór był wystarczająco duży, żeby przepuścić wścibskiego nastolatka – albo zdeterminowaną fotografkę, która uważa napisy w rodzaju: „Wstęp wzbroniony” i „Wstęp tylko dla upoważnionych” za przyjacielskie sugestie, a nie zakaz.

Uniosła odciętą część siatki, wrzuciła do środka sprzęt, a potem sama, na brzuchu, przecisnęła się przez dziurę. Kiedy podnosiła się z ziemi po drugiej stronie płotu, przeszedł ją dreszcz niepokoju. Powinna przywyknąć do takich sekretnych, samotnych wypraw. Jej twórczość często wymagała odwagi, musiała badać opuszczone, niebezpieczne miejsca. Na pewno zaliczał się do nich ten zakład psychiatryczny. Jej wzrok przyciągnęło graffiti na ścianie koło wejścia. „Złe vibracje”, głosiło.

- I mnie to mówisz? – mruknęła pod nosem. Otrzeptała się z piachu i szpilek sosnowych, i automatycznie poszukała w kieszeni džinsów komórki. Ale telefonu nie było, ponieważ detektyw Thorne nie raczył jej go zwrócić. Kolejny powód, żeby wkurzać się na niego za to, że ją wczoraj wystawił.

Może powinnam dać mu trochę luzu, pomyślała. Nagle zapragnęła skupić się na czymś innym, nie na złowieszczej atmosferze tego miejsca. Może Thorne nie pokazał się, ponieważ coś mu się stało w pracy?

Może został ranny na służbie i nie przyszedł, jak obiecywał, ponieważ leży unieruchomiony w szpitalu? Może nie zadzwonił z przeprosinami albo usprawiedliwieniem, bo nie był w stanie?

Jasne. A może myślała czymś innym, a nie głową, od chwili, gdy go zobaczyła?

Szydząc z siebie, zebrała rzeczy i ruszyła ku wielkiemu budynkowi. W centralnej części znajdowała się wysoka wieża z jasnego wapienia, zwieńczona iglicą wartą prawdziwej gotyckiej katedry. Przylegały do niej dwa skrzydła budynku, wybudowane z czerwonej cegły. Łączyły się z wieżą krytymi przejściami zdobionymi w klasztorne łuki.

Choć budowla mogła wzbudzić podziw, trudno było się pozbyć wrażenia, że tkwi w niej uśpiona groza, jakby za zniszczonymi ścianami i potłuczonymi, dzielonymi oknami kryło się tysiące grzechów i tajemnic. Gabrielle znalazła miejsce, gdzie światło było najlepsze, i zrobiła jeszcze kilka zdjęć. Od tej strony nie dawało się wejść do środka – główne wejście

zostało zaryglowane i zabite deskami. Jeśli chciała zwiedzić wnętrze – a zdecydowanie chciała – będzie musiała obejść budynek i spróbować szczęścia z oknami na parterze albo z drzwiami do piwnicy.

Zeszła pochyłym nasypem na tyły budynku i znalazła to, czego szukała: trzy okna na zapleczu osłonięte drewnianymi okiennicami. Ich zardzewiałe rygle nie były zamknięte i poddały się uderzeniom kamienia, który Gabrielle znalazła na ziemi. Otworzyła okiennicę, podniosła ciężkie okno i zablokowała, żeby się nie zamknęło.

Pośpiesznie rozejrzała się po pomieszczeniu, przyświecając sobie latarką, żeby się upewnić, że nikogo tam nie ma i że nic nie spadnie jej na głowę, po czym weszła do środka. Kiedy zeskakiwała z parapetu, pod jej podeszwami zachrząściły potłuczone szkło i śmieci, leżące tu od dziesiątek lat. Ceglane ściany niknęły w głębinach nieoświetlonej piwnicy. Gabrielle skierowała słaby promień latarki prosto w mrok po drugiej stronie pomieszczenia. Omiotła światłem ścianę i natrafiła na zniszczone drzwi z napisem: „Wstęp wzbroniony”.

- A założymy się? – szepnęła i podeszła do drzwi. Nie były zamknięte.

Otworzyła je i poświeciła latarką w długi, przypominający tunel korytarz. Z sufitu zwisały potłuczone świetlówki, część osłon spadła na paskudne linoleum i wałała się w kurzu. Gabrielle ruszyła prosto w ciemność, niepewna czego szuka i nieco niespokojna, co znajdzie we wnętrznościach opuszczonego zakładu.

Minęła otwarte pomieszczenie, a światło latarki ogarnęło fotel dentystyczny, kryty czerwonym zniszczonym skajem, ustawiony na środku pomieszczenia, jakby nadal czekał na pacjentów. Wyjęła aparat z torby i zrobiła kilka szybkich zdjęć. Ruszyła dalej, mijając kolejny gabinet – zapewne było to ambulatorium. Znalazła klatkę schodową i weszła dwa piętra wyżej, zadowolona, że znalazła się w centralnej wieży, gdzie wysokie okna zapewniały dobre światło.

Przez obiektyw aparatu popatrzyła na trawniki i dziedziniec otoczony przez eleganckie budynki z cegły. Zrobiła kilka zdjęć. Podziwiała miniony przepych tego miejsca, architekturę i ciepłe światła igrające z widmowymi cieniami. Dziwnie było wyglądać przez okno budynku, w którym kiedyś przetrzymywano tyle niespokojnych dusz. W panującej tu upiornej ciszy Gabrielle niemal słyszała głosy pacjentów, którzy nie mogli stąd odejść tak jak ona.

Ludzi takich jak jej matka, kobieta, którą Gabrielle знаła jedynie z posłuchanych rozmów pracowników społecznych i rodzin zastępczych. W końcu jednak zawsze ją odsyłano niczym zwierzątko, sprawiające większy kłopot niż jest tego warte. Straciła rachubę rodzin, do których trafiała, ale skargi na nią były zawsze takie same: niespokojna i zamknięta w sobie, milcząca i nieufna, dysfunkcyjna społecznie z tendencjami do autoagresji. Słyszała, że

tak samo określano jej matkę, dodając jedynie paranoję i urojenia.

Kiedy pojawili się Maxwellowie, przebywała już dziewięćdziesiąt dni w zakładzie zamkniętym, pod nadzorem psychologa wyznaczonego przez stan. Jej oczekiwania były zerowe, nie miała żadnej nadziei, że w kolejnej rodzinie zastępczej będzie lepiej. Szczerze mówiąc, w ogóle przestało ją to obchodzić. Ale jej nowi opiekunowie byli cierpliwi i mili. Sądząc, że pomoże jej to uporać się z emocjami, zdobyli dla niej sądowe dokumenty dotyczące jej matki.

Była to nastoletnia NN, zapewne bezdomna, bez dokumentów. Nie udało się odszukać ani jej rodziny, ani przyjaciół, wyjąwszy niemowlę, które porzuciła w śmietniku pewnej sierpniowej nocy. Ktoś na nią napadł, krwawiła z głębokich ran na szyi. Ich stan jeszcze pogarszały histeria i szarpanie w panice. Kiedy ją opatrywano na pogotowiu, zapadła w stan katatonii i nigdy już nie doszła do siebie.

Zamiast skazać ją za porzucenie dziecka, sąd uznał ją za niezdolną do wykonywania obowiązków rodzicielskich i wysłał do zakładu psychiatrycznego, zapewne podobnego do tego, który zwiedzała właśnie Gabrielle. Niecały miesiąc później kobieta powiesiła się na prześcieradłach, pozostawiając po sobie liczne pytania, które nigdy nie znajdą odpowiedzi.

Gabrielle nie dopuszczała do siebie przeszłości, ale kiedy tu stała, wyglądając przez zamglone okna, wszystko wróciło. Nie chciała myśleć o swojej matce ani o trudnym dzieciństwie. Musiała się skoncentrować na pracy. Zawsze jej to pomagało. To była ta stała rzecz w jej życiu, jedyna, jaką miała na świecie.

I to wystarczyło.

Zwykle wystarczało.

- Zrób kilka zdjęć i wynoś się stąd – powiedziała sobie, unosząc aparat i cykając jeszcze dwie fotki przez kratę pomiędzy podwójnymi szybami okna.

Już miała wracać tą samą drogą, ale doszła do wniosku, że poszuka innego wyjścia, na parterze budynku. Niespecjalnie chciało jej się znowu schodzić do ciemnej piwnicy. Wystraszyły ją rozmyślenia o szalonej matce i teraz z każdą chwilą robiła się coraz bardziej niespokojna. Otworzyła drzwi na korytarz i poczuła się nieco lepiej na widok światła wpadającego przez okna pustych pokoi.

Najwyraźniej artysta od „złych wibracji” dodarł i tutaj. Na każdej z czterech ścian klatki schodowej znajdowały się dziwne symbole wymalowane czarną farbą. Zapewne były to znaki gangu albo stylizowane podpisy nastolatków, którzy się tu zapuścili. Pusta puszka po farbie leżała w kącie wraz z niedopałkami papierosów, potłuczonymi butelkami po piwie i innymi śmieciami.

Wyjęła znów aparat i poszukała odpowiedniego kąta do zrobienia ujęcia, które już widziała w myślach. Światło nie było najlepsze, ale jeśli zmieni obiektyw, zdjęcie może wypaść interesująco. Zaczęła właśnie grzebać w torbie, gdy gdzieś z dołu dobiegł ją wibrujący dźwięk. Zamarła. Dźwięk był słaby, ale niesamowicie przypominał odgłos windy. Pospiesznie wepchnęła sprzęt do torby. Zrobiło jej się zimno ze strachu. Miała złe przeczucia.

Najwyraźniej nie była tu sama.

Miała wręcz wrażenie, że ktoś się jej przygląda. Czuła, jak włoski na karku stają jej dęba, na ramionach pojawiła się gęsia skórka. Powoli obejrzała się za siebie i nagle to zobaczyła – mała kamera wideo zamontowana w kącie pod sufitem korytarza, wycelowana w drzwi na klatkę schodową, które otworzyła zaledwie kilka minut temu.

Może nie działa, pomyślała w panice, może to tylko pozostałość z okresu, kiedy zakład był jeszcze otwarty? Ale nie, kamera wyglądała na nową. Była za mała, żeby mogła należeć do starego systemu nadzoru. Żeby mieć pewność, Gabrielle postąpiła duży krok w jej stronę, stając niemal dokładnie przed obiektywem. Urządzenie bezgłośnie przechyliło się na stelażu i wyregulowało ostrość.

Cholera, pomyślała, patrząc w ciemne, nieruchome oko kamery. Cholera jasna.

W czeluściach budynku usłyszała szcęk metalu, potem trzaśnięcie ciężkich drzwi. Najwyraźniej nieczynny zakład psychiatryczny nie był taki zupełnie wymarły. Trzymali tu strażników, a policja bostońska mogłaby się wiele od nich nauczyć, jeśli chodzi o czas reakcji.

Na korytarzu rozległy się kroki. Gabrielle odwróciła się i zaczęła zbiegać po schodach, torba z aparatem uderzała o biodro. Im niżej zbiegała, tym było ciemniej, a choć ścisnęła w rękę latarkę, nie chciała jej zapalać, obawiając się, że ułatwi w ten sposób pogoń strażnikowi. Zeskoczyła z ostatnich stopni, pchnęła stalowe drzwi i zanurkowała w korytarz.

Jeszcze na schodach słyszała, jak otwierają się drzwi na klatkę schodową. Jej prześladowca zaczął zbiegać szybko w dół.

Wreszcie dotarła do drzwi na końcu korytarza. Dotknęła zimnej stali, wpadła do zatechłej piwnicy i podbiegła do małego okienka prowadzącego na zewnątrz. Haust świeżego powietrza dodał jej siły, oparła ręce o parapet i dźwignęła się w górę. Przelazła przez okno i spadła na zwirowaną ścieżkę.

Nie słyszała teraz swojego prześladowcy. Może zgubiła go w ciemnym labiryncie korytarzy? Boże, miała wielką nadzieję, że tak.

Zerwała się z ziemi i pobiegła w stronę dziury w płocie. Na szczęście znalazła ją szybko. Padła na czworaka i zaczęła przeciskać się pod wyciętą siatką. Serce głośno waliło,

zamiast krwi jej żyłami płynęła czysta adrenalina. Wpadła w panikę, w pośpiechu podrapała sobie twarz o druty siatki. Zadrapanie piekło, czuła jak koło ucha ciekną jej krople gorącej krwi. Ignorując ból, przeczołgała przez dziurę, wlokąc za sobą torbę ze sprzętem.

Za płotem wstała i jak szalona pognała przez szeroki, nierówny trawnik. Tylko raz obejrzała się za siebie – tylko po to, by się przekonać, że masywny strażnik nadal ją ściga, że wydostał się z budynku i biegnie za nią. Na jego widok jej panika osiągnęła szczyt. Był zbudowany jak czołg, sto dwadzieścia kilogramów samych mięśni plus duża kwadratowa głowa, ogolona jak u żołnierza. Zatrzymał się dopiero przy płocie i walnął pięścią w siatkę, akurat kiedy Gabrielle wbiegła między drzewa oddzielające teren zakładu od drogi.

Samochód stał na poboczu, tam gdzie go zostawiła. Trzęsącymi się rękami otworzyła drzwiczki, cały czas pewna, że ten napakowany sterydami maczo zaraz ją dogoni. Wiedziała, że jej strach jest irracjonalny, ale nie była w stanie go opanować. Padła na skórzane siedzenie swojego minicoopera. Wetknęła kluczyk do stacyjki i zapaliła silnik. Serce waliło jej jak oszalałe, kiedy ruszała, wciskając z całych sił pedał gazu. Samochód wpadł na drogę jak bolid, z piskiem opon i swądem palonej gumy.

Rozdział 6

W środku tygodnia, w szczycie letniego sezonu turystycznego bostońskie parki i aleje pełne są ludzi. Pociągi podmiejskie dowożą do pracy mieszkańców przedmieść, a turystów do muzeów i historycznych części miasta. Obwieszeni aparatami fotograficznymi gapie tłoczą się w autokarach wycieczkowych i powozach, ciągniętych przez konie. Niektórzy wykupują bardzo drogie i bardzo popularne wycieczki na Cape Cod i udają się tam tłumnie.

Z dala od panującego za dnia zamieszania, w kwaterze wojowników Rasy, ukrytej jakieś dziewięćdziesiąt metrów pod pilnie strzeżoną rezydencją pod miastem, Lucan Thorne pochylił się nad panelem komputera. Wielka Międzynarodowa Baza Identyfikacyjna Rasy przelatowała po ekranie z szybkością kul karabinu maszynowego. Komputer przeszukiwał ją pod kątem zdjęć zrobionych przez Gabrielle Maxwell.

- Coś wiadomo? – spytał Lucan, rzucając zniecierpliwione spojrzenie na Gideona, specja od komputerów.

- Jak dotąd nic. Ale przeszukiwanie jeszcze się nie skończyło. W bazie jest kilka milionów zapisów. – Jaskrawoniebieskie oczy Gideona zabłyśły srebrnymi nad oprawkami eleganckich ciemnych okularów. – Namierzę tych sukinsynów, nie martw się o to.

- Wcale się nie martwię – zapewnił Lucan szczerze. IQ Gideona przekraczało skalę, a towarzyszyła mu niebywała wytrwałość: był w tym samym stopniu nieustępliwym tropicielem, co geniuszem. Dobrze było go mieć po swojej stronie. – Jeśli ty nie zdołasz ich zidentyfikować, nikt tego nie zrobi.

Komputerowy guru Rasy wyszczerzył zęby w pewnym sobie, zadziornym uśmiechu i przygładził dłonią potarganą jasną czuprynę.

- To dlatego tyle mi płaciecie.

- Jasna sprawa – mruknął Lucan, odsuwając się od ekranu, na którym bez przerwy przesuwały się informacje.

Żaden z wojowników, który walczył ze Szkarłatnymi, nie dostawał wynagrodzenia. Tak było od dnia powstania Zakonu, jeszcze w średniowieczu. Każdy wojownik miał własne powody, dla których ryzykował życie. Czasem były to szlachetne pobudki, a czasem nie. Na przykład Gideon działał kiedyś samotnie. Ale po śmierci braci bliźniaków, którzy jeszcze jako dzieci zostali zabici przez Szkarłatnych w mrocznej przystani w Londynie, nawiązał współpracę z Lucanem.

Już wówczas jego sztuka w posługiwaniu się mieczem dorównywał w pełni zdolnościami jego umysłu. W swoim czasie zabił wielu Szkarłatnych, ale kiedy związał się z Dawczynią Życia o imieniu Savannah, zrezygnował z czynnego udziału w walkach i zajął się stroną techniczną tropienia przeciwnika.

Każdy z sześciu wojowników, którzy walczyli u boku Lucana, miał jakiś talent oraz własne, prześladowające go demony. Choć żaden nie był specjalnie wrażliwy. A już na pewno nie należeli do tego rodzaju facetów, którzy lubią, jak w ich psychice grzebie psychiatra. Niektóre sprawy lepiej było pozostawić w mroku, a najsilniej przekonany o tym był chyba Dante, który właśnie wszedł do laboratorium.

Lucan skinął głową. Dante jak zwykle był ubrany na czarno, w skórzane spodnie i dopasowaną koszulkę bez rękawów, która odsłaniała pokryte tatuażami bicepsy. Były to i zwyczajne tatuaże, i charakterystyczne dla Rasy zawile ornamenty zdobiące skórę wampirów. Ludzie postrzegali je jako abstrakcyjny wzór, złożony z figur geometrycznych i dziwnych, zachodzących na siebie symboli, wytatuowany ciemnym tuszem o różnych kolorach. Tylko wampiry wiedziały, czym naprawdę jest ten wzór: były to dermaglify, znamiona odziedziczone po przodkach, których ciała, pozbawione owłosienia, pokrywały zmieniające się, kamuflujące symbole.

Glify stanowiły dla przedstawicieli Rasy źródło dumy, unikatowy dowód na arystokratyczne pochodzenie i wysoką rangę społeczną. U członków Pierwszego Pokolenia, takich jak Lucan, występowały na większej powierzchni skóry i były bardziej nasycone niż u młodszych wampirów. Pokrywały niemal całe piersi Lucana i plecy. Część zachodziła na ramiona i uda, a także na kark, aż po linię włosów. Niczym żywe tatuaże zmieniały kolor zależnie od stanu emocjonalnego wampira.

Glify Dantego miały obecnie głęboki odcień rdzy, co wskazywało na zadowolenie po ostatnim posiłku. Bez wątplenia, kiedy rozstał się z Lucanem po bójce ze Szkarłatnymi, poszukał sobie chętnej ludzkiej Karmicielki.

- Jak leci? – spytał, siadając na krześle i kładąc na stole jedną nogę w ciężkim bucie. – Myślałem, że już masz tych drani na talerzu, Gid.

W głosie Dantego było słychać lekki włoski akcent, pamiątkę po przodkach z XVIII wieku. Lekko wulgarna nuta wskazywała, że jest niespokojny i gotów do działania. Jak by chcąc to dodatkowo podkreślić, wyciągnął z pochwy na biodrze stalowe szpony, z którymi się nie rozstawał i zaczął się nimi bawić.

Malebranche, tak nazywał te wygięte ostrza, nawiązując w ten sposób do demonów zamieszkujących jeden z dziewięciu kręgów piekła. Czasami, kiedy przebywał wśród ludzi,

używał nawet tej nazwy jako nazwiska. I to by było na tyle, jeśli chodzi o poetyckie skłonności – wszystko inne było w nim twarde, zimne i groźne.

Lucan podziwiał go, uważał, że sposób, w jaki Dante walczy tymi zakrzywionymi szponami, jest piękny i mógłby zachwycić każdego artystę.

- Dobrze się spisałeś dziś w nocy – powiedział. Pochwała z jego ust, nawet zasłużona, nie zdarza się często. – Ocaliłeś mnie.

Nie miał na myśli konfrontacji ze Szkarłatnymi, tylko to, co stało się później. Zbyt długo obywatel się bez pożywienia, a dla Rasy głód był niemal równie niebezpieczny jak uzależnienie od krwi. Wyraz twarzy Dantego świadczył, iż ten zrozumiał znaczenie jego słów. Natychmiast jednak uciekł w swą zwykłą, pozbawioną emocji nonszalancję.

- Rany – rzucił, śmiejąc się gardłowo. – Wreszcie mi się udało? Ty ocaliłeś mi dupę chyba z milion razy. Daj sobie spokój, stary. Tylko oddałem ci przysługę.

Szklane drzwi do laboratorium otworzyły się z cichym sykiem i do środka weszli dwaj kolejni towarzysze Lucana. Była to niezwykła para. Nikolai był wysoki i mocno zbudowany, o jasnych włosach i ostrych rysach twarzy. Jego przenikliwe lodowatoniebieskie oczy były o ton zimniejsze niż syberyjska zima w jego ojczyźnie. Był najmłodszy w grupie, dorastał w czasach, które ludzie określali mianem zimnej wojny. Od urodzenia fascynowała go technika, był niezrównanym awanturnikiem i pierwszą linią obrony Rasy, jeśli chodzi o takie rzeczy jak broń, elektroniczne gadzety oraz wszystko, co wiąże się z tymi dwoma pojęciami.

Natomiast Conlan, znakomity taktik, był poważny i wygadany. Miał w sobie wdzięk wielkiego kota, co szczególnie rzucało się w oczy przy Niko kąpanym w gorącej wodzie. Jego rude włosy były krótko ostrzyżone i ukryte pod czarną chustą. Pochodził z młodszego pokolenia – w porównaniu z Lucanem wciąż był żółtodziobem – a jego matka była córką szkockiego wodza klanu. Zawsze zachowywał się po królewsku.

Tak, nawet jego ukochana Dawczyni Życia, Danika, zwracała się do niego: „Mój Panie”, a bynajmniej nie należała do kobiet uległych.

- Rio zaraz przyjdzie – powiedział Nikolai, a gdy uśmiechnął się chytrze, na jego zapadniętych policzkach pojawiły się dwa dołeczki. Skinął głową Lucanowi. – Eva kazała ci powiedzieć, że możesz dostać jej mężczyznę, dopiero jak ona z nim skończy.

- O ile cokolwiek z niego zostanie – stwierdził Dante, przeciągając słowa. Wyciągnął rękę, żeby przywitać się z kolegami. Wymienili uściski dłoni, a potem stuknęli się lekko knykciami.

Lucan powitał Niko i Conlana z szacunkiem, ale był lekko zirytowany z powodu spóźniania się Rio. Nie zazdrościł żadnemu wampirowi jego Dawczyni Życia, ale sam nie

zamierzał się krępować związkiem z kobietą. Po członkach Rasy spodziewano się, że znajdą sobie towarzyski i spłodzą nowe pokolenie wampirów. Ale dla wojowników, którzy opuścili Mroczne Przystanie i wybrali tak niebezpieczne życie, takie związki były co najmniej sentymentalne.

Gorzej, jeżeli okazywało się, że wojownik stawia wyżej uczucia wobec partnerki niż swoje obowiązki wobec Rasy.

- Gdzie jest Tegan? – zapytał. Tegan był ostatnim z drużyny zamieszkującym kwaterę.

- Jeszcze nie wrócił – odparł Conlan.

- Podał, gdzie jest?

Conlan wymienił spojrzenia z Niko, po czym lekko pokręcił głową.

- Nie dał znaku życia.

- Jeszcze nigdy nie zniknął na tak długo – stwierdził Dante. Przesunął kciukiem po jednym ze szponów. – Ile to już... trzy, cztery dni?

Cztery dni, zaczynał się piąty.

No, ale kto by to liczył?

Odpowiedź: oni wszyscy, choć żaden nie wyraził swojego niepokoju słowami. Lucan musiał z całych sił tłumić niechęć, jaką wzbudzał w nim ten największy odludek z grupy.

Tegan zawsze wolał polować samotnie, ale jego skryta natura zaczęła męczyć towarzyszy. Był coraz bardziej nieprzewidywalny, a Lucan, mówiąc całkiem szczerze, z coraz większym trudem zdobywał się na zaufanie wobec niego. Ale jeśli chodzi o jego stosunki z Teganem, nieufność niebyła niczym nowym. Dzielili ich zła krew, co do tego niebyło wątpliwości, ale to bardzo stara historia. Musieli ją puścić w niepamięć. Wojna, do której się zobowiązali, była ważniejsza niż niechęć, jaką do siebie czuli.

Musiał jednak uważnie mu się przyjrzeć. Lucan znał słabości Togana lepiej niż inni. I nie zawahałby się, gdyby wampir choć na krok przekroczył granicę.

Drzwi laboratorium znów się otworzyły. Wreszcie zjawił się Rio, wpychając białą jedwabną koszulę w czarne spodnie szyte na miarę. Przy kołnierzyku brakowało kilku guzików, ale mężczyzna traktował ten drobny nieład stroju, świadczący o ostrym seksie, z chłodnym dystansem, który cechował wszystko, co robił. Pod grzywą gęstych ciemnych włosów błyszczały hiszpańskie oczy w kolorze topazu. Kiedy się uśmiechnął, zaślniły czubki jego kłów, jeszcze nie całkiem cofniętych po żądzy, jaką wzbudziła w nim jego pani.

- Mam nadzieję, że zachowaliście dla mnie kilku Szkarłatnych, przyjaciele. – Zatarł rękę. – Czuje się wspaniale, gotów na zabawę.

- Siadaj – nakazał Lucan. – I postaraj się nie zakrwawić Gideonowi komputera.

Długie palce Rio powędrowały do purpurowej ranki na szyi. Widać Eva ugryzła go tępyimi ludzkimi zębami, żeby napić się jego krwi. Choć była Dawczynią Życia, genetycznie pozostawała człowiekiem. Takie kobiety nawet po wielu latach współżycia z wampirem nie nabywały jego cech, takich jak długie kły. Członkowie Rasy dzielili się z partnerką swoją krwią z ran, które sami sobie zadali, na nadgarstku czy przedramieniu, nie mniej czasami namiętność w tych związkach wyrywała się spod kontroli. Seks i krew to niebezpieczne połączenie – czasami zbyt niebezpieczne.

Rio, bynajmniej nieskruszony, uśmiechnął się, padł na obrotowe krzesło, odchylił się na oparcie i oparł duże białe stopy o konsolę. Zaczęła się rozmowa o wydarzeniach wczorajszej nocy, wojownicy śmiali się i przekomarzali, momentami przechodząc do poważnych dyskusji nad technicznymi aspektami swojej profesji.

Polowanie na Szkarłatnych sprawiało im przyjemność. Tylko Lucan opierał wszystko na nienawiści, czystej i niczym nieskażonej. Nie próbował jej ukrywać. Pogardzał wszystkim, czym były te potwory i przysiągł, że wytepi ich rodzaj albo umrze. Czasami zupełnie go nie obchodziło, która z tych rzeczy będzie pierwsza.

- No i proszę – powiedział Gideon, kiedy migoczące na ekranie obrazy nagle się zatrzymały. – Trafiliśmy na żyłę złota.

- Co tam masz?

Wszyscy popatrzyli na wielki panel wiszący na ścianie. Pojawiły się na nim twarze Szkarłatnych zabitych przez Lucana pod nocnym klubem, a obok zdjęcia zrobione przez Gabrielle telefonem komórkowym.

- W bazie są zarejestrowani jako zaginieni. Dwóch pochodzi z Mrocznej Przystani w Connecticut, zniknęli w zeszłym miesiącu, jeden z Fall River, a ostatni jest stąd. Wszyscy pochodzą z ostatniego pokolenia, najmłodszy nie miał jeszcze trzydziestu lat.

- Cholera – mruknął Rio i zagwizdał przez zęby. – Głupie dzieciaki.

Lucan milczał. Wiadomość, jak młodzi byli zabici, nie wzbudziła w nim żadnych emocji. Nie pierwsi i na pewno nie ostatni. Życie w Mrocznych Przystaniach bywało nudne dla niedojrzałych młodzieńców, którzy chcieli coś udowodnić. Czar krwi i polowania odczuwały najbardziej młodsze pokolenia, oddalone genetycznie od swych dzikich przodków. Jeśli wampir szukał atrakcji w takim mieście jak Boston, zwykle znajdował ich bez liku.

Gideon wpisał na klawiaturze kilka komend i wyciągnął z bazy więcej zdjęć.

- Tu są dwa ostatnie zapisy. Ten pierwszy grasował już w Bostonie, choć przez ostatni trzy miesiące trochę przystopował. Rzecz jasna do czasu, aż Lucan usmażył go w ten weekend.

- A ten? – spytał Lucan, patrząc na ostatniego, który mu się wymknął. To była klatka z filmu wideo, nakręconego zapewne podczas przesłuchania, sądząc z pasów bezpieczeństwa i elektrod na głowie wampira. – Kiedy zrobiono to zdjęcie?

- Jakies sześć miesięcy temu – odparł Gideon, odszukując informacje w komputerze. – Pochodzi z operacji na Zachodnim Wybrzeżu.

- Los Angeles?

- Seattle. Ale według akt, w Los Angeles też mają na niego nakaz..

- Nakaz – parsknął Dante. – Kurewska strata czasu.

Lucan musiał się z tym zgodzić. W całej społeczności wampirze, w Stanach Zjednoczonych i za granicą, sposoby postępowania ze szkarłatnymi były określone przez ścisłe procedury i zasady. Wydawano nakazy, dokonywano aresztowań, przeprowadzana przesłuchania i – w przypadku zebrania wystarczających dowodów – po procesie wykonywano wyrok. To wszystko było bardzo cywilizowane i rzadko kiedy efektowne.

Przedstawiciele rasy, żyjący w Mrocznych Przystaniach, byli dobrze zorganizowani i pogrążeni w bagnie biurokratyzacji. Natomiast ich wrogowie byli szybcy i nieprzewidywalni. A o ile nie myliło go przecucie, po wiekach anarchii i chaosu, Szkarłatni zaczęli się właśnie przegrupowywać.

A może nawet już się przegrupowali.

Popatrzył na zdjęcie na ekranie. Szkarłatny przywiązany był do postawionego pionowo metalowego stołu. Był nagi, głowę ogolono mu na zero, żeby łatwiej podłączyć elektrody, za pomocą których drażniono jego mózg.

Nie czuł żadnego współczucia dla torturowanego wampira. Takie przesłuchania były konieczne, a osobniki uzależnione od krwi, podobnie jak ludzie uzależnieni od heroiny, potrafiły znieść dziesięć razy więcej bólu niż inni przedstawiciele Rasy.

Ten szkarłatny był wielki, miał niskie czoło i grube, prymitywne rysy twarzy. Szczerzył zęby do kamery, miał długie kły i dzikie bursztynowe oczy o źrenicach zwężonych w cieniutkie pionowe kreski. Jego wielka głowa, pierś i muskularne ramiona owinięte były drutami.

- Biorąc pod uwagę, że brzydota nie jest przestępstwem, co ma na niego Seattle?

- Popatrzmy, co tu mamy – Gideon obrócił się do komputera, wyszukując informacje. – Namierzili go za przemyt. Broń, materiały wybuchowe, chemikalia, takie rzeczy. To prawdziwy czarodziej. Wpakował się po same uszy.

- Wiadomo, dla kogo pracował?

- Niestety, nie wiadomo. Niczego z niego nie wyciągnęli. Według akt uwolnił się

zaraz po zrobieniu tych zdjęć. Zabi dwóch strażników i uciekł.

A teraz uciekł ponownie, pomyślał Lucan ponuro. Żałował, że nie strzelił do sukinsyna, kiedy miał okazję. Nie potrafił dobrze przyjąć porażki, szczególnie własnej.

Spojrzał na Niko.

- Wpadłeś kiedyś na tego gościa?

- Nie – odparł Rosjanin. – ale sprawdzę w sowich źródłach, może czegoś się dowiem.

- Zabieraj się do pracy.

Nikolai skinął im lekko głową i wyszedł z laboratorium, po drodze wybierając numer na komórkę.

- Cholerne zdjęcia – parsknął Conlan, patrząc ponad ramieniem Gideona na fotografie zrobione przez Gabrielle. Zaklął pod nosem. – jakbyśmy mieli mało kłopotów z ludźmi, do tego teraz robią jeszcze zdjęcia.

Dante z hukiem opuścił stopy na ziemię. Wstał i zaczął krążyć po laboratorium, jakby drażniła go statyczność spotkania.

- Cały świat uważa się za pieprzonych paparazzich.

- Ten, kto zrobił te zdjęcia, musiał się posikać ze strachu, gdy zobaczył wielkiego wojownika Rasy – stwierdził Rio. Z uśmiechem spojrzał na Lucana. – Wyczyściłeś mu pamięć czy załatwiłeś na miejscu?

- Osoba, która była świadkiem tej napaści, to kobieta. – Lucan popatrzył w twarze towarzyszy, nie okazując żadnych emocji. – Jak się okazuje... Dawczyni Życia.

- *Madre de Dios* – przeklął Rio, przeczesując palcami ciemne włosy. – Dawczyni Życia... Jesteś pewien?

- Ma znamię. Widziałem na własne oczy.

- Co z nią zrobiłeś? *Cristo*, chyba jej nie...

- Nie – odparł Lucan ostro, poruszony tonem Hiszpana. – Nie skrzywdziłem tej kobiety. Istnieją granice, których nawet ja nie przekroczę.

Nie uczynił też Gabrielle swoją, choć był tego bardzo bliski, tamtej nocy w jej mieszkaniu. Zaciśnął zęby, kiedy wróciło wspomnienie jej ponętnego ciała, zwiniętego niewinnie na łóżku. Ogarnęła go fala mrocznego głodu. Jak słodko smakowałaby jej krew...

- Co z nią zrobisz? – spytał Gideon z troską. – Nie możemy jej zostawić na pastwę Szkarłatnych. Z całą pewnością zwrócili na nią uwagę, kiedy robiła te zdjęcia.

- A jeśli się zorientują, że to Dawczyni Życia... - Dante nie dokończył. Pozostali wojownicy pokiwali ponuro głowami.

- Najbezpieczniejsza będzie tutaj, pod ochroną Rasy – stwierdził Gideon. – A jeszcze

lepiej, jeśli zamieszka w Mrocznej Przystani.

- Znam procedurę – warknął Lucan. Myśl o Gabrielle w rękach Szkarłatnych, wywołała w nim wściekłość. Podobnie jak świadomość, że jeśli postąpi właściwie i odeśle ją do jednego ze schronień wampirów, kobieta zwiąże się na pewno z innym członkiem Rasy. Żadna opcja nie wydawała mu się w tej chwili możliwa do przyjęcia. Chciał ją mieć tylko dla siebie, ta zaborczość płynęła w jego żyłach, niechciana i nieproszona.

Rzucił towarzyszą zimne spojrzenie.

- od tej chwili to ja zajmuję się sprawą tej kobiety. Zdecyduję, jak należy postąpić.

Żaden z wojowników nie zaprotestował, Lucan zresztą nie spodziewał się niczego innego. Był od nich starszy, pochodził z Pierwszego Pokolenia i miał większe doświadczenie. Jego słowo było tu prawem i wszyscy obecnie tak je traktowali.

Dante wstał, po czym jednym płynnym ruchem złożył *malebranche* i schował do pochwy.

- Cztery godziny do zachodu słońca. Spadam stąd. – Spojrzał przez ramię na Rio i Conlana. – Ktoś ma ochotę na rozgrzewkę, nim na górze zrobi się interesująco?

Obaj wojownicy przyjęli zaproszenie i skinąwszy z szacunkiem głową Lucanowi, wyszli z laboratorium, udając się do sali treningowej.

- Masz coś jeszcze o tym Szkarłatnym z Seattle? – spytał Lucan Gideona, kiedy szklane drzwi zamknęły się za nimi i zostali w laboratorium tylko we dwóch.

- Sprawdzam teraz w innych bazach. Za chwile się okaże. – Zastukały klawisze klawiatury. – Bingo. Mam wpis z bazy GPS na Zachodnim Wybrzeżu. Wygląda na to, że wywiad dobrał się do niego jeszcze przed aresztowaniem. Popatrz.

Na monitorze pojawiła się seria nocnych zdjęć, zrobionych na przystani rybackiej nad cieśnią Puget. Zdjęcia przedstawiały długi ciemny samochód, stojący za zrujnowanym budynkiem przystani. Nad oknem samochodu nachylał się Szkarłatny, który uciekł Lucanowi. Gideon przejrzał kilka kolejnych zdjęć, zrobionych podczas rozmowy mężczyzny z niewidocznym pasażerem. Na jednym drzwi auta otwierały się zapraszająco przed Szkarłatnym.

- Zatrzymaj – nakazał Lucan. Wpatrywał się w rękę nieznajomego. – Możesz powiększyć to zdjęcie? Tę część z drzwiami?

- Spróbuję.

Obraz na ekranie zaczął się powiększać, choć i bez tego Lucan był pewien, co widzi. Niezbyt wyraźnie, ale jednak. Na kawałku odsłoniętej dłoni pasażera, tuż przy mankietie koszuli, widać było skomplikowaną sieć derma glifów, świadczących, że ten osobnik należy

do Pierwszego Pokolenia.

Gideon też je zobaczył.

- niech mnie, tylko popatrz – powiedział, wpatrując się w monitor. – Nasz kolega z Seattle miał interesujących znajomych.

- Może nadal ich ma – odparł Lucan.

Nie było nic gorszego niż Szkarłatny, który miał w żyłach krew Pierwszego Pokolenia. Jego członkowie ulegali nałogowi krwi szybciej niż inni przedstawiciele Rasy, a pod taką postacią stanowili straszliwe zagrożenie. Jeśli jeden z nich wpadł na pomysł zorganizowania powstania, będzie to początek ohydnej wojny. Lucan już raz ją stoczy, dawno, dawno temu. Nie miał ochoty na powtórkę.

- Wydrukuj wszystko, co masz, przede wszystkim zbliżenie tych glifów.

- Jasne.

- Jeśli znajdziesz coś jeszcze na temat tych dwóch, daj znać. Sam się tym zajmę.

Gideon kiwnął głową, ale spojrzenie, jakie rzucił Lucanowi zza ciemnych okularów, było pełne wahania.

- Ale chyba nie zamierzasz tego załatwić w pojedynkę?

Lucan go zmroził.

- Bo?

Bez wątplenia Gideon zamierzał wygłosić mu wykład na temat rachunku prawdopodobieństwa i statystyki, ale Lucan nie miał na to nastroju. Zbliżała się noc, kolejna szansa na łowy. Musiał wykorzystać pozostały mu czas na oczyszczenie umysłu, przygotowanie broni, decyzję gdzie najlepiej uderzyć.

Drapieżnik, który się w nim czał, był głodny i niespokojny, ale to nie potyczki ze Szkarłatnymi się domagał.

Jego myśli wciąż wracały do cichego mieszkania na Bacon Hill, do nocnej wizyty, której nigdy nie powinien był złożyć. Wokół niego niczym jaśminowy zapach, unosiły się wspomnienia miękkiej skóry Gabrielle i jej ciepłego, pełnego pożądania ciała.

Niech to szlag.

To był powód, dla którego jeszcze nie sprowadził jej do kwatery, pod ochronę Rasy. Kiedy była daleko, tylko go rozpraszała. Tu, na miejscu, będzie cholerną katastrofą.

- Nic ci nie jest? – spytał Gideon. Obrócił się na krześle, żeby widzieć przyjaciela. – Wyglądasz, jakby targała tobą furia.

Lucan wyrwał się z ponurej zadumy i stwierdził, że kły zaczęły mu się wydłużać, a zwięzione źrenice wyostrzyły wzrok. Ale to nie wściekłość go zmieniła. To było pożądanie.

Będzie musiał je zaspokoić, prędzej czy później. Kiedy w jego umyśle powstała ta myśl, złapał ze stołu komórkę Gabrielle i wyszedł z laboratorium.

Rozdział 7

Jeszcze dziesięć minut i będziemy w niebie – powiedziała do siebie Gabrielle, zaglądając do piecyka. Kuchnię napełnił zapach pieczonego manicotti.

Zamknęła drzwiczki piekarnika, ustawiła timer kuchenki, a potem nalała sobie kieliszek czerwonego wina i poszła z nim do salonu. Pokój wypełniała cicha muzyka, stara płyta Sarah McLachlan.

Było kilka minut po siódmej wieczorem, a Gabrielle dopiero teraz wracała do siebie po porannej przygodzie w opuszczonym zakładzie psychiatrycznym. Zrobiła kilka zdjęć, które mogły okazać się niezłe, a co najważniejsze, udało jej się uciec przed tym okropnym strażnikiem.

Już to jedno było warte poświęcenia.

Zwinęła się na kanapie wśród poduszek. Ubrana była ciepło, w szare spodnie do jogi i różowy podkoszulek z długim rękawem. Włosy nadal miała wilgotne po kąpieli, a luźne pasma wymykały się z zebranego na karku końskiego ogona. Wreszcie zaczęła się odprężyć. Cieszyła się, że jest już wieczór i że jest całkiem sama.

Dlatego kiedy chwilę później rozległ się dzwonek do drzwi, przeklęła pod nosem i miała ochotę go zignorować. Ale dzwonek zadzwonił ponownie, bardziej natarczywie, a potem rozległo się niecierpliwe pukanie. Najwyraźniej ten ktoś za drzwiami nie zamierzał przyjmować odmowy.

- Gabrielle.

Zdażyła już wstać i bez entuzjazmu ruszyć do drzwi, kiedy usłyszała ten głos. Rozpoznała go natychmiast. Nie powinna, a jednak rozpoznała. Miała wrażenie, że głęboki baryton stojącego za drzwiami Lucana Thorne'a słyszała już w życiu tysiące razy. Przeniknął ją do szpiku kości, równocześnie koił i podniecał.

Zaskoczona i bardziej ucieszona niż miała ochotę to przyznać sama przed sobą, otworzyła drzwi.

- Cześć.

- Witaj, Gabrielle.

Jego powitanie kryło w sobie niepokojącą poufałość. Wpatrywał się w nią uważnie oczami ocienionymi ciemnymi rzęsami. Przenikliwe spojrzenie powędrowało powoli od czubka jej potarganej głowy, przez pacyfikę widniejącą na koszulce na wysokości jej piersi

pozbawionych stanika, aż dotarło do nagich stóp wystających z rozkloszowanych nogawek spodni.

- Nie spodziewałam się dziś nikogo – powiedziała, jakby próbując usprawiedliwić swój wygląd, ale Thorne’a to najwyraźniej nie obeszło. Kiedy przeniósł wzrok z powrotem na jej twarz, poczuła nagłą falę gorąca na policzkach.

Jakby chciał ją pożreć wzrokiem.

- Och, masz moją komórkę – powiedziała, żeby coś powiedzieć, zauważywszy błysk srebrnego metalu w jego dużej dłoni.

Podał jej telefon.

- Później niż się umówiliśmy. Przepraszam.

Czy to sobie wyobraziła, czy rzeczywiście musnął palcami jej palce, kiedy oddawał telefon?

- I tak dziękuję – odparła. Nie spuszczał z niej wzroku. – Czy... Czy udało wam się coś ustalić na podstawie tych zdjęć?

- Tak. Okazały się bardzo pomocne.

Odetchnęła, pełna ulgi, że policja wreszcie zaczyna być po jej stronie.

- Myślisz, że złapiecie tych ludzi?

- Jestem tego pewien.

Ton jego głosu był tam mroczny, że nie wątpiła ani przez sekundę w jego słowa. Zaczęła podejrzewać, że detektyw Thorne to koszmar senny każdego przestępcy.

- Wspaniała wiadomość. Muszę przyznać, że przez tę sprawę zrobiłam się nieco nerwowa. To pewnie normalne u świadków brutalnego mordu.

Leciutko skinął głową. No proszę, mężczyzna ważący każde słowo. Ale której kobiecie zależało by na konwersacji w obliczu tak niesamowitych oczu?

Poczuła równocześnie i ulgę, i irytację, kiedy w kuchni rozległ się dzwonek timera.

- Cholera. To... moja kolacja. Lepiej wyjmę ją z piekarnika, nim włączy się alarm pożarowy. Poczekaj chwila... to znaczy, masz ochotę...? – Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Nie przywykła do takiego skrępowania w czyjejś obecności. – Wejdz, proszę. Zaraz wrócę.

Bez chwili wahania Lucan Thorne wszedł do środka, a Gabrielle ruszyła do kuchni odłożyć komórkę i wyciągnąć manicotti z pieca.

- Przeszkadzam w czymś?

Zaskoczyło ją, że tak szybko znalazł się w kuchni. Chyba musiał iść bezszelestnie tuż za nią. Wyjęła z piekarnika półmisek parującego makaronu i postawiła na kuchence i

obdarzyła gościa dumnym uśmiechem.

- Świętuję.

Uniósł głowę, rozejrzał się po pustej kuchni.

- Sama?

Wzruszyła ramionami.

- Chyba, że się do mnie przyłączysz.

Lekkie pochylenie podbródka było pełne rezerwy, niemniej zdjął ciemny płaszcz i położył na kuchennym stołku. Jego obecność była dziwnie drażniącą, szczególnie w tej niewielkiej kuchni – był przystojny, silny i miał takie obezwładniające spojrzenie. Oparł się o bufet i przyglądał się jej i półmiskowi pieczonego makaronu.

- Co świętujesz, Gabrielle?

- Sprzedałam dziś trochę zdjęć. Na prywatnym pokazie w szykownym biurowcu w centrum. Jakąś godzinę temu zadzwonił mój przyjaciel Jamie i mi powiedział.

Thorne uśmiechał się lekko.

- Gratulacje.

- Dziękuję. – Wyciągnęła dodatkowy kieliszek z kredensu i uniosła w stronę gościa otwartą butelkę chianti. – Napijesz się?

Pokręcił głową.

- Żałuję, ale nie mogę.

- Och. Przepraszam. – Przypomniała sobie, czym się zajmuje. – Jesteś na służbie, tak?

Na jego szczęście zaznaczył się napięty mięsień.

- Zawsze.

Gabrielle z uśmiechem założyła za ucho opadający kosmyk włosów. Thorne śledził wzrokiem każdy jej ruch. I oczywiście zauważył zadrapanie na jej policzku.

- Co ci się stało?

- Och, nic takiego – odparła. Doszła do wniosku, że nie należy się zwierzać gliniarzowi z porannego włamania do nieczynnego zakładu psychiatrycznego. – Zwykle zadrapanie... ryzyko zawodowe. Znasz to na pewno.

Roześmiała się, nieco nerwowo, ponieważ nagle ruszył w jej stronę, a wyraz twarzy miał bardzo poważny. Kilka szybkich kroków i już był przy niej. Taki wielki – taki silny – że poczuła się przytłoczona. Z tej odległości widziała ruch mięśni napinających się pod czarną koszulą. Materiał oblepiał jego ramiona i piersi, jakby był skrojony na miarę.

I pachniał zadziwiająco. Nie wyczuwała wody kolońskiej, tylko lekki zapach mięty i skóry, i coś bardziej mrocznego, jakby egzotyczną przyprawę, której nie potrafiła nazwać.

Cokolwiek to było, drażniło jej zmysły, było pierwotne i w jakiś przedziwny sposób zniewalające. Sprawilo, że przysunęła się bliżej, zamiast cofnąć.

Wstrzymała oddech, kiedy wyciągnął rękę i musnął czubkami palców jej policzek. Pod wpływem tego dotknięcia zalała ją fala gorąca. Przesunął dłonią po wrażliwej skórze koło jej ucha, potem po karku. Kciukiem zbadał skaleczenie na policzku. Bolało, kiedy przemywała je dziś rano środkiem dezynfekującym, ale teraz ta niesamowita pieszczota nie sprawiła jej bólu. Poczwała tylko leniwe ciepło i niespieszną, wibrującą tęsknotę, gdzieś w głębi siebie.

Ku jej zaskoczeniu Thorne pochylił się i pocałował lekko skaleczony policzek. Jego usta przez chwilę zatrzymały się na jej skórze, dość długo, żeby zrozumiała, że to jedynie preludium. Zamknęła oczy, serce waliło jej jak młotem. Nie poruszyła się, niemal bała się oddychać. Poczwała, jak usta Lucana szukają jej warg. Jego pocałunek był długi, lekkie ugryzienie mówiło o głodzie. Otworzyła oczy i stwierdziła, że nadal na nią patrzy. W jego oczach była zwierzęca dzikość, a to sprawiło, że po kręgosłupie przeszedł jej dreszcz niepokoju.

Kiedy wreszcie zdołała się odezwać, jej głos był chrapliwy, urywany.

- Musiałeś to zrobić?

Znów to przenikliwe spojrzenie.

- O tak.

Pochylił się nad nią, przesunął wargami po jej policzkach, podbródka, czyli. Westchnęła, a on zamknął to westchnienie w palącym pocałunku, wpychając język między jej rozwarte wargi. Przyjęła go, czując równocześnie, jak jego ręka wędruje na jej plecy, wślizguje się pod jej koszulkę. Poglądził jej nagą skórę, czule muskając kręgosłup. Powoli przesunął rękę niżej, aż dotknął brzegu spodni. Objął dłonią wypukłość jej pośladka, ściskając mocno. Be oporu poddawała się coraz mocniejszym pocałunkom, pozwalając przyciągać się coraz bliżej, aż trafiła biodrem na twarde mięśnie jego uda.

Co ona wyrabia? Do diabła, powinna się opierać!

- Nie – zaprotestowała nagle, usiłując być rozsądna. – Nie, zaczekaj. Przestań. – Boże, jakże nienawidziła w tej chwili dźwięku własnego głosu! – Czy ty... Och, Lucan... Czy ty jesteś z kimś?

- Rozejrzyj się Gabrielle – powiedział, nie odrywając warg od jej warg, co sprawiło, że aż osłabła z pożądania. – Jesteśmy tu sami.

- Chodzi mi o dziewczynę – wyrzuciła z siebie pomiędzy pocałunkami. Trochę już było za późno na takie pytania, ale musiała wiedzieć. Choć wcale nie była pewna, jak sobie

poradzi z odpowiedzią, jeśli nie będzie po jej myśli. – Masz narzeczoną? Jesteś żonaty? Proszę, tylko mi nie mów, że jesteś!

- Nie ma nikogo innego.

Prócz ciebie.

Była niemal pewna, że nie wypowiedział na głos tych dwóch ostatnich słów, że usłyszała je bezpośrednio w myślach. Były tak ciepłe i prowokacyjne, że pozbawiły ją resztek oporu.

Och, dobry był. A może winne było jej pożądanie? Bo przecież nie dał jej nic prócz tej oszczędnej, pozbawionej ozdób dekoracji – i tych rąk na skórze, i gorących, głodnych ust. Uwierzyła mu bez zastrzeżeń. Miała wrażenie, że jest skupiony wyłącznie na niej, jakby na całym świecie były tylko ona i ta rzecz, która zrodziła się między nimi.

Która powstała w chwili, kiedy po raz pierwszy zjawił się na progu jej domu.

- Och – jęknęła, powoli wypuszczając powietrze z płuc. Oparła się o niego ciężko, napawając się delikatnym dotykiem jego rąk na swej szyi, plecach, ramionach. – Lucan, co my robimy?

Zamruczał prosto w jej ucho, głosem głębokim jak noc.

- Myślę, że wiesz.

- Nie, nie wiem. Nie wtedy, kiedy robisz... tak. O Boże...

Na chwilę przestał ją całować, zajął jej w oczy, a potem przysunął się do niej, powoli i znacząco. Poczula na brzuchu jego twardy członek. Nawet przez ubranie wyczuwała, jaki jest długi, wielki i silny. Na samą myśl o przyjęciu go w siebie poczuła gorącą wilgoć między udami.

- Po to tu dziś przyszedłem – szepnął jej w ucho. – Rozumiesz Gabrielle? Pragnę cię.

Było to uczucie w pełni odwzajemnione. Gabrielle zajączkała cicho, jej ciało przyłgnęło do jego ciała z zapalem, którego nie była w stanie kontrolować.

To się nie dzieje naprawdę..To kolejny zwariowany sen, taki jak ten po ich pierwszym spotkaniu. Nie stoi w kuchni z Lucanem Thorne'em, nie pozwala się uwodzić mężczyźnie, którego wcale nie zna. To sen – to musi być sen. Już za chwilę obudzi się na kanapie, jak zwykle sama i okaże się, że wylała wino na dywan, a manicotti spaliło się na węgiel w piekarniku.

Ale jeszcze nie teraz.

O Boże, proszę... jeszcze nie.

Jego dotyk, pieszczota jego języka, to było lepsze niż sen, nawet ten wspaniały sen o nim.

- Powiedz, że też tego chcesz – szepnął.

- Chcę.

Poczuła między ich ciałami jego rękę, czuła jak niecierpliwie szarpie ubranie. Jego oddech był taki gorący na jej szyi.

- Dotknij go, Gabrielle. Chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo cię pragnę.

Położył jej dłoń na swoim sztywnym członku, uwolnionym z więzienia spodni. Zacisnęła palce na jego organie, pogładziła jego jedwabistą skórę. Penis był równie wielki jak wszystko w tym mężczyźnie, pełen brutalnej siły, a równocześnie taki gładki. To, jak zaciążył w jej dłoni, oszołomiło ją jak narkotyk. Zacisnęła mocniej rękę i pociągnęła, jej palce ześliznęły się na wydatną żołądź.

Pod wpływem jej dotyku ciało Lucana spięło się gwałtownie. Czuła, jak drżą mu lekko ręce, kiedy zaczął rozwiązywać troczki jej spodni. Szarpnął niecierpliwie supełek, czuła we włosach jego gorący oddech, kiedy mruczał coś w obcym języku. Wreszcie jej nagi brzuch owiało chłodne powietrze, ale chłód natychmiast zastąpił żar dłoni Lucana, wsuwającego się w jej figi.

Była już mokra, płonęła z pożądania, miała wrażenie, że zaraz eksploduje.

Jego palce przedarły się przez słabą barierę włosów łonowych, wsunęły się między jej wilgotne wargi, drażniąc dotykiem, wywołując rozkoszny ból. Krzyknęła z obezwładniającej rozkoszy.

- Też cię pragnę – wyjęczała, nie próbując kryć żądz. W odpowiedzi włożył w nią jeden palec, potem drugi. Wiła się, próbowała wyczuć go w sobie i nie mogła. – więcej – jęknęła. – Proszę... chcę więcej...

Wydał niski jęk, po czym uwięził jej usta w kolejnym głodnym pocałunku. Niecierpliwym szarpnięciem rozebrał ją ze spodni, rozdarł cienką koronkę majtek. Przez chwilę czuła chłód na obnażonej skórze, póki nie padł przed nią na kolana. Wówczas, nim choćby zdążyła zaczerpnąć tchu, ogarnął ją ogień. Pieścił ją językiem, rozsunął szerzej jej uda. Dotarł do wilgotnych, obrzmiałych warg sromowych. Miała wrażenie, że je pożera. Pod jego dotykiem obila się miękka jak wosk.

Orgazm przyszedł nagle, silniejszy niż się spodziewała. Lucan przytrzymał ją mocno, ale nie cofnął ust, smakował jej spazmatycznie drżące ciało. Dyszała ciężko, kiedy po pierwszym orgazmie natychmiast przyszedł drugi. Zamknęła oczy i odrzuciła głowę w tył, poddając się zupełnie szaleństwu tego niespodziewanego spotkania. Wbiła paznokcie w ramiona Lucana, miała wrażenie, że nogi nie są w stanie jej utrzymać...

Znów ogarnął ją orgazm. Kochanek przytrzymał ją mocno, kiedy wznosiła się na

szczyt, a potem spadała, spadała i spadała...

Nie, nieprawda. Nie spadała, tylko została uniesiona w górę, uświadomiła to sobie mimo seksualnego oszołomienia. Lucan podniósł ją, jedną ręką obejmował jej plecy, a drugą podtrzymywał kolana. Był teraz nagi i ona również, choć nie pamiętała jak o się stało. Objęła go za szyję, a on zaniósł ją do salonu, gdzie nadal śpiewała cicho Sarah McLachlan. Coś o objęciach i pocałunkach do utraty tchu.

Lucan położył ją na kanapie i pochylił się nad nią. Czowała pod plecami miękkie obicie poduszek. Dopiero teraz widziała go naprawdę. Był piękny, wspaniały. Prawie dwa metry wzrostu, umięśnione ciało, silne ramiona.

Jego skóra była pokryta niesamowitym wzorem skomplikowanych tatuaży. Splątane linie i przeplatające się geometryczne figury pokrywały jego pierś i umięśniony brzuch, zachodziły aż na szerokie ramiona. Trudno było określić ich kolor, wahał się od morskiej zieleni, przez sjenę, po ciemną czerwień wina, która zdawała się wręcz pulsować życiem. Im dłużej patrzyła na tatuaże, tym głębsze wydawały się jej kolory.

Kiedy pochylił głowę nad jej piersiami, zobaczyła wzór na jego plecach, który zachodził na kark i nikał we włosach. Pamiętała, że kiedy widzieli się po raz pierwszy, miała ochotę przesunąć po nim palcem. Zrobiła to teraz, pozwoliła, by jej dłonie wędrowały po jego ciele, dotykając niezwykłego dzieła sztuki, jakie uczynił ze swojego ciała.

- Pocałuj mnie – błagała, zaciskając dłonie na pokrytych tatuażami plecach.

Uniósł się nad nią, a ona poderwała wysoko biodra, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie poczuje go w sobie. Był twardy jak stal, jego członek wręcz parzył jej uda. Zaczęła go gładzić i kierować.

- Weź mnie – szeptała. – Chcę cie poczuć w sobie. Teraz. Proszę.

Nie pozostał głuchy na jej prośby.

Główka jego członka pulsowała natarczywie u wejścia do jej ciała. Uświadomiła sobie niejasno, że Lucan drży pod jej dotykiem, jakby przez cały czas się wstrzymywał i teraz tylko krok dzielił go od wybuchu. Chciała, żeby się poddał, tak jak ona. Chciała, żeby w nią wszedł, miała wrażenie, że umrze, jeśli tego nie zrobi. Zajęczał głośno, prosto w czułe zagłębienie na jej szyi.

- Zrób to – nalegała. Zachęcała go, wijąc się pod nim, by jego członek znalazł się dokładnie w bramie jej ciała. – Nie próbuj być delikatny. Nie jestem ze szkła.

Uniósł głowę i przez moment patrzył jej prosto w oczy. Zaskoczył ją nieopanowany ogień ukryty w tym spojrzeniu. Jego oczy niemal płonęły, to były dwa dyski z najjaśniejszego srebra, niemal pozbawione źrenic, wwiercające się w nią z nieludzką intensywnością. Miała

wrażenie, że rysy jego twarzy wyostrzyły się, skóra napięła się na wystających kościach policzkowych i silnie zarysowanym podbródku.

Dziwne w jaki sposób światło potrafi zmienić twarz...

Ledwie ta myśl powstała w jej umyśle, wszystkie światła w salonie zgasły równocześnie. Zdumiało ją to, ale akurat wtedy Lucan w nią wszedł, głęboko, bezwzględnie. Nie zdołała stłumić jęku rozkoszy, który wyrwał się z głębin jej ciała.

- O Boże – niemal zaszlochała, przyjmując go w siebie całego. – Jesteś cudowny.

Opuścił głowę na jej ramię i z jękiem cofnął się nieco, a potem pchnął znowu, jeszcze głębiej niż za pierwszym razem. Gabrielle objęła mocno jego spocone plecy, przyciągnęła go do siebie i wysunęła biodra na jego spotkanie. Przeklął pod nosem, a był to mroczny, dziki dźwięk. Czowała jak jego członek porusza się w niej, miała wrażenie, że z każdym ruchem jego bioder, staje się coraz większy.

- Muszę cię zerznąć, Gabrielle. Czuję, że muszę to zrobić, odkąd cie zobaczyłem.

To brutalne słowa – bezwzględnie szczere wyznanie, że pragnął jej równie mocno jak ona jego – tylko ją rozpałyły. Wplotła palce w jego włosy, zaczęła krzyczeć z rozkoszy, kiedy zwiększył tempo. Pracował miarowo jak tłok między jej udami. Czowała, jak wzbiera w niej kolejny orgazm.

- Mógłbym się z tobą rznąć przez całą noc – jęknął, jego oddech parzył jej szyję. – Chyba nie dam rady przestać.

- Nie przestawaj. O Boże... Nie przestawaj.

Obejmowała go z całych sił, kołysząc się razem z nim. Nie mogła zrobić nic więcej. Nagle z jej gardła wyrwało się niemal zwierzęce wycie i poczuła, że dochodzi...

Lucan zszedł po schodkach domu Gabrielle i ruszył ciemną, wymarłą ulicą. Zostawił ją śpiącą w sypialni na górze. Jej oddech był rytmiczny i głęboki, była wyczerpana po ponad trzech godzinach nieprzerywanej rozkoszy. Nigdy jeszcze nie zatracił się w seksie tak mocno, na tak długo, tak całkowicie.

I nadal miał ochotę na więcej.

Więcej jej.

Zakrawało na cud, że zdołał przed nią ukryć kły wysunięte pod wpływem podniecenia i dziki, nieludzki wygląd swych oczu.

A jeszcze większy cud, że oparł się nieprzejednanej, głębokiej pokusie zatopienia ostrych zębów w jej słodkiej szyi i upojenia się jej krwią.

Nie ufał sobie na tyle, żeby zostać przy niej, kiedy każda komórka jego ciała domagała

się, by się z niej napił.

Ta dzisiejsza wizyta to był potworny błąd. Myślał, że seks złagodzi nieco żar, który w nim płonął, ale nigdy w życiu nie mylił się bardziej. To, że ją wziął, że w nią wszedł, tylko jeszcze bardziej obnażyło jego słabość, jaką do niej czuł. Pragnął jej niczym zwierzę, osaczył ją jak drapieżnik. Nie był pewien, czy zdołałby przyjąć odmowę. Chyba nie byłby w stanie opanować pożądania.

Ale ona mu nie odmówiła.

Chryste, nie odmówiła.

Choć z drugiej strony, gdyby odmówiła, byłby to z jej strony akt łaski. Ale nie, ona przyjęła na siebie całą jego seksualną furię, domagała się tego.

Gdyby teraz zawrócił, gdyby poszedł do jej mieszkania i ją obudził, mógłby spędzić kolejnych kilka godzin między jej cudownymi, uległymi udami. To by zaspokoilo przynajmniej jedną potrzebę. A jeśli nie zdoła ugasić tej drugiej, mógłby poczekać na wschód słońca i pozwolić, by palące promienie spaliły jego ciało i przeniosły go w niebyt.

Gdyby poczucie obowiązku wobec Rasy nie było w nim tak silne, zapewne uznał by tę opcję za całkiem atrakcyjną alternatywę.

Wyszczał przekleństwo i opuścił okolicę domy Gabrielle. Ręce mu się trzęsły, wzrok miał wyostrzony, myśli dzikie. Jego ciało było niespokojne, pobudzone. Zawarczał, sfrustrowany. Doskonale rozpoznawał te oznaki.

Znów musiał się pożywić.

Zbyt szybko po ostatnim posiłku. Wypił wtedy tyle krwi, że powinna mu wystarczyć na tydzień, może dłużej. Minęły zaledwie dwa dni, a żołądek znów kurczył mu się z głodu. Już od dłuższego czasu jego pragnienie stawało się coraz silniejsze, niemal nie do zniesienia. Coraz słabiej nad nim panował.

Wstrzemięźliwość.

Tylko dzięki niej przetrwał tak długo.

Wcześniej czy później dotrze do kresu tej drogi. A wtedy co?

Czy naprawdę sądzi, że różni się od swojego ojca?

Jego bracia się nie różnili, a przecież byli od niego starsi i silniejsi. Nałóg krwi dopadł ich obu: jeden sam odebrał sobie życie, drugi poddał się, zmienił w szkarłatnego i oddał głowę pod miecz wojownika Rasy.

Dzięki pochodzeniu bezpośrednio od Prastarych miał wielką moc – i szacunek, na który, we własnych oczach, nie zasługiwał – ale było to również jego przekleństwo. Zastanawiał się, jak długo jeszcze wytrzyma, żeby zwalczyć dziką naturę. Czasami miał już

tak bardzo dość tej walki.

Mijał obojętnie ludzi na ulicach, jego wzrok wędrował bez celu. Choć w każdej chwili był gotów do walki, cieszył się, że w zasięgu wzroku, nie ma żadnych Szkarłatnych, a są jedynie nieliczni przedstawiciele najmłodszych pokoleń wampirów z pobliskich mrocznych Przystani. Stali w rozchichotanej grupce imprezowiczów, szukając tego samego, co on – Karmicielki.

Kiedy ich mijał, widział, jak trącają się łokciami, słyszał ich szepty: „Wojownik...”. „Pierwsze Pokolenie”. Nieukrywany podziw i ciekawość drażniły go, choć nie były niczym niezwykłym. Wampiry urodzone i wychowane w Mrocznych Przystaniach rzadko miały okazję widzieć wojownika, nie wspominając już o założycielu pradawnego Zakonu.

Znali na pewno stare opowieści o tym, jak kilka wieków temu ośmiu najbardziej niebezpiecznych przedstawicieli Rasy zebrało się razem, żeby zgładzić Prastarych i armię Szkarłatnych, która im służyła. Ci wojownicy stali się legendą. Od tamtych czasów Zakon przeszedł wiele zmian, w zależności od aktywności Szkarłatnych zwiększał lub zmniejszał swoje szeregi. Przenosił się z miejsca na miejsce. Niknął niemal zupełnie podczas długich okresów pokoju.

Obecnie klasa wojowników składała się z nielicznych osobników rozsianych po całym świecie. Działali niemal niezależnie, a wampirza społeczność obdarzała ich lekką pogardą. Teraz, kiedy mówiło się o sprawiedliwości i procesach, taktykę wojowników uważano za odstępstwo ledwie mieszczące się w granicach prawa.

Choć Lucana i innych wojowników mało obchodziło, co myśli o nich ogół.

Zawarczał cicho w kierunku gapiącej się młodzieży, po czym rzucił telepatyczne zaproszenie do rozgadanych kobiet, z którymi rozmawiały wampiry. Wszystkie popatrzyły na niego, zafascynowane surową mocą zawartą w jego wezwaniu. Dwie dziewczyny – cycata blondyna i ruda, zaledwie o ton czy dwa jaśniejsza niż Gabrielle – natychmiast porzuciły grupkę i podeszły do niego, zapominając o przyjaciółkach, starych i tych dopiero co poznanych.

Lucan potrzebował tylko jednej, a wybór był łatwy. Powstrzymał blondynkę lekkim ruchem głowy. Jej towarzyszka wzięła go pod ramię i zaczęła go pieścić, jeszcze nim zaprowadził ją do dyskretnej, nieoświetlonej sieni pobliskiego budynku.

Z punktu zabrał się do dzieła.

Odgarnął z szyi dziewczyny przesycone zapachem dymu papierosowego i piwa włosy, oblizwał wargi, po czym wbił kły w ciało na jej gardle. Zadrżała pod wpływem ugryzienia, instynktownie unosząc obronnie ręce, kiedy wypił pierwszy łyk krwi z jej tętnicy. Ssał z

całych sił, nie zamierzał przeciągać spraw. Kobieta jęczała, nie ze strachu czy bólu, ale z jedynej w swoim rodzaju rozkoszy, jaką sprawia oddawanie krwi wampirowi.

Ta krew była ciepła i gęsta.

Wbrew swojej woli przywołał obraz Gabrielle, tę chwilę kiedy trzymał ją w ramionach i przez moment wyobrażał sobie, że to z jej szyi się pożywia.

Połykana krew ożywiła jego ciało.

Boże, sama myśl o tym, jakby to było wbić zęby w jej szyję, a członek głęboko w jej gorące, wilgotne wnętrze...

Chryste.

Otrząsnął się z tej fantazji z groźnym warkotem.

To się nigdy nie zdarzy, napomniął się w myślach. Rzeczywistość to ta dziwka i lepiej żeby o tym pamiętał.

To nie Gabrielle trzyma w ramionach, tylko bezimienną nieznajomą. Wolał, żeby tak to się odbywało. Krew, którą mu dawała, nie była słodka, z nutą jaśminu, ale gorzka o metalicznym posmaku, zniszczona jakimś łagodnym narkotykiem, który niedawno przyjęła.

Nie obchodziło go, jak smakuje. Musiał tylko nieco złagodzić głód, a do tego nadawało się wszystko. Pił pospiesznie, jak zawsze, nie zapominając, jaki to ma cel.

Kiedy skończył, przesunął językiem po dwóch bliźniaczych rankach na jej szyi, jej ciało było ospałe, jakby właśnie przeżyła orgazm.

Lucan położył dłoń Nan jej czole i przesunął nią w dół, zamykając ciężkie powieki. Ten dotyk usunął z jej umysłu wszelkie wspomnienia o tym, co właśnie zdarzyło się między nimi.

- Przyjaciele cię szukają – powiedział, cofając rękę. Zamrugła zdezorientowana. – Powinnaś iść do domu. Noc jest pełna drapieżników.

- Jasne. – Kiwnęła ulegle głową.

Lucan zaczął w mroku, aż wyjdzie na ulicę i odszuka swoje towarzystwo. Odetchnął z sykiem przez zęby. Czuł jak wszystkie mięśnie jego ciała spinają się, pulsują. Serce waliło mu w piersiach. Sama myśl o tym, jak mogłaby smakować krew Gabrielle, unosiła jego członek w niewiarygodnym wzwodzie.

Wprawdzie uspokoił nieco fizyczny apetyt, ale bynajmniej nie czuł się zaspokojony.

Nadal... pożądał.

Z niskim pomrukiem wyszedł ponownie na ulicę, jeszcze bardziej rozłoszczony. Ruszył ku najgorszej dzielnicy miasta, w nadziei, że przed świtem spotka jednego czy dwóch Szkarłatnych. Nagle poczuł potrzebę walki na śmierć i życie. Musiał coś zniszczyć – nawet

jeśli to będzie on sam.

Cokolwiek, byleby trzymać się jak najdalej od Gabrielle Maxwell.

Rozdział 8

Początkowo Gabrielle sądziła, że to kolejny erotyczny sen, kiedy następnego ranka obudziła się późno, naga i wyczerpana. Ale jej ciało było obolałe we wszystkich właściwych miejscach, więc zrozumiała, że Lucan Thorne tutaj był. O Boże, i to jeszcze jak. Straciła rachubę, ile razy doprowadził ją do orgazmu, ale nie wątpiła, że szczytowała tej nocy więcej razy niż w ciągu ostatnich dwóch lat.

A jednak, kiedy otwierała z trudem oczy, pragnęła kolejnego orgazmu i dlatego z rozczarowaniem przyjęła fakt, że Lucan nie został do rana. Jej łóżko było puste, w mieszkaniu panowała cisza. Widać wyszedł w nocy.

Była tak wyczerpana, że z radością przespałaby cały dzień, ale nie mogła, ponieważ umówiła się na lunch z Jamiem i dziewczynami. Jakies dwadzieścia po dwunastej wyszła z domu i skierowała się do centrum. Kiedy weszła do chińskiej restauracji, miała wrażenie, że wszyscy się za nią oglądają, czuła na sobie pełne aprobaty spojrzenia grupy mężczyzn z agencji reklamowej, siedzących przy barze i kilku menagerów w garniturach. Wszyscy obserwowali, jak kieruje się do stolika przyjaciół.

Czuła się seksowna i pewna siebie w tym ciemnoczerwonym swetrze z dekoltem w serek i czarnej spódnicy. Nie obchodziło jej, że wszyscy wiedzą, iż właśnie przeżyła najbardziej niesamowity seks w życiu.

- Wreszcie jej wysokość raczyła nas zaszczycić swoją obecnością! – wykrzyknął Jamie, kiedy dotarła do stolika i przywitała się z przyjaciółmi.

Megan cmoknęła ją w policzek.

- Świetnie wyglądasz.

Jamie przytaknął.

- To prawda, kochana. Świetna kreacja. Coś nowego? – Nie czekając na odpowiedź, opadł na krzesło i pochłonął sajonkę. – Umierałem z głodu, więc zamówiliśmy już przystawki. Gdzie się podziewałaś? Miałem już wysłać po ciebie ludzi.

- Przepraszam, trochę dziś zasnęłam. – Uśmiechnęła się i usiadła obok Jamiego na obitej skajem ławce. – Nie ma Kendry?

- Znów zaginęła w akcji. – Megan napiła się herbaty i wzruszyła ramionami. – Zupełnie zwariowała na punkcie tego nowego chłopaka... no wiesz, co ją poderwał w La Notte.

- Brenta – przypomniała sobie Gabrielle. Poczwała lekki niepokój na wspomnienie tej okropnej nocy.

- Tak, właśnie. Udało jej się nawet zamienić wszystkie nocne dyżury naienne, żeby spędzać z nim noce. Podobno ciągle podróżuje ze względu na pracę i w ciągu dnia nie ma z nim kontaktu. Nie mogę uwierzyć, że Kendra pozwala chłopakowi dyktować, jak ma żyć. Ray i ja spotykamy się od trzech miesięcy, ale ja nadal mam czas dla przyjaciół.

Gabrielle uniosła brwi. Z ich czworga Kendra była najbardziej niezależna i bezkompromisowa. Zawsze miała w zapasie kilku facetów i zamierzała zostać singlem przynajmniej do trzydziestki.

- Myślicie, że się zakochała?

- Żądza, kotku. – Jamie chwycił pałeczkami ostatnią sajgonkę. – Czasami prowokuje do większych szaleństw niż miłość. Uwierz mi, sam to przeżyłem.

Żując sajgonkę, zajął Gabrielle w oczy, a potem przyjrzał się jej nieporządnie uczesany włosom i nagle zaróżowionym policzkom. Spróbowała uśmiechnąć się swobodnie, ale jej sekret zdradził błysk oczu. Jamie odłożył pałeczki na talerz. Kiwnął głową w jej stronę, a włosy zatańczyły mu wokół twarzy.

- Och, mój Boże. – Zaśmiał się szeroko. – Zrobiłaś to.

- Co? – Musiała się też uśmiechnąć.

- To. Ktoś cię przeleciał.

Gabrielle zachichotała jak nastolatka.

- Och, kotku. Widać to po tobie z daleka. – Jamie poklepał ją po ręce. Zaczął się śmiać razem z nią. – Niech zgadnę. Detektyw Mroczny-i-Seksowny z bostońskiej policji?

Przewróciła oczami na to głupie przezwisko, a potem kiwnęła głową.

- Kiedy?

- Dziś w nocy. Praktycznie przez całą noc.

Okrzyk entuzjazmu Jamiego przyciągnął uwagę gości siedzących przy sąsiednich stolikach. Po chwili uspokoił się, choć nadal był rozpromieniony jak dumna kwoka.

- Był dobry, co nie?

- Niesamowity.

- Dobra, gadaj jak to się stało. Dlaczego nic nie wiem o tym tajemniczym facecie? – włączyła się Megan. – To gliniarz? Może Roy go zna. Mogę zapytać...

- Nie. – Gabrielle pokręciła głową. – Proszę, nikomu nic nie mówcie, oboje. Przyszedł wczoraj wieczorem, żeby oddać mi komórkę i sprawy po prostu... wymknęły się spod kontroli. Nie wiem nawet czy jeszcze go zobaczę.

Rzeczywiście, nie miała pojęcia, ale jak wielką miała nadzieję!

Choć część jej umysłu upierała się, że to, co między nimi zaszło, to zwykła lekkomyślność i głupota. Niewątpliwie. Nie mogła z tym polemizować. To naprawdę było szaleństwo. A przecież zawsze uważała się za osobę rozsądną i ostrożną – taką, która sprowadza innych na ziemię. Unikała takich sytuacji, jaka przydarzyła się jej wczoraj wieczorem.

Głupia, głupia, głupia.

I to nie tylko dlatego, że poddała się chwili i zapomniała o wszelkich zabezpieczeniach. Intymność z osobą zupełnie nieznaną rzadko bywa dobrym pomysłem, ale Gabrielle miała straszne przeczucie, że bardzo łatwo stracić głowę dla takiego faceta jak Lucan Thorne.

A to byłoby przecież czystym idiotyzmem.

Jednak taki seks nie zdarza się codziennie. A przynajmniej nie jej. Sama myśl o Lucanie sprawiła, że poczuła w środku słodką tęsknotę. Gdyby wszedł teraz do restauracji, zapewne bez wahania rzuciłaby mu się w ramiona.

- Spędziliśmy razem niesamowitą noc, ale chwilowo to wszystko. Nie chcę dorabiać do tego filozofii.

- A-ha. – Jamie podparł się łokciem i konspiracyjnie pochylił się w jej stronę. – To dlaczego cały czas się uśmiechasz?

- Gdzieś ty się do diabła podziewał?

Lucan wyczuł zapach Tegana, nim go jeszcze zobaczył w korytarzu kwatery głównej wojowników. Wampir musiał niedawno polować, czuć było od niego metaliczny słodki zapach krwi – zarówno ludzkiej, jak i Szkarłatnych.

Kiedy Tegan zobaczył go w progu jednego z apartamentów, zatrzymał się i zacisnął pięści ukryte w kieszeniach workowatych dżinsów. Jego szara koszula była podarta, brudna i pochlapana krwią, a jasnozielone oczy podkrążone ciemnymi cieniami. Długie, potargane włosy opadały mu na twarz.

- Nędznie wyglądasz – parsknął Lucan.

Tegan przyjrzał mu się spod grzywy jasnobrazowych włosów. Jego uśmiech był złośliwy i jak zwykle wkurzający.

Na jego przedramionach i grubych bicepsach grały eleganckie glify, o ton ciemniejsze niż jego złocista skóra, ale ich kolor nie zdradzał jego nastroju. Lucan nieraz się zastanawiał, czy stan permanentnej apatii Tegan osiągał wysiłkiem woli, czy też mroczna przeszłość

naprawdę zabiła w nim wszystkie uczucia.

A była ona tego rodzaju, że mogłaby złamać cały oddział wojowników.

Ale demony prześladowające Tegana to jego prywatna sprawa. Dla Lucana liczyło się tylko dobro Zakonu. To nie miejsce na słane ogniwa.

- Nie było z tobą kontaktu przez pięć dni. Więc pozwól, że zapytam. Gdzie byłeś?

- Spadaj. Nie jesteś moją matką – odparł Tegan szyderczo i ruszył w swoją stronę.

Lucan zastąpił mu drogę. Chwycił go za gardło i pchnął na ścianę korytarza.

Czuł straszliwy gniew. Po pierwsze dlatego, że Tegan nie miał żadnych względów dla towarzyszy, ale przede wszystkim z powodu własnego błędu, głupiej nadziei, że jeśli spędzi z Gabrielle Maxwell jedną noc, zdoła ją sobie wybić z głowy.

Jego požądania nie przytłumiły ani krew, ani okrucieństwo z jakim tuż przed świtem rozprawił się z dwoma Szkarłatnymi. Przez całą noc krążył po mieście niczym duch, a do kwatery wrócił w stanie ledwie kontrolowanej furii.

Czuł ją teraz, kiedy zaciskał palce na gardle Tegana. Musiał dać upust tej wściekłości, a Tegan, milczący i tajemniczy, doskonale się do tego nadawał.

- Mam dość twoich pierdów, słyszysz? – Zacisnął mocniej rękę, ale wampir nawet się nie skrzywił, choć musiał poczuć ból. – A teraz gadaj, gdzie byłeś przez ten cały czas, bo inaczej zaczniemy mieć prawdziwy problem.

Byli podobnej postury i dorównywali sobie siłą. Tegan dałby mu radę, ale najwyraźniej nie chciał. Nie okazywał żadnych uczuć, po prostu patrzył na Lucana nieruchomym, obojętnym wzrokiem.

Nic nie czuł. Nawet to wkurzało Lucana.

Z cichym warknięciem cofnął rękę, usiłując opanować wściekłość. To nie w jego stylu tracić nad sobą panowanie. Nie zniżał się do tego poziomu.

Chryste.

I jeszcze miał czelność radzić Teganowi, żeby wziął się w garść.

Obojętny wzrok Tegana mówił mu mniej więcej to samo, choć wampir rozsądnie trzymał język za zębami.

Mierzyli się wzrokiem w ciszy, dwaj sprzymierzeńcy z konieczności, kiedy w głębi korytarza otworzyły się z sykiem automatyczne przeszkłone drzwi. Na wypolerowanej posadzce zaskrzypiały buty Gideona.

- Hej, Tegan! Świetna robota, stary. Zacząłem obserwować kolejkę miejską i chyba masz rację. Szkarłatni skupiają się na zielonej linii.

Lucan nawet nie mrugnął. Tegan wytrzymał jego spojrzenie, nie dając znaku, że w

ogóle usłyszał pochwały Gideona. Nie próbował niczego tłumaczyć, po prostu stał, nic nie mówiąc. Potem wyminął Lucana i ruszył w swoją stronę.

- Lucan, chcesz rzucić na to okiem? – zapytał Gideon, idąc w stronę laboratorium. – Wygląda na to, że coś się tam szykuje.

Rozdział 9

Gabrielle trzymała w dłoniach filiżankę z herbatą oolong, a Jamie kończył jej lo mein. Zamierzał też zaatakować ciasteczko z wróżbą – zawsze to robił – ale nie miała nic przeciwko temu. Miło było mieć przyjaciół. Czuć, że życie wraca do normalności.

- Mam coś dla ciebie – powiedział Jamie, przerywając jej rozmyślenia. Pogrzebał w kremowej skórzanej torbie, która stała między nimi na ławce i wyciągnął białą kopertę. – Rezultat prywatnego pokazu.

Gabrielle otworzyła kopertę i wyciągnęła czek. Więcej niż się spodziewała. Dużo więcej.

- Łau.

- Niespodziewanka. – Jamie uśmiechnął się szeroko. – podbiłem cenę. Pomyślałem sobie, a co tam, raz się żyje. I wiesz co? Nawet okiem nie mrugnęli. Może powinienem był zażądać więcej?

- Nie. Nie, to jest... No łau. Dzięki.

- Nie ma za co. – Wskazał na jej ciasteczko z wróżbą. – Masza zamiar to zjeść?

Podsunęła mu talerzyk.

- Więc kto był nabywcą? – spytała.

- To wielka tajemnica. – Przełamał ciasteczko, nie wyciągając go z celofanu. – Zapłacił gotówką, więc ta jego „anonimowość” była na serio. Przysłał taksówkę po mnie i kolekcję.

- O czym wy mówicie? – Spytała Megan i zmarszczyła brwi. – Słowo honoru, o wszystkim dowiaduję się ostatnia.

- Nasza utalentowana mała artysta ma tajemniczego wielbiciela – wyjaśnił jej Jamie dramatycznie. Wyciągnął wróżbę, przeczytał ją, przewrócił oczami i rzucił zmięty papierek na pusty talerz. – Gdzie się podziały czasy, kiedy te wróżby coś znaczyły? Kilka dni temu prezentowałem kolekcję Gabby anonimowemu kupcowi. Kupił całość, wszystkie fotografie.

Megan przeniosła wzrok na Gabrielle.

- To cudownie! Tak się cieszę, kochana.

- Ten ktoś jest zboczony na punkcie tajemniczości.

Gabrielle zerknęła na przyjaciela i włożyła czek do torebki.

- To znaczy?

Jamie przeżuł kawałek ciasteczka, po czym wytarł palcem okruszki z warg.

- Kiedy przyjechałem pod wskazany adres... no wiesz, był to jeden z tych wielkich biurowców... na dole czekał na mnie ochroniarz. Nie powiedział ani słowa, tylko pogadał do nadajnika, a potem zaprowadził mnie do windy i wjechaliśmy na ostatni piętro.

Megan uniosła brwi.

- Do penthouse'u?

- Do penthouse'u. Ale to dopiero będzie *clou*. Wyobraźcie sobie, apartament był zupełnie pusty. Paliły się wszystkie światła, ale nikogo tam nie było. Mebli też nie, po prostu nic. Tylko okna i wspaniała panorama miasta.

- Niesamowite. Nie uważasz, Gabby?

Kiwnęła głową. W miarę opowieści Jamiego zaczął ją ogarniać dziwny niepokój.

- No więc ten ochroniarz kazał mi wyjąć pierwszą fotografię i podejść z nią do okien od północy. Na zewnątrz było ciemno. Stałem tyłem do gościa, a on mi kazał trzymać przed sobą fotografię, póki mi nie powie, żebym pokazał następną.

Megan zaczęła się śmiać.

- I stałeś do niego tyłem? Dlaczego?

- Ponieważ kupiec oglądał je z innego budynku – wyjaśniła Gabrielle cicho. – Był gdzieś, skąd było widać okna penthouse'u.

Jamie przytaknął głową.

- Najwyraźniej. Nie rozróżniałem słów, ale jestem pewien, że ten ochroniarz, czy kimkolwiek był, rozmawiał przez nadajnik z kupcem. Prawdę powiedziawszy, zacząłem się trochę denerwować, ale w końcu nic mi się nie stało. Zależało im tylko na zdjęciach. Pokazałem ledwie cztery, kiedy ochroniarz zapytał o cenę całej kolekcji. Więc, tak jak mówiłem, zawyżyłem ją nieco, a oni to łyknęli.

- Dziwna sprawa – stwierdziła Megan. – Słuchaj, Gab, może zainteresował się tobą niezwykle przystojny milioner-odludek? W przyszłym roku o tej porze będziemy tańczyć na twoim weselu na Mykonos.

- Och, proszę – jęknął Jamie. – Mykonos jest już dawno *passé*. Wszyscy piękni i bogaci jeżdżą teraz na Marbellę, kochana.

Gabrielle otrząsnęła się z dziwnego niepokoju, który ogarnął ją podczas opowieści Jamiego. Miał rację, nic się przecież nie stało, a w torebce miała czek na bardzo przyjemną sumkę. Może zaprosi Lucana na kolację, skoro wczorajsze manicotti wyschło nietknięte na bufecie w kuchni?

Choć wcale nie żałowała jego straty.

Tak, romantyczna kolacja na mieście z Lucanem u boku. Fantastyczny pomysł. A potem może zjedzą deser w... I śniadanie też.

Natychmiast rozpogodziła się i zaśmiała wesoło, kiedy przyjaciele snuli coraz bardziej nieprawdopodobne domysły na temat tożsamości tajemniczego kolekcjonera i jej przyszłości u jego boku. Dyskutowali o tym nawet po zapłaceniu rachunku i wyjściu na słoneczną ulicę.

- Muszę uciekać – powiedziała Megan. Przytuliła na chwilę Gabrielle i Jamiego. – Zobaczymy się niedługo?

- Tak – odparli chórem i pomachali jej, kiedy ruszyła w drogę powrotną do biura.

Jamie uniósł rękę, żeby złapać taksówkę.

- Jedziesz do domu, Gabby?

- Nie, jeszcze nie. – Poklepała torbę z aparatem fotograficznym, którą miała na ramieniu. – Pomyślałam, że przejdę się na Common, może wypstrykam film czy dwa. A ty?

- David powinien wrócić z Atlanty za mniej więcej godzinę – odparł z uśmiechem. – Do końca dnia robię sobie wagary. Może jutro też.

Gabrielle się roześmiała.

- Pozdrów go ode mnie.

- Pozdrowię. – Pochylił się i cmoknął ją w policzek. – Dobrze, że znowu zaczęłaś się uśmiechać. Naprawdę się o ciebie martwiłem. Nigdy jeszcze nie widziałem cie takiej wstrząśniętej. Trzymasz się, prawda?

- Jasne.

- No i teraz dba o ciebie nasz detektyw Mroczny-i-Seksowny, więc nie jest źle.

- Wcale nie jest źle – przyznała. Na samą myśl o Lucanie poczuła falę ciepła.

Jamie objął ją po bratersku.

- No to, kotku, jeśli czegoś ci będzie trzeba, czego on ci nie da, choć bardzo w to wątpię, dzwoń do mnie jak w dym, rozumiesz? Kocham cie, skarbie.

- Ja ciebie też. – Do krawężnika podjechała taksówka. – Bawcie się dobrze z Davidem. – pomachała mu na pożegnanie i poczekała, aż taksówka ruszy i włączy się do ruchu.

Kilka minut zajął jej spacer z Chinatown do parku Boston Common. Zrobiła kilka zdjęć, zatrzymała się, żeby popatrzeć na grupę dzieci bawiących się w ciuciubabkę. Mała dziewczynka z zawiązanymi oczami obracała się raz w jedną raz w drugą stronę, żeby złapać piszczących przyjaciół, a jej blond kucyki zamiatały energicznie powietrze.

Gabrielle uniosła aparat i wycelowała obiektyw w twarz dziewczynki, regulując ostrość. Jej uszy nappełnił szczęśliwy dziecięcy śmiech. Nie nacisnęła migawki, tylko przyglądała się zabawie przez obiektyw i próbowała sobie przypomnieć czasy, kiedy sama

była równie wesoła i bezpieczna.

Boże, czy w ogóle kiedykolwiek tak się czuła?

Jedna z osób pilnujących dzieci zawołała je na lunch, przerywając wesołą zabawę. Kiedy odbiegły, Gabrielle przesunęła obiektyw aparatu powrotem na panoramę parku i nagle napotkała wzrok kogoś, kto obserwował ją z cienia wielkiego drzewa.

Odsunęła aparat od twarzy i spojrzała. Młody chłopak, częściowo ukryty za pniem starego dębu.

Jego obecność w parku nie była niczym niezwykłym, choć miała wrażenie, że go zna. Zauważyła czuprynę brązowych włosów, brudnozieloną koszulę i spodnie khaki. Taki ktoś, kto bez trudu niknie w tłumie. Była pewna, że gdzieś go już widziała.

Czy nie na komisariacie w ten weekend, kiedy składała zeznania?

Najwyraźniej zorientował się, że go zauważyła, bo nagle zniknął za drzewem i ruszył w stronę wyjścia z parku prowadzącego na Charles Street. Wyciągnął z kieszeni spodni komórkę, obejrzał się przez ramię na Gabrielle i szybkim krokiem wyszedł na ulicę.

Gabrielle poczuła, jak jeżą jej się włoski na karku. W żołądku zaległo nieprzyjemne uczucie strachu.

Obserwował ją. Ale dlaczego?

Co tu się u licha działo? No nie, na pewno nie będzie się temu biernie przyglądać.

Wbiła wzrok w chłopaka i ruszyła za nim, po drodze wkładając aparat do torby i poprawiając paski małego plecaka. Szedł szybko, minął kolejną przecznicę, kiedy dopiero wychodziła na Charles Street.

- Hej! – zawołała za nim.

Nadal rozmawiał przez komórkę, ale obrócił głowę i spojrzał na nią. Potem rzucił coś nerwowo do słuchawki zamknął komórkę i zacisnął w rękę. I rzucił się biegiem.

- Stój! – krzyknęła Gabrielle. Przechodnie zaczęli się za nią oglądać, ale chłopak ją zignorował. – Powiedziałam, stój do cholery! Kim jesteś? Dlaczego mnie szpiegujesz?

Biegł zatłoczoną Charles Street, co chwila niknąc w morzu przechodniów. Gabrielle podążała za nim, roztrącając turystów i urzędników wracających do pracy po przerwie na lunch. Oczy miała wbite w plecak podskakujący na plecach chłopaka. Skreślił w przecznicę, potem w następną, oddalając się coraz bardziej od sklepów i biur Charles Street. Znowu znaleźli się w gęstej zabudowie Chinatown.

Nie wiedziała, gdzie byli, kiedy nagle go zgubiła.

Skreśliła za róg i nagle znalazła się całkiem sama na zatłoczonej, zupełnie obcej ulicy. Z pod markiz i otwartych drzwi przyglądali jej się sklepikarze. Przechodnie rzucali jej

niechętnie spojrzenia, ponieważ stała jak słup na środku chodnika, blokując przejście,

I wtedy wyczuła za sobą czyjąś groźną obecność.

Obejrzała się przez ramię i ujrzała czarnego sedana z przyciemnianymi szybami, który manewrował wśród innych samochodów. Poruszał się z gracją, jak rekin w ławicy małych rybek, szukając większe ofiary.

Czyżby jechał w jej stronę?

Może chłopak, który ją śledził, siedzi w środku? Może on i ten samochód mieli coś wspólnego z osobą, która kupiła od Jamiego zdjęcia?

A może to coś gorszego?

Może miało związek z morderstwem, którego była świadkiem? Z jej zeznaniami na policji? Może to były rozgrywki gangów, a ona niechcący się w nie wtrąciła i te straszne stworzenia – nie była w stanie myśleć o nich jak o ludziach – teraz polowały na nią?

Kiedy samochód zaczął dojeżdżać do krawężnika, wpadła w panikę.

Ruszyła z miejsca. Szła coraz szybciej.

Za nią ryknął silnik samochodu.

O Boże.

Jednak to ją ścigał!

Nie czekała na pisk opon. Krzyknęła i na oślep rzuciła się do ucieczki.

Ale na chodniku było zbyt tłoczno, zbyt wiele przechodniów tkwiło na jej drodze. Zderzała się przechodniami, roztrzęsiona nawet nie przeproszała, choć niektórzy wykrzykiwali za nią wyzwiska.

Nic jej to nie obchodziło. To była sprawa życia albo śmierci.

Czuła, że jeśli obejrzy się za siebie, skończy się to katastrofą. Samochód nadal był tuż za nią. Pochyliła głowę i pobiegła szybciej, modląc się, żeby zdążyła opuścić ulicę, nim ją przejedzie.

Nagle źle stanęła i skręciła kostkę.

Potknęła się, straciła równowagę. Upadła ciężko na beton, chodnik nagle znalazł się tuż przy jej twarzy. Gołe kolana i dłonie przyjęły na siebie cały impet upadku, zdarła z nich skórę do krwi. Ostry ból spowodował, że do oczu napłynęły jej łzy, ale nie zwracała na nie uwagi. Poderwała się z ziemi. Ledwie zdążyła wstać, kiedy ktoś złapał ją za ramię.

Z jękiem, panicznie wciągnęła powietrze w płuca.

- Nic pani nie jest? – Zobaczyła przed sobą posiwiałego robotnika miejskiego. Błyszczące w pomarszczonej twarzy oczy przesunęły się na jej kolana. – Oj, oj. Krwawi pani.

- Proszę mnie puścić!

- Nie widziała pani słupków? – wskazał kciukiem za siebie, na pomarańczowe stożki, które staranowała. – Ta część chodnika jest wyłączona z ruchu.

- Nic mi nie jest. Wszystko w porządku, naprawdę.

Ale robotnik nie puścił jej ramienia, uniemożliwiając jej dalszą ucieczkę. Obejrzała się gwałtownie i zobaczyła, jak ciemny sedan podjeżdża do rogu, na którym stała ledwie chwilę temu. Zatrzymał się przy krawężniku. Od strony kierowcy wysiadł wysoki, mocno zbudowany mężczyzna.

- o Boże. Proszę mnie puścić! – Gabrielle wyrwała się robotnikowi. Nie mogła oderwać wzroku od tego złowieszczyego samochodu. – Nie rozumie pan, gonią mnie!

- Kto? – Głos robotnika był pełen niedowierzania. Obejrzał się, żeby zobaczyć, na co patrzy i zaczął się śmiać. – Jego ma pani na myśli?? Proszę pani, to przecież burmistrz Bostonu!

- Co?

Ale to był prawda. Pod wpływem słów robotnika ujrzała scenę na rogu z innej perspektywy. Czarny sedan wcale jej nie gonił, tylko parkował, a kierowca wysiadł, żeby otworzyć drzwi pasażerowi. Z restauracji, w towarzystwie ubranych na czarno ochroniarzy, wyszedł burmistrz we własnej osobie. Wszyscy wsiedli na tylne siedzenie samochodu.

Gabrielle zamknęła oczy. Paliły ją dłonie i kolana, a choć serce nadal waliło jej jak oszalałe, cała krew i tak odpłynęła jej z głowy.

Czuła się jak kompletna idiotka.

- Myślała... - wymamrotała, patrząc, jak kierowca zatrząskuje drzwiczki, przechodzi na przód samochodu, wsiada i rusza.

Robotnik puścił jej ramię i poszedł sobie, kręcąc głową z politowaniem.

- Co z tobą mała? Zwariowałaś?

Cholera.

Nie miała go zauważyć! Otrzymał polecenie, żeby obserwować tę Maxwell, patrzeć, co robi, poznać jej zwyczaje i poinformować o wszystkim Pana. A przede wszystkim uniknąć zdemaskowania.

Wycedził przez zęby kolejne przekleństwo. Schował się w sieni jakiegoś budynku przy rynku, przycisnął ciasno plecy do drzwi klatki schodowej. Po chwili ostrożnie wyjrzał na ulicę.

Była tam, po drugiej stronie!

Z radością stwierdził, że odchodzi. Podążył wzrokiem za jej oddalającą się rudą

czupryną. Zwiesiła głowę, szła szybkim krokiem.

Zaczekał, aż zniknie mu całkiem z oczu, a potem wyszedł na ulicę i ruszył w przeciwnym kierunku. Lepiej wróci n komisariat, nim złączą go szukać.

Rozdział 10

Gabrielle zmoczyła nad zlewem w kuchni kolejny kawałek papierowego ręcznika. Kilka innych zużytych kawałków leżało już w zlewie. Zmywała nimi krew i brud z otartych dłoni i kolan. Miała na sobie tylko majtki i biustonosz. Nalała na ręcznik trochę mydła w płynie, po czym delikatnie przetarła otarcie na dłoniach.

- Uch – jęknęła i krzywiąc się, wyciągnęła ostry mały kamyk, który utkwił w ranie. Wrzuciła go do zlewu, do innych ziaren żwiru, które wyjęła z otarć.

Boże, ależ się urządziła.

Podarła sobie zupełnie nową spódnicę, a brzeg swetra zmechacił się od żwiru na chodniku. Ręce i kolana wyglądały jak u nastoletniego rozrabiaki.

I na dodatek zrobiła z siebie idiotkę.

Co się z nią u diabła działo, że tak spanikowała?

To był przecież burmistrz, na litość boską. Uciekała przed samochodem burmistrza, jakby się bała, że to...

Że to jakiś potwór?

Wampir.

Zamarła.

Usłyszała to słowo w myślach, choć nie śmiała go wymówić na głos. Tkwiło cały czas na skraju jej świadomości, od chwili tamtego zdarzenia przed klubem. Nie chciała go wypowiadać na głos, nawet w ciszy pustego mieszkania.

Wampiry to była obsesja jej szalonej matki, nie Gabrielle.

Nastoletnia NN, którą policja zabrała z ulicy, cierpiała na silne urojenia. Mówiła, że ścigają ją demony, które chcą wypić jej krew – to znaczy już zaczęły pić jej krew, przynajmniej tak tłumaczyła pochodzenie dziwnych ran na szyi. Dokumenty sądowe, które widziała Gabrielle, pełne były nieskładnych opowieści o spragnionych krwi potworach poruszających się po mieście.

Niemożliwe.

To było szaleństwo.

Jeśli pozwoli, żeby wyobraźnia wzięła górę nad rozsądkiem, pewnego dnia oszaleje, tak jak ona. Na szczęście była od niej mądrzejsza. A przynajmniej bardziej przy zdrowych zmysłach.

Boże, miejmy nadzieję, że rzeczywiście.

Widok tego chłopaka z komisariatu coś w niej obudził. Choć teraz, kiedy mogła wszystko przemyśleć na spokojnie, nie miała nawet pewności, że facet z parku to naprawdę ten, którego widziała na komisariacie.

A może to nie był on? Może poszedł do parku tak jak ona, zjeść lunch i nacieszyć się ładną pogodą? Nie ma zakazu. Może przyglądał się jej dlatego, że wydawała mu się znajoma, tak jak on jej? Może podszedłby do niej i się przywitał, gdyby nie zaszarżowała na niego jak jakaś paranoiczka, twierdząc, że ją śledzi?

Och, cudownie, pewnie wróci na komisariat i opowie kolegom, jak go goniła po Chinatown.

Po prostu umrze ze wstydu, jeśli Lucan kiedyś się o tym dowie.

Ponownie zajęła się przemyśleniami otarła na dłoniach, próbując wypchnąć z myśli wspomnienia tego dnia. Nadal była niespokojna, serce biło jej jak młotem. Tamowała wilgotnym ręcznikiem otarcia, przyglądając się cienkiej strużce krwi, która spływała po jej nadgarstku.

Jej widok uspokajał ją w jakiś dziwny sposób. Zawsze tak było.

Kiedy była młodsza, gdy presja stawała się zbyt wielka, gdy czuła, że dłużej już nie wytrzyma, wystarczyła niewielka ranka, by zmniejszyć napięcie.

Pierwsza powstała przypadkiem. Obierała jabłko w jednym z domów zastępczych i nóż jej się omskał. Przecięła sobie wnętrze dłoni u podstawy kciuka. Trochę bolało, ale kiedy z ranki poleciała strużka jasnego szkarłatu, nie poczuła paniki czy strachu.

Poczuła fascynację.

Oraz niezwykły... spokój.

Kilka miesięcy po tym zaskakującym odkryciu, znów się zacięła, tym razem celowo. Robiła to zawsze potajemnie i nigdy nie miała zamiaru się skrzywdzić, czy zadać sobie ból. Zaczęła ciąć się coraz częściej, zawsze gdy chciała poczuć ten niezwykły spokój.

Teraz też go potrzebowała. Była niespokojna i nerwowa jak kot, wsłuchiwała się z napięciem w ciszę w mieszkaniu i na zewnątrz. W uszach walił jej puls. Oddychała płytko i szybko przez zęby.

Jej myśli przeskakiwały od jaskrawych wspomnień morderstwa przed klubem, do tego strasznej zakłady psychiatrycznego, gdzie robiła zdjęcia i dziwnego, irracjonalnego strachu, jaki poczuła dziś po południu.

Potrzebowała odrobiny spokoju, musiała się na chwilę uwolnić od tego wszystkiego.

Choćby na kilka minut.

Jej wzrok spoczął na drewnianym pojemniku na noże stojącym na blacie. Wyciągnęła nóż. Od lat się nie cięła. Tak się starała opanować ten dziwny, wstydlivy przymus.

Czy naprawdę go pokonała?

Terapeuci i pracownicy społeczni byli przekonani, że tak. Podobnie jak Maxwellowie.

Ale ona sama miała wątpliwości. Przyłożyła nóż do nagiego przedramienia i ogarnęła ją mroczne pragnienie. Przycisnęła czubek noża do ciała, choć nie na Tyl mocni, żeby przeciąć skórę.

To była jej tajemnica – coś, z czego nigdy się nikomu nie zwierzyła, nawet Jamiemu, swojemu najlepszemu przyjacielowi.

Nikt by tego nie zrozumiał.

Ona sama ledwie to pojmowała.

Odrzuciła głowę do tyłu i wzięła głęboki wdech. Kiedy podczas wydechu przysunęła podbródek do klatki piersiowej, zobaczyła swoje odbicie w oknie nad zlewem. Twarz, która na nią patrzyła, była mizerna i smutna, oczy udręczone i nieufne.

- Kim jesteś? – wyszeptwała do tego odbicia w szybie. Stłumiła szloch. – Co jest z tobą nie tak?

Wrzuciła nóż do zlewu i cofnęła się gwałtownie, kiedy stał zadzwoniła o żeliwo.

Ciszę nocnego nieba nad starym zakładem psychiatrycznym przerwały miarowe uderzenia śmigiel helikoptera. Z nisko zawieszonych chmur wysunął się czarny colibri EC120 i lekko wylądował na lądowisku na dachu.

- Wyłącz silnik – polecił przywódca Szkarłatnych polotowi, który był jego sługą. – Zaczekaj tu, aż wrócę.

Wysiadł z kabiny, witany przez swego zastępcę. Był to paskudny typ, którego zwerbował na Zachodnim Wybrzeżu.

- Wszystko w porządku, Panie. – Grube brwi Szkarłatnego zbiegły się nad dzikimi, żółtymi oczami. Na jego wielkiej ogolonej głowie nadal było widać ślady po elektrodach, których jakieś pół roku temu użyli przedstawiciele Rasy podczas przesłuchania. Choć właściwie nikły wśród innych blizn. Szkarłatny uśmiechał się, obnażając długie kły. – Twoje dzisiejsze dary zostały bardzo dobrze przyjęte. Wszyscy niecierpliwie czekają na twoje przybycie.

Przywódca, którego oczy kryły się za ciemnymi okularami, skinął lekko głową i niespiesznie ruszył za przewodnikiem do budynku. Wsiedli do windy, która miała ich zawieść do serca posiadłości. Zjechali głęboko pod ziemię, a następnie ruszyli skomplikowaną siecią

tuneli, prowadzących do gniazda Szkarłatnych.

Mężczyzna nie mieszkał tutaj. Wolał prywatną kwaterę w Bostonie, skąd od kilku tygodni nadzorował operacje, rozpoznawał przeszkody i oceniał swoje zasoby na terytorium, które zamierzał kontrolować. To miał być jego pierwszy występ publiczny – prawdziwe wydarzenie dla Szkarłatnych. Właśnie tak to sobie zaplanował.

Nie zwykł mieszkać się z pospólstwem. Wampiry, które stały się Szkarłatnymi, były prymitywne i niewybredne, a on w ciągu swojego długiego życia nauczył się cenić finezję. Ale musiał się im pokazać, choćby na krótko. Musiał przypomnieć tym bestiom, komu służą, musiał dać im przedsmak tego, co zdobędą, jeśli wypełnią misję. Oczywiście nie wszyscy przeżyją. Cóż, każda wojna ma swoje ofiary.

A to właśnie wojnę chciał im dziś zaproponować.

Koniec z drobnymi konfliktami. Koniec bratobójczych walk wśród Szkarłatnych, koniec z bezsensownymi aktami prywatnej zemsty. Połączą siły i otworzą nowy rozdział starego konfliktu, który na zawsze podzielił społeczność wampirów na dwie części. Rasa panowała już zbyt długo, zawarłszy niepisany układ z niższymi istotami. Zbyt długo próbowała wyeliminować Szkarłatnych.

Obie frakcje wampirzej społeczności nie różniły się zbyt wiele. Osobniki, które były ogarnięte nałogiem, od wampirów zaspokajających swe pragnienie by przeżyć odróżniały jedynie sposób działania i ilość wypitej krwi. Zaledwie kilkadziesiąt mililitrów więcej.

Od czasów Prastarych wampiry geny uległy rozwodnieniu, gdyż nowe pokolenia wampirów parzyły się z ludzkimi Dawczyniami Życia i płodziły dzieci. Ale żadna ilość marnych ludzkich genów nie zdoła zdominować silniejszych genów wampirzych. Nałóg krwi będzie prześladować Rasę do końca jej dni.

Przywódca nadchodzącej wojny był zdania, że można albo walczyć z tą wrodzoną skłonnością albo wykorzystać ją dla własnych celów.

Zatrzymał się na końcu korytarza, gdzie przez ścianę dobiegał dudniący rytm głośnej muzyki. Czuł, jak podłoga drży pod jego stopami. Za podwójnymi drzwiami z odrapanej stali trwała zabawa. Na widok przywódcy stojący na warcie Szkarłatny opadł ciężko na jedno kolano.

- Panie – powiedział. W jego głosie słychać było szacunek. Zachowanie świadczyło o uległości. Nie śmiał podnieść głowy, by spojrzeć w ukryte za ciemnymi okularami oczy. – Mój Panie, czynisz mi zaszczyt.

Istotnie, czynił im zaszczyt. Skinął lekko głową strażnikowi, a ten wstał i otworzył przed nim drzwi. Oczom przywódcy ukazała się hałaśliwa orgia. Ruchem ręki odprawił

zastępcę, chcąc w samotności obserwować zebranych.

To była orgia krwi, seksu i muzyki. Gdziekolwiek spojrzeł, Szkarłatni pieprzyli się albo oddawali nałogowi, pożywiając się kobietami i mężczyznami, bez różnicy. Dla ludzi był to akt niemal bezbolesny, bez względu na to, czy przyszli tu z własnej woli czy nie. Większość nosiła ślady po co najmniej jednym ugryzieniu, wyssano im akurat tyle krwi, by czuli rozkosz i zawroty głowy. Niektórych wykorzystano bardziej – ci siedzieli na kolanach Szkarłatnych jak bezwładne marionetki, czekając, aż ich krew zostanie wyssana do ostatniej kropli.

Ale czego innego można było się spodziewać, wprowadziwszy owieczki między bestie?

Kiedy przedzierał się przez tłum, dłonie zaczęły mu się pocić, a członek ukryty w starannie odprasowanych, szytych na miarę spodniach stwardniał. Czuł bolesne pulsowanie dziąseł, ale przygryzł język, usiłując powstrzymać wysuwanie się kłów. Wiedział, że jedno i drugie to tylko naturalna reakcja na otaczające go podniety erotyczne.

Wabił go zapach seksu i krwi – znał to wezwanie, choć należało do jego bardzo odległej przeszłości. Och, jasne, że dobre rżnięcie i soczysta żyła nadal sprawiały mu przyjemność, ale takie potrzeby nie brały już nad nim góry. Miał za sobą trudną drogę, ale ostatecznie to on wygrał.

Był teraz Panem, chwilowo tylko siebie, ale już wkrótce na dużo większą skalę.

Zaczyna się nowa wojna i to on sprowadzi Armagedon. Zebrał armię, doskonalił metody, zdobywał sojuszników, których poświęci bez chwili wahania na ołtarzu osobistych zachcianek. Wywrze krwawą zemstę na wampirzej społeczności, a ludzki świat będzie istnieć tylko po to, żeby służyć jego rodzajowi.

Kiedy ta wielka wojna dobiegnie końca, kiedy opadnie pył, nikt nie stanie mu już na drodze.

Będzie królem, zgodnie z prawem urodzenia.

- Mmm... Hej, przystojniaku... Chodź, zabaw się ze mną.

Ponad hałasem muzyki dotarło do jego uszu chrapliwe zaproszenie. Z płątaniny nagich giętkich ciał uniosła się kobieta i kiedy ją mijał, chwyciła go za udo. Zatrzymał się, popatrzył na nią ze zniecierpliwieniem. Pod rozmazanych makijażem widać było cień urody, ale jej umysł całkowicie pogrążył się w delirium. Dwie strużki krwi spływały po jej ładnej szyi, na sutki idealnych piersi. Miała ślady po ugryzieniach na całym ciele: na ramionach, na brzuchu i po wewnętrznej stronie ud, tuż poniżej wąskiego paska włosów łonowych.

- Przyłącz się do nas – nalegała, wyplątując się z lasu rąk i nóg oraz objęć wyjących,

rozpalonych Szkarłatnych. Była wyssana niemal do sucha, jeszcze kilka mililitrów a umrze z upływu krwi. Jej oczy były szkliste, nie potrafiła skupić wzroku, ruchy miała powolne, jakby jej kości zmieniły się w gumę. – Mam to czego pragniesz. Nakarmię i ciebie. Choć, spróbuj, jak smakuje.

Bez słowa odczepił jej blade, powalane krwią palce od kosztownego materiału spodni.

Po prostu nie był w nastroju.

I – podobnie jak każdy szanujący się sprzedawca – nigdy nie tykał własnego towaru.

Położył dużą dłoń płasko do jej piersi i pchnął ją z powrotem w splątaną kupę ciał. Zapiszczała, kiedy jeden ze Szkarłatnych chwycił ją brutalnie i ułożył odpowiednio, żeby wziąć ją od tyłu. Jęczała i wrzeszczała, kiedy ją brał, ale wkrótce zamilkła, gdyż wampir zatopił swe wielkie zęby w jej szyi i wyssał z niej resztę życia.

- Cieszcie się nagrodą! – zawołał ten, który miał zostać królem. Jego głęboki głos zadźwięczał czysto ponad zwierzęcymi odgłosami i łomotem muzyki. – Noc jest jeszcze młoda. Wkrótce dowiecie się, co jeszcze wam dam!

Rozdział 11

Lucan ponownie zapukał do drzwi mieszkania Gabrielle.

Nadal żadnej odpowiedzi.

Stał na progu od pięciu minut, czekając, aż otworzy te cholerne drzwi i zaprosi go do środka albo przeklnie zza licznych zamków i powie mu, żeby spadał.

Po tym, co z nią robił zeszłej nocy, nie był pewien, której reakcji powinien się spodziewać. Zapewne gniewnej odprawy.

Ponownie zapukał, na tyle głośno, że pewnie usłyszeli go sąsiedzi, ale za drzwiami mieszkania Gabrielle nie słychać było żadnego ruchu. Tylko cisza. Zbyt wielka cisza.

Była w środku. Wyczuwał ją za dzielącymi ich ścianami z drewna i cegieł. I wyczuwał również krew – niedużo, za to gdzieś niedaleko drzwi.

Co jest?!

Była w środku. Ranna.

- Gabrielle!

Choć niepokój płynął w jego żyłach zamiast krwi, uspokoił umysł na tyle, by samą jego siłą zdjąć łańcuch i otworzyć podwójną zasuwę zamykającą drzwi. Powoli, z wysiłkiem zmusił zamek do ustąpienia. Łańcuch spadł z metalowym brzękiem.

Otworzył z rozmachem drzwi, jego buty załomotały na wyłożonej płytkami podłodze. Na środku przedpokoju leżała torba fotograficzna Gabrielle, tam gdzie ją upuściła w pośpiechu. Jego nozdrza napełnił słodki, jaśminowy zapach krwi Gabrielle. Zauważył na podłodze małe, szkarłatne plamy.

W powietrzu unosił się kwaśny zapach strachu. Zaczynał już wietrzeć, miał co najmniej kilka godzin, ale wisiał w powietrzu jak mgła.

Lucan przeszedł szybko przez salon do kuchni, tam gdzie prowadziły ślady krwi. Kiedy mijał stolik, jego wzrok padł na stos fotografii.

To były próbne odbitki, dziwaczny zbiór bez ładu i składu, Niektóre rozpoznał, należały do serii, którą nazwała *Miasto Odnowione*. Ale kilku jeszcze nie widział. Albo nie przyjrzał im się na tyle uważnie, by je zauważyć.

Za to zauważył je teraz.

Do diabła.

Stary magazyn w porcie. Opuszczona papiernia pod miastem. Kilka innych

zakazanych miejsc, w które żaden człowiek przy zdrowych zmysłach – nie wspominając już o kobiecie – nigdy nie powinien się zapuszczać.

Gniazda Szkarłatnych.

Niektóre opuszczone, po akcjach Lucana i jego to wojowników, ale inne nadal zaniedbane. Rozpoznał kilka, które Gideon miał pod obserwacją. Przejrzał odbitki, zastanawiając się, ile jest na nich gniazd Szkarłatnych, o których istnieniu wojownicy nie mieli pojęcia.

- Jezu Chryste – wyszeptał przez zaciśnięte zęby.

Zrobiła nawet zdjęcia miejscowych mrocznych przystani – obskurne wejścia i zniechęcający wygląd chroniły siedziby Rasy zarówno przed wścibskimi ludźmi, jak i przed Szkarłatnymi.

A jednak Gabrielle znalazła wszystkie te miejsca. W jaki sposób?

Z pewnością nie przypadkiem. Musiał ją prowadzić jej niezwykły instynkt. Już dowiodła, że jest odporna na zwykłe sztuczki wampirów – hipnozę, iluzje, kontrole umysłu – a teraz znowu to.

Lucan zaklął i włożył kilka zdjęć do kieszeni skórzanej kurtki, a resztę rzucił na stół.

- Gabrielle?

Wszedł do kuchni i odkrył coś jeszcze bardziej niepokojącego.

Zapach krwi Gabrielle był tu zdecydowanie mocniejszy, unosił się ze zlewu. Na widok jego zawartości Lucan zamarł, czując, jak zimna obręcz zaciska się wokół jego serca.

Wyglądało zupełnie tak, jakby ktoś próbował posprzątać miejsce zbrodni i marnie mu to poszło. Liczne kawałki mokrego papierowego ręcznika. Różowe od krwi, a obok duży nóż wyjęty z drewnianego pojemnika na bufecie.

Podniósł nóż i mu się przyjrzał. Nie, nie był używany. Ale krew w zlewie i ślady prowadzące z przedpokoju do kuchni należały do Gabrielle.

I podarte ubrania, rzucone nieporządnie na podłogę. One również pachniały krwią.

Boże, jeśli ktoś ją tknął...

Jeśli coś jej się stało...

- Gabrielle!

Wśluchał się w swoje wyostrzone zmysły i zszedł do suterenu. Nie zapalił światła – w ciemności widział najlepiej. Zbiegają po schodach, wołał jej imię.

Tu zapach Gabrielle był najsilniejszy. Lucan stanął przed kolejnymi zamkniętymi drzwiami, uszczelnionymi starannie, by nie wpuszczać światła z zewnątrz. Spróbował je otworzyć, zatrząsł słabym zamkiem.

- Gabrielle! Słyszysz mnie? Kochanie, otwórz drzwi!

Nie czekał na odpowiedź. Nie miał cierpliwości ani ochoty skupić się i otwierać pracowicie zasuwki. Z pomrukiem wściekłości wparł się barkiem w drzwi i wpadł do środka.

Natychmiast odszukał ją wzrokiem w pozbawionej światła ciemni. Siedziała skulona na podłodze, naga poza koronkowym stanikiem i stringami. Na hałas otwieranych drzwi obudziła się z gwałtownym wzdrygnięciem.

Uniosła głowę. Powieki miała obrzęknięte od łez. Musiała tu płakać od dłuższego czasu. Wyczuł jej wyczerpanie, wydawała się taka maleńka, taka delikatna.

- O Boże, Gabrielle – szepnęła, przykucając przy niej. – Co ty tu u diabła robisz? Czy ktoś cię skrzywdził?

Pokręciła lekko głową, ale nic nie powiedziała. Trzęsącą się ręką odgarnęła włosy z twarzy, próbując zobaczyć go w ciemności.

- Jestem tylko...zmęczona. Potrzebowałam ciszy... spokoju.

- Więc zamknęłaś się tutaj? – Odetchnął ze świstem, pełen ulgi, choć świadom, że na jej ciele znajdują się obrażenia, które dopiero niedawno przestały krwawić. – Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

Kiwnęła głową, pochylając się ku niemu w ciemnościach.

Zmarszczył brwi i pogładził ją ręką po włosach. Wzięła jego gest za zaproszenie i wtuliła się w jego ramiona jak dziecko, potrzebujące ciepła i pociechy. To niedobrze, że tak naturalnie się czuł, trzymając ją w ramionach, że tak silnie odczuwał potrzebą zapewnienia jej bezpieczeństwa. Chronienia jej, jakby była jego.

Tylko jego.

To niemożliwe, napomniął się w myślach. Więcej niż niemożliwe, to niedorzeczne.

Spojrzał na nią, na tę zwiniętą w kłębek, ciepłą i piękną kobietę, która tuliła się do niego niemal naga. Nie wiedziała nic o niebezpiecznym świecie, w którego sprawy została uwikłana – ani o tym, że mężczyzna, który ją w tej chwili przytulał, był śmiertelnie niebezpiecznym wampirem.

Był najgorszym kandydatem do zapewnienia tej Dawczyni Życia bezpieczeństwa, ponieważ nawet najłżejszy cień jej zapachu wzmagał w nim pragnienie krwi. Pogładził jej szyję i ramię, próbując zignorować równe bicie pulsu, które wyczuwał pod palcami. Z całych sił odsuwał od siebie wspomnienia poprzedniej nocy i pożądanie, które domagało się, by ją znów posiadał.

- Mmm, jak dobrze – wymruczała w jego pierś. Jej głos przypominał senny pomruk i wzbudzał w nim kolejną falę żądz. – To kolejny sen.

Jęknął, niezdolny odpowiedzieć. To nie był sen, a on wcale nie czuł się komfortowo. Wręcz przeciwnie, czuł się raczej jak prastara, dzika bestia. A tymczasem Gabrielle przytuliła się do niego jeszcze mocniej, niewinna i ufna.

Potrzebował czegoś, co rozproszyłoby jego uwagę i znalazł to szybciej, niż się spodziewał. Kiedy uniósł wzrok ponad jej głowę, wszystkie mięśnie jego ciała napięły się gwałtownie.

Zobaczył kolejne zdjęcia Gabrielle, zawieszane na sznurku do wyschnięcia. Kilka całkiem niewinnych widoków oraz kolejna porcja fotografii wampirzych siedzib.

Na litość boską, zrobiła nawet zdjęcie jego własnej kwatery! W dzień, z drogi prowadzącej do bramy wjazdowej. Trudno było pomylić tę wielką bramę z kutego żelaza, za którą ciągnął się długi podjazd prowadzący do pilnie strzeżonej rezydencji, niedostępnej dla zwykłych śmiertelników.

Gabrielle musiała stanąć dokładnie przed bramą, żeby zrobić takie zdjęcie, Sądząc z wyglądu drzew, fotografia nie miała więcej niż kilka tygodni. Była tam, zaledwie kilkaset metrów od miejsca, gdzie mieszkał!

Nigdy nie wierzył w coś takiego jak przeznaczenie, ale najwyraźniej ich ścieżki musiały się wcześniej czy później przeciąć.

Jasne. Przydałyby mu się jeszcze czarny kot i fusy do wrózenia.

Proszę, jakie ma szczęście. Po wiekach lekceważenia przesądów i walki z własnymi przeczuciami, nagle przeznaczenie postanowiło się nim zainteresować.

- Już dobrze – powiedział, choć jego zdaniem wcale nie było dobrze. – Chodźmy na górę, ubierzesz się, a potem porozmawiamy. – Nim zupełnie go rozbroi widok tych cieniutkich skrawków koronki i jedwabiu na jej ciele.

Wziął ją na ręce, wyszedł z ciemni i ruszył po schodach na górę. Kiedy tulił ją w objęciach, jego wyostrzone zmysły rejestrowały szczegóły jej obrażeń. Świeże otarcia na dłoniach i kolanach, skutek paskudnego upadku.

Uciekała przed czymś – albo przed kimś – kiedy się przewróciła. Krew zawrzała mu w żyłach, chciał wiedzieć, kto ją skrzywdził. Ale na to przyjdzie czas. Teraz najważniejsze było samopoczucie Gabrielle.

Przeniósł ją na rękach przez salon, a potem po schodach do sypialni na górze. Zamierzał pomóc jej się ubrać, ale kiedy mijał łazienkę zmienił zdanie. Musieli porozmawiać, a pewnie będzie to łatwiejsze po ciepłej kąpieli.

Wszedł do łazienki. Mała lampka nocna zapewniała przyćmione światło, akurat takie jak lubił. Przysiadł na brzegu wanny, sadzając sobie Gabrielle na kolanach.

Rozpiął umieszczone naprzodzie zapięcie jedwabnego biustonosza i nagle jego rozgorączkowanym oczom ukazały się jej piersi. Ręce aż świerzbiły go, żeby ich dotknąć. Uległ tej pokusie, przesunął palcami po ich cudownej wypukłości, przycisnął kciukiem ciemnoróżowe sutki.

Niech Bóg ma go w swojej opiece, wystarczył cichy jęk rozkoszy, by jego członek stał się boleśnie twardy.

Przesunął ręką niżej, dotknął kawałka jedwabiu, który okrywał jej pleć. Jego ręce były zbyt duże, zbyt niezgrabne, ale jakoś udało mu się zsunąć jej majtki z długich nóg.

Krew popłynęła mu w żyłach, kiedy napawał się widokiem jej nagiego ciała.

Może powinien poczuć się winny, że tak bardzo jej pożąda, choć jest w takim stanie. Nie należał przecież do ludzi poddających się podobnym uczuciom. Zresztą już się przekonał, że wszelkie próby zachowania nad sobą kontroli w obecności tej kobiety z góry były skazane na niepowodzenie.

Na brzegu wanny stała butelka z płynem do kąpieli. Dodał go obficie do leżącej z kranu wody, a kiedy pojawiła się piana, ostrożnie opuścił Gabrielle do ciepłej kąpieli. Jęknęła cicho, kiedy zanurzyła się w pianę; czuł, jak jej ciało się rozluźnia. Oparła się o ręcznik, który powiesił na obrzeżu wanny, żeby nie musiała się opierać plecami o zimną porcelanę.

Mała łazienka wypełniła się parą i słabym zapachem jaśminu, który roztaczała wokół siebie.

- Wygodnie? – zapytał, zdejmując kurtkę i rzucając ją na umywalkę.

- Uhm – wymruczała.

Nie mógł się powstrzymać od dotykania jej ciała. Lekko pogładził jej ramiona.

- Zanurz się i zamocz włosy. Umyję ci głowę.

Pozwoliła, żeby zanurzył jej głowę. Kiedy się wynurzyła, jej rude włosy nabrały ciemniejszego koloru kasztanu. Milczała przez długą chwilę, wreszcie otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego, jakby właśnie odzyskała przytomność i zaskoczył ją jego widok.

- Cześć.

- Cześć.

- Która godzina? – spytała, przeciągając się i ziewając.

Wzruszył ramionami.

- Koło ósmej, jak sądzę.

Zanurzyła się głębiej i z pomrukiem rozkoszy zamknęła oczy.

- Zły dzień?

- Nie najlepszy.

- Domyśliłem się. Twoje ręce i kolana mówią same za siebie. – Zakręcił wodę. Wziął butelkę szamponu i wylał trochę na dłoń. – Opowiesz mi, co się stało?

- Wolałabym nie. – Między jej brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka. – Zrobiłam dziś po południu coś głupiego. Niedługo pewnie i tak się o tym dowiesz.

- Od kogo? – spytał, pocierając dłonie, żeby szampon zaczął się pienić.

Kiedy zaczął wmasowywać jej pianę we włosy, otworzyła jedno oko i rzuciła mu spojrzenie z ukosa.

- Ten chłopak z komisariatu jeszcze nic nie powiedział?

- Jaki chłopak?

- ten, który zajmuje się u was archiwum. Wysoki, chudy, taki zwyczajny. Nie wiem, jak się nazywa, ale jestem prawie pewna, że pracował tej nocy, kiedy składałam zeznania. Dziś zobaczyłam go na Common. Myślałam, że mnie obserwuje, a w zasadzie... - Urwała i pokręciła głową. – W zasadzie to ścigałam go jak wariatka i oskarżyłam, że mnie szpieguje.

Ręka Lucana znieruchomiała na jej włosach. Ocknął się w nim instynkt wojownika.

- Co zrobiłaś?

- No wiem – powiedziała, wyraźnie źle odczytując jego reakcję. Przesunęła ręką po powierzchni piany. – Mówiłam ci, że to było głupie. Goniłam biedaka aż do Chinatown.

Choć Lucan nic nie powiedział, był pewien, że instynkt jej nie zwiódł, że ktoś naprawdę obserwował ją w parku. Ponieważ działo się to w środku dnia, nie mógł to być żaden ze Szkarłatnych – dzięki Bogu i za to – choć człowiek, który im służył, mógł być równie niebezpieczny. Szkarłatni mieli swoich sługusów we wszystkich zakątkach świata. Byli to ludzie zamienieni w niewolników przez ugryzienie silnego wampira. W procesie przemiany tracili świadomość i wolną wolę, a ich miejsce zajmowało bezwzględne posłuszeństwo.

Lucan w zasadzie nie miał wątpliwości, że człowiek, który obserwował Gabrielle, robił to na zlecenie Szkarłatnego, który go kontrolował.

- Czy ten ktoś cię skrzywdził? Czy przez niego się przewróciłaś?

- Nie, nie, to była moja wina. Spanikowałam. Zgubiłam się w Chinatown i nagle zaczęło mi się wydawać, że ściga mnie jakiś samochód. Myliłam się.

- Skąd możesz mieć pewność?

Rzuciła mu zmieszane spojrzenie.

- Ponieważ to był samochód burmistrza. Myślała, że mnie goni i zaczęłam uciekać. A ukoronowaniem tego pięknego dnia był upadek na samym środku zatłoczonej ulicy. A potem powrót do domu z zakrwawionymi rękami i kolanami.

Zaklął cicho, kiedy dotarło do niego, jak blisko otarła się o niebezpieczeństwo. Na miłość boską, w pojedynkę ściagała sługę! Ta myśl przeraziła go bardziej, niż gotów był przyznać.

- Musisz mi obiecać, że będziesz uważać – powiedział. Wiedział, że mówi karcącym tonem, ale nie miał ochoty na uprzejmości w sytuacji, gdy taka nierozwaga mogła ją kosztować życie. – Jeśli jeszcze raz coś takiego się powtórzy, musisz mi powiedzieć.

- To się już się nie powtórzy, ponieważ to był błąd. I wybaczone, ale nie miałam ochoty wydzwaniać w tej sprawie ani na komisariat, ani do ciebie, ani do kogokolwiek innego. Pewnie by się ubawili, gdybym im powiedziała, że śledził mnie jeden z ich pracowników!

Cholera. Nakłamała jej, że jest gliną i teraz to kłamstwo obracało się przeciwko niemu. Co gorsza, mogło ją wystawić na niepotrzebne niebezpieczeństwo, gdyby zadzwoniła na komisariat, szukając „detektywa Thorne’a” i zwróciła na siebie uwagę.

- Dam ci numer mojej komórki. Zawsze będziesz mogła się ze mną skontaktować. Chcę, żebyś dzwoniła bez względu na porę, rozumiesz?

Kiwnęła głową. Lucan odkręcił kran, zaczerpnął wody w dłonie i polał nią jej jedwabiste, płomienne włosy.

Zły na siebie, złapał z półeczki myjkę i zmoczył ją pod kranem.

- Pokaż kolano – poleciał.

Uniosła nogę. Wziął w rękę jej stopę i zaczął delikatnie obmywać zranione miejsce. To było tylko otarcie, ale znów zaczęło krwawić, kiedy woda je zamoczyła. Zaciśnął zęby, kiedy po jej skórze popłynęły pachnące rozkosznie szkarłatne stróżki, spływając prosto w pianę.

Oczyścił oba jej kolana, po czym gestem nakazał, by pokazała ręce. Nie ufał sobie na tyle, by coś powiedzieć – widok nagiego ciała Gabrielle i zapach jej świeżej krwi po prostu zwałała z nóg.

Skupił się na oczyszczaniu otarć na jej dłoniach, boleśnie świadomy, że obserwuje każdy jego ruch. Puls na jej nadgarstku bił szybko pod jego palcami.

Ona też go pragnęła.

Kiedy zaczął cofać rękę, drgnęła lekko w proteście. Wówczas zauważył coś niepokojącego – liczne, ledwie widoczne ślady na jej jedwabistej, brzoskwiniowej skórze. To były blizny, maleńkie przecięcia po wewnętrznej stronie przedramion. Jeszcze więcej miała ich na udach.

Przecięcia brzytwą.

Jakby w dzieciństwie poddawano ją jakimś piekielnym torturom.

- Jezu Chryste. – Poderwał głowę, żeby na nią spojrzeć, a na jego twarzy z pewnością malowała się furia. – Kto ci to zrobił?

- To nie to, co myślisz.

Nie zamierzał odpuszczać tej sprawy.

- Więc wyjaśnij.

- To nic ważnego. Zapomniałam...

- Powiedz mi, kto to, do diabła, a przysięgam, że uduszę skurwysyna gołymi rękami...

- To ja sama – wykszusiła. – Ja to zrobiłam. Nikt mi tego nie zrobił.

- Co? – Chwycił ją za cienki nadgarstek i ponownie obrócił jej rękę, żeby przyjrzeć się ledwie widocznej sieci cieniutkich blizn. – Ty to sobie zrobiłaś? Dlaczego?

Wyrwała dłoń z jego uścisku i zanurzyła obie ręce pod wodę, jakby chciała je ukryć przed jego wzrokiem.

- Nie wiem... - Wzruszyła ramionami. Unikała teraz jego spojrzenia. – Nie robiłam tego od bardzo dawna. Pokonałam to.

- I to dlatego w zlewie na dole leży nóż?

Spojrzenie, jakie mu rzuciła, było pełne bólu. Nie podobało jej się, że wtrąca się w jej życie. Ale chciał zrozumieć. Nie potrafił sobie tego wyobrazić, co mogło ją skłonić do takiego czynu.

I to nie jeden raz.

Zmarszczyła brwi, przyglądając się uważnie znikającej już pianie.

- Słuchaj, a możemy zmienić temat? Ja naprawdę nie chcę o tym rozmawiać i...

- Może powinnaś o tym porozmawiać.

- Och, oczywiście. – Zaśmiała się z goryczą. – A może od razu zasugeruje pan, detektywie Thorne, że powinnam podjąć terapię? Nie sądzi pan, że powinnam zostać zamknięta w zakładzie, gdzie dla mojego własnego dobra naćpają mnie lekami i będą uważnie obserwować?

- Czy to ci się przydarzyło?

- Ludzie mnie nie rozumieją. Nigdy nie rozumieli. Ja sama czasami siebie nie rozumiem.

- Czego nie rozumiesz? Że czujesz potrzebę zadawania sobie bólu?

- Nie, to nie o to chodzi. To nie dlatego to robiłam.

- Więc dlaczego? Dobry Boże, Gabriele, masz tu ze sto blizn!

- Nie robiłam tego z powodu bólu. Zresztą to wcale nie bolało. – Zaczerpnęła tchu, wypuściła powietrze przez zęby. Zabrało jej chwilę, nim znów mogła mówić. A kiedy już

zaczęła, Lucan patrzył tylko na nią pełnym zaskoczenia milczeniu. – Nigdy nie chodziło o sprawianie bólu, nikomu. Nie odreagowywałam w ten sposób traumatycznych przeżyć ani nie próbowałam uciekać przed krzywdą, jaką mi uczyniono. Choć tak twierdzili tak zwani eksperci. Cięłam się, ponieważ... to mnie uspokajało. Krew mnie uspokajała. Nie musiało jej być dużo, wystarczyła mała płytką ranka. Kiedy zaczynałam krwawić, wszystko, co wydawało mi się dziwne i nie na miejscu, nagle zaczynało być... normalne.

Wytrzymała jego wzrok, zupełnie jakby gdzieś w niej otworzyły się jakieś drzwi i pozbyła się wielkiego ciężaru. Lucan uświadomił sobie, że właśnie tego był tu świadkiem. Cóż, nadal brakowało jej jednej kluczowej informacji, dzięki której zrozumiałaby wszystko. Nie wiedziała, że jest Dawczynią Życia.

Nie wiedziała, że pewnego dnia stanie się na wieki partnerką jednego z członków Rasy, że dzięki niemu pozna świat niepodobny do tego, który zna. Że ten mężczyzna otworzy jej oczy na rozkosz, jaka możliwa jest tylko w związkach przypieczętowanych krwią.

Poczuł, że nienawidzi tego nieznanego wampira, który będzie miał zaszczyt ją kochać.

- Nie jestem szalona, jeśli tak właśnie o mnie myślisz.

Powoli pokręcił głową.

- Wcale tak nie myślę.

- Gardzę litością.

- Ja również – zapewnił, wyczuwając w jej słowach ostrzeżenie. – Ale ty nie potrzebujesz litości. Ani lekarstw i doktorów.

Wycofała się w siebie w chwili, gdy odkrył jej blizny, ale teraz poczuł jej wahanie, poczuł, że nieśmiało wraca zaufanie do niego.

- Nie należysz do tego świata – powiedział, a nie było to zwykłe mydlenie oczu, tylko prosty fakt. Wyciągnął rękę i ujął jej podbródek. – Jesteś zbyt niezwykła jak na życie, które prowadzisz. Sądzę, że o tym wiesz. Pewnego dnia wszystko nabierze sensu, obiecuję. Pewnego dnia zrozumiesz wszystko i odnajdziesz swoje prawdziwe przeznaczenie. Może ci w tym pomogę.

Znów pochylił się, żeby umyć jej ciało, ale świadomość, że go obserwuje, powstrzymała go. Jej ciepły uśmiech wywołał ból w jego piersi. Pod wpływem tej czułości ścisnęło go w gardle.

- O co chodzi?

Lekko pokręciła głową.

- Jestem zaskoczona, to wszystko. Nie sądziłam, że wielki twardy pan glina będzie potrafił tak romantycznie mówić o losie i przeznaczeniu.

To przypomnienie, że nadal wierzy w jego fałszywą tożsamość, sprawiło, że nieco się ocknął. Zanurzył myjkę w wodzie i pozwolił jej się unosić wśród mydlin.

- Może tylko tak plotę.

- Nie sędzę.

- Nie przypisuj mi tak wiele – powiedział, siląc się na swobodny ton. – Nie znasz mnie. Nie tak naprawdę.

- Ale chcę cię poznać. Tak naprawdę. – Usiadła w wannie, a mokre pasma włosów przylgnęły do jej nagiego ciała. Marzył, żeby to był jego język. Z wody wynurzyły się jej piersi, różowe sutki otoczone pianą były twarde jak pąki kwiatu. – Powiedz mi, gdzie przynależysz.

- Nigdzie. – To słowo zabrzmiało jak warknięcie, bliższe było prawdy, niż chciał się przyznać. Podobnie jak ona pogardzał litością, więc z ulgą przyjął to, że przygląda mu się raczej z ciekawością niż ze współczuciem. Przesunął palcem po ładnym, pokrytym piegami łuku jej nosa. – Z natury nigdzie nie pasuję. Nigdy do nikogo nie przynależałem.

- To nieprawda.

Gabrielle go objęła. Jej łagodne brązowe oczy wytrzymały jego spojrzenie, patrzyły na niego z taką samą czułością, z jaką on niósł ją tutaj z ciemni. Pocałowała go, a kiedy poczuł na wargach jej język, jego zmysły ogarnął odurzający zapach słodkiego kobiecego pożądania.

- Tak dobrze się mną dziś zająłeś... że teraz pozwól, żebym to ja zajęła się tobą. – Znów go pocałowała, a ruch jej miękkiego, zręcznego języczka wyrwał z jego gardła jęk rozkoszy. Kiedy wreszcie cofnęła usta, dyszała ciężko, a oczy błyszczały jej dzikim pożądaniem. – Masz na sobie za dużo rzeczy. Rozbierz się. Chcę cię tu mieć, w wannie.

Posłusznie zrzucił na podłogę buty, skarpetki, spodnie i koszulę. Nie miał na sobie nic poza tym. Stał przed nią zupełnie nagi.

Z pełnym wzwodem.

Starannie unikał patrzenia jej w oczy, wiedząc, że jego źrenice zwarzyły się już w pionowe szparki. Czuł bolesny ucisk, wysuwających się z dziąseł kłów, które ukrył za zaciśniętymi wargami. Gdyby w łazience było lepsze oświetlenie, ujrzalaby go teraz w całej jego drapieżnej chwale.

A to z pewnością zniszczyłoby nastrój.

Nie zamierzał ryzykować.

Jedno pchnięcie umysłu i mała żarówka lampki eksplodowała. Gabrielle drgnęła, słysząc cichy huk, ale gdy otoczyła ich ciemność, westchnęła rozkosznie. Jego uszu dobiegł cudowny plusk jej ciała w wannie.

- Włącz inne światło, jeśli chcesz.
- Znajdę cię i po ciemku – zapewnił, choć teraz mogły go zdradzić jedynie słowa.
- W takim razie zapraszam – powiedziała jego syrenka ukryta w ciepłej kąpieli.

Wszedł do wanny i się zanurzył. Najbardziej ze wszystkiego pragnął przyciągnąć ją do siebie, opasać się jej udami i wbić się w nią aż po nasadę jednym brutalnym pchnięciem. Ale chwilowo pozwolił jej nadawać tempo.

Zeszłej nocy przyszedł tu głodny, chciał tylko brać. Dziś zamierzał dawać.

Nawet gdyby ta zwłoka miała go zabić.

Gabrielle przysunęła się do niego, rozgarniając topniejącą pianę. Poczł na biodrach jej stopy, po chwili zaplotła nogi na jego pośladkach. Pochyliła się do przodu, jej palce odszukała pod wodą jego uda. Przez chwilę masowała ich napięte mięśnie, a potem przesunęła ręce wyżej, powolnym, rozkosznie dręczącym ruchem.

- Powinieneś wiedzieć, że zwykle się tak nie zachowuję.
- Nie jesteś aż tak gorąca, żeby spopielić u swoich stóp każdego faceta?

Roześmiała się cicho.

- Czy to właśnie czujesz?

Przesunął jej ręce na swój sterczący członek.

- A jak sądzisz?

- Sądzę, że jesteś zaskakujący. – Nie cofnęła ręk, kiedy je puścił. Zaczęła pieścić jego członek i jądra, potem leniwym ruchem zacisnęła palce wokół nabrzmiałej żołądki, która wynurzyła się ponad powierzchnię wody. – Nie przypominasz mężczyzn, których znam. Ale chodziło mi o to, że zwykle nie jestem taka... agresywna. Nie umawiam się często.

- Nie sypiasz często z mężczyznami?

Nawet w ciemności wyczuł jej rumieniec.

- Nie. Minęło już sporo czasu.

Nie chciał, żeby w jej łóżku znalazł się inny samiec, obojętne, człowiek czy wampir.

Nie chciał, żeby jeszcze kiedykolwiek kochała się z kimś innym.

I niech Bóg ma go w opiece, wytropi i wypatroszy tego sługę, który mógł jej dzisiaj zrobić krzywdę.

Ta myśl uderzyła go wraz z falą dzikiej zachłanności. Gabrielle zacisnęła mocno palce na jego członku, wyciskając z niego kropelkę lepkiej, przezroczystej cieczy. Kiedy wzięła go do ust i zaczęła ssać, napiął się jak cięciwa łuku.

Wypatroszenie tego sługi nie wystarczy, nie zaspokoi go nic prócz krwawego mordy.

Położył dłonie na ramionach Gabrielle. Doprowadzała go do szału tym, co robiła z

jego członkiem. Jej palce, jej wargi, jej język, jej oddech na jego nagim podbrzuszu... Brała go w usta coraz głębiej, czuł, że balansuje na skraju szaleństwa. Nigdy nie będzie miał dość. Kiedy się wycofała, zaklął.

- Chcę, żebyś we mnie wszedł – powiedziała, dysząc ciężko.

- Tak – jęknął. – O tak.

Jej wahanie wytrąciło go z równowagi. Obudziła tę jego część, która była bardziej dzikim Szkarłatnym niż czułym kochankiem.

- O co chodzi? – Zabrzmiało to niemal jak rozkaz.

- Czy nie powinniśmy... Wczoraj wszystko wyrwało się spod kontroli, nie zdążyłam wspomnieć o... Czy nie powinniśmy, no wiesz, użyć czegoś? – Jej skrępowanie cięło jego umysł jak nóż. Znieruchomiał, a ona odsunęła się od niego, jakby zamierzała wyjść z wanny. – Mam w pokoju kilka kondomów...

Nim zdążyła się unieść, złapał ją za nadgarstek.

- Nie mogę cię zapłodnić. – Dlaczego zabrzmiało to tak ostro? Przecież to szczerą prawdą. Tylko połączone krwią pary: Dawczyni Życia i wampir, którzy pili swoją krew mogły się rozmnażać. – Nie musisz się martwić o zabezpieczenia. Jestem zdrowy i nic, co tu zrobimy, nie będzie miało przykrych konsekwencji.

- Och, ja też jestem zdrowa. Mam nadzieję, że nie uważasz mnie za pruderyjną, że pytam...

Przyciągnął ją do siebie, uciszając długim pocałunkiem. Kiedy ich wargi rozdzieliły się powiedział:

- Sądzę, Gabrielle Maxwell, że jesteś bardzo inteligentną kobietą, która szanuje siebie i swoje ciało. A ja szanuję cię za to, że masz odwagę być ostrożna.

Wyczuł na wargach jej uśmiech.

- Nie chcę być ostrożna, kiedy jestem z tobą. Sprawiasz, że robię się szalona. Sprawiasz, że mam ochotę krzyknąć.

Położyła otwarte dłonie na jego klatce piersiowej i pchnęła go, aż oparł się o obrzeże wanny. Potem uniosła się i ustawiła nad jego pulsującym, nabrzmiętym krwią członkiem. Zaczęła przesuwając po nim sromem, prawie, ale tylko prawie! – przyjmując go w siebie.

- Chcę żebyś zaczął krzyknąć – szepnęła mu w ucho.

Lucan zajączkał z udręki niesionej przez jej zmysłowy taniec. Zacisnął pod wodą dłonie w pięści, żeby jej nie złapać i nie nabić na członek, który niemal eksplodował pożądaniem. A ona drażniła się z nim dalej, aż poczuł, jak wzbiera w nim wytrysk. Chryste, był gotów dojść sam, a ona nie przestawała się z nim drażnić!

- Gabrielle – jęknął, zaciskając zęby i odchylając w tył głowę. – Chcesz mnie zabić?

- Chcę usłyszeć twój krzyk – odparła zachęcająco.

I wtedy śliska brama do jej pochwy objęła sam czubek jego penisa.

Powoli.

Tak cholernie powoli.

Czuł, jak gotuje się w nim nasienie, zadrżał, gdy odrobina gorącej spermy wytrysnęła prosto w jej ciało. Zajęczał, nigdy dotąd nie był tak bliski utraty kontroli nad sobą. A Gabrielle brała go dalej, powoli. Drobne mięśnie jej pochwy zaciskały się na nim, opuszczała się coraz niżej, przyjmując go w sobie.

Nie mógł już tego znieść.

Odurzał go jej zapach, zmieszany z gorącą parą kąpieli i wonią seksu. Jej piersi podskakiwały na wysokości jego ust, niczym dojrzałe owoce, ale nie śmiał ich spróbować, kiedy tak słabo nad sobą panował. Pragnął je ssać, ale kły pulsowały boleśnie, domagając się krwi – a pobudzenie seksualne tylko wzmacniało głód.

Obrócił głowę w bok i wydał głośny okrzyk udreki, miał wrażenie, że potrzeba wejścia w Gabrielle zaraz doprowadzi go do szaleństwa. Zaklął przeciągle, a potem naprawdę zaczął krzyczeć, głośno, kiedy opadła ciężko na jego członek i wycisnęła z niego spermę do ostatniej kropli, błyskawicznie doganiając go własnym orgazmem.

Kiedy przestało mu dzwonić w uszach, a nogi odzyskały siłę na tyle, by móc go utrzymać, objął ją mocno i zaczął podnosić się z wody, nie pozwalając jej ześlizgnąć się z ponownie twardniejącego członka.

- Dokąd idziemy?

- Zabawiłaś się już. Teraz zabieram cię do łóżka.

Z głębokiego snu wyrwał Lucana ostry dzwonek komórki. Leżał w łóżku obok Gabrielle, oboje byli wyczerpani seksem. Spała u jego boku zwinięta w kłębek, ręce i nogi owinęła rozkosznie wokół jego ciała.

Jezu, jak długo spał? Musiało minąć kilka godzin. Zaskakujące, bo zawsze dręczyła go bezsenność.

Telefon zadzwonił ponownie, więc zerwał się z łóżka i ruszył do łazienki, gdzie zostawił kurtkę. Wyciągnął komórkę z kieszeni i przyjął połączenie.

- Tak?

- Hej. – To był Gideon, a jego głos brzmiał jakoś dziwnie. – Jak szybko możesz wrócić do kwatery?

Lucan obejrzał się przez ramię. Gabrielle siedziała na łóżku, półprzytomna, nagie biodra owinięta zmiętymi prześcieradłami. Włosy miała rozczochrane. Nigdy w życiu nie widział równie ponętnego widoku. Może to lepiej, że zaraz wychodzi, nim jeszcze wstanie słońce.

Z trudem oderwał od niej wzrok.

- Jestem niedaleko – warknął w telefon. – Co się dzieje?

Na drugim końcu linii zapadła długa cisza.

- Coś się stało. Coś złego. – Znowu cisza, a potem nagle zwykły spokój. Gideon zniknął. – O cholera! Jeden z wojowników nie żyje.

Rozdział 12

Rozpaczliwy płacz kobiety dotarł do uszu Lucana, gdy tylko wysiadł z windy, którą zjechał do podziemi kwatery. Jej jęki rozdzierały mu serce. Cierpienie Dawczyni Życia było ogromne, namacalne, słychać je było w długim korytarzu.

Lucan czuł się przytłoczony stratą, choć nie wiedział jeszcze, który z wojowników zginął dziś w nocy. Nie śmiał zgadywać. Szedł szybko, niemal biegł w kierunku ambulatorium, dokąd wezwał go kilka minut temu Gideon. Skręcił za róg i zobaczył, jak Savannah prowadzi zawodzącą Danikę do jednego z pokoi.

Na nowo poczuł szok.

A więc to Conlan odszedł. Wielki Szkot, wesoły i honorowy. Nie żył, a wkrótce zamieni się w proch.

Jeżu, ledwie mógł pojąć tę straszną prawdę.

Zatrzymał się, z szacunkiem skłaniając głowę przed wdową. Danika trzymała się z całej siły Savannah, jakby tylko jej silne śniade ramiona powstrzymywały ją przed poddaniem się rozpaczy.

Nie była zdolna odpowiedzieć na pozdrowienie Lucana, ale Savannah kiwnęła lekko głową.

- Czekają na ciebie w środku – powiedziała cicho, a jej ciemne oczy błyszczały od łez.
– Potrzebują twojej siły i przywództwa.

Lucan uklonił się jej krótko, a potem wszedł do ambulatorium.

Stąpił cicho, nie chcąc zakłócić powagi chwil, które spędzą, czuwając przy zwłokach. Conlan odniósł niezwykle ciężkie obrażenia – nawet z drugiego końca Sali Lucan wyczuwał wielką utratę krwi. Jego nozdrza napełnił paskudny zapach prochu, wyładowania elektrycznego, stopionego metalu i spalonego ciała.

To była eksplozja. Conlan musiał się znaleźć w samym jej centrum.

Jego zwłoki leżały na przykrytym całunem stole, były obnażone, wyjąwszy szeroki pas haftowanego białego jedwabiu, którym przykryto podbrzusze. Nim Lucan zjawił się w kwaterze, ciało Conlana zostało wymyte i namaszczone pachnącą oliwą, gotowe do ceremonii pogrzebowej, która odbędzie się o wschodzie słońca, już za kilka godzin.

Wokół stołu, na którym leżał poległy wojownik, zebrali się jego towarzysze. Dante stał sztywno, śmiało przypatrywał się śmierci. Rio pochylił głowę, ścisnął w rękach różaniec i

odmawiał szeptem modlitwy, których nauczył się od matki. Gideon przemywał ostrożnie tamponem jedną z ran Conlana. Nikolai, który tej nocy udał się z Conlanem na patrol, był trupio blady, choć jego zimne oczy były czujne. Jego skórę pokrywały sadza i popiół, pełno było na niej małych krwawiących ranek.

Nawet Tegan przyszedł oddać ostatnią posługę towarzyszowi, choć stał wycofany, za plecami innych, odcinając się od świata przymknięciem powiek.

Lucan podszedł do stołu, by zająć swe miejsce wśród wojowników. Zamknął oczy i pomodlił się w milczeniu za Conlana. Po jakimś czasie ciszę przerwał Nikolai.

- Ocalił mi dzisiaj życie. Wykurzyliśmy paru skurczybyków ze stacji na zielonej linii i już mieliśmy wracać, kiedy zobaczyłem, jak ten drań wsiada do kolejki. Nie wiem, dlaczego na niego spojrzałem. A on uśmiechnął się do nas paskudnie, jakby nas wyzwiał, żebyśmy za nim poszli. Miał przy sobie proch, śmierdział nim i czymś jeszcze, nie miałem czasu zebrać odczytu.

- TATP – powiedział Lucan, który wyczuł ten kwaśny zapach na ubraniu Nikolaia.

- Okazało się, że skurwiel miał na sobie pas z uzbrojonymi ładunkami. Wskoczył z kolejki, nim się zdążyliśmy ruszyć i pobiegł do starego tunelu. Ruszyliśmy za nim, Conlan go dogonił. I wtedy zobaczyliśmy bombę. Zapalnik był ustawiony na sześćdziesiąt sekund, a do wybuchu zostało tylko dziesięć. Conlan wrzasnął, żebym uciekał, a sam rzucił się na tego drania...

- Chryste – jęknął Dante, przesuwając ręką po czarnych włosach.

- Zrobił to sługa? – spytał Lucan. To było bardzo prawdopodobne.

Szkarłatni zawsze traktowali ludzi jak śmiecie i nie oszczędzali ich życia, kiedy prowadzili swoje małe wojny albo załatwiali porachunki. Nie tylko fanatycy religijni wykorzystują słabe umysły do swoich niecnych czynów.

Ale z tym, co się stało z Conlanem, nie można było się od, tak po prostu pogodzić.

- To nie był sługa – odparł Niko, kręcąc głową. – To był Szkarłatny. Miał na sobie dość TATP, żeby roznieść pół miasta.

Lucan spojrzał na niego i pojął, o co mu chodzi.

- Pionki się nie zmieniły, ale zasady gry tak. To nowy rodzaj wojny, a nie potyczki, z którymi mieliśmy do czynienia wcześniej. Ktoś w szeregach Szkarłatnych zaczyna wprowadzać porządek do ich anarchii.. Musimy się szykować na oblężenie.

Znów skupił uwagę na Conlanie, który jako pierwszy poległ w tym nowym, mrocznym konflikcie. Czuł, że przemoc, jaka już raz rozpętała się w odległej przeszłości, może się dziś powtórzyć. Znów zanosilo się na wojnę, a jeśli Szkarłatni zaczną się

organizować, jeśli przejdą do ofensywy, cała społeczność wampirów znajdzie się na linii frontu. I ludzie także

- Przedyskutujemy to dokładnie, ale nie teraz. Ten czas należy do Conlana. Oddajmy mu cześć.

- Już się pożegnałem – mruknął Tegan. – Conalan wie, że szanowałem go za życia i szanuję po śmierci. Nic się nie zmieni pod tym względem.

W powietrzu zawisł niepokój, wszyscy czekali, aż Lucan zareaguje na nagłe odejście Tegana. Ale wampir nie zamierzał dać mu tej satysfakcji. Poczekał, aż kroki Tegana umilkną w oddali, a potem skinął głową, nakazując podjęcie czuwania.

Jeden po drugim klękami, żeby oddać cześć Conlanowi. Odmówili prostą modlitwę, a potem wstali i zaczęli się rozchodzić. Każdy chciał zostać sam przed ceremonią pogrzebową, która zapewni towarzyszowi spokój.

- Ja go zaniosę na górę – oznajmił Lucan odchodzącym współbraciom.

Zauważył, jak wymieniają między sobą spojrzenia. Wiedział dlaczego. Najstarszych członków Rasy – a szczególnie wampirów z Pierwszego Pokolenia – nigdy nie proszono o wyniesienie zwłok. Ten obowiązek spadał na późniejsze pokolenia, bardziej oddalone genetycznie od Prastarych. Lepiej znosiły palące promienie wschodzącego słońca, zapewniając zmarłemu wampirowi ostateczny spoczynek.

Dla członków Pierwszego Pokolenia, takich jak Lucan, to będzie osiem minut prawdziwej tortury.

Lucan patrzył na nieruchome ciało na stole, nie mógł oderwać wzroku od ran, jakie odniósł Conlan.

Ran, które odniósł zamiast Noego. To on powinien iść na patrol z Niko, nie Conlan. Gdyby w ostatniej chwili nie zmienił zdania i nie wyznaczył Szkota na swoje miejsce, to on teraz leżałby tu na stole, zmasakrowany przez eksplozję.

Ale tak bardzo pragnął zobaczyć się z Gabrielle, że przeważyło to nas poczuciem obowiązku wobec Rasy. Cenę za to zapłacił Conlan – i jego pogrążona w żałobie kobita.

- Zaniosę go na górę – powtórzył stanowczo. Popatrzył ponuro na Gideona. – Wezwij mnie, kiedy skończycie przygotowania.

Wampir pochylił głowę, okazując Lucanowi więcej szacunku, niż na to w tej chwili zasługiwał.

- Oczywiście. To nie potrwa długo.

Lucan spędził następne dwie godziny sam, w swojej prywatnej kwaterze. Klęczał na

środku pokoju ze spuszczoną głową, zatopiony w modlitwie i ponurych rozmyślaniach. Kiedy nadszedł czas, by wynieść ciało Conlana na górę i oddać je śmierci, zgodnie z umową przyszedł po niego Gideon.

- Ona jest w ciąży – powiedział smutno, kiedy Lucan wstał z kolan. – Danika jest w trzecim miesiącu ciąży. Savannah właśnie mi powiedziała. Conlan zbierał się na odwagę, żeby ci powiedzieć, że chce opuścić Zakon, kiedy dziecko się urodzi. Planowali z Daniką przenieść się do jednej z mrocznych przystani i zacząć normalne życie.

- Chryste – jęknął Lucan. Jeśli to możliwe, poczuł się jeszcze gorzej, Przez własną żądze ukradł Conlanowi i Danice szczęśliwą przyszłość, sprawił, że ich syn nigdy nie pozna odważnego i honorowego mężczyzny, jakim był jego ojciec. – Czy wszystko już gotowe do rytuału?

Gideon kiwnął głową.

- Zatem chodźmy.

Lucan ruszył przodem. Szedł boso, a jego nagie ciało spowijała jedyni długa, czarna szata. Gideon ubrany był podobnie, choć pod szatę włożył przepasaną tunikę. Pozostałe wampiry, które czekały na nich w kaplicy – gdzie odbywały się wszelkie wampirze ceremonie od ślubów i porodów po pogrzeby – także ubrane były w ten oficjalny strój Zakonu. Obecne były również trzy mieszkające w kwaterze kobiety – Savannah i Eva w ceremonialnych czarnych szatach z kapturem, Danika w szkarłatnej, symbolizującej jej związek krwi ze zmarłym.

Na ołtarzu spoczywało ciało Conlana, owinięte ciasno białym całunem.

- Zaczynamy – powiedział Gideon.

Serce ciążyło Lucanowi w piersi, kiedy słuchał obrządku.. W każdym rytuale wampirów były obecne odniesienia do symbolu nieskończoności.

Osiem kropli wonnej oliwy do namaszczenia zwłok.

Osiem warstw białego jedwabiu spowijających ciało.

Osiem minut milczącego czuwania przez wybranego członka Rasy, kiedy promienie wschodzącego słońca zaczną pochłaniać ciało zmarłego wojownika. Gdy zwłoki obrócą się w proch, porwą je cztery wiatry, a dusza wampira na zawsze stanie się częścią natury.

Kiedy Gideon zamilkł, do ołtarza podeszła Danika.

Odwróciła się twarzą do zgromadzonych, zadarła podbródek i przemówiła zachrypniętym, lecz dumnym głosem:

- Ten mężczyzna był mój, a ja należałam do niego. Żywił mnie swoją krwią. Chronił mnie swoją siłą. Dawał mi spełnienie swoją miłością. Był moim ukochanym, moim jedynym i

pozostanie w moim sercu na wieczność.

- Dobrze oddałaś mu honor – odpowiedzieli chórem zebrani.

Danika odwróciła się do Gideona, wyciągnęła ręce, wnętrzem dłoni do góry. Gideon wyciągnął z pochwy wąski złoty sztylet i położył na jej dłoniach. Danika pochyliła zakapturzoną głowę nad ciałem Conlana. Wyszepiała cicho słowa, przeznaczone tylko dla niego, a potem uniosła dłonie do twarzy. Lucan wiedział, że przecina sztyletem dolną wargę, żeby zwilżyć krwią usta Conlana w ostatnim pocałunku.

Danika pochyliła się nad ciałem kochanka i pozostała w tej pozycji przez dłuższą chwilę. Jej ramiona drżały. Wreszcie cofnęła się, zasłoniła twarz dłońmi i się rozsłochała. Jej szkarłatny pocałunek połyskiwał jaskrawo na tle białego całunu. Savannah i Eva objęły wdowę i odprowadziły od ołtarza, żeby Lucan mógł wypełnić to, co jeszcze zostało do zrobienia.

Podszedł do Gideona i przysiągł, że Conlan odejdzie ze wszystkimi należnymi honorami. Taką przysięgę składali wszyscy członkowie Rasy, którzy oddawali towarzyszom ostatnią posługę.

Gideon odsunął się na bok. Lucan wziął w ramiona ciężkie ciało wojownika i zgodnie ze zwyczajem odwrócił się do żałobników.

- Dobrze oddaj mu honor – powiedzieli chórem zebrani.

Ruszył powoli przez kaplicę ku klatce schodowej prowadzącej na powierzchnię. Każde piętro, każda setka schodów, na które się wspinał, dźwigając ciężkie ciało zmarłego brata, sprawiały mu ból, który przyjmował bez skargi.

W końcu była to najłatwiejsza część czekającego go zadania.

Jeśli się załamie, to dopiero za kilka minut, po drugiej stronie prowadzących na zewnątrz drzwi, które widział już nad sobą.

Pchnął wreszcie ciężkie stalowe drzwi i wciągnął w płuca rześkie powietrze. Wybrał miejsce, w którym złożył zwłoki Conlana. Ukląkł na zielonej, soczystej trawie i powoli opuścił ciało na ziemię. Szepem odmówił przepisowe modlitwy, słowa które słyszał zaledwie kilka razy podczas długich wieków walki, a mimo to potrafił dokładnie powtórzyć.

Powoli niebo zaczęło się rozjaśniać. Nadchodził świt.

Znosił palące promienie słońca w pełnym czci milczeniu, skupiając wszystkie myśli na Conlanie i honorze, który tak ważny był w długim życiu wojownika. Słońce wzniosło się ponad horyzont, minęła zaledwie połowa przepisowego czasu. Lucan pochylił głowę, przyjmując ból, tak jak zrobiłby to Conlan dla każdego wojownika, który walczył u jego boku. Gdy słońce wstało, ogarnął go potworny żar.

Słyszał wypowiedane przez siebie słowa prastarych modlitw, a ponad nimi cichy syk i trzask swojej własnej palącej się skóry.

Rozdział 13

Zakurzony stary telewizor, zawieszony na uchwycie na ścianie, wyłączył się nagle, uciszony irytacją wampira. Za plecami przywódcy Szkarłatnych, po drugiej stronie ponurego, zdewastowanego pomieszczenia, które kiedyś było stołówką zakładu psychiatrycznego, trwali jego dwaj zastępcy. Wiercili się i pomrukiwali, niecierpliwie czekając na nowe rozkazy.

Cierpliwość nie należała do ich mocnych stron. Szkarłatni, ze względu na swój nałóg, mieli kłopoty ze skupieniem uwagi, nad ich intelektem górowała konieczność zaspokojenia głodu. Byli jak niegrzeczne dzieci, niewiele lepsi niż psy gończe, wymagające regularnego bicia i nielicznych nagród, by utrzymać je w posłuszeństwie. I by przypomnieć im, komu obecnie służą.

- „Policja i służby transportowe nadal nie są pewne, co spowodowało wczorajszy wybuch. Kilka minut temu rozmawiałem z przedstawicielem kolei miejskiej, który zapewnił mnie, że to był odosobniony incydent. Wybuch miał miejsce na jednej ze starych, nieużywanych linii i nikt nie został ranny. Pozostańcie z nami na Channel Five, już wkrótce dalsze informacje o tym zdarzeniu...”

- Nikt nie został ranny – zaśmiał się jeden ze Szkarłatnych.

- Za to wojownikom się dostało – dodał drugi. – Podobno nie mieli co oddawać promieniom słońca.

Pierwszy idiota znów zachichotał. Zatrął powietrze stęchłym oddechem, naśladując dźwięk eksplozji, którą wyzwolił w tunelu ich towarzyszy.

- Wielka szkoda, że ten drugi wojownik zdołał uciec. – Zamilkli, gdy ich przywódca wreszcie odwrócił się w ich stronę. – Następnym razem wy dwaj weźmiecie udział w takim zadaniu, skoro bawi was porażka.

Skrzywili się, pomrukując jak zwierzęta, a zwężone w szparki źrenice nadawały dziki wyraz żółtozłotym tęczęwką ich oczu. Wbili wzrok w ziemię, kiedy powoli ruszył w ich stronę. Jego gniew koła jedynie świadomość, że wojownicy istotnie ponieśli ciężką stratę.

Wampir zabity przez bombę nie był celem, jednak każdy martwy przeciwnik to korzyść dla jego sprawy. Nadejdzie jeszcze czas na Lucana. Być może nawet uczyni to osobiście, w wampirzym pojedynku, bez pomocy broni.

Tak, pomyślał. To będzie wielka przyjemność zabić tego wojownika.

Można by to nawet nazwać poetycką sprawiedliwością.

- Pokażcie, co mi przynieśliście – rozkazał Szkarłatnym.

Obaj natychmiast wyszli na korytarz, a po chwili wrócili, wlokąc za sobą kilkoro ludzi pogrążonych w letargu, wyssanych niemal do sucha. Mężczyźni i kobiety, w sumie sześcioro, mieli związane nadgarstki i luźne pęta na nogach, choć żadne nie wydawało się dość silne, by próbować ucieczki.

Ich puste oczy patrzyły w nicość, otwarte usta niezdolne były do mowy ani krzyku, ich twarze były blade jak ściana. Na szyjach mieli ślady po ugryzieniach, którymi okiełznali ich Szkarłatni.

- Dla ciebie, panie. Nowi słudzy dla twojej sprawy.

Spędzili tu tych ludzi jak bydło. Ale w końcu to było bydło, stworzenia, które można zmusić do pracy lub zabić, w zależności od upodobań.

Popatrzył na uwięzionych z niewielkim zainteresowaniem. Oceniał potencjalne korzyści, które mogli mu oddać dwaj mężczyźni i cztery kobiety. Kiedy podszedł bliżej, poczuł nagle zniecierpliwienie. Niektóre rany po ugryzieniach nadal krwawiły.

Jestem godny, uznał. Jego taksujący wzrok spoczął na ładnej brunetce z wydatnymi ustami i jędrnymi, pełnymi piersiami sterczącymi pod zieloną workowatą bluzą szpitalnego uniformu. Głowa kiwała się jej na boki, zbyt ciężka, by mogła utrzymać ją w pionie, choć widać było wyraźnie, że kobieta próbuje się ocknąć z odrętwienia. Oczy miała apatyczne, uciekały jej w głąb czaszki, a jednak mrugała z wysiłkiem, żeby odzyskać ostrość widzenia, walczyła, żeby zachować przytomność.

Jej hart ducha wzbudził w nim podziw.

- K. Delaney, pielęgniarka – przeczytał napis na plakietce przypiętej na jej lewej piersi.

Ujął jej podbródek między kciuk, a palec wskazujący i przyjrzał się uważnie jej twarzy. Była ładna, młoda, a jej piegowata skóra pachniała słodko, soczyscie. Poczul, jak do ust napływa mu ślina, a ukryte za ciemnymi okularami źrenice zwężają się w pionowe szparki.

- Ta zostaje. Resztę zaprowadzić do klatek.

Początkowo Lucan sądził, że przenikliwy dźwięk to tylko część bólu, w jakim tonął przez kilka ostatnich godzin. Całe ciało go paliło, było bez życia. W głowie najpierw mu huczało, a teraz hałas zastąpił dręczący ból.

Leżał w łóżku w swoim prywatnym apartamencie, tyle wiedział na pewno. Pamiętał, że dowlókł się tu ostatkiem sił po czuwaniu przy ciele Conlana. Przepisowe osiem minut.

Został nawet na słońcu kilka upiornych sekund dłużej, póki promienie słońca nie zapaliły zwłok wojownika, które buchnęły jaskrawym płomieniem. Dopiero wtedy poszukał schronienia w głębinach kwatery.

Te dodatkowe sekundy cierpienia to były jego przeprosiny dla Conlana. A ból, który teraz znosił, miał mu już zawsze przypominać, co się naprawdę liczyło: obowiązek wobec Rasy, Zakonu i wojowników, którzy przysięgali walczyć o tę samą sprawę co on. Nie było miejsca na nic innego.

Zapomniał o tej przysiędze na jeden wieczór i jego towarzysz zapłacił za to życiem.

W pokoju rozległa się kolejna dala przeraźliwego dzwonienia. Gdzieś blisko łóżka. Przenikliwy dźwięk wwierał się jego obolałą czaszkę.

Wyszczał ledwie słyszalne przekleństwo, otworzył szeroko oczy popatrzył w ciemność swojej sypialni. Z kieszeni skórzanej kurtki dobywało się słabe światło. Telefon znów zadzwonił.

Spróbował wstać z łóżka i runął na podłogę. Nie miał dość sił, by zapanować nad nogami. Niezgrabnie sięgnął po urządzenie, ale dopiero za trzecim razem udało mu się odszukać mały przycisk, który uciszył dzwonek. Wściekły, że tyle wysiłku kosztowało go tych kilka drobnych ruchów, spojrzął na wyświetlacz i z trudem odczytał numer dzwoniącej osoby.

Centrala bostońska... Numer komórki Gabrielle.

Pięknie.

Właśnie tego mu było teraz trzeba.

Kiedy wspinał się po setkach schodów z ciałem Conlana w objęciach, przysięgł sobie, że to, co robił z Gabrielle Maxwell, należy już do przeszłości. Zresztą i tak nie był pewien, co tak naprawdę z nią robił. Oczywiście wyjąwszy ostry seks.

Tak, w tym był świetny.

Natomiast wszystkie pozostałe sprawy zawalił. Przez nią. Wyśle dziś do niej Gideona, żeby jej przekazał, w ten swój logiczny i przejrzysty sposób, konieczne informacje na temat Rasy i jej przeznaczenia – jej miejsca – w społeczności wampirów. Gideon miał wielkie doświadczenie z kobietami i był wytrawnym dyplomata. Zrobi to delikatnie, a poza tym ma sto razy lepsze gadane niż on. Wyjaśni jej wszystko, łącznie z koniecznością ukrycia się w jednej z mrocznych przystani, gdzie w końcu pozna partnera.

Jeśli chodzi zaś o niego, zrobi to, co musi, by uleczyć swoje ciało. Jeszcze kilka

godzin odpoczynku, a potem wyruszy na polowanie – jeśli zdoła w ogóle wstać – a wtedy znów stanie się wojownikiem, jeszcze lepszym i silniejszym niż przedtem.

Zapomni, że kiedykolwiek spotkał na swojej drodze Gabrielle Maxwell. Jeśli nie ze względu na Rasę, to przynajmniej ze względu na siebie.

Tylko że...

Tylko że nie dalej jak wczoraj zapewniał ją, że może do niego zawsze zadzwonić, kiedy będzie go potrzebować. Obiecał, że odbierze od niej telefon.

A jeśli dzwoni teraz do niego, ponieważ Szkarłatni albo ich słudzy znów ją osaczyli? Musi to wiedzieć.

Przekręcił się na wznak na podłodze i odebrał połączenie.

- Halo.

Jezu, ależ ma głos. Jakby płuca zmieniły mu się w popiół. Odkaslnął, a głowa zareagowała na to potwornym bólem.

Przez chwile w słuchawce panowała cisza, potem rozległ się niepewny głos Gabrielle:

- Lucan? Czy to ty?

- Tak. – zmusił do pracy odporne struny głosowe. – Co się stało? Nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam? Po prostu wyszedłeś wczoraj tak nagle, że trochę zaczęłam się martwić. Chciałam tylko wiedzieć, że nic ci nie jest.

Nie miał dość sił, żeby mówić, więc tylko leżał, z zamkniętymi oczami i słuchał dźwięku jej głosu. Wyraźne, głębokie tony działały na niego jak balsam. Jej troska była eliksirem. Czymś, czego nie zakosztował nigdy w życiu – bo nikt nigdy nie martwił się o niego. Było to dziwne, nieznane i ciepłe uczucie.

Jej obecność go uspokajała, choć bardzo chciał temu zaprzeczyć.

- Godzina... - wychrypiał, a potem spróbował jeszcze raz. – Która jest godzina?

- Jeszcze nie ma południa. Chciała zadzwonić z samego rana, ale ponieważ pracujesz w nocy, czekałam tyle, ile dałam radę. Chyba jesteś zmęczony. Obudziłam cię?

- Nie.

Spróbował obrócić się na bok, miał wrażenie, że rozmowa z nią przywracała mu siły. Zresztą i tak musi wstać i wrócić na ulicę. Trzeba zemścić się za śmierć Conlana. Chciał być tym, kto dokona tej zemsty.

Im brutalniejsza będzie wampirza sprawiedliwość, tym lepiej.

- Dobrze się czujesz? – spytała.

- Tak.

- Dzięki Bogu. – Jej głos nabrał lżejszego tonu. Zaczęła się z nim przekomarzać. –

Uciekłeś wczoraj tak szybko, że na podłodze zostały rysy.

- Coś się stało. Musiałem iść.

- Uhm – odparła po dłuższej chwili ciszy, kiedy nie rozwinął wypowiedzi. – Ścisłe tajne zadania glin?

- Można tak powiedzieć.

Z trudem udźwignął się z podłogi. Skrzywił się, nie tylko pod wpływem bólu, ale i frustracji, że nie może powiedzieć Gabrielle, dlaczego tak nagle opuścił jej łóżko. Wojna, która czekała Rasę, już niedługo stanie się częścią jej życia, kiedy Gideon złoży jej wizytę.

- Słuchaj, idę dziś wieczorem z przyjaciółką na jogę, ale zajęcia kończą się koło dziewiątej. Jeśli nie masz służby, wpadnij. Zrobię kolację. Coś zamiast tego manicotti, którego nie zjedliśmy zeszłym razem. Może uda nam się dla odmiany zacząć od posiłku.

Poczuł nagły ból mięśni twarzy, kiedy mimowolnie uśmiechnął się na tę żartobliwą uwagę. Wspomnienie namiętnego seksu, jaki ich połączył, poruszyło w nim coś jeszcze. Jednak wzwód nie bolał tak bardzo, jak miał nadzieję.

- Nie możemy się spotkać, Gabrielle. Muszę... załatwić parę spraw.

A przede wszystkim pożywić się ludzką krwią. Co oznacza, że musi się trzymać od niej z daleka. Mimo że wabi go obietnicą ciała. W tej chwili stanowi zagrożenie dla każdego człowieka, który się do niego zbliży.

- Nie wiesz, co mówią o ludziach, którzy tylko pracują? – spytała, a jej głosie słychać było zaproszenie. – Jestem prawdziwą sową, więc kiedy załatwisz swoje sprawy i uznasz, że potrzebujesz towarzystwa...

- Przykro mi. Może innym razem. – Wiedział doskonale, że nie będzie żadnego innego razu. Stał na drżących nogach. Udało mu się nawet zrobić jeden niepewny i bolesny krok w stronę drzwi. Gideon na pewno jest w laboratorium, na końcu korytarza. To będzie prawdziwe piekło, dotrzeć tam w tym stanie, ale zamierzał spróbować. – Przyślę kogoś. Wieczorem. Mojego... współpracownika.

- Po co?

Wypuścił ze świstem powietrze z płuc. Chodził. Z trudem, ale chodził. Wyciągnął rękę i otworzył drzwi.

- Na górze robi się niebezpiecznie – powiedział z wysiłkiem. – Pamiętaj, o ci się wczoraj przydarzyło...

- Boże, czy moglibyśmy już o tym zapomnieć? Jestem pewna, że przesadziłam.

- Nie – przerwał jej ostro. – Będę się czuł lepiej, wiedząc, że nie jesteś sama... Że ktoś cię pilnuje.

- Lucan, no naprawdę, to nie jest konieczne. Jestem dorosła. Nic mi nie będzie.

Zignorował jej protesty.

- Ma na imię Gideon. Polubisz o. Możecie sobie... porozmawiać. Pomoże ci, Gabrielle. Lepiej niż ja.

- Pomoże mi? W czym? Nie rozumiem, co mówisz. Czy jest coś nowego w sprawie tego morderstwa? Kim jest ten Gideon? Też detektywem?

- Sam ci wszystko wyjaśni. – Wyszedł na korytarz. Przyćmione światło odbijało się w błyszczących płytkach na podłodze i jasnych dodatkach chromu i szkła. Zza drzwi sąsiedniego apartamentu, należącego do Dantego, dobiegał ciężki łoskot metalowej muzyki. A z części treningowej, znajdującej się na końcu jednego z bocznych korytarzy, dobywał się lekki zapach prochu i oliwy. Lucan zachwiał się na nogach, oszołomiony nagłym napływem bodźców.

- Będziesz bezpieczna, Gabrielle. To mogę ci przysiąc. A teraz muszę już iść.

- Lucan, zaczekaj chwilę! Nie rozłączaj się. Czegoś mi nie mówisz!

- Wszystko będzie dobrze, obiecuję. Żegnaj, Gabrielle.

Rozdział 14

Telefon do Lucana i jego dziwne zachowanie dręczyły Gabrielle przez resztę dnia. Nadal się tym gryzła, kiedy razem z Megan wyszły wieczorem z jogi.

- Tak dziwnie ze mną rozmawiał. Nie wiem, czy coś mu dolegało, czy po prostu chciał ze mną zerwać.

Megan westchnęła i machnęła ręką.

- Nie doszukuj się czegoś, czego nie ma. Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, wpadnij do niego na komisariat.

- To zły pomysł. Co mam powiedzieć?

- Powiesz: „Cześć kochanie. Taki byłeś przygnębiony przez telefon, że postanowiłam dotrzymać ci towarzystwa, więc jestem”. I kup mu kawę i pączki na dobry początek.

- No nie wiem...

- Gabby, sama mówiłaś, że facet jest słodki i opiekuńczy. A z tej rozmowy telefonicznej wynika, że się o ciebie martwi. Tak bardzo, że wysła kumpla, kiedy sam jest zajęty.

- Rzeczywiście, mówił, że na górze nie jest bezpiecznie. Ale dlaczego „na górze”? Gliny raczej tak nie mówią. To jakiś żargon? – Pokręciła głową. – Nie wiem, Tyłu rzeczy nie wiem o Lucanie Thornie.

- Więc go zapytaj. Przynajmniej daj mu szansę.

Gabrielle przyjrzała się swoim czarnym spodniom do jogi i zapinanej na suwak bluzie z kapturem, a potem sięgnęła ręką, żeby sprawdzić, jak bardzo wilgotny jest jej koński ogon po czterdziestu pięciu minutach intensywnych ćwiczeń.

- Powinam najpierw wejść pod prysznic, przebrać się...

- No nie! – Oczy Megan zabłysły rozbawieniem. – Boisz się tam iść, prawda? Och, chcesz, ale zapewne znajdziesz tysiąc wymówek, żeby nie iść. Przyznaj się, polubiłaś tego faceta.

- Tak, lubię. Bardzo go lubię.

- Więc na co czekasz? Komisariat jest trzy przecznice stąd, a ty jak zwykle wyglądasz bosko. Zresztą już cię widywał spoconą. Być może nawet woli, kiedy taka jesteś.

Gabrielle roześmiała się razem z Megan, ale równocześnie poczuła ucisk w żołądku. Naprawdę chciała zobaczyć Lucana – szczerze mówiąc, nie mogła się już doczekać – a jeśli

dziś po południu usiłował ją splawić? Ośmieszy się, jeżeli się okaże, że nie traktuje jej poważnie. Zrobi z siebie idiotkę.

Ale tak samo będzie się czuła, gdy się dowie z drugiej ręki, od jego kumpla, Gideona, którego wysłał do niej z misją.

- Dobra. Pójdę.

- Świetnie! – Megan zarzuciła zrolowaną matę do jogi na ramię i uśmiechnęła się szeroko. – Po służbie wpadnie do mnie Ray, ale zadzwoń jutro z samego rana. Opowiesz mi, jak poszło, dobra?

- Dobra. Pozdrów ode mnie Raya.

Kiedy Megan ruszyła na stację, żeby zdążyć na kolejkę o dziewiątej piętnaście, Gabrielle skierowała się w stronę komisariatu. Po drodze kupiła słodką bułkę i kawę. Mocną i czarną. Do Lucana nie pasowała kawa z mlekiem i cukrem albo bez kofeiny.

Wkrótce stanęła przed komisariatem. Odetchnęła głęboko, żeby dodać sobie odwagi. Następnie pchnęła drzwi i odważnie przekroczyła próg.

Najgorsze oparzenia zaczęły się goić o zmroku. Nowa skóra była mocna i zdrowa, pojawiała się pod spalonymi płatami starej, która schodziła z ran. Jego oczy, nadal niezwykle wrażliwe, nawet na przyćmione światło, odczuły ulgę w mroku panującym na górze. To były dobre wieści. Musiał przecież wyjść, żeby zaspokoić upiorne pragnienie krwi, której domagało się jego ciało.

Dante przyglądał mu się nie pewnie, kiedy wychodził z kwatery. Za chwilę mieli ruszać na samotne łowy.

- Wyglądasz fatalnie, stary. Powiedz słowo, a zapoluję dla ciebie. Przyniosę ci coś młodego i silnego. Cholernie tego potrzebujesz. Nikt nie musi wiedzieć, że sam tego nie złapałeś.

Lucan rzucił mu ostre spojrzenie i wyszczerzył zęby.

- Wal się!

Dante zachichotał.

- Tak mi się zdawało, że to powiesz. Może ci chociaż coś naraję?

Przeczący ruch głowy wywołał potworną falę bólu.

- Nic mi nie jest. Poczuję się lepiej, jak coś przekąszę.

- Na pewno. – Dante przyglądał się Lucanowi. – Wiesz co? To było imponujące, co zrobiłeś dziś dla Conlana. Żałuję, że nie wiem, iż to ty towarzyszyłeś mu w ostatniej drodze. Oddałeś mu honor.

Lucan przyjął pochwałę, ale ni przyniosła mu ona ukojenia. Miał swoje powody, żeby dopełnić rytuału pogrzebowego. Nie chodziło mu jednak o uznanie towarzyszy.

- Daj mi godzinę na polowanie, a potem dopadniemy kilku Szkarłatnych. Na cześć Conlana.

Dante kiwnął głową i przybił piątkę.

- Jasne.

Lucan zaczął, aż towarzysz zniknął w ciemnościach.

Zmierzał ku czekającej go walce. Dante wyciągnął swoje *malebranche* i uniół je wysoko nad głową. W szponach z pokrytej tytanem stali odbiło się blade światło księżyca. Czas zadać śmierć robactwu. Wampir odszedł w noc.

Lucan ruszył za nim. Szedł w stronę tej części miasta, która była najgorzej oświetlona. Nie kroczył energicznie, ale był skupiony na celu. Prowadziła go potrzeba zaspokojenia głodu. Okrzyk, który skierował go ku gwiazdom, pełen był dzikiej wściekłości.

- Może pani jeszcze raz przeliterować to nazwisko?

- T-H-O-R-N-E – Powtórzyła Gabrielle. Recepcjonistka nie mogła znieść nazwisk Lucana na liście pracowników. – Detektyw Lucan Thorne. Nie wiem, w którym wydziale pracuje. Przyszedł do mnie do domu, kiedy w zeszłym tygodniu zgłosiłam napad. Właściwie morderstwo.

- Czyli chodzi o wydział zabójstw? – Długie, wymanikiurowane paznokcie młodej kobiety zastukały w klawisze komputera. – Hmm... Nie, niestety. Nie pracuje w tym wydziale.

- Niemożliwe. Może pani sprawdzić jeszcze raz? Proszę wyszukać go tylko po nazwisku.

- Nie ma w bazie żadnego detektywa Thorne'a. Jest pani pewna, że u nas pracuje?

- Tak, jestem pewna. Ma pani nieaktualne dane i...

- Och, proszę zaczekać. Jest ktoś, kto może pani pomóc – przerwała recepcjonistka, wskazując na wejście do komisariatu. – Panie Carrigan!

Posterunkowy Carrigan, Gabrielle rozpoznała go od razu. Starzejący się gliniarz, z którym rozmawiała w zeszłym tygodniu. Nazwał ją kłamczuchą, narkomanką i nie wierzył w jej zeznania. Dobrze, że Lucan posłał do laboratorium zdjęcia z jej komórki, przynajmniej teraz Carrigan nie będzie mógł jej wmawiać, że zwariowała. Na szczęście sprawa posuwała się do przodu.

Z trudem powstrzymała jęk na widok nadętego policjanta, który zmierzał w jej stronę.

Kiedy ją zobaczył, wyraz pogardy, który zapewne stale gościł na jego nalanej twarzy, stał się bardziej wyrazisty.

- Jezu, to znowu pani? Dokładnie tego mi trzeba w ostatnim dniu pracy. Za cztery godziny przechodzę na emeryturę, kochana. Musisz pogadać z kimś innym.

Gabrielle zmarszczyła brwi.

- Słucham?

- Ta młoda damaszuka jednego z naszych detektywów – wyjaśniła recepcjonistka, patrząc na Gabrielle ze współczuciem. Najwyraźniej też nie lubiła Carrigana. – Nie mogę go znaleźć w systemie, ale ta pani jest pewna, że tu pracuje, Zna pan detektywa Thorne'a?

- Nigdy o takim nie słyszałem. – Posterunkowy Carrigan zamierzał odejść.

- Lucan Thorne – nalegała Gabrielle, odstawiając kawę i bułkę na ladę recepcji. Automatycznie ruszyła za gliniarzem i omal nie złapała go za ramię. – Detektyw Lucan Thorne, musi go pan znać. Wysłaliście go do mnie, żeby uzupełnił moje zeznania. Zabrał moją komórkę do analizy...

Carrigan zatrzymał się i przyglądał się jej uważnie, kiedy podawała szczegóły wizyty. Nagle zachichotał. Nie miała cierpliwości do tego typu. Szczególnie, że zaczęło ją ogarniać paskudne uczucie, że coś tu nie gra.

- Chce pan powiedzieć, że detektyw Lucan Thorne nic panu nie przekazał?

- Paniusiu, nie mam pojęcia, o czym mówisz. Pracuję n a tym komisariacie od trzydziestu pięciu lat i nigdy nie słyszałem o żadnym detektywie Thornie, a tym bardziej nie wysyłałem go do pani domu.

Poczuła ucisk w żołądku.

- To niemożliwe! Wiedział o morderstwie, którego byłem świadkiem. Wiedział, że tu byłem, że złożyłam zeznania. Sprawdziłam jego odznakę, kiedy przyszedł do mnie do domu. Rozmawiałam z nim przez telefon. Powiedział, że ma nocną zmianę. Mam numer jego komórki...

- Jeśli w ten sposób szybciej się pani pozbędzie, to zadzwońmy od razu do tego gościa – zaproponował Carrigan. – Na pewno wszystko wyjaśni.

- Racja. Już dzwonię.

Trzęsły się jej ręce, kiedy wyciągała z torebki komórkę i wybierała numer Lucana. Nie odbierał. Spróbowała jeszcze raz, czekała całą wieczność. Telefon dzwonił i dzwonił... Na twarzy posterunkowego Carrigana pojawiła się obrzydliwa litość. Nie raz już ją widziała u pracowników opieki społecznej, kiedy była mała.

- Nie odbiera – wymamrotała, odsuwając telefon od ucha. Była zmieszana, widząc

minę policjanta. – Pewnie jest zajęty. Spróbuję za chwilę.

- Panno Maxwell, a może zadzwonimy do kogoś innego? Na przykład do kogoś z rodziny? Kogoś, kto pani pomoże? Na pewno nie jest pani łatwo.

- Nic mi nie jest!

- A mnie się wydaje, że jednak tak. Chyba się pani trochę pogubiła. Czasami ludzie zmyślają różne rzeczy, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Gabrielle parsknęła.

- Nie pogubiłam się, a Lucan Thorne nie jest wytworem mojej wyobraźni. Istnieje naprawdę. Wszystko dzieje się naprawdę. Morderstwo, którego byłam świadkiem, ci.... Mężczyźni... z pokrwawionymi twarzami. Nawet ten chłopak, który obserwował mnie w parku... On tu pracuje. Wysłał go pan, żeby mnie szpiegował?

- Dobra, spróbujmy to rozwikłać. – Najwyraźniej Carrigan odkrył w sobie pokłady dobrej woli, skryte pod grubą warstwą prostactwa. Nadal jednak zachowywał się protekcyjnie, kiedy wziął ją za ramię i ciągnął na ławkę w poczekalni. – Odetchnijmy głęboko kilka razy. Możemy wezwać kogoś, kto pani pomoże.

Wyrwała mu się.

- Uważa pan, że oszalałam? Wiem, co widziałam! Nie zmyślam tego i nie potrzebuję pomocy. Potrzebuję prawdy!

- Sheryl, kochana – Carrigan zwrócił się do recepcjonistki, która przyglądała im się z napięciem. – Możesz zadzwonić w moim imieniu do Rudy'ego Duncana? Powiedz mu, że jest potrzebny.

- Pogotowie? – spytała cicho. Już trzymała słuchawkę przy uchu.

Nie – odparł Carrigan, nie spuszczać wzroku z Gabrielle. – Nie ma jeszcze powodu do alarmu. Poproś, żeby porozmawiał z panną Maxwell i ze mną.

- Niech pani nie dzwoni – przerwała mu Gabrielle, wstając z ławki. – Nie zostanę tu ani chwili dłużej.

- Proszę posłuchać, mamy ludzi, którzy pani pomogą...

Nie czekała, aż skończy. Po prostu podeszła do lady recepcji, zabrała kubek i papierową torbę z blatu. I odeszła z godnością. Po drodze wyrzuciła obydwie rzeczy do kosza na śmieci.

Nocne powietrze owiało jej policzki i nieco ją otrzeźwiło. Ale w głowie nadal miała chaos, a serce mocno waliło. Po prostu nie mogła w to wszystko uwierzyć.

Czy cały świat wokół niej oszalał? Co się u licha działo?

Lucan ją okłamał. Ni był gliną. To jedno przynajmniej było jasne. Ale ile z tego, co jej

powiedział – Boże, ile z tego, co robili – było również kłamstwem?

I dlaczego?

Zatrzymała się u stóp betonowych schodów komisariatu i odetchnęła głęboko. Powoli wypuściła powietrze z płuc, a potem spojrzała na komórkę, którą nadal ścisnęła w dłoni.

- Cholera.

Musi poznać prawdę.

Ta dziwna seria wydarzeń musi się wreszcie skończyć.

Ponownie wybrała numer Lucana. Słuchała sygnału, niepewna, co mu powie.

Oczekwała sześć sygnałów.

Siedem.

Osiem...

Rozdział 15

Lucan, klnąc pod nosem, wyciągnął komórkę z kieszeni skórzanej kurtki.

Gabrielle... znowu.

Dzwoniła już wcześniej, ale nie mógł odebrać. Tropił diler narkotyków, który sprzedał Krak nastoletniej prostytutce. Siłą swego umysłu skierował drania na spokojną uliczkę na tyłach i właśnie miał zaatakować, kiedy zadzwonił telefon. Zupełnie jakby w kieszeni włączył się alarm samochodowy. Wyłączył go, przeklinając w duchu swoją głupotę.

Przez głód i poparzenia zrobił się nieostrożny.

Jednak ten nagły hałas okazał się dla niego zbawienny.

Dzisiaj nie miał tyle sił co zwykle. A choć trzymał się w cieniu, diler był czujny i niespokojny. Zdażył wyciągnąć pistolet. Rany po kulach rzadko okazywały się dla wampirów śmiertelne – chyba że z bliska strzelono im w głowę – ale Lucan nie był pewien, czy jego osłabione ciało poradzi sobie z kolejnymi obrażeniami.

Na dodatek strasznie go to wkurzało, a już wcześniej nie był w najlepszym nastroju.

Więc kiedy na dźwięk telefonu diler rozejrzał się niespokojnie na boki, żeby ustalić źródło hałasu, Lucan rzucił się na niego. Powalił go na ziemię i wbił zęby w tętnicę, zanim przerażony facet zaczął krzyczeć.

Krew, która wypełniła mu usta, miała paskudny smak, była zanieczyszczona narkotykami i chorobą. Lucan połykał ją łapczywie, przytrzymując wrywającą się ofiarę. Wiedział, że zabije tego człowieka, ale nic go to nie obchodziło. Liczyło się tylko zaspokojenie głodu. Jego ciało się regenerowało.

Pożywił się szybko, pił do woli.

Więcej niż trzeba.

Niemal pozbawił diler krwi, ale nadal czuł głód. Wiedział jednak, że kolejne łowy tej samej nocy to zbyt wielkie ryzyko. Lepiej zaczekać, aż ta porcja krwi zadziała, niż dać się ponieść żarłoczności i wstąpić na drogę prowadzącą wprost do nałogu.

Zmarszczył brwi, kiedy telefon znowu zadzwonił. Wiedział, że nie powinien reagować.

Ale komórka dzwoniła dalej, natarczywie, więc wreszcie ją odebrał. Słuchał przez chwilę cichego oddechu Gabrielle. Wyczuł w nim drzenie. Głos jednak miała silny, choć była zdenerwowana.

- Kłamałeś – powiedziała. – Od jak dawna? Wszystko było kłamstwem?

Lucan popatrzył z pogardą na pozbawioną życia ofiarę. Przykucnął i szybko przeszukał kieszenie diler. Znalazł spięty gumką zwitek banknotów, który rzucił ulicznym sepom. Natomiast działki heroiny – warte kilka tysięcy – utopił w miejskich ściekach.

- Gdzie jesteś? – warknął w słuchawkę. Już nie myślał o człowieku, którego zabił. – Gdzie jest Gideon?

- Nawet nie próbujesz się tłumaczyć. Dlaczego mi to zrobiłeś?

- Daj mi go do telefonu, Gabrielle.

Zignorowała jego polecenie.

- Chciałabym wiedzieć jeszcze jedno. Jak się dostałeś do mojego mieszkania wczoraj wieczorem? Zamknęłam drzwi na zamek i łańcuch. Jak to zrobiłeś? Miałeś wytrych? A może ukradłeś mi klucz i dorobiłeś sobie własne?

- Porozmawiamy o tym później, jak będziesz bezpieczna w kwaterze.

- W jakiej kwaterze? – Zaskoczył go jej ostry śmiech. – I wiesz co? Przestań udawać, że się o mnie troszczysz. Wiem, że nie jesteś gliną. Chcę tylko, żebyś był ze mną szczery. Czy proszę zbyt wiele? Lucan? Boże, czy ty się w ogóle tak nazywasz? Czy powiedziałaś mi choć jedną rzecz, która była prawdziwa?

Nagle pojął, że jej gniew, jej ból nie wynika z rozmowy z Gideonem. Nic nie wie o Rasie ani o pisanim jej losie, w którym nie było dla niego miejsca.

Nie, nie ma o niczym pojęcia. Chodziło o coś innego. To nie był strach przed faktami. To był strach przed nieznanym.

- Gdzie jesteś, Gabrielle?

- A co cię to obchodzi?

- Obchodzi mnie – przyznał, choć niechętnie. – Do diabła, słuchaj, nie mam teraz do tego głowy. Wiem, że nie jesteś u siebie, więc gdzie? Musisz mi powiedzieć.

- Jestem na komisariacie. Przyszłam się z tobą zobaczyć i wiesz co? Nikt tu o tobie nie słyszał!

- O Chryste. Pytałaś o mnie?

- Oczywiście. Bo niby skąd wiem, że robisz ze mnie idiotkę? – próbowała zakpić. – Nawet przyniosłam ci kawę i słodką bułkę.

- Gabrielle, posłuchaj, będę tam za kilka minut, może szybciej. Nigdzie się nie ruszaj. Gdzieś na widoku, gdzieś w budynku, ale nie na ulicy. Idę do ciebie.

- Daj sobie spokój. Zostaw mnie w spokoju. – Pod wpływem jej ostrych słów zwolnił. – Nie zamierzam tu tkwić i na ciebie czekać. Wiesz co? Spadaj!

- Za późno – warknął w telefon.

Właśnie skręcił w ulicę, przy której znajdował się komisariat. Poruszał się wśród przechodniów jak duch. Czuł, jak krew, którą wypił, zaczyna działać, jak wzmacnia się jego ciało. Był niczym dreszcz, który sprawia, że ludziom jeżą się włosy na karku, choć nie wiedzą dlaczego.

Ale Gabrielle, wyposażona w wyostrzone zmysły Dawczyni Życia, natychmiast go dostrzegła.

Usłyszał w komórce jej westchnienie. Powoli odsunęła telefon od ucha i patrzyła z niedowierzaniem, jak do niej podchodzi.

- MÓJ Boże – wyszeptała dokładnie w chwili, gdy stanął przed nią i złapał ją za ramię.
– Puść mnie!

- Musimy porozmawiać, Gabrielle. Nie tutaj. Zabiorę cię w miejsce...

- I tu się mylisz. – Wyrwała mu się i cofnęła. – Nigdzie z tobą nie idę.

- Nie jesteś tu bezpieczna. Za dużo widziałaś. Jesteś w to wplątana, czy tego chcesz, czy nie.

- W co wplątana?

- W tę wojnę.

- Wojnę? – powtórzyła, a w jej głosie zabrzmiało niedowierzanie.

- Tak, w wojnę. Prędzej czy później będziesz się musiała opowiedzieć po którejś ze stron. – Stłumił przekleństwo. – Nie, pieprzyć to, ja zadecyduję za ciebie i to w tej chwili.

- Czy to ma być jakiś żart? Kim ty jesteś, jednym z tych para militarystów, którzy snują fantazję o przejęciu władzy? A może kimś gorszym?

- To nie jest żart ani żadna cholerna gra. Widziałem w życiu wiele bólu i śmierć. Nie wiesz, co robiłem, czego byłem świadkiem. Ale to nic, w porównaniu z piekłem, które wkrótce wybuchnie. Nie zamierzam patrzeć, kiedy dostaniesz się w sam środek ognia. – Wyciągnął rękę. – Idziesz ze mną. Już.

Umknęła przed jego dotknięciem. W jej ciemnych oczach widział strach i złość.

- Dotknij mnie jeszcze raz, a przysięgam że zawołam gliny. Te prawdziwe, tam w komisariacie. Noszą prawdziwe odznaki i prawdziwą broń.

Lucan doszedł już do siebie.

- Nie próbuj mi grozić, Gabrielle. I nie ludź się, że policja cię obroni, nie przed tym. Zapewne połowa posterunków opanowana jest przez jego sługusów.

Pokręciła głową i spróbowała się opanować.

- Słuchaj, ta rozmowa robi się coraz dziwniejsza. Skończyłam z tym, rozumiesz? –

mówiła powoli i cicho, jakby chciała uspokoić warczącego psa, w każdej chwili gotowego do skoku. – Odchodzę. Nie idź za mną.

Kiedy zrobiła pierwszy krok, resztką opanowania Lucana wyparowała. Spojrzał jej prosto w oczy i wydał rozkaz. Zmuszał ją do posłuszeństwa.

Daj mi rękę.

Już.

Zawahała się. Poruszyła palcami. Zaczęła wyciągać rękę w jego stronę.

I nagle połączenie zostało zerwane.

Poczuł, jak siła jego umysłu znika, jak Gabrielle wypycha go ze swoich myśli. Jej wola była niczym żelazne wrota. Zatrzasnęły się przed nim. Nie mógł przez nie przeniknąć, nawet gdyby był w doskonałej kondycji.

- Co do diabła? – Odetchnęła głęboko. – Słyszałam cię przed chwilą w głowie! Mój Boże. Robiłeś mi to już wcześniej, prawda?

- Nie pozostawiasz mi wyboru, Gabrielle.

Spróbował ponownie. Poczuł pchnięcie, tym razem bardziej desperackie, pełne strachu.

Zasłoniła usta dłonią, ale nie zdołała całkowicie stłumić okrzyku.

Cofnęła się i spadła z krawężnika.

A potem rzuciła się na oślep przez jezdnię, byle dalej, w głąb ciemnej ulicy.

- Ty, mały. Przytrzymaj mi drzwi, dobra?

Sługa tak był poruszony widokiem Maxwell przed komisariatem, że dopiero po chwili zorientował się, że te słowa skierowane są do niego. Przytrzymał drzwi dostawcy pizzy, dźwigającemu cztery parujące pudełka. Nie spuszczał wzroku z kobiety, która przebiegła przez ulicę.

Jakby przed kimś uciekała.

Spojrzał na wielkiego mężczyznę, ubranego na czarno. Facet był ogromny – ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, barki jak u futbolisty. Otaczała go zła aura, którą wyczuwał nawet tutaj. Oniemiały, dalej przytrzymywał drzwi od komisariatu, choć dostawca już dawno był w recepcji.

Choć nigdy wcześniej nie widział żadnego z wojowników Rasy, był pewien, że to jeden z nich. Jego Pan nimi gardził.

To była prawdziwa okazja. Wiele zyska, jeśli zawiadomi Pana o obecności tej kobiety i wampira, którego znała i którego się bała.

Wszedł do komisariatu. Dłonie pociły mu się na samą myśl o chwale, jaka go czekała. Opuścił głowę, odruchowo przybierając postawę, która nie wzbudzała niczyjego zainteresowania i ruszył pośpiesznie przez salę.

Nie zauważył dostawcy pizzy, póki na niego nie wpadł. Kartonowe pudełka uderzyły go w brzuch. W Okół rozszedł się zapach czosnku. Dostawca pizzy upadł na podłogę, rozrzucając jedzenie po brudnym linoleum.

- Rany, facet! Łazisz po mojej dostawie! Patrz, gdzie chodzisz, stary.

Nie przeprosił, nawet się nie zatrzymał, żeby strząsnąć z buta ser i peperoni. Wsadził rękę do kieszeni wojskowych spodni, wyłowił z niej komórkę i zaczął szukać zacisznego miejsca. Musiał zadzwonić.

- Poczekaaj chwilę, mały!

Wołała za nim starszawy łysiejący gliniarz, który stał w recepcji. Carrigan, którego od emerytury dzieliło już tylko parę godzin, rozmawiał z recepcjonistką.

Sługa zignorował go i szedł dalej ze spuszczoną głową w stronę schodów pożarowych, znajdujących się za toaletą.

Policjant sapnął głośno, patrząc z niedowierzaniem, jak gówniar go lekceważy.

- Hej, gryziopórku! Mówię do ciebie! Kazałem ci tu wrócić i posprzątać bałagan, którego narobiłeś! W tej chwili, gnojku!

- Sam sobie sprzątaj, ty arogancki pacanie – mruknął pod nosem archiwista, po czym otworzył metalowe drzwi prowadzące na schody pożarowe i zaczął szybko zbiegać na dół.

Nad jego głową rozległ się huk gwałtownie otwieranych drzwi, które uderzyły z rozmachem w ścianę, wstrząsając metalowymi stopniami. Carrigan wychylił się przez poręcz, ze złością wysuwając do przodu szczękę.

- Coś ty powiedział? Coś ty powiedział, gówniarzu?

- Słyszałeś. A teraz zostaw mnie w spokoju. Muszę coś załatwić.

Sługa wyciągnął komórkę, żeby zadzwonić do swego prawdziwego szefa, ale nim zdążył wybrać numer, tęgi gliniarz zbiegł po schodach i walnął go w skroń grubą pięścią. Chłopakowi zakręciło się w głowie. Komórka wypadła mu z ręki i potoczyła się po schodach.

- Dzięki za rozrywkę w ostatnim dniu pracy – zadrwił Carrigan. Wcisnął gruby paluch pod ciasny kołnierzyk koszuli, po czym delikatnie przyklepał kępkę włosów, która sterczała mu nas czołem. – A teraz zbieraj kościstą dupę na górę, nim zastosuję silniejsze środki perswazji, rozumiesz?

Kiedyś, nim spotkał tego, którego nazywał Panem, ustąpiłby komuś tak agresywnemu. Ale teraz ten spocony, czerwony gliniarz był nikim wobec obowiązków, które powierzył mu

Pan. Sługa po prostu zamrugał kilka razy, po czym ruszył po upuszczoną komórkę.

Zszedł za ledwie z dwóch stopni, kiedy Carrigan znów go dopadł. Chwycił mocno za ramię i obrócił w swoją stronę. Wzrok chłopaka spoczął na długopisie, wetkniętym w kieszeń munduru Carrigana. W chwili, gdy otrzymał kolejny cios w głowę, rozpoznał na skuwce symbol policji.

- Jesteś głuchoniemy czy co? Jazda na górę albo...

Krzyszczące dźwięki, jakie zaczął wydawać policjant, szybko go otrzeźwiły. Zobaczył własną dłoń, która zadała kolejny cios. Czubek długopisu wbił się w mięsiste gardło Carrigana.

Sługa uderzał raz po raz, póki gliniarz nie padł bezwładny na ziemię.

Wtedy otworzył pięść i upuścił długopis prosto w kałużę krwi, która zebrała się na schodach. Zapominając natychmiast o swojej ofierze, zbiegł szybko po schodach po komórkę. Już zamierzał zadzwonić, kiedy zauważył panujący wokół bałagan. Cóż, tego nie da się tak łatwo sprzątnąć.

To był błąd. Nie dostanie pochwały za wykrycie tej Maxwell, jeśli Pan się dowie, jak impulsywnie postąpił. Zabijanie bez zezwolenia było zabronione.

Ale może lepiej zrobi, jeżeli schwyta tę kobietę i dostarczy ją Panu?

Tak, pomyślał sługa, taka zdobycz na pewno zrobi wrażenie.

Włożył telefon do kieszeni i wrócił do zwłok Carrigana, żeby zabrać mu broń. Potem przeszedł nad ciałem, wbiegł do komisariatu i wyszedł tylnym wyjściem na parking policyjny.

Rozdział 16

Powinien pozwolić jej odejść.

Wszystko spieprzył. Dziś na pewno nie uda mu się z nią porozmawiać. Może już nigdy mu się nie uda.

Stojąc po przeciwnej storni ulicy, obserwował, jak Gabrielle idzie przed siebie. Była blada i wyglądała na ogłuszoną, jakby właśnie otrzymała silny cios w pierś.

Bo właśnie tak się stało, pomyślał ponuro.

Może najlepiej będzie, jeżeli pozwoli jej uciec. Niech uważa go za kłamcę i niebezpiecznego wariata. W końcu w jakimś sensie była to prawda. Ale jej opinia na jego temat nie miała znaczenia. Musiał zapewnić jej bezpieczeństwo. Była przecież Dawczynią Życia.

A może powinna wrócić do domu na kilka dni? Ochłonie, pogodzi się z jego oszustwem. Potem wyśle do niej Gideona, żeby wszystko wyjaśnił i zabrał ją w bezpieczne miejsce. Zamieszka w którejś z Mrocznych Przystani. Będzie tam bezpieczna i szczęśliwa, i znajdzie odpowiedniego partnera.

I już nigdy więcej go nie zobaczy.

Tak, pomyślał, to najlepsze rozwiązanie.

Zszedł jednak z krawężnika, przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył za nią. Nie mógł pozwolić jej odejść, choć właśnie tego najbardziej potrzebowała.

Kiedy przeszedł przez ulicę, jego uwagę zwrócił nagły pisk opon. Jakiś rzech wyjechał z alejki koło komisariatu i włączył się do ruchu. Silnik gruchota ryknął, kiedy kierowca wcisnął gwałtownie pedał gazu. Celował w kogoś na chodniku.

W Gabrielle.

Nie!

Lucan rzucił się biegiem, jego buty ledwie dotykały chodnika. Poruszał się najszybciej jak umiał.

Samochód wjechał na chodnik jakiś metr przed Gabrielle, blokując jej drogę. Zatrzymała się gwałtownie. Z otwartego okna samochodu padło jakieś polecenie, ale ona pokręciła gwałtownie głową. Nagle krzyknęła. Kogoś rozpoznała, kiedy drzwiczki samochodu otworzyły się i wyskoczył przez nie mężczyzna.

- Jezu Chryste, Gabrielle! – wrzasnął Lucan. Spróbował dotrzeć do umysłu napastnika,

ale napotkał tylko pustą, martwą przestrzeń.

Sługa, pomyślał z pogardą. Tylko Szkarłatny, który posiadał tego człowieka, mógł rządzić jego myślami. Na dodatek ta próba przejęcia kontroli nad napastnikiem zwolniła tempo jego kroków. Stracił tylko kilka sekund, ale za chwilę mogło się okazać, że zbyt wiele.

Gabrielle rzuciła się w lewo i wbiegła na mały placzyk zabaw. Prześladowca pobiegł za nią.

Lucan usłyszał jej krzyk, zobaczył, jak mężczyzna wyciąga rękę i chwyta ją za koński ogon.

Drań przewrócił ją i wyciągnął zza paska wojskowych spodni pistolet.

Wycelował lufę prosto w twarz Gabrielle.

- Nie! – ryknął Lucan. W jednej chwili znalazł się przy nich i jednym celnym kopniakiem zrzucił mężczyznę z Gabrielle.

Pistolet wypadł z ręki chłopaka i wystrzelił. Kula trafiła gdzieś w korony drzew, ale Lucan wyczuł krew. Jej metaliczny zapach przylgnął i do Gabrielle, i do jej napastnika. Nie należała do niej, uświadomił sobie z ulgą, w jej woni brakowało unikatowej nuty jaśminu.

Przód koszuli chłopaka był zakrwawiony. To spowodowało, że w Lucanie odezwało się pragnienie. Dziaśła pulsowały mu boleśnie, ale nad rządzą krwi górowała wściekłość na myśl o tym, co ten drań mógł zrobić Gabrielle. Nie spuszczać wzroku z leżącego, wyciągnął rękę, żeby pomóc wstać dziewczynie.

- Czy coś ci zrobił?

Pokręciła głową i wydała cichy, stłumiony dźwięk, na wpół szloch na wpół jęk.

- Lucan, to on! To jego widziałam wtedy w parku! To on mnie śledził!

- To sługa – powiedział Lucan. Wypluł to nienawistne słowo przez zaciśnięte zęby.

Nie obchodziło go, kim jest ten człowiek. I tak za kilka minut jego życie dobiegnie końca.

- Gabrielle, kochanie, musisz stąd iść.

- C-co? Zostawić cię z nim? Ale on ma broń!

- Już, kochanie, proszę. Wracaj do domu. Dopilnuję, żebyś tam była bezpieczna.

Sługa nadal leżał na ziemi, ale w rękę znów ścisnął pistolet. Kaszłał, usiłując odzyskać oddech, skutecznie odebrany mu kopniakiem Lucana. Splunął krwią, a Lucan mimo woli popatrzył pożądliwie, jak krwawa strużka śliny wsiąka w ziemię. Wysuwające się kły powodowały ból dziąseł.

- Lucan...

- Do diabła, Gabrielle! Uciekaj!

Wykrzyknął ten rozkaz z furją, nie potrafił już zapanować nad bestią, która się w nim

obudziła. Zamierzał znowu zabić, ale nie chciał, żeby ona to widziała.

- Uciekaj, Gabrielle. Już!

Pobiegła

Niepewnie, z ciężkim sercem wykonała polecenie Lucana, ale wcale nie zamierzała wracać do domu, tak jak jej kazał. Wybiegła z placu zabaw, modląc się, żeby na ulicy przed komisariatem byli jacyś gliniarze. Z jednej strony nie chciała zostawić Lucana samego z tym człowiekiem, ale z drugiej bardzo chciała mu pomóc.

Choć była wściekła, że ją oszukał i przerażona tym wszystkim, czego w nim nie rozumiała, musiała się upewnić, że nic mu nie będzie.

Bo jeśli coś mu się stanie...

Tę myśl przerwał kolejny huk wystrzału, który rozległ się w ciemności za jej plecami.

Zamarła, całe powietrze uszło jej z płuc.

Usłyszała dziwny, zwierzęcy ryk.

Rozległy się kolejne dwa strzały, a potem zalega cisza.

Ciężka, bolesna cisza.

O Boże.

- Lucan?! – krzyknęła. W gardle rosła jej gęła paniki. – Lucan!

Znów biegła, tym razem z powrotem na plac zabaw. Miała wrażenie, że jej serce rozpadnie się na milion kawałków, jeśli straci Lucana.

Czuła niejasny niepokój, że chłopak z komisariatu – sługa, takim słowem określił go Lucan – może tam na nią czeka albo już biegnie w jej stronę, by dokończyć to, co zaczął. Ale obawy o własne bezpieczeństwo nie były w tej chwili ważne. Wpadła na oświetlony księżycem plac zabaw.

Po prostu musiała wiedzieć, czy Lucan żyje.

Ponad wszystko inne w owej chwili pragnęła być przy nim.

Ujrzała ciemną sylwetkę – Lucan stał na szeroko rozstawionych nogach, ręce opuścił wzdłuż boków. Na ziemi siedział jej napastnik. Przed chwilą musiał upaść i teraz próbował się wycofać poza zasięg rąk Lucana.

- Dzięki Bogu – szepnęła do siebie Gabrielle. Czuła wielką ulgę.

Lucanowi nic się nie stało. A tym niebezpiecznym psychotykiem zaraz zajmie się policja.

Podeszła nieco bliżej.

- Lucan! – zawołała, ale najwyraźniej jej nie usłyszał.

Nagle nachylił się na chłopakiem i wyciągnął rękę, zarejestrowała jakiś dziwny

zduszony dźwięk i nagle uświadomiła sobie ze wstrząsem. Ze Lucan złapał chłopaka za gardło.

Poderwał go z ziemi jednym ruchem.

Zwolniła kroku, ale się nie zatrzymała. Jej umysł próbował zrozumieć, co widzą oczy.

Lucan był silny, co do tego nie miała wątpliwości, ale chłopak z komisariatu ważył jakieś dwadzieścia kilo więcej niż ona, ale żeby tak podnieść go jedną ręką... Ledwie mogła w to uwierzyć.

Miała wrażenie, że to, co widzi, to film w kinie. Lucan unosił chłopaka coraz wyżej, a ten próbował rozewrzeć ucisk, który powoli pozbawiał go tchu. W uszach słyszała potworny ryk.

W świetle księżyca ujrziała usta Lucana. Były otwarte, zęby miał obnażone. To stamtąd wydobywał się ten potworny dźwięk.

- Przestań – szepnęła. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Czują, jak robi jej się nie dobrze. – Proszę cię, Lucanie, przestań!

Ryk nagle ustał, ale zastąpiła go nowa potworność. Lucan przysunął so siebie szamoczące się ciało i zatopił zęby w szyi nieszczęśnika. Z głębokiej rany trysnęła krew, czarna w blasku księżyca. Wampir nie podniósł głowy, trzymał usta przyciśnięte do rany,

Pił krew.

- O Boże – jęknęła. Uniosła do twarzy trzęsące się dłonie, by stłumiły krzyk. – Nie, nie, nie, nie... Och, Lucanie, nie!

Poderwał gwałtownie głowę, jakby usłyszał jej cichy jęk. Albo może nagle wyczuł jej obecność, znajdowała się zaledwie sto metrów od niego. Nigdy wcześniej nie widziała niczego równie potwornego.

Nieprawda, zaprzeczył jej przerażony umysł.

Widziała już kiedy podobną scenę. I choć rozsądek nie pozwalał jej nazwać tego, co zobaczyła, to z ust wyrwało jej się to słowo.

- Wampir. – Patrzyła na pochłapaną twarz Lucana i jego oczy, dzikie i płonące.

Rozdział 17

Spowijał go zapach krwi, ostry i metaliczny, zarejestrował w ustach jej słodki miedziany posmak. Część tej krwi należała do niego, uświadomił sobie ze zdumieniem. Z cichym pomrukiem przyjrzał się sobie i stwierdził, że został postrzelony w lewe ramię.

Nie czuł bólu, tylko wrzącą energię, która zawsze napełniała go, gdy żerował.

Ale pragnął więcej.

Musi dostać znacznie więcej!, wrzasnęła mieszkająca w nim bestia.

Ten głos się wzmagał, stawał się natarczywy. Popychał go na skraj nałogu.

Ale czyż nie zmierzał tam już od dawna?

Lucan zacisnął zęby tak mocno, jakby chciał je połamać. Musiał się opanować, odejść stąd, wrócić do kwatery, gdzie może dojść do siebie.

Przez dwie godziny wędrował ciemnymi ulicami, krew pulsowała mu głośno w skroniach, a wściekłość i głód niemal zupełnie opanowały jego umysł. W takim stanie stanowił zagrożenie dla wszystkich, ale jego ciało po prostu nie mogło się uspokoić.

Przemierzał miasto jak zjawą, nie angażując w swoje ruchy świadomości, choć stopy – i wszystkie zmysły – prowadziły go w jednym kierunku. Ku Gabrielle.

Nie poszła do domu. Nie był pewien, dokąd uciekła, póki niewidzialna nić, która go z nią łączyła, nie zaprowadziła go do kamienicy na North Endzie. Gdzie bez wątpienia mieszkała jej przyjaciółka.

W oknach na górze paliło się światło. Od Gabrielle dzielił go tylko ściana ze szkła i cegiel.

Ale nie zamierzał nalegać na spotkanie. I to nie tylko dlatego, że przed domem parkował czerwony ford mustang policyjnym kogutem. Nie musiał się przyglądać w jego szybie, żeby wiedzieć, że źrenice ma zwężone, a kły wysunięte.

Wyglądał dokładnie tak, jak bestia, która w nim tkwiła.

Bestia, którą dziś w nocy Gabrielle zobaczyła w całej krasie.

Z cichym warkotem przywołał w pamięci przerażony wyraz jej twarzy, kiedy mordował tego człowieka.

Nadal widział, jak się cofa, a w oczach ma odrazę. Zobaczyła go takim, jaki był naprawdę – na odchodne rzuciła nawet oskarżycielskie słowo.

Nie próbował jej powstrzymać ani perswazją, ani siłą.

W owej chwili nie czuł nic prócz furii. Kiedy opuścił na ziemię osuszone z krwi ciało, poczuł jeszcze większą wściekłość na myśl o tym, co stałoby się z Gabrielle, gdyby wpadła w ręce Szkarłatnych. Chciał rozszarpać tego chłopaka na kawałki – i omal tego nie zrobił.

On, taki chłodny, taki zawsze opanowany.

Bardzo śmieszne.

Jego maska opadła w chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył Gabrielle Maxwell. Ta kobieta sprawiła, że stał się słaby, podatny na błędy.

Sprawił, że zapragnął rzeczy, których nigdy nie dostanie.

Popatrzył w okno na piętrze. Dyszał ciężko, starając się opanować chęć wskoczenia na parapet, stłuczenia szyby i zabrania Gabrielle, gdzie mógłby ją mieć tylko dla siebie.

Niech się go boi. Niech nim gardzi, byle tylko mógł czuć pod sobą jej ciepłe ciało, byle tylko łagodziła jego ból. Tak jak tylko ona to potrafi.

Właśnie tak, zawarczała w nim bestia, która знаła tylko żądzę.

Opanowując ten impuls, zacisnął dłoń w pięść i walnął nią z całej siły w maskę policyjnego mustanga. Zawył alarm, w pobliskim oknie ktoś odsunął zasłonę. Lucan zeskoczył z krawężnika i uciekł w ciemność dogasającej nocy.

- Wszystko w porządku – powiedział po powrocie chłopak Megan. Sprawdził, dlaczego nagle włączył się alarm w jego samochodzie. – Cholernik reaguje nawet na powiew wiatru. Sorry. Nie trzeba nam dziś w nocy dodatkowych atrakcji.

- Pewnie to jakieś dzieciaki – dodała Megan, która siedziała obok Gabrielle na kanapie.

Gabrielle kiwnęła głową, doceniając ich wysiłki, by ją uspokoić, ale nie uwierzyła im ani na chwilę.

To był Lucan.

Wiedziała, że jest na zewnątrz, choć nie potrafiła powiedzieć skąd. Nie czuła przerażenia, tylko głębokie przekonanie, że jest w pobliżu.

Że jej potrzebuje.

Niech Bóg się nad nią zlituje, ale przez chwilę naprawdę miała nadzieję, że tu przyjdzie, że ją stąd zabierze i pomoże zrozumieć tę straszną rzecz, której niedawno była świadkiem.

Ale teraz już odszedł. Była tego równie pewna, jak tego, że przyszedł za nią do mieszkania Megan.

- Ciepło ci, Gabby? Chcesz jeszcze herbaty?

- Nie, dzięki.

Trzymała oburącz kubek z letnią herbata z rumianku. W środku czuła chłód, którego nie mogły usunąć koce ani gorące napoje. Serce nadal biło jej szybko, w głowie się jej kręciło. Była zdezorientowana.

Lucan rozszarpał gardło tego człowieka.

Zębami.

Przyłożył usta do rany i pił krew, która zalewała mu twarz.

Był potworem z sennego koszmaru. Był taki sam, jak ci faceci, którzy pobili i zamordowali chłopaka pod nocnym klubem. Tamto wydarzenie wydawało jej się teraz tak odległe, jakby nie wydarzyło się naprawdę.

Ale wydarzyło się, podobnie jak dzisiejsze morderstwo, które popełnił Lucan.

Przyszła do Megan w desperacji. Musiała znaleźć się w jakimś znajomym miejscu, ale nie chciała wrócić do siebie, z obawy, że czeka tam na nią Lucan. Powiedziała Megan i jej chłopakowi, Rayowi, że zaczepił ją na ulicy psychopata z posterunku. Wyjaśniła, że śledził ją już wczoraj, a dziś zaatakował, grożąc bronią.

Nie była pewna, dlaczego całkowicie pominęła rolę Lucana w tym wszystkim, choć przecież jego obecność była tu kluczowym elementem. Zapewne dlatego, że tak naprawdę zabił, żeby ją chronić. Czuła, że jest mu coś winna.

Nawet jeśli był wampirem.

- Gab, kotku, zgłoś tę napaść. Ten chłopak jest niebezpieczny. Policja musi się o nim dowiedzieć, zgarnąć go z ulicy. Ray i ja możemy cię zabrać na posterunek. Pojedziemy do centrum i odszukamy twojego przyjaciela gliniarza...

- Nie. – Gabrielle pokręciła głową, odstawiając na stolik zimną herbatę. Ręce jej drżały. – Nie chcę dziś nigdzie wychodzić. Proszę, Megan. Muszę chwilę odpocząć. Jestem taka zmęczona.

Przyjaciółka wzięła ją za rękę i lekko ścisnęła.

- Zgoda. Przyniosę ci koc poduszkę. Nie musisz nigdzie chodzić, póki nie będziesz gotowa. Cieszę się, że nic ci się nie stało.

- Miałaś szczęście, że udało ci się uciec – stwierdził Ray, kiedy Megan zabrała kubek Gabrielle i zaniósła go do kuchni, a potem poszła po pościel. – Ktoś inny może go nie mieć. No, ale nie jestem dziś na służbie, a Meg to twoja przyjaciółka, więc nie będę się upierał, Tylko pamiętaj, nie wolno pozwolić, żeby temu chłopakowi uszło to na sucho.

- Nie skrzywdzi nikogo innego – szepnęła Gabrielle. A choć rozmawiali o człowieku, który groził jej bronią, równie dobrze mogliby teraz rozmawiać o Lucanie.

Nie pamiętał, jak wrócił do kwatery ani jak długo w niej przebywał. Sądząc z tego, jak się spocił w Sali treningowej, musiało minąć kilka godzin,

Nie zapalił światła. Oczy dokuczały mu nawet w ciemnościach, Żeby odzyskać nad sobą kontrolę, musiał zmusić mięśnie do pracy. Jego organizm powoli dochodził do siebie po ataku. Wręcz starał się o nałóg krwi.

Sięgnął po jeden z noży leżących na stole przesunął palcami po ostrym jak brzytwa ostrzu, po czym zwrócił się w stronę toru treningowego. Bardziej wyczuwał, niż widział cel na jego końcu. Cisnął nożem w ciemność, Trafił w sam środek.

- Tak, do diabła – mruknął. Głos miał nadal zachrypnięty, Kły jeszcze się nie schowały.

Ale znacznie poprawił swoją celność. W kilku ostatnich rzutach nie chybił ani o włos. Zamierzał ćwiczyć, póki nie otrząśnie się zupełnie ze skutków ostatniego posiłku. Choć może to zabrać nieco czasu, pomyślał. Nadal czuł się chory. Trochę przedawkował.

Poszedł po nóż. Wyciągnął go z manekina. Z zadowoleniem ocenił, jak głęboką zadałby ranę, gdyby stał tu Szkarłatny albo sługa.

Kiedy wracał, by oddać kolejny rzut, usłyszał ciche kliknięcie, a potem wszystko zalało oślepiające światło.

Aż się skulił, gdy głowa eksplodowała mu nagłym bólem. Zaczął szybko mrugać, żeby przyzwyczaić wzrok do światła. Zmrużył oczy przed blaskiem odbijającym się w lustrach zawieszonych na ścianach Sali treningowej. Zobaczył w nich wielką sylwetkę wampira, który opierał się ramieniem o ścianę.

Z cienia obserwował go jeden z wojowników.

Tegan.

Jezu. Jak długo tu stał?

- Musisz być naprawdę w fatalnym stanie, skoro nie możesz znieść światła – stwierdził Tegan. Jak zwykle zachowywał się apatycznie. Miał na sobie ciemną koszulkę i luźne dzinsy.

- Przeżyję – warknął Lucan. Nadal nic nie widział, ale uniósł głowę i zmusił się do spojrzenia Teganowi w oczy. – I tak miałem już wychodzić.

Wojownik nie odrywał od niego wszystkowiedzącego spojrzenia. Jego nozdrza zadrgały lekko, a nieznaczne wygięcie ust wskazywało na zaskoczenie.

- Polowałeś dzisiaj. I krwawisz.

- I co z tego?

- Zwykle jesteś zbyt szybki, żeby dostać kulkę.

Lucan zaklął cicho.

- Zejdz ze mnie! Nie mam nastroju na towarzystwo.

- Co ty nie powiesz. Trochę jesteśmy spięci, no nie? – Tegan postąpił kilka kroków, żeby przyjrzeć się broni leżącej na stole. Nie patrzył teraz na Lucana, choć widział jego cierpienie. – Spuściłeś trochę pary? Mogę się założyć, że trudno ci się skoncentrować, kiedy w uszach szumi krew. Płynie w żyłach tak szybko, że ją słyszysz. Można myśleć tylko o głodzie. I nim się obejrzysz, wpadasz w nałóg.

Lucan zważył nóż w dłoni. Nie był w stanie skupić wzroku. Świerzbiły go palce, żeby cisnąć nim w coś innego. Z cichym pomrukiem odwrócił się i posłał nóż prosto w cel na drugim końcu toru. Ostrze wbiło się głęboko, dokładnie w pierś, a raczej w serce.

- Spadaj stąd. Nie potrzebuję twoich komentarzy. Zaczynam rozumieć dlaczego.

- Gównu wiesz!

- Czyżby? – Tegan patrzył na niego, a potem powoli pokręcił głową i zaklął cicho. – uważaj na siebie – powiedział wreszcie.

- Jezu Chryste. – Lucan zwrócił się do niego gwałtownie, ledwie panując nad wściekłością. – Chcesz mi dawać rady?

- Myśl sobie, co chcesz. – Tegan arogancko wzruszył ramionami. – Może to ostrzeżenie, nie rada.

- Ostrzeżenie? – Ochryply śmiech Lucana odbił się echem w wielkiej Sali. – Z twoich ust? Ależ mnie trafił zaszczyt!

- Wiesz, że balansujesz na krawędzi. Widzę to w twoich oczach. – Tegan pokręcił głową, złociste włosy zatańczyły mu wokół twarzy. – Przepaść jest głęboka, pamiętaj. Nie chciałbym, żebyś spadł.

- Daruj sobie tę troskę. Akurat na twojej mi nie zależy.

- Czyli masz to wszystko pod kontrolą, tak?

- Tak.

- Powtarzaj to sobie często, to może w to uwierzysz. Ale nie wyglądasz mi na gościa, który kontroluje cokolwiek.

Na te słowa Lucan stracił resztki panowania nad sobą. Oślepiiony furją rzucił się na Tegana, szczerząc kły i sycząc. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że trzyma w dłoni nóż, póki nie zobaczył srebrzystego ostrza przyciśniętego mocno do gardła wojownika.

- Odczep się ode mnie, słyszysz?

- Chcesz mnie dziabnąć, Lucan? Chcesz, żebym zaczął krwawić? No jazda, zrób to.

Tylko szybko!

Lucan rzucił nóż i z dzikim wrzaskiem złapał Tegana oburącz za koszulkę. Broń to zbyt łatwe. Chciał poczuć pod palcami rozrywane ciało i łamane kości. Chciał possać się bestii, która już niemal zapanowała nad jego umysłem.

- Cholera. – Tegan zaczął chichotać. Jego pozbawiony wyrazu wzrok zatrzymał się na dzikich oczach Lucana. – Tkwisz już jedną nogą w gównie, no nie?

- Odwal się! – ryknął Lucan do wampira, który kiedyś, dawno temu, był jego przyjacielem. – Powinienem cię zabić! Powinienem cię wtedy zabić!

Tegan nie zareagował.

- Szukasz wrogów, co? No to spójrz w lustro.

Lucan szarpnął Teganiem i uderzył nim o przeciwległą ścianę Sali. Lustro stłukło się pod wpływem uderzenia, obsypując szkłem ramiona i tors wampira.

Choć odrzucał od siebie słowa Tegana, nagle zobaczył swoje odbicie, powielone setki razy w stłuczonych kawałkach lustra. Ujrzał zwięzione źrenice, pałające tęczęwki – szalone oczy szkarłatnego. Wielkie kły wystawały mu z ust, a twarz wykrzywiła się koszmarnie.

W swoim odbiciu ujrzał wszystko to, czego nienawidził, wszystko, co chciał zniszczyć. Było dokładnie tak, jak mówił Tegan.

Na domiar złego w lustrach ujrzał coś jeszcze. Nikolaia i Dantego, którzy właśnie weszli do Sali. Poruszali się ostrożnie.

- Nikt nam nie powiedział, że szykuje się imprezka – zażartował Dante, choć jego spojrzenie bynajmniej nie było rozbawione. – Co się dzieje? Wszystko gra?

Zapadła długa, pełna napięcia cisza.

Lucan puścił Tegana i powoli odsunął się od niego. Spuścił wzrok, usiłując ukryć dziki wyraz swoich oczu. Wstyd, jaki czuł, był dla niego czymś nowym. Nie spodobał mu się jego gorzki smak. Nie mógł mówić, w gardle utkwiała mu wielka gula.

Ciszę przerwał Tegan.

- Tak – powiedział, nie spuszczać wzroku z twarzy Lucana. – Wszystko gra.

Lucan gwałtownie odwrócił się od nich tyłem, uderzając udem o stół z bronią, która spadła z brzękiem na ziemię. Ruszył do wyjścia.

- Kurcze, nieźle sobie dzisiaj pofolgował – mruknął Niko. – Zabił na mur beton.

Lucan usłyszał jeszcze odpowiedź Dantego:

- Gorzej. Przedawkował.

Rozdział 18

Więcej – zajęczała samica, siadając mu na kolanach i nadstawiając szyję. Chwyliła go namiętnie za kark, jej oczy uciekały w górę, pod powieki, jakby była naćpana. – Proszę... napij się jeszcze. Chcę żebyś wypił wszystko.

- Może – obiecał niezobowiązująco. Już zaczynał się nudzić swą śliczną zabawką.

K. Delaney, pielęgniarza, przez pierwsze kilka godzin była dość zabawna, ale jak wszyscy ludzie pod wpływem mocy wampirzego pocałunku w końcu przestała walczyć i teraz błagała tylko o zakończenie jej cierpienia. Była naga, ocierała się o niego jak marczująca kotka. Nadstawiała się pod jego usta i jęczała, ponieważ nie chciała zanurzyć w niej swych kłów.

- Proszę – powtórzyła błagalnie. Zaczęło go to złościć.

Nie mógł zaprzeczyć, że dała mu przyjemność i swoim chętnym ciałem i wybornym, głębszym spełnieniem, kiedy pożywiał się z jej słodkiego, soczystego gardła. Ale już z tym skończył. Chyba ze zechce odebrać jej resztkę człowieczeństwa i uczynić z niej poddaną.

Jeszcze nie. Może będzie chciał się z nią jeszcze trochę zabawiać.

Jednak jeśli nie uwolni się z jej namiętnych uścisków, poczuje pokusę, by wyssać ją do końca i zakończyć krótkie życie pielęgniarki.

Bezceremonialnie zrzucił ją z kolan i wstał.

- Nie! – zawodziła. – Nie odchodź!

Ruszył do drzwi. Obszerne fałdy jedwabnego szlafroka falowały wokół jego łydek, kiedy szedł do gabinetu, znajdującego się po drugiej stronie korytarza. Ten pokój, jego tajne sanktuarium, wypełnił tym, co lubił najbardziej: wspaniałymi meblami, bezcennymi antykami, dziełami sztuki i dywanami, które utkano w Persji w czasach krucjat. To były pamiątki jego przeszłości, przedmioty zbierane przez wieki. Czerpał z nich przyjemność. Sprowadził je tu niedawno. Bo tu właśnie, w Nowej Anglii, znajdowała się baza jego armii.

Miał tu również swój ostatni nabytek.

Choć ten akurat – a była to seria współczesnych fotografii – wcale nie przyniósł mu zadowolenia. Popatrzył na czarno-białe podobizny rozrzuconych po mieście gniazd Szkarłatnych i nie mógł powstrzymać złego furii warkotu.

- Hej... To przecież nie twoje!

Rzucił zirytowane spojrzenie na samice, która przywlokła się za nim z sypialni. Siadła

na pięknym dywanie, nadąsana jak mała dziewczynka. Głowa padała jej na boki, mrugała zdezorientowana, jakby ledwie mogła skupić wzrok. Patrzyła na kolekcję fotografii.

- Czyżby? – Spytał bez zainteresowania, choć przelotnie zaciekawilo go, co może wiedzieć o tych zdjęciach. – A do kogo twoim zdaniem należą?

- Do mojej przyjaciółki... To jej zdjęcia!

Uniósł brwi.

- Znasz tę artystkę?

Kiwnęła głową.

- To moja przyjaciółka... Gabby.

- Gabrielle Maxwell – powiedział, tym razem naprawdę zainteresowany. – Opowiedz mi o niej. Dlaczego interesuje się takimi miejscami?

To pytanie dręczyło go od chwili, kiedy po raz pierwszy zwrócił uwagę na Gabrielle, niewygodnego świadka zabójstwa dokonanego przez jego rekrutów. Był zirytowany, choć nie zaniepokojony, kiedy usłyszał o tej kobiecie od chłopaka, który pracował na komisariacie. Kiedy zobaczył ją na filmie z kamer rozmieszczonych w zakładzie psychiatrycznym, wcale nie poczuł się rozbawiony, ale dopiero jej obsesja umieszczania wampirycznych siedzib wzbudziła jego mroczne zainteresowanie.

Aż do tej chwili zajęty był innymi, ważniejszymi sprawami, dlatego jedynie pobieżnie obserwował poczynania Gabrielle Maxwell. Być może jednak należało się nią zainteresować. Na przykład porządnie ją przesłuchać. Przy użyciu tortur, jeśli będzie miał na to ochotę.

- Porozmawiajmy o twojej przyjaciółce.

Jego znużona zabawka przekrzywiła głowę, a potem rozciągnęła się na dywanie, rozrzucając ręce jak rozpieszczone dziecko, któremu czegoś odmówiono.

- Nie... nie będziemy o niej rozmawiać – wymamrotała, unosząc biodra. – Chodź tutaj... Pocałuj mnie... Porozmawiajmy o mnie... o nas!

Postąpił krok w jej stronę, ale jego zamiary były zupełnie inne, niż sądziła. Choć zwężone w szparki źrenice mogły wskazywać na pożądanie, tak naprawdę to był gniew. Złapał ją brutalnie i postawił na nogach.

- O tak – westchnęła, poddając się jego woli.

Przechylił jej głowę na ramię, odsłaniając bladą szyję, nadal krwawiącą po jego ostatnim pocałunku. Zlizał krew, a kły wysunęły mu się natychmiast z dziąseł.

- Powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć – szepnął. Był niesamowicie opanowany, patrzył prosto w jej zamglone oczy. – Od tej chwili, siostrze K. Delaney, będziesz robić wszystko, czego zażądam.

Obnażył zęby, po czym szybko jak kobra wbił je w jej ciało, wysysając z niej całą świadomość i resztki słabej ludzkiej duszy.

Gabrielle obeszła mieszkanie, sprawdzając, czy wszystkie drzwi i okna są starannie pozamykane. Wróciła do domu po południu, choć z mieszkania Megan wyszła rano, kiedy jej przyjaciółka szła do pracy. Meg zaproponowała jej, żeby u niej została, ale nie mogła przecież ukrywać się do końca świata. Poza tym nie zamierzała wciągać przyjaciółki w sytuację, która z każdą godziną robiła się coraz bardziej tajemnicza i przerażająca.

Początkowo nie wracała do mieszkania, tylko wędrowała po mieście, poddając się narastającej hysterii. Instynkt ostrzegł ją, by przygotowała się do walki.

Wiedziała, że przyjdzie do niej, prędzej czy później.

Bała się, że zastanie go w domu, albo jego przyjaciół. Ale był środek dnia, więc kiedy weszła do mieszkania, okazało się, że jest puste, a wszystko leży na swoim miejscu.

Jednak teraz, kiedy zapadał zmrok, jej niepokój wrócił, dziesięć razy silniejszy niż rano.

Ubrana była w obszerny biały sweter i dzinsy. Objęła się mocno ramionami i poszła do kuchni, gdzie na automatycznej sekretarce mrugała lampka sygnalizująca nagranie dwóch nowych wiadomości. Obie od Megan. Dzwoniła do Gabrielle od godziny. Gorączkowo opowiadała o zwłokach odkrytych na placu zabaw.

Megan była rozgorączkowana, przekazała wszystko, czego dowiedziała się od Raya. Wyglądało na to, że chłopaka zaatakowało dziczące zwierzę. Ale to jeszcze nie wszystko. Na komisariacie został zamordowany policjant. To jego broń znaleziono przy zmasakrowanym ciele.

„Gabby, proszę zadzwoń do mnie, jak tylko odsłucha tę wiadomość. Wiem, że się boisz, kochana, ale policja naprawdę potrzebuje twoich zeznań. Ray powiedział, że może po ciebie wpaść...”

Gabrielle skasowała wiadomość.

Poczuła, jak unoszą jej się włosy na karku.

Nie była już w kuchni sama.

Serce zaczęło bić jej szybko. Odwróciła się przodem do przybysza. Lucan stał w drzwiach do salonu i obserwował ją w milczeniu.

Albo może oceniał swój kolejny posiłek.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że jest nie tyle przestraszona, ile wściekła. Na niego. Wyglądał tak zwyczajnie, kiedy stał w ciemnym płaszczu, czarnych spodniach i drogiej

koszuli, o kilka tonów ciemniejszej niż jego hipnotyzujące srebrzyste oczy.

Nie było w nim ani śladu potwora, którego widziała zeszłej nocy. Tylko mężczyzna. Mroczny kochanek, którego sądziła, że zna.

Żałowała, że nie zjawił się tu z obnażonymi kłami i furią w dziwnie zmienionych oczach, że nie wyglądał tak jak wczoraj, tylko udawał normalność. Teraz i ona miała ochotę udawać, że nic się nie stało. Że to tylko detektyw Lucan Thorne z bostońskiej policji, człowiek, który chroni niewinnych, stróż prawa.

Mężczyzna, w którym mogłaby się zakochać... A może nawet już się zakochała.

Ale wszystko w nim było kłamstwem.

- Obiecałem sobie, że tu dziś nie przyjdę.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Wiedziałam, że przyjdiesz. Wiem, że śledziłeś mnie zeszłej nocy, kiedy od ciebie uciekłam.

Coś zamigotało w jego przenikliwych oczach, które wpatrywały się w nią uważnie, Coś niezbyt przypominającego pieszczotę.

- Nie skrzywdziłbym cię. Teraz też nic ci nie zrobię,

- Więc wyjdź.

Pokręcił głową. Postąpił krok w jej stronę.

- Dopiero jak porozmawiamy.

- Chcesz powiedzieć, dopóki nie dopilnujesz, żebym nie mogła nic powiedzieć – poprawiła go. Postanowiła, że nie uśpi jej czujności tym normalnym wyglądem.

Albo tym, że jej ciało – nawet jej idiotyczne serce – tak silnie zareagowało na jego widok.

- Są rzeczy, które musisz zrozumieć.

- Och, ależ rozumiem – zapewniła, zaskoczona, że głos jej nie drży. Uniosła dłoń do szyi i chwyciła krzyżyk, który dostała na pierwszą komunię. Delikatny wisiorek wydał jej się nagle bardzo mizerną bronią, kiedy Lucan był raptem kilka kroków od niej. – Nie musisz mi nic wyjaśniać. Fakt, zajęło mi to chwilę, ale w końcu wszystko zrozumiałam.

- Nie, nie rozumiałaś. – Ruszył ku niej ale stanął na widok pęku białych główek nad futryną drzwi. – Czosnek – stwierdził i się uśmiechnął.

Gabrielle cofnęła się, podeszwy jej trampek zapiszczały na płytkach podłogi.

- Powiedziałam, że się ciebie spodziewałam.

I przygotowała się dobrze na jego przyjście. Gdyby się rozejrzył, przekonałby się, że wszystkie drzwi w jej mieszkaniu, łącznie z frontowymi, udekorowane są w ten sam sposób.

Choć jemu najwyraźniej było to obojętne.

Nie powstrzymały go liczne zamki ani ludowy przepis na odganianie wampirów. Wszedł do jej domu mimo wszystkich zabezpieczeń i teraz wpatrywał się w nią uważnie.

Kiedy podszedł bliżej, cofnęła się w głąb kuchni. Trafiła plecami na bufet. Na granitowym blacie stała mała butelka po płynie do płukania ust, która obecnie zawierała coś, co załatwiła sobie, gdy zatrzymała się w kościele St. Mary's na długą, spóźnioną spowiedź. Chwyliła teraz tę butelkę i przycisnęła do piersi.

- Święcona woda? – spytał Lucan, przyglądając się jej chłodno. – Co zamierzasz z nią zrobić, polać mnie?

- Jeśli będę musiała.

Poruszał się tak szybko, że zobaczyła tylko rozmazany cień. Stał przed nią i wyrwał jej butelkę, po czym wylał sobie zawartość na dłoń. Przesunął mokrą ręką po twarzy i po błyszczących czarnych włosach.

Nic się nie stało.

Rzucił na blat pustą butelkę i zbliżył się do niej o kolejny krok.

- Nie jestem taki, jak myślisz, Gabrielle.

Mówił tak spokojnie, że niemal mu uwierzyła.

- Widziałam, co zrobiłeś. Zamordowałeś człowieka!

Pokręcił głową.

- Zabiłem istotę, która już nie była człowiekiem. Wszystko, co było w nim ludzkie, zostało wysrane przez wampira, który zmienił go w swojego niewolnika. Już właściwie był martwy. Ja tylko dokończyłem sprawę. Żałuję, że musiała to zobaczyć, ale nie zamierzam za to przeproszać. Zabiłbym każdego, kto próbowałby cię skrzywdzić.

- Czyli jesteś albo niebezpieczny, albo nienormalny. Przecież rozszarpałeś mu gardło i wypileś krew!

Czekała na kolejną opanowaną odpowiedź, jakieś racjonalne wyjaśnienie, które skłoniłoby ją do wiary, że nawet wampiryzm ma swój sens i może istnieć w realnym świecie.

Ale Lucan nie udzielił jej takiej odpowiedzi.

- Nie tak chciałem ułożyć sprawy między nami. Bóg mi świadkiem, zasługujesz na kogoś lepszego. – Zamruczał coś cicho w języku, którego nie rozumiała. – Zasługujesz na to, żeby wprowadzić cię we wszystko stopniowo. Powinien to zrobić ktoś, kto znajdzie właściwe słowa i będzie wiedział, jak postąpić. Dlatego chciałem tu przysłać Gideona... - Przesunął bezradnie palcami po włosach. – Nie jestem dobrym ambasadorem Rasy. Jestem wojownikiem, czasami katem. Zajmuję się śmiercią, Gabrielle i nie przywykłem

usprawiedliwiać swoich czynów.

- Nie proszę cię o usprawiedliwienie.

- A o co? O prawdę? – Uśmiechnął się cierpko. – Widziałaś prawdę zeszłej nocy, kiedy zabiłem tego chłopaka i zabrałem jego krew. To była prawda Gabrielle. Właśnie taki jestem.

Poczuła, jak robi jej się niedobrze. Nawet nie próbował zaprzeczać.

- Jesteś potworem! Jesteś potworem do cholery!

- Według ludzkich przesądów, istotnie. To one każą ci walczyć ze mną za pomocą czosnku i święconej wody... Choć to farsa, jak sama się przekonałaś. Prawda jest taka, że nasz rasy żyją obok siebie. Nie różnimy się od siebie tak bardzo.

- Naprawdę? – parsknęła. Czowała, jak narasta w niej histeria, a on znów się zbliżył. – Jakby ci to powiedzieć, kanibalizm nie znajduje się wysoko na mojej liście ulubionych zajęć. Ani pieprzenie się z żywymi trupami. A jak się okazuje, robię to ostatnio dość często.

Roześmiał się niewesoło.

- Zapewniam cię, że nie jestem żywym trupem. Oddycham, krwawię, tak jak ty. Można mnie zabić, choć nie jest to łatwe, a żyję już od bardzo, bardzo dawna. – Był tuż przy niej, likwidując tę niewielką przestrzeń, jaka ich jeszcze dzieliła. – Jestem równie żywy jak ty.

Jakby chcąc tego dowieść, ujął ją za rękę i położył jej dłoń na swojej piersi. Przez miękki materiał koszuli czuła równe i mocne bicie serca.

Czuła jego oddech na włosach, czuła jak jego żebra unoszą się i opadają rytmicznie, czuła pod palcami ciepło jego ciała, które działało na jej napięte nerwy jak balsam.

- Nie. – Odsunęła się od niego gwałtownie. – Nie, do cholery! Żadnych sztuczek. Widziałam wczoraj twoją twarz, Lucanie. Widziałam twoje kły, twoje oczy! Powiedziałeś, że taki jesteś naprawdę, więc co znaczy to tutaj? To jaki jesteś teraz, to co czuję, kiedy jestem blisko ciebie, to złudzenie?

- Jestem taki, jakim mnie widzisz w tej chwili... i taki, jakim mnie widziałaś zeszłej nocy.

- A więc pokaż mi to. Chcę zobaczyć tamtego Lucana. Chcę wiedzieć, z kim mam naprawdę do czynienia. Tak będzie sprawiedliwie.

Skrzywił się, jakby jej brak zaufania go ranił.

- Tej przemiany nie można wymusić. To reakcja fizjologiczna, wywołuje ją głód albo silne emocje.

- Więc ile mi czasu zostało, nim rozszarpiesz mi gardło? Kilka minut? Kilka sekund?

Jego oczy zamigotały niebezpiecznie, ale głos pozostał spokojny.

- Nie skrzywdzę cię, Gabrielle.

- No to po co tu przyszedłeś? Wypieprzysz mnie, zanim zmienisz w takiego samego potwora jak ty?

- Jezu – jęknął. – To nie tak...

- Albo może chcesz ze mnie zrobić swoją niewolnicę, taką jak ten człowiek, którego wczoraj zabiłeś?

- Gabrielle! – Lucan z całych sił zacisnął zęby. – Przyszedłem tu żeby cię chronić, do cholery! Muszę wiedzieć, że jesteś bezpieczna. Jestem tutaj, ponieważ popełniłem błąd i chcę go jakoś naprawić!

Stała nieruchomo, starając się pojąć ten jego nieoczekiwany wybuch. Widziała uczucia grające na jego twarzy. Złość, frustracja, pożądanie, niepewność... Odczytywała je wszystkie. Niech Bóg ma ją w swojej opiece, ale sama czuła podobną burzę uczuć.

- Chcę, żebyś sobie poszedł.

- Nie, nie chcesz.

- Nie chcę cię widzieć już nigdy więcej w życiu! – krzyknęła. Pragnęła, żeby jej uwierzył. Uniosła rękę, żeby go uderzyć, ale bez trudu ją powstrzymał. – Proszę. Po prostu sobie idź. Już!

Całkowicie ignorując jej słowa, Lucan czule uniósł jej rękę do ust. Jego wargi rozwarły się powoli, kiedy złożył na jej dłoni gorący, zmysłowy pocałunek. Nie poczuła ugryzienia, jedynie jego gorący oddech i wilgotną pieszczotę jego języka na skórze między palcami.

W głowie jej się zakręciło pod wpływem tego dotyku.

Czuła, jak uginają jej się kolana, jak jej opór zaczyna znikać.

- Nie – powiedziała. Cisnęła w niego tym słowem, wrywając rękę i odpychając go od siebie. – Nie. Nie pozwolę, żebyś mi to zrobił jeszcze raz. Wszystko się między nami zmieniło. Wszystko jest teraz inne!

- Tylko jedna rzecz się nie zmieniła. Teraz widzisz mnie naprawdę.

- Tak. – Zmusiła się, żeby na niego spojrzeć. – I nie podoba mi się, to co widzę.

W jego uśmiechu nie było litości.

- Ale nie możesz powiedzieć tego samego o tym, co przy mnie czujesz.

Nie była pewna jak to zrobił – jakim cudem poruszał się tak szybko – ale w tej samej chwili poczuła jego oddech na skórze za uchem, a jego ciało przyłgnęło do jej ciała.

Zbyt trudno było to wszystko pojąć: tę nową rzeczywistość, pytania, których nie

potrafiła zadać. A na domiar złego czuła się zdezorientowana jego dotykiem, głosem, ustami muskającymi jej skórę.

- Przestań! – Spróbowała go odepchnąć, ale był niewzruszony, pełen mrocznej determinacji. Zniósł jej gniew i uderzenia, którymi zasypywała jego masywny tors. Cofnęła się, zdenerwowana, udręczona. – Boże, czego chcesz dowieść?

- Tylko tego, że nie jestem potworem, choć tak ci się wydaje. Twoje ciało mnie zna. Mówi ci, że jesteś przy mnie bezpieczna. Musisz go tylko posłuchać, Gabrielle. I uwierzyć, że nie przyszedłem tu, żeby cię przestraszyć. Nigdy cię nie uderzę ani nie wezmę twojej krwi. Przysięgam na honor, że nigdy cię nie skrzywdzę.

Zaniosła się zdławionym śmiechem, rozbawiona sugestią, że wampir może mieć coś takiego jak honor i jeszcze przysięgać na niego. Ale Lucan pozostał poważny. Może oszalała, ponieważ im dłużej patrzył na nią tymi srebrzystymi oczami, tym większe miała wątpliwości.

- Nie jestem twoim wrogiem Gabrielle. Przez wieki nasze rasy potrzebowały się nawzajem, żeby przetrwać.

- Żywcie się nami – szepnęła z rezygnacją. – Jak pasożyty.

Coś mrocznego przemknęło po jego twarzy, a szybko odsunął od siebie jej pogardę.

- Ale również was chronimy. Niektórzy członkowie mojej rasy kochają was, wiążą się z wami na całe życie. Tylko w ten sposób możemy przetrwać. Bez kobiet, które rodzą nasze dzieci, wyginęlibyśmy już dawno. W taki sposób powstałem, w taki sposób powstałi wszyscy członkowie mojej rasy.

- Nie rozumiem. Dlaczego nie... rozmnażacie się z własnymi kobietami?

- Ponieważ ich nie mamy. Z powodu defektu genetycznego wszyscy potomkowie wampirów to mężczyźni, od samego początku, przez setki pokoleń.

Ta informacja ją zdumiała.

- Czy to znaczy, że twoja matka była człowiekiem?

Lucan lekko skłonił głowę.

- Tak.

- A twój ojciec? Był...

Nim zdążyła wypowiedzieć słowo „wampir”, Lucan odpowiedział:

- Mój ojciec i siedmiu innych Prastarych przybyli tu z innego świata, bardzo różnego od tej planety. Byli pierwszymi przedstawicielami mojej Rasy na Ziemi.

Zajęło jej chwilę, nim w pełni pojęła jego słowa.

- Co ty mówisz? To byli obcy?

- To byli zdobywcy. Dzicy, agresywni najeźdźcy, którzy rozbili się na tej planecie

dawno, dawno temu.

Gabrielle zmierzyła go wzrokiem.

- Twój ojciec był nie tylko wampirem, ale na dodatek przybyszem z innej planety? Masz pojęcie, jak niedorzecznie to brzmi?

- Ale to prawda. Lud mojego ojca nie nazwał siebie wampirami, choć wedle ludzkich standardów właśnie tym byli. Ich system trawienny był zbyt zaawansowany, by przetwarzać białka występujące na Ziemi. Nie mogli jeść roślin ani zwierząt, więc nauczyli się pić krew. Żerowali bez zahamowań i niszczyli całe cywilizacje. O niektórych na pewno słyszałaś: Atlantyda, królestwo Majów. Były i inne, wiele innych, po których nic nie zostało. Masowe przypadki śmierci, przypisywane głodowi czy zarazom, to była zwykle ich robota.

Dobry Boże.

- Jeśli założyć, że mówisz prawdę, to przez tysiące lat trwała tu rzeź! – Poczula lodowaty dreszcz, kiedy nie próbował zaprzeczyć. – Czy oni... czy ty... Boże, po prostu nie wierzę, że prowadzę taką rozmowę! Czy wampiry żerują na wszystkim, na przykład na sobie nawzajem, czy pasożytują wyłącznie na ludziach?

Twarz Lucana spochmurniała.

- Tylko ludzka krew zawiera substancje odżywcze, które pozwalają nam przeżyć.

- Jak często?

- Musimy jeść co kilka dni, czasami co tydzień. Częściej, jeśli jesteśmy ranni i potrzebujemy siły, żeby uleczyć ciało.

- I... zabijacie przy okazji?

- Nie zawsze. W zasadzie rzadko. Większość rasy żywi się Karmicielami, którzy się na to godzą.

- Są ludzie, którzy dobrowolnie pozwalają się wam torturować? – spytała z niedowierzaniem.

- To nie jest tortura, chyba że tego chcemy. Kiedy człowiek jest odprężony, ugryzienie wampira może być bardzo przyjemne. Potem Karmiciel nic nie pamięta, ponieważ odbieramy mu pamięć.

- Ale czasami zabijacie. – To zabrzmiało jak oskarżenie.

- Czasami konieczne jest odebranie życia. Członkowie Rasy przysięgają, że nigdy nie uczynią krzywdy niewinnym i słabym.

Skrzywiła się.

- Jakie to szlachetne.

- To jest szlachetne, Gabrielle. Gdybyśmy chcieli... gdybyśmy poddali się tej części

naszej natury, która nadal jest dzika, moglibyśmy wziąć w niewolę całą ludzkość. Moglibyśmy być królami, wykorzystywać was. Ludzie sprawili, że prowadzimy wojnę z naszymi braćmi, Szkarłatnymi. Widziałaś ich tamtej nocy pod klubem.

- Byłeś tam?

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, już wiedziała, że był. Przypomniała sobie jego twarz i ciemne okulary, zza których obserwował ją w tłumie.

Już wtedy czuła tę dziwną więź. Wystarczyło przelotne spojrzenie, które dotarło do niej przez dym i mrok panujący w klubie.

- Obserwowałem tę grupę Szkarłatnych mniej więcej od godziny. Czekałem na okazję, żeby wywabić ich z klubu – wyjaśnił.

- Było ich sześciu. – Pamiętała to wyraźnie, znów zobaczyła w myślach te okropne twarze, pałające dzikie oczy i długie kły. – Zamierzałeś się nimi zająć w pojedynkę?

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że o nic niezwykłego.

- Miałem tej nocy sprzymierzeńców. Ciebie i Twoją komórkę. Błysk flesza ich zaskoczył, dał mi szansę na atak.

- Zabiłeś ich?

- Wszystkich prócz jednego. Ale go dopadnę.

Miał taki wyraz twarzy, że nie wątpiła w prawdziwość tego oświadczenia.

- Zaraz po moim zgłoszeniu policja wysłała tam radiowóz, ale nic nie znaleźli. Żadnych śladów.

- Lepsze to niż wiedza, że od wieków na ulicach toczy się walka. Możesz sobie wyobrazić panikę, gdyby w wiadomościach na całym świecie zaczęły się pojawiać doniesienia o atakach wampirów?

- Czy to się właśnie dzieje? Czy za tymi wszystkimi morderstwami stoją Szkarłatni?

- Ostatnio jest ich coraz więcej. Szkarłatni to wampiry, które popadły w nałóg krwi. Nie obchodzi ich nic prócz niej. A przynajmniej do niedawna tylko to ich obchodziło. Bo teraz coś się zaczyna dziać. Szykują się do czegoś. Organizują się. Nigdy wcześniej niebyli równie niebezpieczni.

- A z powodu tych zdjęć, które zrobiłam pod klubem, teraz ścigają mnie?

- Bez wątplenia ściągnęłaś wtedy na siebie ich uwagę, ale ich zadowoli każdy człowiek. Tu chodzi o inne twoje zdjęcia. To one stanowią dla nich większe zagrożenie.

- Jakie inne zdjęcia?

- Takie.

Wskazał na oprawioną fotografię. Był na niej stary magazyn, znajdujący się

przemysłowej dzielnicy miasta.

- Dlaczego sfotografowałaś akurat ten budynek?

- Nie wiem – odparła. Nie wiedziała nawet, dlaczego postanowiła oprawić właśnie to zdjęcie. Samo patrzenie na nie wywoływało dreszcze. – Nigdy nie przyszłoby mi do głowy kręcić się po tej części miasta, ale o ile dobrze pamiętam, tamtego wieczoru źle skręciłam i się zgubiłam. Coś w tym magazynie zwróciło moją uwagę... Nie potrafię tego dobrze wyjaśnić. Denerwowałam się okropnie, ale nie mogłam odjechać bez zrobienia kilku zdjęć.

Głos Lucana był teraz bardzo poważny.

- Razem z moją grupą wojowników zrobiłem nalot na ten magazyn półtora miesiąca temu. To było gniazdo Szkarłatnych, mieszkało tam piętnastu naszych wrogów.

Gabrielle zagapiła się na niego.

- W tym budynku mieszkają wampiry?

- Już nie. – Podeszedł do kuchennego stołu, gdzie leżało kilka odbitek zrobionych dwa dni temu. Wziął jedno zdjęcie i jej pokazał. – Od tygodni obserwujemy to miejsce. Mamy powody przypuszczać, że to jedna z największych kolonii Szkarłatnych w Nowej Anglii.

- O Boże... - Gabrielle patrzyła na fotografię, na której był zamknięty zakład psychiatryczny. Ręce trzęsły jej się trochę, kiedy odkładała ją na stół. – Kiedy robiłam te zdjęcia, nakrył mnie jakiś facet. Ścigał mnie. Nie sądzisz chyba, że to był...

Lucan pokręcił głową.

- To był sługa, jeśli widziałś go za dnia. W ludowych podaniach tkwi ziarnko prawdy, promienie słoneczne są dla nas zabójcze. Nasza skóra zaczyna się palić, jak twoja pod silnym szkłem powiększającym w samo południe.

- I to dlatego widuję cię tylko wieczorami – stwierdziła, wspominając jego poprzednie wizyty. – Jak mogłam być taka ślepa, skoro wszystkie informacje miałam tuż przed nosem?

- Może nie chciałaś ich dostrzec, ale w głębi duszy wiedziałas. Wiedziałaś, że tego zabójstwa pod klubem nie da się wyjaśnić racjonalnie. Prawie mi to powiedziałaś, kiedy spotkaliśmy się za pierwszym razem. Czulaś, że to był atak wampirów.

Istotnie, wiedziała, już wtedy. Ale nie miała pojęcia, że Lucan też jest wampirem. Nadal nie mogła się z tym pogodzić.

- Jakim cudem? – jęknęła, przysiadając na krześle. Popatrzyła na rozrzucone na stole zdjęcia, a potem na poważną twarz Lucana. Do oczu napłynęły jej łzy, w gardle czuła gulę. – To nie może być prawda. Boże, powiedz mi, że to nie dzieje się naprawdę!

Rozdział 19

Zmusił ją, by zaakceptowała mnóstwo rzeczy – nie wszystkie, ale i tak było tego więcej, niż mogła to znieść.

Musiał to przyznać, choć wygłupiła się z czosnkiem i święconą wodą. Poza tym podczas całej rozmowy zachowywała niezwykle trzeźwy umysł. Prawda na pewno była trudna do zaakceptowania. Wampiry, starożytni przybysze z kosmosu, wojna ze Szkarłatnymi, którzy na dodatek polowali i na nią.

Okazała wobec tych rewelacji więcej rozsądku niż większość mężczyzn na jej miejscu.

Obserwował, jak próbuje ogarnąć to wszystko, siedząc przy stole z głową ukrytą w dłoniach. Po jej policzkach płynęły łzy. Żałował, że nie potrafi jej tego ułatwić. A będzie jeszcze gorzej, kiedy pozna całą prawdę o tym, co ją czeka.

Dla własnego bezpieczeństwa i dla bezpieczeństwa Rasy musi opuścić to mieszkanie, porzucić przyjaciół i karierę, zostawić za sobą wszystko, co dotąd składało się na jej życie.

I to jeszcze dzisiejszej nocy.

- Jeśli zrobiłaś więcej takich zdjęć, muszę je zobaczyć.

Skinęła głową.

- Mam wszystko w komputerze – powiedziała, odgarniając włosy z twarzy.

- A te odbitki w ciemni?

- Też są na dysku, razem ze zdjęciami, które sprzedawałam przez galerię.

- Świetnie. – Gdy wspomniała o sprzedaży, poczuł dziwny niepokój. – Kiedy byłem tu kilka dni temu, wspomniałaś, że sprzedawałaś komuś całą kolekcję. Komu?

- Nie wiem. To był anonimowy zakup. Kupujący zorganizował prywatny pokaz w wynajętym apartamencie w centrum miasta. Obejrzał kilka zdjęć, a potem zapłacił gotówką za całą kolekcję.

Zaklął, a na twarzy Gabrielle pojawiło się przerażenie,

- O Boże. Sądzisz, że kupili je Szkarłatni?

Pomyślał, że gdyby był na miejscu tajemniczego przywódcy Szkarłatnych, zainteresowałyby go zdjęcia, które wskazywały siedziby przeciwników. I starałby się również uniemożliwić wrogowi skorzystanie z tych fotografii.

Gabrielle byłaby dla Szkarłatnych niezwykle pożyteczna. A gdyby dostali ją w swoje

łapy, szybko odkryliby, że nosi znamię Dawczyni Życia i wykorzystaliby ją jak klacz rozplodową, zmuszając do oddawania krwi i rodzenia ich bękartów, póki nie umarłaby z wyczerpania. A to mogłoby potrwać lata, dziesiątki lat, a nawet wieki.

- Mój najlepszy przyjaciel osobiście zabrał te zdjęcia na pokaz. Nie przeżyłabym, gdyby coś mu się stało! Jamie poszedł tam, nie mając pojęcia o niebezpieczeństwie.

- To dobrze. Zapewne tylko dzięki temu wrócił żywy.

Cofnęła się, jakby ją uderzył.

- Nie chcę, żeby przeze mnie coś się stało moim przyjaciółom.

- Teraz to ty jesteś w największym niebezpieczeństwie. Musimy stąd zniknąć. Zgraj te zdjęcia z komputera. Muszę je zabrać do naszego laboratorium.

Gabrielle podeszła do biurka w salonie. Włączyła komputer, wyciągnęła dwa pendrive'y z pudełka i podłączyła pierwszy do gniazda USB.

- Wiesz? Mówili mi, że była szalona. Mówili, że miała omamy, że była schizofreniczką. Zamknęli ją w zakładzie psychiatrycznym, ponieważ twierdziła, że zaatakowały ją wampiry. – Gabrielle roześmiała się cicho, ale był to smutny śmiech. – Może wcale nie zwariowała?

Lucan podszedł bliżej.

- O kim mówisz?

- O mojej matce. – Ustawiła kopiowanie zdjęć i obróciła się w obrotowym krześle, żeby na niego spojrzeć. – Znalaziono ją pewnej nocy na ulicy. Była ranna, zakrwawiona i dezorientowana. Nie miała torebki ani dokumentów, nic, a w tych krótkich chwilach kiedy wracała jej jasność myśli, nie potrafiła powiedzieć, jak się nazywa. Policja zarejestrowała ją jako NN. Ni miała nawet dwudziestu lat.

- Krwawiła?

- Miała liczne rany na szyi, według raportu sama je sobie zadała. Sąd uznał ją za niepoczytalną i zamknął w zakładzie psychiatrycznym, kiedy wypuszczona ją ze szpitala.

- Jezu.

Gabrielle powoli pokręciła głową.

- A jeśli to wszystko było prawdą? Jeśli wcale nie była szalona? O Boże, Lucan... przez te wszystkie lata obwiniałam ją, chyba nawet nienawidziłam. Nawet teraz nie mogę...

- Wspomniałaś o policji i sądzie. Chodziło o jakieś przestępstwo?

Komputer zapiszczał, wskazując, że pendrive jest pełny. Gabrielle zmieniła dysk. Kiedy nie odwróciła się, Lucan delikatnie położył ręce na jej ramionach i obrócił ją powoli do siebie.

- Za co została oskarżona twoja matka?

Przez chwilę Gabrielle nic nie mówiła. Lucan widział, jak przełyka z trudem ślinę. W jej łagodnych brązowych oczach czaił się ból.

- Oskarżono ją o porzucenie dziecka.

- Ile miałaś lat?

Wzruszyła ramionami, pokręciła głową.

- Byłam niemowlęciem. Wsadziła mnie do śmietnika pod blokiem, jakąś przecnicę od miejsca, gdzie trafiła na nią policja. Na szczęście jeden z policjantów postanowił się rozejrzeć po okolicy i usłyszał mój płacz.

Święty Boże.

Przez głowę Lucana przemknęło nagle wspomnienie. Zobaczył ciemną ulicę, wilgotny chodnik połyskujący w świetle księżyca, kobietę o oczach wytrzeszczonych z przerażenia, kiedy zerował na niej Szkarłatny. Słyszał przenikliwe wrzaski niemowlęcia, które trzymała w ramionach.

- Kiedy to było?

- Dawno. Dokładnie dwadzieścia siedem lat temu.

Dla kogoś, kto żył tyle co Lucan, dwadzieścia siedem lat to było ledwie mgnienie oka. Pamiętał dokładnie, jak przerwał jakiemuś Szkarłatnemu ucztę na dworcu autobusowym. Pamiętał, że nakazał kobiecie uciekać. Krwawiła mocno, krew kapiała nawet na dziecko.

Kiedy zabił Szkarłatnego i oczyścił miejsce zdarzenia, poszedł jej szukać, ale bezskutecznie. Często się zastanawiał, co się stało z nią i jej dzieckiem, przeklinał sam siebie, że nie zdołał przynajmniej usunąć z jej umysłu tych koszmarnych wspomnień,

- Niedługo potem popełniła samobójstwo w zakładzie psychiatrycznym – dodała Gabrielle. – A mnie oddano do rodziny zastępczej.

Nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie dotknąć. Delikatnie odgarnął jej długie włosy, dotknął miękkiej linii podbródka, pogładził ją po policzku. Jej oczy były wilgotne, ale nie poddawała się. Była twarda i tak niewiarygodnie wyjątkowa.

W owej chwili niczego nie pragnął bardziej jak porwać ją w ramiona i opowiedzieć jej wszystko.

- Przykro mi – powiedział zupełnie szczerze. Czuł żal, uczucie, do którego nie przywykł. No, ale odkąd po raz pierwszy ujrzał Gabrielle, spotkało go wiele nowych rzeczy. – Przykro mi ze względu na was obie.

Komputer znowu zapiszczał.

- To już wszystkie zdjęcia – oznajmiła. Wyciągnęła rękę, jakby chciała pogłaskać jego

dłoń, ale nie mogła się zmusić, żeby go dotknąć.

Pozwolił jej się wycofać spod jego dotyku, choć poczuł żal, kiedy bez słowa odwróciła się na krześle.

Patrzył, jak wyjmuje pendrive'y. Odezwał się dopiero wtedy, kiedy wyłączyła komputer.

- Zaczekaj. Musisz wyrzucić zdjęcia z dysku i skasować wszystkie backupy. Kopi, które zabierzemy muszą być jedyne.

- A odbitki? Te na stole w kuchni, te na dole, w ciemni?

- Ty się zajmij komputerem, a ja zbiorę zdjęcia.

- Dobrze.

Od razu zabrała się do pracy. Lucan pospiesznie przeszukał mieszkanie. Zebrał w jedno miejsce wszystkie odbitki i zdjął ze ścian oprawione fotografie. Nie chciał zostawiać niczego, co mogliby wykorzystać Szkarłatni. W szapie w sypialni Gabrielle znalazł dużą brezentową torbę i zaniósł ją na dół, żeby zapakować zdjęcia.

Kiedy skończył i zasunął suwak, usłyszał na zewnątrz warkot samochodu. ktoś zatrzymał się pod domem. Rozległ się trzask zamykanych drzwiczek, kierowcy i pasażera, a potem szybkie kroki na schodach prowadzących do wejścia,,

- ktoś przyjechał – stwierdziła Gabrielle, rzucając mu ostrzegawcze spojrzenie i wyłączając komputer.

Lucan włożył rękę pod płaszcz i sięgnął po zatkniętą za paskiem beret tę. Broń była załadowana specjalnymi, tytanowymi nabojami, wynalazkiem Niko. Każdy postrzał takim nabojem był dla Szkarłatnych śmiertelny. Cóż, jeśli za drzwiami stoi wampir, gorzko tego pożałuje.

Ale zorientował się od razu, że to żaden z jego wrogów. To było dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta.

- Gabrielle? – Kilka razy odezwał się dzwonek do drzwi. – Halo? Gabby! Jesteś tam?

- Och, nie. To moja przyjaciółka, Megan.

- Ta u której nocowałeś?

- Tak. Wydzwaniała tu przez cały dzień i nagrała mi się na sekretarce. Martwi się o mnie.

- Co jej powiedziałaś?

- Wie o napaści, ale nic nie powiedziałam o tobie... O tym, co zrobiłeś.

- Dlaczego?

Gabrielle wzruszyła ramionami.

- Nie chciałam, żeby była w to wmieszana. Nie chcę, żeby jej coś groziło z mojego powodu. Z powodu tego wszystkiego. – Westchnęła i pokręciła głową – Może zresztą nie chciałam mówić o tobie, póki sama nie zrozumieję, co się dzieje?

Znów rozległ się dzwonek do drzwi.

- Gabby, otwórz! Ray i ja musimy z Toba porozmawiać! Musimy wiedzieć, że nic ci nie jest!

- Jej chłopak jest gliną – ostrzegła Gabrielle cicho. – Chcą, żebym zgłosiła wczorajszą napaść.

- Jest stąd tylne wyjście?

Najpierw kiwnęła głową, a potem nią pokręciła.

- Schody pożarowe prowadzą na wspólne podwórko, ale tak jest wysoki pot i...

- Nie ma na to czasu – mruknął Lucan, od razu odrzucając tę opcję. – Wpuść ich.

- Co zamierzasz zrobić? – Zauważyła, że włożył rękę pod płaszcz, jakby poprawiał broń za paskiem spodni. Na jej twarzy odmalowała się panika. – Masz tam broń? Lucan, oni nic nie zrobią! Dopilnuję, żeby nic nikomu nie powiedzieli.

- Nie będę im groził bronią.

- Więc co zrobisz? – Choć do tej pory celowo unikała kontakty fizycznego, teraz wreszcie go dotknęła. Chwyciła go za ramię. – O Boże, proszę, obiecaj, że nie zrobisz im krzywdy

- Otwórz drzwi, Gabrielle.

Ruszyła powoli do drzwi. Kiedy przekreślała zamek, usłyszała na zewnątrz głos Megan:

- Ona tam jest, Ray. Podeszła do drzwi. Gabby, otwórz na m kotku. Nic ci nie jest?

Gabrielle bez słowa zdjęła łańcuch. Nie bardzo wiedziała, co powinna zrobić: zapewnić przyjaciółkę, że wszystko jest w porządku, czy wrzasnąć od niej, żeby uciekła.

Twarz Lucana również nie pomagała jej podjąć decyzji. Była nieruchoma, pozbawiona emocji. Wbił w drzwi spojrzenie chłodnych srebrzystych oczu. Nawet nie mrugał. Choć ręce miał opuszczone wzdłuż boków, nie wątpiła, że w każdej chwili może zaatakować.

Jeśli chciał zabić jej przyjaciół – a może ją również – stanie się to błyskawicznie, nim zdążą się zorientować, co się dzieje.

- Wpuść ich – nakazał jej cicho.

Powoli nacisnęła klamkę.

Kiedy drzwi zaczęły się otwierać, Megan natychmiast wepchnęła się do środka, a za

nią jej chłopak, nadal w mundurze.

- Do diabła, Gabby! Masz pojęcie, jak się o ciebie martwiłam? Dlaczego nie oddzwoniłaś? – Chwyciła ją gwałtownie w objęcia, a potem puściła ją i zmarszczyła brwi, jak nadopiekuńcza matka. – Wyglądasz na zmęczoną. Płakałaś? Gdzie byłaś, kiedy...

Urwała gwałtownie na widok Lucana, stojącego na środku pokoju za Gabrielle.

- Och... nie sądziłam, że masz gościa...

- Wszystko w porządku? – spytał Ray. Minał obie kobiety i położył rękę ostrzegawczo na kaburze.

- Oczywiście. W najlepszym – zapewniła szybko Gabrielle. Wyciągnęła dłoń w stronę Lucana. – To jest... hm... mój przyjaciel.

- Jedziecie gdzieś? – Chłopak Megan wskazał na wypchaną torbę, leżącą na podłodze.

- A... tak – odparła. Obeszła Raya i stanęła pomiędzy nim a Lucanem. – byłam dziś trochę roztrzęsiona i uznałam, że zanocuję w hotelu, żeby ochłonąć. Lucan przyszedł, żeby mnie powieźć.

- Aha. – Ray usiłował przyjrzeć się Lucanowi, który milczał arogancko. Jego spojrzenie wskazywało, że już ocenił młodego policjanta i równocześnie zlekceważył.

- Niepotrzebnie przyjeżdżaliście – powiedziała Gabrielle szczerze. – Naprawdę, nie musicie ze mną siedzieć.

Megan podeszła i wzięła ją za rękę w obie swoje dłonie.

- Ray i ja mieliśmy nadzieję, że się zastanowiłaś i pojedziesz na policję, kotku. To ważne. Jestem pewna, że twój przyjaciel też tak uważa, prawda? Jest pan detektywem. Zgadza się? A ja jestem Megan.

Lucan nagle znalazł się tuż przed Megan i Rayem. Poruszał się tak szybko, że czas zdawał się zwalniać wokół niego. Gabrielle widziała, jak szedł w ich stronę, ale Megan i Ray zamrugali zaskoczeni, gdy wyrósł nagle tuż przed ich nosami.

Bez ostrzeżenia wampir uniósł prawą rękę i położył ją na czole Megan.

- Lucan, nie!

Meg krzyknęła, ale ten stłumiony dźwięk zamarł jej w gardle, kiedy spojrzała w oczy Lucana. A ten z niewiarygodną szybkością położył lewą rękę na czole Raya. Policjant usiłował się cofnąć, ale zaraz jego twarz znieruchomiła, jakby pogrążył się w transie. Gabrielle miała wrażenie, że tylko dłonie Lucana utrzymują tych dwoje w pionie.

- Lucan, proszę! Błagam!

- Zabierz te pendrive'y i torbę – nakazał cicho. To był tak naprawdę zimny rozkaz. – Mam na zewnątrz samochód. Wsiądź i zaczekaj na mnie. Zaraz przyjdę.

- Nie pozwolę, żebyś wyssał z moich przyjaciół krew!

- Gdybym miał takie zamiary, już byliby martwi.

Miał rację. Boże, nie miała wątpliwości, że ten człowiek – ta mroczna istota, którą wpuściła do swojego życia – potrafiłaby to zrobić.

Ale tego nie zrobił. I nie zrobi. Musiała mu zaufać.

- Zdjęcia, Gabrielle. Już.

Ruszyła się wreszcie, zarzuciła na ramię wypchaną torbę i włożyła dwa pendrive'y do kieszeni dzinsów. Wychodząc zatrzymała się na moment, żeby spojrzeć w pustą twarz Megan. Przyjaciółka zamknęła oczy, podobnie jak Ray. Lucan szeptał coś do nich, tak cicho, że nie mogła rozróżnić słów.

Ale w tonie jego głosu nie było groźby, brzmiał dziwnie kojąco. Niemal usypiająco.

Gabrielle spojrzała ostatni raz na dziwaczną scenę rozgrywającą się w jej salonie, po czym wpadła na ulicę. Przy krawężniku stała lśniąca limuzyna, zaparkowana tuż przed czerwonym mustangiem Raya. Tylko ten luksusowy – i na pewno okropnie drogi – Maybach parkował pod jej domem.

Kiedy podeszła bliżej, drzwi od strony pasażera otworzyły się przed nią, jakby ktoś nakazał im to zrobić.

Nakazała im to siła umysłu Lucana. Była tego pewna, choć nie miała pojęcia, jaki jest zasięg jego niezwykłych mocy.

Wślizgnęła się na wygodne skórzane siedzenie z orzodu i zamknęła drzwi. Chwilę później jej domu wyszła Megan z Rayem. Spokojnie zeszli ze schodów i minęli ją obojętnie, nie mówiąc ani słowa.

Lucan podążył zaraz za nimi. Zamknął drzwi jej mieszkania i obszedł samochód. Wsiadł, włożył kluczyk do stacyjki i uruchomił silnik.

- Nie powinnaś się bez tego ruszać – powiedział rzucając jej na kolana torebkę i torbę fotograficzną.

Gabrielle zajrzała mu w twarz, lekko oświetloną blaskiem tablicy rozdzielczej.

- Sterowałeś ich umysłami, tak jak próbowałeś tego przedtem ze mną!

- Zasugerowałem im, że wcale nie przyjechali do twojego mieszkania.

- Wymazałeś im wspomnienia.

Lekko skinął głową.

- Nie będą nic pamiętać z tego wieczoru ani że nocowałaś u Megan. Przestali się o ciebie martwić.

- Wiesz co? A może wymażesz pamięć i mnie? To bardzo kusząca perspektywa.

Proponuję, żebyś zaczął od tej fatalnej decyzji, żeby iść do nocnego klubu!

Wytrzymał jej spojrzenie. Nie czuła, żeby próbował ostać się do jej głowy.

- Nie jesteś taka, jak ci ludzie, Gabrielle. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym zmienić twoich wspomnień. Twój umysł jest silniejszy. Pod wieloma względami jesteś... inna niż oni.

- Jasne, szczęściara ze mnie.

- Najbezpieczniejsza będziesz u nas. Rasa cię ochroni, jakbyś była jedną z nas. Mamy w mieście strzeżoną kwaterę. Zawiozę cię tam.

Zmarszczyła brwi.

- Proponujesz mi wampirzą wersję programu ochrony świadków?

- To coś lepszego. – Odwrócił głowę i popatrzył przez przednią szybę. – I obecnie jedyna możliwość.

Nacisnął pedał gazu i błyszczący czarny samochód wystrzelił na ulicę z niskim warkotem silnika. Gabrielle złapała się skórzanego siedzenia i obróciła głowę, żeby popatrzeć, jak ciemność połyka jej kamienicę na Willow Street.

Widziała w oddali, jak Megan i Ray wsiadają do mustanga, zamierzając pojechać do domu. Na ten widok poczuła nagłe szarpnięcie paniki, zapragnęła wyskoczyć z samochodu i pobiec do nich, wrócić do swojego starego życia.

Za późno.

Wiedziała o tym.

Nowa rzeczywistość ją przytłaczała. Czuła, że nie ma już odwrotu, że może iść tylko przed siebie. Poprawiła się w fotelu, wyprostowała plecy i patrzyła prosto na drogę. Lucan skręcił gwałtownie za róg i ruszyli w noc.

Rozdział 20

Nie wiedziała, jak długo jechali ani nawet w którą stronę. Nie wyjechali z miasta, tego była pewna. Ale liczne zakręty i boczne uliczki, które wybierał Lucan, sprawiły, że straciła poczucie kierunku. Wyrzała przez przyciemniane szyby samochodu, kiedy wreszcie zaczęli zwalniać i stwierdziła, że wjeżdżają na teren starej posesji.

Lucan zahamował przed wysoką stalową bramą. Z nadajników zamontowanych po obu jej stronach wystrzeliły promienie czerwonego światła. Gabrielle zamruwała oślepiona, a brama zaczęła się otwierać.

- To twój dom? – spytała. Odezwała się do Lucana, po raz pierwszy, odkąd opuścili jej mieszkanie. – Byłam tu kiedyś. Zrobiłam zdjęcie tej bramy.

Wjechali na teren i ruszyli długim podjazdem, wijącym się wśród drzew.

- Ta posiadłość to część naszej kwatery. Należy do Rasy.

Najwyraźniej wampirom dobrze się powodziło. Nawet po ciemku mogła ocenić wartość tego dobrze utrzymanego parku i pięknej fasady rezydencji. Po obu stronach wysokiego portyku, w którego głębi było widać czarne lakierowane drzwi, znajdowały się okrągłe rotundy. Budynek miał cztery kondygnacje.

W wielu zwieńczonych łukami oknach paliło się światło, ale mimo to budynek nie wyglądał przyjaźnie. Sprawiał wrażenie, jakby się przyczaił w mroku, był nieruchomy i odpychający, pełen wyszczerzonych gargulców, które spoglądały z dachu i z dwóch wychodzących na podjazd balkonów.

Lucan przejechał obok wejścia i skierował samochód do dużego hangaru na tyłach. Otworzyła się przed nimi brama i wjechali do garażu. Wyłączył silnik. Kiedy wysiedli, czujniki ruchu z cichym kliknięciem zapaliły światła. Gabrielle ujrzała błyszczące, drogie samochody.

Aż westchnęła ze zdumienia. Maybach, którym przyjechali, zapewne kosztował tyle co jej skromne mieszkanie na Beacon Hill, natomiast ta kolekcja limuzyn, SUV-ów i motocykli musiała być warta miliony dolarów.

- Tędy – powiedział Lucan. Trzymał w ręku brezentową torbę za zdjęciami. Poprowadził ją koło imponujących wozów do drzwi na tyłach garażu.

- Jak bardzo jesteście bogaci? – zapytała oszołomiona.

Lucan gestem zaprosił ją do windy, po czym wcisnął przycisk.

- Niektórzy członkowie wampirzej społeczności żyją już bardzo długo. Nauczyliśmy się zarządzać majątkiem.

- Ach tak – powiedziała. Czowała się nieco wytrącona z równowagi. Winda zjeżdżała coraz niżej. – Jak wam się udaje uniknąć rozgłosu? Co na to rząd i urząd podatkowy? Czy może za wszystko płacicie gotówką?

- Nikt nie zdoła tu wejść, nawet gdyby bardzo się starał. Całe ogrodzenie jest pod napięciem, każdy kto spróbuje, dostanie czternaście tysięcy woltów i pranie mózgu na dokładkę. Na całym świecie nasze posiadłości należą do prywatnych potentatów. Wszystko, co posiada Rasa, jest legalne.

- Legalne. Jasne. – Roześmiała się nieco nerwowo. – Wyjąwszy picie krwi i pozaziemskie pochodzenie?

Lucan obrzucił ją mrocznym spojrzeniem, ale z ulgą stwierdziła, że kącik jego ust uniósł się w przelotnym uśmiechu.

- Daj mi te dyski – powiedział. Przyglądał się jej przenikliwymi szarymi oczami, kiedy wyjęła pendrive'y z kieszeni spodni.

Kiedy mu je podawała, na chwilę jego palce dotknęły jej palców. Poczowała żar pod wpływem tego dotknięcia, ale nie chciała tego przyznać, nawet sama przed sobą.

Szczególnie teraz.

Winda wreszcie się zatrzymała. Za drzwiami pojawiło się przeszklone pomieszczenie – wielkie panele szkła wzmocnione błyszczącymi metalowymi ramami. Podłoga z białego marmuru ozdobiona była figurami geometrycznymi i zachodzącymi na siebie wzorami. Niektóre rozpoznała – takie same tatuaże miał Lucan, na plecach i torsie.

Nie, uświadomiła sobie nagle, to nie była tatuaże, tylko coś... innego.

Symbole.

Takie same na jego skórze i tutaj, w tym podziemnym bunkrze, gdzie mieszkał.

Za pomieszczeniem ciągnął się korytarz, który miał chyba kilkaset metrów długości. Lucan zatrzymał się i popatrzył na Gabrielle, która wahała się na progu windy.

- Jesteś tu bezpieczna – zapewnił. I niech ją Bóg ma w swojej opiece, naprawdę mu uwierzyła.

Wyszła za nim z windy i wstrzymała oddech, kiedy przyłożył dłoń do panela identyfikacyjnego. Szklane drzwi otworzyły się przed nimi. Poczowała powiew chłodnego powietrza i usłyszała stłumiony szmer męskich głosów – musieli rozmawiać gdzieś niedaleko. Lucan poprowadził ją w tym kierunku. Jego kroki były równe i zdecydowane.

Zatrzymał się przed kolejnymi przeszklonymi drzwiami, a kiedy Gabrielle go

dogoniła, zobaczyła coś jakby sterownię. Na długiej konsoli w kształcie litery U stały liczne monitory i komputery, niektóre z nich pokazywały chyba współrzędne. W samym środku tego wszystkiego siedział w fotelu na kółkach operator tych urządzeń, niczym dyrygent przed orkiestrą. Młody człowiek o zabawnie potarganych jasnych włosach. Kiedy drzwi się otworzyły, uniósł wzrok, a w jego błękitnych oczach pojawił się najpierw błysk powitania, a potem lekkie zaskoczenie na widok Gabrielle.

- Gideon – przedstawił go Lucan, kiwając lekko głową na powitanie.

Czyli to był ten kolega, o którym wspominał. Gabrielle zauważyła jego miły uśmiech i przyjacielski sposób bycia. Wstał z krzesła, uklonił się lekko Lucanowi, a potem jej.

Był wysoki i smukły, czarujący i chłopięco przystojny. Zupełnie inny niż Lucan. Wcale niw wyglądał tak, jak jej zdaniem powinien wyglądać wampir, choć oczywiście nie miała w tym względzie wielkiego doświadczenia.

- Czy on...?

- Tak – odparł Lucan, nim zdołała dokończyć pytanie. Położył na konsoli brezentową torbę. – Gideon należy do Rasy. Podobnie jak inni.

Dopiero teraz zarejestrowała, że rozmowa którą słyszała na korytarzu, teraz umilkła.

Poczuła, że ktoś się jej przygląda, a kiedy się odwróciła, aż zaparło jej dech w piersiach na widok trzech wysokich mężczyzn. Pierwszy, w ciemnych, doskonale uszytych spodniach i luźnej jedwabnej koszuli, usadowił się w skórzanym fotelu. Drugi, ubrany w czarną skórę, skrzyżował na piersiach muskularne ramiona i opierał się o ścianę. Trzeci, w dżinsach i białej koszulce, nachylał się nad stołem i czyścił elementy jakiejś skomplikowanej broni.

Wszyscy trzej patrzyli na nią.

- Dante – rozpoczął prezentację Lucan, wskazując na zamyślonego mężczyznę w skórze, który lekko skinął jej głową, a może tylko otaksował ją wzrokiem? Spoglądał znacząco spod ciemnych brwi na Lucana.

- Ten tam to Nikolai. – Słyszac swe imię, blondyn rzucił Gabrielle szybki uśmiech. Miał surowe rysy twarzy, mocno zarysowane kości policzkowe i wydatny podbródek znamionujący upór.

- A to jest Rio – zakończył Lucan, wskazując na eleganckiego przystojniaka. Siedzący w fotelu wampir obdarzył ją promiennym uśmiechem pełnym wrodzonego seksapilu. Jego topazowe oczy mieniły się niebezpiecznie.

Zresztą czuła, że w każdym z tych mężczyzn kryje się groźba. Ich muskularne ciała i broń, której nie próbowali ukrywać, stanowiły ostrzeżenie. I choć wydawali się zupełnie

rozluźnieni, przywykli do walki. Była dla nich sensem życia.

Lucan położył rękę na jej plecach, zaskakując ją tym nagłym dotknięciem. Przyciągnął ją do siebie patrząc na swych towarzyszy. Nie zdecydowała jeszcze, czy w ogóle mu ufa, ale nagle okazało się, że jest jej jedynym sprzymierzeńcem w pokoju pełnym wampirów.

- To jest Gabrielle Maxwell. Chwilowo będziesz mieszkać w katedrze.

Nic więcej nie powiedział, zupełnie jakby chciał wyzwać pozostałych mężczyzn na pojedynki. Jakby oczekiwał, że zakwestionują jego decyzję. Żaden tego nie zrobił. Gabrielle nagle uświadomiła sobie, że nie jest jednym z wojowników.

On był ich przywódcą.

Pierwszy odezwał się Gideon. Wstał od konsoli i podał jej rękę.

- Miło cię poznać – powiedział, a w jego głosie pobrzmiewał lekki brytyjski akcent. – Dobra robota, te zdjęcia zrobione komórką. Bardzo nam pomogły.

- Och cieszę się.

Lekko potrząsnęła jego dłonią, zaskoczona, że jest taki miły. Taki normalny.

Ale przecież i Lucan wydawał się jej dotąd dość normalny. Przynajmniej nie kłamał, kiedy mówił, że zabiera jej komórkę do laboratorium. Zapomniał tylko dodać, że to laboratorium wampirów, a nie bostońskiej policji.

Nagle jeden z komputerów wydał głośny pisk. Gideon odwrócił się do monitorów.

- Tak! Moja ty piękna skrzyneczko pełna procesorów, dałaś radę! – wykrzyknął, obracając się na krześle. – Chłopaki, musicie to zobaczyć. Szczególnie ty Niko.

Lucan i pozostali wojownicy zebrali się przy monitorze, który rzucał na twarz Gideona lekką błękitną poświatę. Gabrielle poczuła się niezręcznie, stojąc samotnie na środku pokoju, więc powoli podeszła do grupy.

- Właśnie się włamałem do systemu nadzoru metra – pochwalił się Gideon. – Popatrzmy, czy zobaczymy nagrania z wczorajszego wieczoru. Może się dowiemy o co tak naprawdę chodziło temu draniowi, który załatwił Conlana.

Gabrielle patrzyła w milczeniu jak na kilku ekranach pojawiają się nagrania z kamer umieszczonych na peronach. Gideon przemieszczał się na krześle wzdłuż konsoli i wystukiwał szybko komendy na kolejnych klawiaturach. Wreszcie znieruchomiał.

- Dobra, jedziemy. Zielona linia, to jest właściwe nagranie. – Odsunął się od monitora żeby inni też mogli zobaczyć ekran. – Peron na trzy minuty przed spotkaniem.

Lucan i jego towarzysze pochyliли się i patrzyli jak ludzie wysiadają z pociągu. Gabrielle, która spoglądała między ich szerokimi ramionami, zauważyła na ekranie twarz Nikolaia. Wsiadł do wagonu razem z towarzyszem, niezwykle pożątem mężczyzną ubranym

w czarną skórę. Ledwie usiedli, kiedy towarzysz Nikolaia zwrócił uwagę na jednego z pasażerów. Obaj wojownicy wstali. Tuż przed zamknięciem drzwi mężczyzna wyskoczył na peron. Nikolai i jego towarzysz podążyli za nim. Uwagę Gabrielle zwróciła twarz nieznanego.

- O mój Boże – jęknęła. – Ja go znam!

Pięć par oczu spojrzało na nią pytająco.

- To znaczy nie znam go osobiście, ale już go widziałam. Wiem, jak ma na imię. Brent. Przynajmniej tak powiedział mojej przyjaciółce, Kendrze. Poznała go w klubie tej nocy, kiedy byłam świadkiem morderstwa. Spotykała się z nim co wieczór, wyglądało to całkiem poważnie.

- Jesteś pewna? – spytał Lucan.

- Tak. To on. Jestem pewna.

Wojownik o imieniu Dante wysyczał przekleństwo.

- To Szkarłatny – powiedział Lucan. – Czy raczej nim był. Wczoraj wsiadł do kolejki z materiałami wybuchowymi. Niko i jeszcze jeden z naszych ludzi gonili go po zamkniętym torze. Wysadził się w powietrze nim go dopadli. Razem z nim zginął jeden z naszych.

- O Boże, masz na myśli ten niewyjaśniony wybuch, o którym mówili w telewizji? – spojrzała na Nikolaia, który mocno zacisnął szczękę. – Bardzo mi przykro.

- Gdyby Conlan nie rzucił się na tego drania, nie stał bym tu dzisiaj, to pewne.

Gabrielle poczuła smutek z powodu straty, którą ponieśli, ale równocześnie ogarnęło ją przerażenie na myśl o tym, w jakim wielkim niebezpieczeństwie jest jej przyjaciółka.

- A jeśli Kendrze się coś stało? Jeśli drań jej coś zrobił i Kendra potrzebuje pomocy?

- Muszę do niej zadzwonić. – Zaczęła szukać w torebce komórki. – Muszę natychmiast zadzwonić do Kendry i upewnić się, że nic jej nie jest.

Lucan złapał ją mocno za nadgarstek i spojrzał na nią prosząco.

- Przykro mi Gabrielle, nie mogę ci na to pozwolić.

- To moja przyjaciółka! Wybacz, ale mnie nie powstrzymasz.

Otworzyła telefon zdecydowana zadzwonić bez względu na cenę. Nim zdążyła wybrać numer, urządzenie wyskoczyło z jej ręki i znalazło się w dłoni Lucana. Zamknął klapkę i schował telefon o kieszeni kurtki.

- Gideonie, poproś Savannah, żeby zaprowadziła Gabrielle do jej kwatery. I niech jej przygotuje coś do jedzenia. – Poleciał nie spuszczać z Gabrielle spojrzenia.

- Oddaj mi telefon – zażądała, ignorując innych mężczyzn. Jawnie stawiała opór Lucanowi. – Muszę wiedzieć czy nic jej nie jest!

Ruszył ku niej i przez chwilę bała się, że coś jej zrobi. Ale on wyciągnął rękę żeby dotknąć jej twarzy. Na oczach towarzyszy pogładził ją czule po policzku. Jego głos był łagodny.

- Nic nie możesz zrobić dla swojej przyjaciółki. Jeśli jeszcze żyje, a uwierz mi to mało prawdopodobne, to on nie stanowi już dla niej zagrożenia.

- A jeśli zamienił ją w służbę?

Lucan pokręcił głową.

- Tylko najsilniejsze wampiry potrafią zmieniać ludzi. Ten śmieć, który wysadził się w kolejce nie był do tego zdolny. To zwykły pionek.

Gabrielle uchyliła się prze jego dłoń, mimo że jej dotyk przynosił jej ulgę.

- A jeśli komuś ją oddał?

Wyraz twarzy Lucana był ponury, ale zdeterminowany. Nadal mówił łagodnie, ale ona nie była w stanie zaakceptować prawdy.

- W takim razie zapomnij o niej. Jest już martwa.

Rozdział 21

Mam nadzieję, że herbata nie jest za mocna? A może wolisz z mlekiem? Zaraz przyniosę z kuchni.

Gabrielle się uśmiechnęła. Dobrze się czuła w towarzystwie partnerki Gideona.

- Herbata jest idealna, dziękuję.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że w kwaterze przebywają kobiety. Była pewna, że szybko się zaprzyjaźni z piękną Savannah, która przysłała po nią na polecenia Lucana i robiła co w jej mocy, by poczuła się swobodnie.

Przynajmniej na tyle, na ile się dało w tych okolicznościach. W otoczeniu uzbrojonych po zęby wampirów. W tym superbezpiecznym bunkrze, ukrytym kilka metrów pod ziemią.

Nigdy by się tego nie domyśliła, patrząc na Savannah, która siedziała naprzeciwko niej przy długim stole z ciemnego wiśniowego drewna. Znajdowały się w gustownie urządzonej jadalni. Popijały egzotyczną herbatę z filiżanek z kruchej chińskiej porcelany, przy dźwiękach cichej muzyki.

To pomieszczenie oraz przylegający do niego duży apartament należały do Gideona i Savannah. Najwyraźniej byli parą. Mieszkali w otoczeniu tych wszystkich wspaniałych mebli, niezliczonych książek i pięknych *objets d'art*. Dokładnie czegoś takiego można było się spodziewać po drogiej dzielnicy Back Bay. Gdyby nie brak okien. Ale i to rekompensowało zapierająca w dech piersiach kolekcja obrazów i fotografii, zdobiąca niemal każdą ścianę.

- Nie jesteś głodna?

Savannah wskazała na stojącą na stole srebrną paterę pełną ciasteczek. Obok leżały smakowite małe kanapki, a w miseczkach były aromatyczne sosy. Wszystko wyglądało i pachniało wspaniale, ale Gabrielle straciła apetyt. Wciąż myślała o Lucanie, który chłepcze krew tamtego nieszczęśnika.

- Nie, dziękuję – powiedziała. – Na razie wystarczy.

Była zaskoczona, że w ogóle zdołała coś przekąsić, ale herbata była gorąca i działała kojąco. Potrzebowała takiego ciepła.

Savannah patrzyła w milczeniu, jak Gabrielle pije. Jej ciemne oczy były przyjacielskie i pełne współczucia. Głowę pokrywała masa krótkich ciemnych loków. Ale to był zamierzony efekt. Do tego piękne ryzy twarzy i ponętne kształty. Zachowywała się równie bezpośrednio jak Gideon, za co Gabrielle była jej wdzięczna. To była miła odmiana po kilku godzinach

spędzonych w towarzystwie apodyktycznego Lucana.

- Jak chcesz, ale się nie mogę oprzeć pokusie – stwierdziła Savannah, sięgając po kruchy rożek.

Nalozyla na niego gęstą bitą śmietaną, odłamała kawałek i włożyła do ust z jękiem rozkoszy. Gabrielle zdawała sobie sprawę, że umiera z głodu, ale nie była w stanie niczego przełknąć.

- Jesz prawdziwe jedzenie? – Zabrzmiało to bardziej jak pytanie niż stwierdzenie.

Savannah skinęła głową, ocierając serwetką kąciki ust.

- Tak. Oczywiście. Dziewczyny muszą jeść.

- Ale myślałam, że... Skoro ty i Gideon... Nie jesteś taka jak on?

Savannah zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

- Jestem człowiekiem, tak samo jak ty. Lucan ci nie wyjaśnił?

- Nie wszystko. – Gabrielle wzruszyła ramionami. – Dość, żebym nie zwariowała, ale nadal mam masę pytań.

- To zrozumiałe. Wszystkie je mamy, kiedy po raz pierwszy wkraczamy w ten nowy świat. – Pochyliła się i lekko uściśnęła dłoń Gabrielle. – Możesz mnie pytać o wszystko. Ja też jestem nowa.

Gabrielle wyprostowała się, zaintrygowana.

- Od jak dawna tu jesteś?

Savannah przez chwilę patrzyła w przestrzeń, jakby liczyła w pamięci.

- Porzuciłam moje dawne życie w 1974 roku. To wtedy zakochałam się w Gideonie.

- Ponad trzydzieści lat temu – stwierdziła Gabrielle ze zdumieniem, patrząc na młodą twarz i jędrną skórę Savannah. – Moim zdaniem nie wyglądasz nawet na dwadzieścia.

Savannah uśmiechnęła się szeroko.

- Miałam osiemnaście lat, kiedy Gideon mnie odnalazł. Ocalił mi życie. Zabrał ze złego miejsca. Póki będziemy razem, pozostanę taka jak teraz. Naprawdę wyglądam młodo?

- Tak. Jesteś piękna.

Savannah zachichotała cicho i ponownie ugryzła ciastko.

- Jak? – spytała Gabrielle. Miała nadzieję, że nie obrazi swojej gospodyni, ale była tak ciekawa, że nie mogła się powstrzymać od zadania tego pytania. – Skoro jesteś człowiekiem, a oni nie mogą nas zmienić w... To czym są... Więc jak to możliwe? Dlaczego się nie starzejesz?

- Jestem Dawczynią Życia – powiedziała Savannah, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie. A kiedy Gabrielle uniosła pytająco brwi, dodała:

- Gideon i ja jesteśmy połączeni, no wiesz, skojarzeni. Dzięki jego krwi pozostaję młoda, ale nadal jestem w stu procentach człowiekiem. To się nie zmienia. Nie rosną nam kły, nie potrzebujemy też krwi, żeby przeżyć.

- Ale musiałaś ze wszystkiego zrezygnować, żeby z nim być?

- Niczego nie żałuję? Żyję z mężczyzną, którego uwielbiam i który kocha mnie równie mocno. Oboje jesteśmy zdrowi, szczęśliwi, otoczeni ludźmi, którzy są naszą rodziną. Pomijając szkarłatnych, nie mamy tu żadnych trosk. Jeśli nawet coś poświęciłam, nie ma to znaczenia. Żyję u boku Gideona.

- A co ze słońcem? Nie tęsknisz za normalnym życiem?

- Żadna z nas nie musi siedzieć w kwaterze. Spędzam dużo czasu w ogrodzie, również w dzień, jeśli mam ochotę. Teren jest dobrze strzeżony, a sama rezydencja ogromna. Kiedy tu przyjechałam, minęły trzy tygodnie, zanim poznałam całą rezydencję.

Gabrielle zdążyła się już zorientować, że potrzeba czasu, żeby poznać labirynt korytarzy.

- A jeśli chodzi o wyprawy do miasta, to czasami wybieramy się tam za dnia, choć niezbyt często. Wszystko, czego potrzebujemy, możemy zamówić przez Internet. – Uśmiechnęła się i lekko wzruszyła ramionami. – Nie zrozum mnie źle, jak każda kobieta uwielbiam wizyty u fryzjera i zakupy. Ale to zawsze ryzyko, kiedy opuszczamy kwaterę bez ochrony naszych partnerów. Martwią się, gdy nie mogą nas chronić. Przypuszczam, że kobiety mieszkające w Mrocznych Przystaniach mają nieco więcej swobody niż my, Dawczynie Życia, związane z wojownikami. Choć nie usłyszysz od nas słowa skargi.

- Czy mieszkają tu inne?

- Jeszcze dwie oprócz mnie. Eva jest związana z Rio. Polubisz ich oboje. Są duszami towarzystwa. A Danika to jedna z najmilszych osób na świecie. Była partnerką Conlana. Tego, który zginął w starciu ze Szkarłatnym.

Gabrielle ze smutkiem skinęła głową.

- Tak, wiem. Przykro mi.

- Bez niego jest tu inaczej, ciszej. Jeśli mam być szczerą, nie wiem, jak Danika to znosi. Byli razem od bardzo wielu lat. Conlan był wspaniałym wojownikiem i jeszcze lepszym partnerem. Należał do najstarszych mieszkańców kwatery.

- Jak długo oni żyją?

- Och, nie wiem. Bardzo sługo, przynajmniej według naszych standardów. Matka Conlana była córką szkockiego wodza klanu. To było za czasów Kolumba. Jego ojciec należał do Rasy, żył pięćset lat temu.

- Chcesz powiedzieć, że Conlan miał pięćset lat?

Savannah wzruszyła ramionami.

- Mniej więcej. Niektórzy są dużo młodszy, jak Rio i Nikolai. Oni urodzili się na początku XX wieku, ale najstarszy jest oczywiście Lucan. On należy do Pierwszego Pokolenia, jest synem jednego z Prastarych i Dawczyni Życia. Kobiety, która jest w stanie donosić dziecko obcych. Z tego, co wiem, Pierwsze Pokolenie pojawiło się na świecie przypadkiem w wyniku zbiorowych gwałtów. Kiedy Prastarzy przybyli na Ziemię, długo nie mieli potomstwa. Zapładniali kobiety o unikatowych właściwościach DNA, zdolnych donosić mieszaną ciążę.

Gabrielle wyobraziła sobie makabrę, która się wtedy odgrywała.

- To były bestie.

- Tak. Szkarłatni zachowują się podobnie i nie cenią życia. Gdyby nie wojownicy, członkowie Zakonu, którzy na nich polują, nasze życie... życie całej ludzkości... wyglądałoby ponuro.

- A Lucan? – spytała Gabrielle cicho. – Ile ma lat?

- Och, on jest wyjątkowy, ze względu na samo pochodzenie. Niewielu z jego pokolenia jeszcze żyje. – Na twarzy Savannah pojawił się podziw i wielki szacunek. – Ma co najmniej dziewięćset lat, może więcej.

- O mój Boże. – Gabrielle odchyliła się na oparcie krzesła. Roześmiała się, tak absurdalnie to zabrzmiało. Wiedziała jednak, że to prawda. – Wiesz co? Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, pomyślałam, że wygląda zupełnie jak rycerz. Takie wrażenie wywołuje. Jakby świat należał do niego i jakby nic nie mogło go zaskoczyć. Teraz przynajmniej wiem dlaczego.

Savannah przekrzywiła głowę i popatrzyła na nią przenikliwie.

- Ale ty byłaś dla niego zaskoczeniem.

- Ja? Dlaczego?

- Przeprowadził cię tutaj, do kwatery. Nigdy wcześniej nie zrobił czegoś takiego. Gideon to potwierdza.

- Sprowadził mnie tutaj dla mojego bezpieczeństwa, ponieważ Szkarłatni chcą się do mnie dostać. Boże, nie chciałam mu uwierzyć, ale to wszystko prawda, tak?

Uśmiech Savannah był ciepły, pełen współczucia.

- Tak.

- Wczoraj wieczorem widziałam, jak kogoś zabił. Sługę. Wiem, że zrobił to, żeby mnie ochronić, ale to było takie okropne. Straszne. – Przeszedł ją dreszcz, kiedy

przypomniała sobie ponurą scenę na placu zabaw. – Rozszarpał mu gardło i pił jego krew jak...

- Wampir – dokończyła Savannah cicho, a w jej głosie nie było ani oskarżenia, ani potępienia. – Tacy właśnie są, Gabrielle, tacy się urodzili. To nie jest przekleństwo ani choroba. Oni tak żyją. Zresztą nie zawsze zabijają. Członkowie rasy i wojownicy robią to niezwykle rzadko. Nie wspominając już o wampirach połączonych więzami krwi, jak Gideon czy Rio. A jest tak dlatego, że pożywienia dostarczają ich partnerki.

- Mówisz, jakby to było zupełnie normalne – powiedziała Gabrielle, marszcząc brwi i przesuując palcem po filizance. Wiedziała, że to ma sens, ale nie umiała się z tym pogodzić. – Przeraza mnie to, jaki jest naprawdę i jak żyje. Powinam nim gardzić.

- Ale tak nie jest.

- Nie – wyznała cicho.

- Zależy ci na nim, prawda?

Gabrielle kiwnęła głową, ale nie chciała powiedzieć tego na głos.

- I jesteś z nim związana intymnie.

- Tak. – Westchnęła i pokręciła głową. – Czy to nie głupie? Nie wiem, dlaczego tak mocno go pragnę. Okłamał mnie i oszukał, a mimo to na samą myśl o nim miękną mi kolana. Nigdy nie pożałowałam tak żadnego mężczyzny.

Savannah się uśmiechnęła.

- Oni są czymś więcej niż mężczyznami.

Gabrielle napiła się herbaty. Nie powinna myśleć, że należy do Lucana, chyba że chce, żeby złamał jej serce.

- Okazują pasję we wszystkim, co robią – dodała Savannah. – Niczego nie da się porównać ze związkiem krwi, szczególnie podczas seksu.

Gabrielle wzruszyła ramionami.

- Tak, seks jest niesamowity, nie mogę zaprzeczyć. Ale nie łączy mnie z Lucanem związek krwi.

Uśmiech Savannah nieco zbladł.

- Nie ugryzł cię?

- Boże, nie. - Pokręciła głową, zdziwiona, że nie poczuła większego przerażenia na tę myśl. – Nie wziął mojej krwi, o ile się orientuje. A dziś nawet przysięgał, że nigdy tego nie zrobi.

- O. – Savannah odstawiła filizankę na stół.

- Myślisz, że to zrobi?

Partnerka Gideona przez chwilę rozważała pytanie w myślach, a potem pokręciła głową.

- Lucan nigdy nie rzuca obietnic na wiatr, szczególnie w takiej sprawie. Na pewno mówił serio.

Gabrielle ulżyło, choć była ciekawa, dlaczego słowa Savannah zabrzmiały jak kondolencje.

- Chodź – powiedziała, wstając i kiwając ręką. – Pokażę ci resztę domu.

- Ustaliłeś coś na podstawie glifów, które miał na ręce podejrzany z Zachodniego Wybrzeża? – spytał Lucan, ciskając skórzana kurtkę na krzesło koło Gideona.

Siedzieli w laboratorium sami, tylko we dwóch. Pozostali wojownicy poszli odpocząć przed wyprawą na miasto. Lucan był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Znowu czuł koszmarny ból głowy.

- Utknąłem, bardzo mi przykro. Żadnych informacji w bazie przestępców ani w spisach wampirów. Nie ma go w systemie. No cóż, bazy są wielkie, co nie oznacza, że doskonałe. Szczególnie, jeśli chodzi o Pierwsze Pokolenie. Jest was już niewiele, a większość z różnych powodów nigdy nie zgodziła się na rejestrację. Na przykład ty.

- cholera – syknął Lucan, ściskając nasadę nosa, ale nie rozładowało to ciśnienia, jakie narastało w jego czaszce.

- Dobrze się czujesz, stary?

- Nic mi nie jest. – Nie spojrzał na Gideona, ale wyczuwał, że ten patrzy na niego z troską. – Dam sobie radę.

- Ja... hm... słyszałem, co zaszło między tobą a Teganem. Chłopaki mówią, że wróciłeś z łowów zmordowany. Twoje ciało nadal się regeneruje. Musisz się z tym pogodzić i regularnie jeść...

- Powiedziałem, że nic mi nie jest – uciął Lucan. Czuł, że oczy zmieniają się pod wpływem gniewu, a wargi odsłaniają zęby.

Jego ciało dostało już dość krwi, żeby się wyleczyć – zabił dwa razy, diler na ulicy i tego robaka na placu zabaw. Ale prawda była taka, że nadal chciał więcej.

Kroczył po niepewnym gruncie i dobrze o tym wiedział.

Od nałogu krwi dzielił go ledwie krok.

Coraz trudniej przychodziło mu utrzymać w ryzach własnej słabości.

- Mam dla ciebie prezent – powiedział do Gideona, chcąc zmienić temat. Położył na blacie przed nim dwa pendrive'y. – Załaduj je.

- Naprawdę? Prezent? Dla mnie? Kochanie, nie musiałeś – odparł Gideon. Wetknął jeden z dysków w port USB najbliższego komputera. Na ekranie rozwinęło się okno z długą listą plików. Gideon rzucił Lucanowi zamyślane spojrzenie. – To zdjęcia. Cholernie dużo, jak mam być szczerzy.

Lucan kiwnął lekko głową. Zaczął krążyć po pokoju. Czuł się pobudzony, było mu gorąco w jaskrawym świetle laboratorium.

- Chcę, żebyś je przejrzał i porównał ze wszystkimi znanymi nam gniazdami Szkarłatnych mieście.

Gideon kliknął w jeden z plików i zagwizdał.

- To jest gniazdo Szkarłatnych, które rozbiliśmy w zeszłym miesiącu. – Otworzył dwa kolejne zdjęcia, rozmieszczając je w różnych częściach ekranu. – A to ten magazyn, który obserwujemy od dwóch tygodni... Jezu, a czy to nie jest zdjęcie mrocznej przystani w Quincy?

- Jest tego więcej.

- O. Większość to siedziby Szkarłatnych, ale i rasy. – Gideon przejrzał kolejnych kilka zdjęć. – Ona je zrobiła?

- Tak. – Lucan zatrzymał się i spojrzał w monitor. Wskazał na pliki z datami z tego tygodnia. – Otwórz te.

Gideon posłusznie otworzył pliki.

- Jaja sobie ze mnie robisz. Była nawet w tym zakładzie psychiatrycznym? Tam muszą być setki Szkarłatnych!

Lucan poczuł, jak na tę myśl ściska mu się żołądek. Bolesne skurcze ni ustępowały, jego ciało domagało się pokarmu. Siłą umysłu stłumił tę potrzebę, ale ręce mu się trzęsły, a na czole pojawiły się krople potu.

- Znalazł ją sługa i przepędził – powiedział chrapliwym głosem, nie tylko z powodu głodu. – Miała wielkie szczęście, że uszła stamtąd z życiem.

- Mnie to mówisz? Jak ona znalazła to miejsce? Te miejsca?

- Mówi, że nie wie, co ją do nich przyciąga. To musi być instynkt. No wiesz, jedna ze zdolności Dawczyni Życia. Potrafi również opierać się kontroli umysłu i widzi nasze ruchy, choć inni ludzie tego nie potrafią.

- Nazywaj to jak chcesz, ale jej zdolności mogą się okazać bardzo użyteczne.

- Zapomnij o tym. Nie będziemy jej w to wciągać. Nie zamierzam wystawiać jej na niebezpieczeństwo. Poza tym długo tu nie zostanie.

- Nie sądzisz, że powinniśmy ją chronić?

- Nie chcę, żeby tu była, kiedy lada moment wybuchnie wojna. To nie życie dla niej!
Gideon wzruszył ramionami.

- Savannah i Evie się podoba.

- Tak, Danika przekonała się na własnej skórze, jakie jest zabawne. – Lucan pokręcił głową. – Nie chcę, żeby Gabrielle znalazła się w pobliżu pola bitwy. Przeniesiemy ją do Mrocznej Przystani. Gdzieś daleko, w jakimś odosobnionym miejscu, gdzie Szkarłatni jej nie dopadną.

I gdzie będzie bezpieczna również przed nim. Bezpieczna przed bestią, która próbowała się uwolnić. Jeśli w końcu ogarnie go nałóg krwi – a ostatnio czuł wyraźnie, że jest to raczej kwestia czasu – Gabrielle powinna się znaleźć jak najdalej od niego.

- Zależy ci na niej – powiedział Gideon spokojnie.

Lucan zmierzył go wzrokiem. Miał ochotę coś zniszczyć.

- Nie bądź śmieszny.

- Jest piękna, odważna i twórcza, więc nic w tym dziwnego, że ci się podoba. Ale... do cholery. Tobie na niej naprawdę zależy, prawda? – najwyraźniej Gideon nie wiedział kiedy przestać. – Nigdy nie sądziłem, że dożyję dni, gdy za skórę zalezie ci kobieta.

- Czy wyglądam na kogoś, kto ma ochotę wstąpić do żalosego klubu zakochanych, jak ty i Rio? Albo jak Conlan, zostawić po sobie osieroconego szczeniaka? Uwierz mi, nie interesuje mnie związek z kobietą. Ani z tą, ani z żadną inną. – Zaklął paskudnie. – Jestem wojownikiem. Moim pierwszym... moim jedynym obowiązkiem jest bronienie Rasy. Nigdy nie było miejsca na nic innego. Kiedy tylko znajdę dla niej bezpieczne miejsce w Mrocznej Przystani, Gabrielle Maxwell zniknie stąd i zapomnimy o niej. Koniec kropka.

Gideon siedział przez chwilę cicho, obserwując w milczeniu niespokojne ruchy Lucana, tak dziwne u tego opanowanego wampira.

Czym tylko dodatkowo go rozwścieczył.

- Masz jeszcze coś do dodania czy możemy zmienić temat?

Mądre błękitne oczy Gideona patrzyły na niego z doprowadzającym do szaleństwa spokojem.

- Och, zastanawiam się tylko, kogo bardziej starasz się przekonać. Mnie czy siebie?

Rozdział 22

Podczas wycieczki po domostwie Gabrielle obejrzała prywatne apartamenty, miejsca spotkań, salę treningową z jej niesamowitą kolekcją broni, salę balową, kaplicę i niezliczone inne pomieszczenia o różnym przeznaczeniu. Wszystko to zlało się w jej umyśle w jedną niewyraźną masę.

Poznała również Evę, która była dokładnie taka, jak mówiła Savannah: pełna życia, czarująca i piękna jak supermodelka. Partnerka Rio chciała dowiedzieć się wszystkiego o Gabrielle i jej życiu na górze. Sama pochodziła z Hiszpanii i wspomniała, że pewnego dnia wróci tam z Rio i założą rodzinę. To było miłe spotkanie, ale przerwał je Rio. Kiedy się tylko pokazał, Eva straciła zainteresowanie rozmową. I Savannah zabrała Gabrielle do innych pomieszczeń kwatery.

Siedziba wojowników była wielki i niezwykle nowoczesna. Wycieczka całkowicie zmieniła przekonanie Gabrielle o mrocznym życiu wampirów. Na pewno nie żyły w wilgotnych kryptach przypominających jaskinie.

Ci tutaj posiadali wszystkie możliwe luksusy, choć żadne pomieszczenie nie zrobiła na Gabrielle takiego wrażenia jak pokój, do którego właśnie weszła. Dwie ściany, od podłogi do sufitu, wypełnione były półkami z lakierowanego ciemnego drewna, na których stały tysiące książek. Bez wątplenia większość stanowiły białe kruki, jeśli sądzić po skórzanych oprawach i złoceniach, które połyskiwały w przyćmionym świetle biblioteki.

- Łau. – Stanęła na środku pokoju i zaczęła się powoli obracać, podziwiając tę niesamowitą kolekcję książek.

- Podoba ci się? – spytała Savannah od progu.

Kiwnęła głową, zbyt przejęta, żeby mówiąc. Spojrzała na wielki gobelin zdobiący jedną ze ścian. Widniała na niej nocna scena: wielki rycerz, odziany w czerń i srebrną zbroję, dosiadał czarnego stojącego dęba konia. Nie miał hełmu, a jego długie czarne jak heban włosy rozwiewał wiatr. Na lancy unurzanej we krwi i nad płonącym znakiem widocznym na wzgórzu powiewały proporce.

Była to kunsztowna, precyzyjna robota. Gabrielle widziała wyraźnie przenikliwe jasnoszare oczy i zapadnięte policzki rycerza. Rozpoznała znajome usta wygięte w cynicznym, pełnym potępienia grymasie.

- O mój Boże – szepnęła. – Czy to ma być...

Savannah wzruszyła ramionami i zaśmiała się cicho.

- Chcesz tu zostać? Muszę zajrzeć do Daniki, a ty tu sobie pomyszkuj...

- Jasne. Chętnie tu zostanę. Nie spiesz się i nie martw o mnie.

Savannah się uśmiechnęła.

- Niedługo wrócę, a wtedy przygotujemy ci pokój.

- Dzięki. – Gabrielle wcale się nie śpieszyło do opuszczenia tego miejsca.

Kiedy Savannah wyszła, nie wiedziała, na czym ma się skupić. Na skarbach literatury czy na średniowiecznym gobelinie przedstawiającym Lucana Thorne'a. Dywan musiał pochodzić mniej więcej z XIV wieku.

Jedno i drugie, postanowiłam, po czym wzięła z półki tom poezji francuskiej – pierwsze wydanie – i usiadła w skórzanym fotelu koło gobelinu. Położyła książkę na filigranowym stoliku i przez chwilę przyglądała się podobiznie Lucana, tak niesamowicie utkanej z jedwabnych nici. Wyciągnęła rękę, ale nie śmiała go dotknąć.

Mój Boże, pomyślała olśniona, powoli zaczynała rozumieć ten dziwny świat.

Oni przez cały ten czas istnieli, żyli obok nas.

Niesamowite.

Jakież ciasny wydał się jej własny świat w świetle nowej wiedzy. Wszystko, co wiedziała, straciło znaczenie w obliczu długiej historii Lucana i jego Rasy.

Zadrzała pod wpływem nagłego ruchu powietrza. Obróciła się i z zaskoczeniem ujrzała Lucana we własnej osobie. Stał w rogu pokoju, oparty ramieniem o framugę drzwi. Miał krótsze włosy niż rycerz na gobelinie, a oczy zmęczone, bez tego błysku.

Jednak w rzeczywistości był dużo przystojniejszy niż na podobiznie. Promieniowała z niego wewnętrzna siła, nawet kiedy stał zupełnie nieruchomo. Popatrzyła na niego, po raz pierwszy naprawdę na niego popatrzyła o zobaczył go takim, jaki był naprawdę: prastara siła, dzika uroda, niezgłębiona moc.

Mroczna zagadka, uwodzicielska i niebezpieczna.

- Co tu robisz? – W jego głosie wyczuła cień oskarżenia.

- Nic – odparła szybko. – Szczerze mówiąc, nie mogłam się powstrzymać, żeby nie obejrzeć tego wszystkiego. Savannah oprowadzała mnie po kwaterze.

Chrząknął, nadal nachmurzony i ścisnął palcami grzbiet nosa.

- Wypiliśmy herbatę i chwilę porozmawialiśmy – ciągnęła Gabrielle. – Poznałam też Evę. Obie są bardzo miłe. A domostwo robi wielkie wrażenie. Od jak dawna tu żyjecie?

Wiedziała, że nie interesuje go rozmowa, niemniej odpowiedział, wzruszając obojętnie ramieniem.

- Kupiliśmy tę rezydencję z Gideonem w 1898 roku i przeznaczaliśmy na kwaterę. Potem zrekrutowaliśmy oddział wojowników. Pierwsi byli Dante i Conlan. Nikolai i Rio dołączyli później. I Tegan.

To ostatnie imię Gabrielle słyszała po raz pierwszy.

- Tegan? – powtórzyła. – Savannah o nim nie wspomniała. Ni było go, kiedy przedstawiałeś mnie innym.

- Istotnie.

Ponieważ niczego nie wyjaśnił poczuła ciekawość.

- Czy jego też straciłeś, jak Conlana?

- Nie. Nie w ten sposób. – Ton Lucana zrobił się nieprzystępny, jakby to był bolesny temat, który wolał przemilczeć.

Patrzył na nią z uwagą, a stał na tyle blisko, że widziała, jak jego pierś unosi się i opada podczas oddechu. Widziała zarys jego mięśni pod dopasowaną czarną koszulą, wręcz czuła ciepło jego ciała.

A na ścianie widniała jego podobizna. Młody zdeterminowany rycerz, gotów zmierzyć się ze wszystkim, co stanie mu na drodze. Lucan, który stał przed nią, miał mroczniejszą naturę. Mierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Ten gobelin jest wspaniały.

- Jest bardzo stary – stwierdził i podszedł bliżej. – Ale jak sądzę już to wiesz.

- Przepiękny. Jesteś na nim taki dziki, jakbyś był gotów podbić świat.

- Rzeczywiście. – Zerknął na ścianę, skrzywił się lekko. – Kazałem go utkać kilka miesięcy po śmierci moich rodziców. Ten płonący zamek w tle należał do mojego ojca. Uciałem mu głowę za to, że w ataku nałogu krwi zabił moją matkę.

Gabrielle aż westchnęła. Nie spodziewała się czegoś takiego.

- Mój Boże, Lucanie...

- Znalazłem ją w kałuży krwi, miała rozszarpane gardło. A on nawet nie próbował się bronić. Wiedział, co zrobił. Kochał ją, na ile był do tego zdolny, ale nałóg okazał się silniejszy. Nie zdołał opanować swojej natury. – Lucan wzruszył ramionami. – Zrobiłem mu przysługę, kładąc kres jego życiu.

Gabrielle zaskoczył chłodny wyraz jego twarzy, jego słowa i obojętny ton, jakim je wypowiadał. Romantyczna aura, która jeszcze przed chwilą wznosiła się nag gobelinem, zniknęła pod ciężarem strasznych słów.

- Dlaczego chciałeś mieć pamiątkę po tamtym okropnym wydarzeniu?

- Okropnym? – Pokręcił głową. – Tej nocy zaczęło się moje życie. Nie miałem celu,

póki nie stanąłem po kostki w krwi moich rodziców i nie zrozumiałem, że muszę to zmienić: i dla siebie, i dla reszty Rasy. Tej nocy wypowiedziałem moje ostatnim żyjącym Prastarym i wszystkim służącym im Szkarłatnym.

- Walczysz od bardzo dawna.

- Powiniennem być zacząć dużo wcześniej. – Przeszył ją stalowym spojrzeniem. Uśmiechnął się groźnie. – Nigdy nie przestanę. Po to żyję; by zadawać śmierć.

- Pewnego dnia wygrasz, a wtedy przemoc się skończy.

- Tak myślisz? – spytał kpiąco, w jego głosie pojawiło się rozbawienie. – Skąd ta pewność? Żyjesz dopiero od dwudziestu ośmiu lat.

- Ale mam wielką nadzieję. Wiarę. Wierzę, że dobro zawsze zwycięża. A ty nie? Przecież robicie to wszystko, ponieważ macie nadzieję, że uda wam się jakoś zmienić świat?

Roześmiał się. Patrzył prosto na nią i śmiał się głośno.

- Zabijam Szkarłatnych, ponieważ sprawia mi to przyjemność i jestem w tym cholernie dobry. O motywach innych nic nie mogę powiedzieć.

- Lucanie, co się z tobą dzieje? Jesteś... - Jaki? Wkurzony? Zaczepny? Rozchwiany? – Zachowujesz się inaczej niż wcześniej.

Nadal przeszywał ją wzrokiem.

- Tak się składa, kochana, że jesteś teraz na moim terenie. Tu wszystko jest inne.

Jego bezduszość ją zaskoczyła, ale to wściekłość płonąca w jego oczach naprawdę ją wystraszyła. Były jasne, twarde jak kryształ. Miał zaczerwienioną skórę, zbyt napiętą na kościach policzkowych, a kiedy przyjrzała mu się uważniej, zauważyła cieniutką warstwę potu na czole.

Emanowała z niego czysta furia, rozgrzana do czerwoności. Jakby chciał coś rozerwać na strzępy gołymi rękami.

A tak się składało, że osobą, która stanęła mu na drodze, była ona.

Minął ją w milczeniu i ruszył do drzwi koło półek. Otworzyły się przed nim, zanim dotknął klamki. W środku było tak ciemno, że w pierwszej chwili sądziła, że to szafa. Ale on wszedł w ten mrok. Usłyszała jego ciężkie kroki, oddalające się korytarzem.

Została w bibliotece, mając wrażenie, że właśnie cudem uniknęła prawdziwej burzy. Odetchnęła niepewnie. Może powinna pozwolić mu odejść i cieszyć się, że nie na niej wyładował swój gniew? Najwyraźniej nie miał ochoty na jej towarzystwo. Zresztą sama też nie była pewna, czy chce przebywać blisko niego.

Ale coś się z nim działo – coś naprawdę złego – i musiała się dowiedzieć co.

Przełknęła strach i ruszyła za nim.

- Lucanie? – Przestrzeń za drzwiami nie była oświetlona. Tylko mrok i równy odgłos kroków. – Boże, strasznie tu ciemno. Zaczekaj! Porozmawiaj ze mną!

Nie zwolnił kroku. Wręcz przeciwnie, miała wrażenie, że przyspieszył. Jakby chciał od niej uciec.

Ruszyła ciemnym korytarzem jak najszybciej się dało, przesuując wyciągniętą ręką po ścianie.

- Dokąd idziesz?

- Na górę.

- Po co?

- Powiedziałem ci. – Usłyszała dźwięk otwieranego zamka. – Mam robotę. A ostatnio bardzo mocno ją zaniedbałem.

Z jej powodu.

Nie powiedział tego, ale nie miała wątpliwości, że to właśnie miał na myśli.

- Muszę stąd wyjść – rzucił. – Najwyższy czas, żebym zaliczył kilka nocnych zdobyczy.

- Noc już się prawie skończyła. Może lepiej odpocznij. Źle wyglądasz.

- Muszę walczyć.

Jego kroki umilkły, usłyszała gdzieś w ciemności szelest materiału, jak by się rozbierał. Szła ku niemu, kierując się tym dźwiękiem, wyciągała przed siebie ręce, usiłując odszukać drogę w całkowitej ciemności. Byli teraz w jakimś pomieszczeniu, po prawej stronie miała ścianę. Oparła się o nią i ostrożnie posuwała się naprzód.

- Jesteś rozpalony. I dziwnie się zachowujesz.

- Muszę zapolować. – Jego głos był niski i groźny.

Czy wyczuł, że się cofnęła, kiedy to powiedział? Na pewno. Zaśmiał się złowieszczo, jakby rozbawiła go jej niepewność.

- Ale przecież już jadłeś – przypomniała mu. – Zeszłej nocy. Czy nie wypiliśmy dość krwi, kiedy zabiłeś tego chłopaka? Mówiłeś przecież, że żywicie się raz na kilka dni?

- Proszę, stałaś się ekspertką od wampirze diety? Jestem pod wrażeniem.

O podłogę uderzyły buty, najpierw jeden, potem drugi.

- Możemy włączyć światło? Nie widzę cię...

- Żadnych świateł – warknął. – Ja cię widzę doskonale. Czuję zapach twojego strachu.

Bała się, ale nie tyle o siebie, ile o niego. Najwyraźniej balansował na krawędzi. Powietrze wokół niego zdawało się pulsować nagą furią. Czowała ją w ciemności, jakby jakaś niewidzialna siła odpychała ją od niego.

- Czy zrobiłam coś złego? Może nie powinnam tu być? Jeśli zmieniłeś zdanie co do mojej obecności w kwaterze, to odejdę.

- Nigdzie nie ma dla ciebie miejsca.

- Chcę wrócić o domu, do mojego mieszkania.

Poczuła ciepło, jakby stanął tuż przed nią.

- Właśnie tu przyjechałaś. Nie możesz wrócić. Zostaniesz tutaj, póki nie postanowię inaczej.

- Brzmi jak rozkaz.

- Bo to jest rozkaz.

Dobra, teraz nie tylko on był wściekły.

- Oddaj mi komórkę. Muszę zadzwonić do przyjaciół i sprawdzić, czy nic im nie jest. A potem wezwę taksówkę, pojadę do domu i spróbuję uporządkować ten bałagan, w jaki zmieniło się moje życie.

- To wykluczone. – Usłyszała metaliczny szcęk broni, skrzypienie otwieranej szuflady. – Jesteś teraz w moim świecie, Gabrielle. Ja tu stanowią prawo. Jesteś pod moją ochroną, póki nie uznam, że jest bezpiecznie.

Stłumiła przekleństwo, które już miała na końcu języka.

- Słuchaj, może kiedyś robiło to na kimś wrażenie, ale czasy się zmieniły!

Warkot, jaki wydał, sprawił, że włosy stanęły jej dęba na głowie.

- Nie przeżyjesz jednej nocy beze mnie, rozumiesz? Gdyby nie ja, nie przeżyłabyś nawet pierwszego roku życia!

Zamarła w ciemności.

- Co?

Odpowiedziała jej cisza.

- Jak to nie przeżyłabym bez ciebie pierwszego...

Zaklął przez zaciśnięte zęby.

- Byłem tam, Gabrielle. Dwadzieścia siedem lat temu, kiedy na bostońskim dworcu autobusowym Szkarłatny zaatakował bezbronną matkę. Byłem tam.

- Moją matkę – szepnęła, serce waliło jej głucho w piersiach. Oparła się plecami o ścianę.

- Ugryzł ją. Wysysał jej krew, kiedy wyczułem jej zapach. Ciebie też by zabił.

Gabrielle ledwie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

- Uratowałeś nas?

- Pozwoliłem uciec twojej matce, ale była osłabiona i nic nie mogło jej uratować.

Chciała jednak ocalić ciebie. Uciekła z Toba w ramionach.

- Nie. Ja jej nie obchodziłam. Porzuciła mnie. Zostawiła w śmietniku – szepnęła. Gardło ją bolało, kiedy wypowiadała te słowa, znowu poczuła ból porzucenia.

- Ugryzienie zapewne spowodowało szok. Była zdezorientowana, myślała, że zostawia cię w bezpiecznym miejscu. Że cię chroni przed niebezpieczeństwem.

Boże, ile razy myślała o tej młodej kobiecie, która dała jej życie? Ile scenariuszy wymyśliła, żeby zrozumieć, co mogło się wydarzyć tamtej nocy, kiedy znaleziono ją na ulicy? Ale nigdy nie wpadła na coś takiego.

- Jak się nazywała?

- Nie mam pojęcia. Nie obchodziła mnie. Była po prostu kolejną ofiarą Szkarłatnych. Przypomniałem ją sobie, kiedy o niej wspomniałaś.

- A ja? – spytała, próbując to wszystko jakoś poskładać w całość. – Kiedy się widzieliśmy po raz pierwszy, wiedziałeś, że jestem tym dzieckiem, które ocaliłeś?

Roześmiał się sucho.

- Nie miałem pojęcia. Poszedłem do ciebie, ponieważ wyczułem twój jaśminowy zapach pod klubem i zapragnąłem cię. Chciałem wiedzieć, czy twoja krew będzie równie słodka jak twoje ciało.

Przypomniała sobie rozkosz, jaką dał jej Lucan. Bezwiednie zaczęła się zastanawiać, jak to by było, gdyby równocześnie poruszał się w niej i pił jej krew, i ku własnemu zaskoczeniu stwierdziła, że jest więcej niż ciekawa.

- Ale nie sprawdziłeś. Nie...

- I tego nie zrobię – powiedział kategorycznie. Usłyszała kolejne przekleństwo, które zabrzmiało bardziej jak pełen bólu syk. – Nigdy w życiu bym cię nie tknął, gdybym wiedział...

- Gdybyś co wiedział?

- Nic, nieważne. Tylko... Chryste, nie mogę rozmawiać, głowa mi zaraz pęknie. Idź już. Zostaw mnie samego.

Gabrielle nie ruszała się z miejsca. Słyszała, że znów się porusza, słyszała jego niepewne kroki. Uderzenie, a potem zwierzęcy skowyt.

- Nic ci nie jest?

- Nic – warknął, choć miała wrażenie, że prawda jest inna. – Muszę... och, nie. – Jego oddech zrobił się ciężki, zaczął dyszeć. – Idź stąd, Gabrielle! Muszę zostać... sam.

Coś ciężkiego upadło na podłogę z głuchym łoskotem. Słyszała świst jego oddechu.

- nie zostawię cię. Potrzebujesz pomocy. – Przesunęła ręką po ścianie, szukając

kontakty. – Nie widzę, czy...

Znalazła, włączyła światło.

- O Boże.

Lucan leżał na podłodze skulony obok wielkiego łóża. Zdjął buty oraz koszulę i wiał się na dywan z bólu. Wzór na jego nagich plecach i piersi podbiegł kolorem, zmieniał się z purpurowego w szkarłatny, a potem w czarny, kiedy spazmatycznie chwycił się za brzuch.

Podbiegła do niego i przyklękła na podłodze. Jego ciało skurczyło się gwałtownie, zwinął się w ciasny kłębek.

- Co się dzieje?

- Zjeżdżaj stąd – warknął zupełnie jak zwierzę, kiedy spróbowała go dotknąć. – Już. Nie twoja... sprawa.

- Gówno prawda!

- Zje... Aaaa! – Ponownie chwyciły go skurcze. – Po prostu mnie zostaw!

Wił się z bólu. Gabrielle zaczęła wpadać w panikę.

- Co ci jest? Powiedz mi, co robić?

Przewrócił się na wznak, jakby przekręciła go niewidzialna ręka. Żyłki na jego szyi były nabrzmiałe. Pulsowały gwałtownie. Obnażył zęby w bolesnym grymasie. Jego kły były długie i białe.

- Gabrielle, zmiataj stąd!

Cofnęła się, żeby dać mu więcej przestrzeni, ale nie zamierzała odejść.

- Mam kogoś wezwać? Mogę odszukać Gideona i...

- Nie! Nie... wzywaj. Nikomu... nie mów. – Kiedy na nią spojrział, zobaczyła, że jego źrenice zwężyły się w pionowe kreski. Wbił dziki wzrok w jej gardło, w to miejsce gdzie bił puls. Zadrzał, zacisnął mocno powieki. – To minie. Zawsze... w końcu mija.

Jakby chcąc tego dowieść, zaczął się podnosić. Przychodziło mu to z wielkim trudem. Zawarczał na nią, kiedy spróbowała mu pomóc. W końcu dźwignął się z podłogi i padł na brzuch na łóżko. Dyszał ciężko, ciało miał napięte i drżące.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Odejdź – wydyszał z trudem. – Po prostu... nie podchodź do mnie.

Została na miejscu. Odważyła się dotknąć jego ramienia.

- Jesteś rozpalony. Masz gorączkę.

Nie odpowiedział. Nie była pewna, czy w ogóle był w stanie mówić. Potrzebował wszystkich sił na opanowanie tego, co się z nim działo. Powiedział, że musi zapolować, ale to, co widziała, wyglądało na coś gorszego niż zwykły głód. Nigdy dotąd nie była świadkiem

takiego cierpienia.

Poczuła zimny dreszcz, gdy przypomniała sobie, o czym mówił Lucan.

Nałóg krwi.

Uzależnienie charakterystyczne dla Szkarłatnych. Tylko ten nałóg różnił Rasę od ich dzikich braci. Patrząc na Lucana, zastanawiała się, jak trudno zaspokoić głód, który cię niszczy.

A kiedy nałóg krwi zwycięży, ile czasu zostanie Lucanowi?

- Wszystko będzie dobrze – powiedziała cicho, gładząc go po włosach. – Spróbuj się odprężyć. Pozwól, że się tobą zajmę.

Rozdział 23

Leżał w chłodnym cieniu, czuł we włosach lekki wietrzyk. Nie chciał się budzić z tego głębokiego, pozbawionego marzeń snu. Nieczęsto znajdował taki spokój. Nigdy aż tak wielki. Chciał w nim pozostać, przespać następne sto lat.

Ale poczuł zapach jaśminu i poruszył się. Napelnił płuca tą słodką wonią, poczuł ją w wyschniętym gardle. Rozkoszował się nią. Z trudem uniósł ciężkie powieki i zobaczył wpatrzony w siebie piękne brązowe oczy.

- Lepiej się czujesz?

Tak, czuł się lepiej. Straszliwy ból głowy minął, nie miał już wrażenia, że żywcem obdzierają go ze skóry. Potworny ból brzucha zmienił się w uczucie pustki, nieprzyjemne, które jednak mógł opanować.

Spróbował jej powiedzieć, że czuje się lepiej, ale zamiast słów z jego gardła wydobył się charkot. Odchrząknął, spróbował jeszcze raz.

- Już dobrze.

Gabrielle siedziała na brzegu łóżka, trzymała na kolanach jego głowę. Przesunęła lekko wilgotną szmatką po jego czole i policzkach, a drugą ręką pogładziła go po włosach. Jej palce były delikatne, kojące.

Było mu dobrze. Niewiarygodnie dobrze.

- Byłeś w kiepskim stanie. Martwiłam się o ciebie.

Jęknął na wspomnienie tego koszmaru. Ten atak głodu zupełnie go powalił. A ona to widziała. Jezu, zapragnął się schować w jakiejś dziurze i umrzeć. Że też właśnie Gabrielle musiała to zobaczyć!

Czuł się upokorzony z powodu własnej słabości, ale nagły strach sprawił, że usiadł i rozbudził się zupełnie.

- Chryste. Gabrielle, czy ja... Czy zrobiłem ci krzywdę?

- Nie. – Dotknęła jego twarzy, a w jej oczach nie było ani śladu strachu, jedynie czułość. – Nic mi się nie stało. Nic mi nie zrobiłeś.

Bogu niech będą dzięki.

- Masz na sobie moją koszulę – stwierdził. Czarna, luźna koszula zastąpiła jej sweter i dzinsy. On sam ubrany był tylko w spodnie.

- Och, rzeczywiście – powiedziała i zaczęła skubać luźną nitkę przy rękawie. –

Włożyłam ją, jak przyszedł Dante. Szukał cię. Powiedziałam mu, że śpisz. – Zaczerwieniła się lekko. – Pomyślałam, że nie będzie o nic pytał, jeśli otworzę ubrana w ten sposób.

Lucan zmarszczył brwi.

- Kłamałaś dla mnie.

- Miałam wrażenie, że to dla ciebie bardzo ważne, żeby nikt cię nie widział... w tym stanie.

Popatrzył na nią. Siedziała przy nim, taka ufna. Podziwiał ją za to. Każdy, kto zobaczyłby go w takim stanie, przebiłby mu serce tytanowym mieczem – i miałby rację. Ale ona się nie bała. Przeżył właśnie jeden z najgorszych ataków głodu, a Gabrielle przez cały czas tu była.

Chroniła go.

Poczuł wielki szacunek. I wielką wdzięczność.

Nikt wcześniej nie obdarzył go takim zaufaniem. Wiedział, że każdy z wojowników przyjdzie mu z pomocą w bitwie, ale to było coś zupełnie innego. Rozumiała go. Chroniła, gdy był bezbronny.

Nawet kiedy pluł i warczał na nią, kiedy próbował ją odgonić. Kiedy zobaczyła drzemiącą w nim bestię.

Została przy nim, mimo tego wszystkiego.

Brakło mu słów, żeby jej podziękować. Więc zamiast tego pocałował ją, najdelikatniej jak potrafił i z szacunkiem, którego nigdy nie zdoła okazać.

- Powinienem się ubrać – powiedział. Jęknął w duchu na samą myśl o ruszeniu się z miejsca. – Czuję się już lepiej. Powinienem iść.

- Dokąd?

- Na górę, dopaść kilku Szkarłatnych. Inni nie powinni pracować za mnie.

Przysunęła się do niego, położyła dłoń na jego czole.

- Jest dziesiąta rano. Na górze jest dzień.

Obrócił głowę i spojrział na stojący przy łóżku zegarek. Miała rację.

- Przespałem całą noc? Dante będzie miał używanie.

Usta Gabrielle wygięły się w zmysłowym uśmiechu.

- Raczej będzie uważać, że ty sobie używałeś. Ze mną. Pamiętasz?

Ogarnęło go podniecenie.

Cholera.

Na samą myśl o...

Siedziała z podwinętymi nogami, czarna koszula odsłaniała jej uda i fragment białych

majtek. Włosy opadły na jej ramiona. Najbardziej ze wszystkiego pragnął zanurzyć w nich dłonie, zanurzyć się w jej ciało.

- Źle, że musiałaś dla mnie kłamać – powiedział, a właściwie wymruczał. Przesunął dłonią po jej jedwabistym udzie. – Powinienem to naprawić.

Chwyliła jego palce i przytrzymała.

- Naprawdę sądzisz, że dasz radę?

Zachichotał.

- Jestem tego pewien.

Choć w jej oczach pojawiło się zainteresowanie, popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

- Dużo przeszedłeś tej nocy. Może lepiej porozmawiajmy. Odpocznij jeszcze.

Rozmowa o tym, co się stało, to była ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę, szczególnie że Gabrielle wyglądała tak ponętnie. Czuł jak jego ciało odzyskuje siły, jak jego penis budzi się do życia. Zawsze tak się działo, kiedy był przy niej. Kiedy choć o niej pomyślał.

- Sama mi powiedz, czy potrzebuję odpoczynku.

Położył jej rękę na twardym wzgórku, unoszącym rozporek spodni. Pogładziła pulsujące wybrzuszenie, a potem objęła je dłonią. Zamknął oczy, poddając się jej dotykowi, wchłaniając ciepły zapach jej podniecenia, kiedy zamykał ją w ramionach.

Całował ją, długo, głęboko i powoli. Wsunął ręce pod koszulę, przesuwając dłońmi po jej jedwabistych plecach, po żebrach i piersiach. Jej sutki były twarde, małe pąki dopiero szykujące się do życia.

Wygięła się w jego ramionach, jęknęła. Rozpięła niecierpliwie guzik i suwak jego rozporka, po czym wsunęła w niego rękę. Wyciągnęła jego penisa.

- Jesteś taka niebezpieczna – wyszeptał prosto w jej usta. – Podobasz mi się tutaj, w moim świecie. Nie sądziłem, że tak będzie. Nie powinno tak być.

Ściągnął z niej koszulę i rzucił na podłogę. Popatrzył z nieukrywaniem zachwytem na jej nagie ciało. Odgarnął jej włosy z twarzy i czule pogładził szyję.

- Naprawdę jestem pierwsza kobietą, którą tu przyprowadziłeś?

Uśmiechnął się sucho, nie przestając jej pieścić.

- Kto ci to powiedział? Savannah?

- To prawda?

Pochylił się i objął ustami jej różowy sutek. Napał na nią swoim ciężarem i zmusił ją, żeby się położyła. Szybko zdjął spodnie. Czuł, jak kły wysuwają mu się z dziąseł, jak pożądanie wyrywa się spod kontroli, jak zalewa go gorącymi falami.

- Jesteś jedyna – powiedział niskim głosem, ofiarował jej to wyznanie w zamian za zaufanie, którym go dziś obdarzyła.

Wiedział, że będzie również ostatnią kobietą, jaką tu przyprowadził.

Nie potrafił sobie wyobrazić żadnej innej w tym łóżku. Nigdy więcej nie wpuści nikogo do swojego serca. Musi się zmierzyć z twardymi faktami – to właśnie go czeka. Po tylu latach samotności, pozwolił sobie na drzenie serca. A Gabrielle wypełniła jego pustkę tak, że nikt nie zrobi tego lepiej.

- Boże, jesteś taka miękka – powiedział, pieszcząc ją, przesuwał rękami po jej boku i brzuchu aż po biodro. Pocałował ją w usta. – Taka słodka.

Jego ręka powędrowała niżej, między jej uda, rozsunęła jej nogi.

- Taka mokra – wymruczał, zanurzając język w jej ustach. Jego palce wślizgnęły się pod majtki i zanurzyły w wilgotnym cieple jej sromu.

Włożył w nią palec, najpierw troszeczkę, a potem mocniej, głębiej. Chwyciła go za ramiona i wygięła się, gdy dołączył jeszcze dwa palce, pieszcząc jedwabistą pochwę, która przyjęła go z taką gwałtownością. Oderwał się od jej ust i ściągnął koronkowe figi skrywające jej płeć. Potem zsunął się niżej, rozłożył szeroko jej nogi i ukrył między nimi twarz.

- Taka piękna – wydyszał, oczarowany jej perfekcją. Przysunął się do niej, otworzył szeroko palcami, powoli badał językiem jej wnętrze. Doprowadził ją do orgazmu, rozkoszując się niekontrolowanym drzeniem. Wbiła paznokcie w jego ramiona i krzyknęła głośno.

- Boże, zabijesz mnie kobieto. Nigdy nie będę cię miał dość.

Tak bardzo chciał w nią wejść, że ledwie słyszał jej westchnienie, kiedy znów uniósł się nad nią, kiedy przykrył ją swoim ciałem. Zauważył jednak, że znieruchomiała, ale dopiero jej głos sprawił, że zamarł.

- Twoje oczy...

Instynktownie ukrył przed nią twarz. Za późno. Wiedział, że zobaczyła błysk jego zmienionych tęczęwek. Ten sam, który widziała zeszłej nocy – a raczej bardzo podobny, ale ludzkie oczy nie rozróżniały głodu krwi od pożądania.

- Proszę – powiedziała cicho. – Pozwól mi na siebie patrzeć.

Niechętnie spojrział jej w oczy. Była zaniepokojona, ale nie odsunęła się. Przyjrzała mu się uważnie.

- Nie skrzywdzę cię – zapewnił, ale jego głos był chrapliwy, nierówny. Kiedy mówił, pokazał jej kły, ale nie był już w stanie dłużej ukrywać reakcji swojego ciała. – To jest potrzeba, Gabrielle. Pożądanie. Ty mi to robisz. Czasami sama myśl o tobie... - Urwał, przeklął cicho pod nosem. – Nie potrafię powstrzymać tej przemiany, kiedy pragnę cię aż tak

bardzo.

- A wcześniej, kiedy byliśmy razem? – szepnęła, marszcząc brwi. – Ukrywałeś to przede mną? Zawsze odwracałeś twarz, kiedy się kochaliśmy.

- Nie chciałem cię przestraszyć. Nie chciałem, żebyś zobaczyła, jaki jestem naprawdę. – Skrzywił się. – Ale teraz widziałaś już wszystko.

Powoli pokręciła głową, ujęła w dłonie jego twarz, przytrzymała. Przyjrzała mu się uważnie. Jej oczy były wilgotne, połyskliwe, niesamowicie jasne. I pełne czułości.

- Dla mnie jesteś piękny. Zawsze będę chciała na ciebie patrzeć. Nie musisz niczego przede mną ukrywać.

Jej słowa go poruszyły. Wytrzymała jego wzrok, pogłaskała go po napiętej szczęce, jej palce przesunęły się po jego wargach, rozdzielając je. Kły pulsowały boleśnie, wysunęły się jeszcze bardziej, kiedy delikatnie badała jego twarz.

Jakby chcąc mu czegoś dowieść – albo może sobie – wsunęła mu palec do ust. Zajączkał gardłowo, chrapliwie. Jego język chciwie owinał się wokół jej palca, zęby przygryzały lekko skórę, kiedy zamknął usta i zaczął ssać.

Zobaczył, że Gabrielle przełyka z trudem. Czuł, jak zapach jej pożądania miesza się z wonią adrenaliny.

Była tak cholernie piękna, taka miękka i uległa, taka odważna.

- Ufam ci – powiedziała, a jej oczy pociemniały z namiętności, kiedy wysuwała powoli palec spomiędzy jego ostrych zębów. – I pragnę cię. Całego.

Więcej nie mógł znieść.

Ze zwierzęcym pomrukiem opadł na nią, wcisnął się między jej uda, rozkładając szeroko jej kolana. Jej srom był śliski i gorący, gdy przysunął do niego czubek penisa. Nie mógł się oprzeć takiemu powitaniu. Wszedł w nią głęboko, tak głęboko jak tylko zdołał. Przyjęła go całego, objęła swym wnętrzem, zatapiając go w cudownym, wilgotnym pożądaniu. Zasyczał przez zęby, a ścianki jej pochwy zadrżały, gdy zaczął się powoli wycofywać. Znów się w nią wsunął. Zarzucił sobie na ramiona jej nogi, żeby wejść jeszcze głębiej, do końca.

- Tak – zachęcała go, kołysząc się wraz z nim w tempie, które bynajmniej nie było łagodne. – Boże, Lucan. Tak!

Wiedział, że jego twarz zmienia się pod wpływem rządzy. Zapewne wyglądał jak bestia, wrzała w nim krew, budząc tę część jego natury, która była przekleństwem przyniesionym przez Obcych. Pieprzył ją z całych sił, starając się ignorować tę drugą potrzebę, która w nim narastała, która domagała się czegoś więcej niż tylko seksualnej

rozkoszy.

Jego wzrok powędrował na szyję Gabrielle, tam gdzie pod delikatną skórą pulsowała tętnica. Poczul, jak do ust napływa mu ślina, choć jego ciało szykowało się już do orgazmu.

- Nie przestawaj – zażądała, a w jej głosie nie słychać było drżenia. Niech Bóg ma go w swojej opiece. Przyciągnęła go do siebie, wytrzymała jego dzikie spojrzenie, delikatnie muskała palcami jego policzek. – Weź mnie tyle, ile potrzebujesz. Tylko... O Boże... Nie przestawaj.

Wciągnął głęboko w pucha jej erotyczny zapach i lekko miedzianą cierpkość krwi, która zabarwiła jej piersi i zaróżowiła bladą skórę na szyi i twarzy. Zawył z bólu, walcząc sam ze sobą, odmawiając sobie – im obojgu – ekstazy, która nadeszłaby, gdyby złożył pocałunek na jej szyi.

Oderwał wzrok od jej gardła i z nową energią zaatakował jej ciało, doprowadzając ją, a potem siebie na sam szczyt.

Ale zaspokoił w ten sposób tylko część pragnienia.

Ta inna, głębsza potrzeba nadal się czaiła, silniejsza z każdym uderzeniem pulsu Gabrielle.

- Niech to szlag! – Stoczył się z niej na łóżko, twarz miał rozgorączkowaną.

- Co się stało? – spytała.

Przysunęła się bliżej, poczul na plecach jedwabiste ciepło jej piersi. Jej puls walił głośni, rezonował echem w jego ciele, aż nie słyszał już nic innego.

- Nic ci nie jest?

- Niech to szlag – zawarczał, wyrywając się z jej lekkiego uścisku. Przerzucił nogi przez brzeg łóżka i usiadł, ukrywając twarz w dłoniach. Ręce mu się trzęsły, kiedy przesuwiał nimi po włosach. Gabrielle usiadła za nim. Milczała. Odwrócił się i napotkał jej pytające spojrzenie.

- Nie zrobiłaś nic złego. Było zbyt wspaniale i muszę... Nie mogę w tej chwili znaleźć zaspokojenia.

- Wszystko w porządku?

- Nie. Nie powinienem się tak zachowywać, kiedy potrzebuję... - Ciebie, powiedziało jego ciało. – Boże święty, było zbyt wspaniale.

Znów się odwrócił, gotów wstać z łóżka.

- Jeśli jesteś głodny... jeśli potrzebujesz krwi...

Przytuliła się do jego pleców. Objęła jego ramiona, jej nadgarstek znalazł się tuż pod jego podbródkiem.

- Jezu, nie oferuj mi krwi! – Odruchowo odsunął się od niej, jakby była trucizną! – Wstał włożył spodnie. Zaczął krążyć po pokoju. – Nie wezmę twojej krwi, Gabrielle.

- Dlaczego? – Była dotknięta i zmieszana. – Przecież jej potrzebujesz, a ja w tej chwili jestem tu jedynym człowiekiem, więc chyba nie masz wyboru.

- Nie o to chodzi. – Pokręcił głową, zacisnął powieki żeby opanować bestię. – Nie mogę tego zrobić. Nie zwiąże cię ze sobą.

- O czym ty mówisz? Możesz się ze mną pieprzyć, ale sama myśl o wzięciu mojej krwi jest dla ciebie odpychająca? – Roześmiała się ostro. – Boże, nie wierzę, że czuję się z tego powodu obrażona.

- To się nie uda. – Był wściekły na siebie, że wpakował ich w to wszystko. – Na pewno się nie uda. Powiniennem był postawić sprawy jasno.

- Jeśli masz mi coś do powiedzenia, szkoda, że nie zrobiłeś tego wcześniej. Wiem, że masz problem. Trudno to przeoczyć po ostatniej nocy.

- Nie o to chodzi. – Zaklął. – Nieprawda, częściowo o to. Nie chcę ci zrobić krzywdy, a jeśli wezmę twoją krew, tak się stanie. Prędzej czy później, jeśli zwiążesz się ze mną krwią, skrzywdzę cię.

- Zwiąże się krwią? – powtórzyła powoli. – W jaki sposób?

- Masz na skórze znak Dawczyni Życia, Gabrielle. Tam, tuż pod uchem. Zmarszczyła brwi, uniosła rękę i dotknęła maleńkiej kropli półksiężyca.

- O to ci chodzi? Mam to od zawsze.

- Każda Dawczyni Życia ma takie znamię. Savannah i inne kobiety w kwaterze. Miała je moja matka.

Zamarła, ledwie słyszał jej głos.

- Od kiedy to wiesz?

- Od tej pierwszej nocy, kiedy przyszedłem do twojego mieszkania.

- Kiedy zabrałeś moją komórkę?

- Później – powiedział. – Kiedy wróciłem, a ty spałaś.

Na jej twarzy pojawiła się mieszanka zrozumienia, zaskoczenia i oburzenia.

- A więc tam byłeś! Myślałam, że to mi się śniło.

- Zawsze czułaś, że nie należysz do świata, w którym żyjesz, ponieważ to nie był twój świat, Gabrielle. Twoje zdjęcia, to jak cię ciągnie do miejsc, w których żyją wampiry, to co czujesz na widok krwi i przymus jej oddawania, wszystko wskazuje, kim naprawdę jesteś.

Widział, jak walczy, żeby pogodzić się z tym, co usłyszała i nienawidził siebie za to, że nie potrafił jej tego ułatwić. A zresztą, równie dobrze mógł wyłożyć wszystkie karty na

stół.

- Pewnego dnia poznasz odpowiedniego mężczyznę i zostanie twoim partnerem. Tylko on będzie pił twoją krew, a ty jego. Krew zwiąże was w jedność. To święta przysięga. Nie mogę jej złożyć.

Wyraz jej twarzy świadczył, że równie dobrze mógł ją uderzyć.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Czy to ma znaczenie? To się nie stanie, ponieważ do tego nie dopuszczę. Jeśli połączy nas krew, będziemy ze sobą związani do końca życia, twojego lub mojego. Nigdy się ode mnie nie uwolnisz. A instynkt każe mi cię odszukać, jeśli uciekniesz.

- Dlaczego myślisz, że ucieknę?

Odetchnął głęboko.

- Ponieważ pewnego dnia to, z czym walczę, zwycięży. Nie chcę, żebyś przy mnie była, gdy to się stanie.

- Mówisz o nałogu krwi.

- Tak. – Po raz pierwszy przyznał to otwarcie, nawet sam przed sobą. Przez tyle lat to ukrywał, ale ona od razu odkryła prawdę. – Nałóg krwi jest największą słabością mojej Rasy. To uzależnienie i potworna zaraza. Niewiele wampirów jest w stanie się jej oprzeć. Zmieniają się w Szkarłatnych i nie ma dla nich odwrotu.

- Jak to się dzieje?

- U każdego inaczej. Czasami choroba postępuje stopniowo, krok po kroku. Głód rośnie, więc go zaspokajasz, aż pewnej nocy przekonujesz się, że nie da się go zaspokoić. U innych wystarczy jedno przedawkowanie krwi i już nie ma powrotu.

- A jak jest z tobą?

Jego uśmiech przypominał teraz raczej szczerzenie kłów.

- W moich żyłach płynie krew mojego ojca, a to wątpliwy zaszczyt. Choć Szkarłatni to bestie, są niczym w porównaniu z tymi, którzy poczęli naszą Rasę. U Pierwszego Pokolenia pokusa nigdy nie znika. Głód jest silniejszy niż u innych. Jeśli chcesz znać prawdę, walczę z nałogiem od pierwszej kropli, którą wypilem.

- A więc masz problem, ale wczoraj sobie z nim poradziłeś.

- Byłem w stanie go opanować w dużym stopniu dzięki tobie, ale za każdym razem jest gorzej.

- Pokonasz go znowu. Przejdziemy przez to razem.

- Nie znasz mojej historii. Moi dwaj bracia poddali się chorobie.

- Kiedy?

- Dawno temu. – Skrzywił się, nie lubił wspominać przeszłości, ale tym razem słowa przychodziły mu łatwo. – Evran, mój średni brat, stał się Szkarłatnym wkrótce po osiągnięciu dojrzałości. Zginął w walce, w jednej z wojen pomiędzy Rasą a Szkarłatnymi. Marek, najstarszy z nas, był nieustraszony. On, Tegan i ja byliśmy pierwszymi wojownikami Rasy, którzy powstali przeciwko ostatnim Prastarym i ich armiom Szkarłatnych. Stworzyliśmy Zakon mniej więcej w czasie wielkiej zarazy w Europie. Niecałe sto lat później nałóg krwi dopadł i Marka. Wyszedł na słońce, by zakończyć swe cierpienia. Nawet Tegan otarł się kiedyś o nałóg.

- Przykro mi – powiedziała cicho. – Tyle wycierpiałeś przez tę chorobę. I jeszcze ten konflikt ze Szkarłatnymi. Rozumiem teraz, dlaczego cię to przeraża.

Miał już na końcu języka ostrą odpowiedź – gdyby to powiedział, któryś z jego towarzyszy natychmiast by go usadził. Ale słowa utkwily mu w gardle, gdy spojrzał na Gabrielle. Rozumiała go lepiej niż ktokolwiek w całym jego długim jego życiu.

Znała go tak, jak nie znał go dotąd nikt. Będzie mu tego brakować, kiedy odeśle ją do mrocznej przystani.

- Nie wiedziałam, że znacie się z Teganem aż tak długo – dodała.

- Od początku. Obaj należymy do Pierwszego Pokolenia i obaj przysięgliśmy bronić Rasy.

- Ale nie jesteście przyjaciółmi?

- Przyjaciółmi? – Lucan roześmiał się na myśl o wiekach niechęci. – Tegan nie ma przyjaciół. A gdyby miał, z całą pewnością mnie by do nich nie zaliczył.

- Więc dlaczego pozwalasz mu tu być?

- Bo to jeden z najlepszych wojowników. Jego oddanie Zakonowi jest większe niż nienawiść do mnie. Obaj wierzymy, że nic nie jest ważniejsze niż przyszłość Rasy.

- Nawet miłość?

Przez chwilę nie mógł mówić, wytracony z równowagi jej szczerym pytaniem. Wolał nie myśleć, dokąd może ich ono zaprowadzić. Nie miał doświadczenia z tym konkretnym uczuciem, a w tej chwili życie tak mu się układało, że wolał trzymać się od niego z daleka.

- Miłość jest dla wampirów, które wybierają łatwe życie w mrocznych przystaniach. Nie dla wojowników.

- Niektórzy twoi towarzysze mogą się z tobą nie zgodzić.

Wytrzymał jej spojrzenie.

- Nie jestem jednym z ich.

Opuściła głowę, ukryła oczy za długimi rzęsami.

- Więc kim jestem dla ciebie? Sposobem na zabicie czasu między polowaniem na Szkarłatnych a udawaniem, że masz wszystko pod kontrolą? – Kiedy uniosła wzrok, w jej oczach zabłyśły łzy. – Czy jestem jedynie zabawką, do której wracasz, kiedy musisz odreagować?

- Nie słyszałem, żebyś się skarżyła.

Sam ją sprowokował, ale nie wiedział, że to będzie takie trudne. Nigdy wcześniej nikt go tak nie zranił słowami. Nawet nie śmiał spróbować. Bo przecież był tym wyniosłym zimnym zabójcą, który nie tolerował słabości – a przede wszystkim u siebie.

Cała dyscyplina, jaką wyrobił w sobie w ciągu długich wieków, wzięła w łeb z powodu jednej kobiety, którą jak idiota dopuścił do siebie.

Jemu też na niej zależało, nawet jeżeli nie chciał się do tego przyznać. Dlatego ranienie jej było takie obrzydliwe, choć ostatnia noc uświadomiła mu, że bezwzględnie musi ją od siebie odsunąć. To było nieuniknione. Tylko pogorszy sprawę, jeśli spróbuje się dopasować do jego życia.

- Nie chcę cię skrzywdzić, Gabrielle, a wiem, że to zrobię.

- A co robisz w tej chwili? – szepnęła zadławionym głosem. – Wiesz dobrze, że ci wierzyłam. Boże, uwierzyłam we wszystkie kłamstwa, którymi mnie karmiłeś! Nawet w tę bzdurę, że mi pomożesz odnaleźć prawdziwe przeznaczenie. Naprawdę sądziłam, że ci na mnie zależy.

Lucan poczuł się bezradny. Miał wrażenie, że postąpił jak najgorszy drań, pozwalając, by sprawy wymknęły mu się spod kontroli.

Podszedł do komody, wyjął świeżą koszulę i włożył ją na siebie. Potem ruszył do drzwi, prowadzących na korytarz. Zatrzymał się w progu i obejrzał na Gabrielle.

Tak bardzo chciał jej dotknąć i wszystko naprawić, ale wiedział, że to byłby błąd. Jedno dotknięcie, a znów znajdzie się w jej ramionach.

A wtedy mogłoby się okazać, że nie jest w stanie z niej zrezygnować.

Otworzył drzwi.

- Odnajdziesz swoje przeznaczenie, Gabrielle. Tak jak obiecywałem. Ale nigdy nie mówiłem, że to ja nim będę.

Rozdział 24

Słowa Lucana dzwoniły jej w uszach, kiedy wyszła spod gorącego prysznica w jego apartamencie. Zakreśliła kran i wytarła się, żałując, że woda nie zdoła zmyć z niej bólu i oszołomienia. Tyle rzeczy musiała przemyśleć, a przede wszystkim pogodzić się z faktem, że Lucan nie chce z nią być.

Próbowała sobie powtarzać, że od początku niczego jej nie obiecywał, ale wtedy czuła się jak jeszcze większa idiotka. Nigdy nie prosił, żeby oddała mu serce. Zrobiła to na własne życzenie.

Pochyliła się w stronę lustra, które zajmowało całą szerokość łazienki, odgarnęła włosy i przyjrzała się purpurowemu znamieniu pod lewym uchem. Znamieniu Dawczyni Życia. Mała kropla spadająca w miseczkę utworzoną przez odwrócony półksiężyc.

Co za ironia, że to maleńkie znamię równocześnie wiąże ją ze światem Lucana i uniemożliwia jej bycie z nim.

Może i skomplikowała mu życie, ale dla niej to też nie było łatwe.

Z jego powodu została wplątana w krwawą wojnę z wrogiem, przy którym najgorsi gangsterzy wyglądali jak łobuziaki ze szkolnego boiska. Musiała porzucić swoje słodkie mieszkanie przy Beacon Hill. I straci je, jeśli nie wróci i nie weźmie się do pracy. Jej przyjaciele nie mają pojęcia, co się z nią dzieje. Nie może nawet niczego im powiedzieć, bo narazi ich na śmiertelne niebezpieczeństwo.

A na domiar złego prawie się zakochała w najbardziej mrocznym, zabójczym i zamkniętym w sobie mężczyźnie, jakiego spotkała w życiu.

Który okazał się wampirem.

A zresztą, jeśli ma być ze sobą całkiem szczerą, to zakochała się nim całkowicie, na zabój i śmiertelnie.

- Po prostu cudownie – westchnęła do swojego odbicia w lustrze.

A jednak, nawet po tym wszystkim, co jej powiedział, nadal chciała do niego podejść o się przytulić, bez względu na to, gdzie był. Znajdowała pociechę jedynie w jego ramionach.

Jasne, teraz potrzebowała jeszcze tego, żeby jej upokorzenie zobaczyli inni. Lucan postawił sprawę zupełnie jasno: co kolwiek było między nimi – o ile w ogóle coś było, poza seksem – należy do przeszłości.

Wróciła do sypialni i zabrała swoje rzeczy. Ubrała się szybko. Chciała wyjść z jego

apartamentu, nim wróci A ona zdąży zrobić coś naprawdę głupiego. Coś jeszcze bardziej głupiego, poprawiła się, patrząc na skotłowane prześcieradła na łóżku.

Postanowiła, że odszuka Savannah i może spróbuje znaleźć jakiś telefon. Lucan najwyraźniej nie zamierzał oddać jej komórki. Wyszła z sypialni. Korytarze tworzyły zawile labirynty, najprawdopodobniej celowo i kilka razy źle skręciła, zanim wreszcie rozpoznała otoczenie. Znajdowała się niedaleko sali treningowej, sądząc po odgłosach strzałów.

Skręciła za róg i wpadła prosto na nieruchomą ścianę, złożoną ze skórzanych ubrań i broni.

Uniosła głowę i natrafiła na lodowate, groźne zielone oczy, Nieznajomy wpatrywał się w nią taksująco spod nieporządnej grzywy złotobrazowych włosów, niczym dziki kot ukryty w zaroślach i czyhający na zwierzynę. Przełknęła z trudem ślinę. Wyczuwała zagrożenie, promieniujące z tego wielkiego wampira, z głębin tych nieruchomych drapieźnych oczu.

Tegan.

W myślach pojawiło się imię nieznajomego, jedyne wojownika, którego jeszcze nie poznała.

Tego, który był z Lucanem od samego początku.

Wampir nie zszedł jej z drogi. Zupełnie nie zareagował na to, że na niego wpadła. Tylko lekkie drgnięcie warg na widok jej piersi, zdradziło, iż nie był z kamienia. Miała przed sobą dziewięćdziesiąt kilogramów mięśni i broni.

Cofnęła się i odsunęła na bok.

- Przepraszam, nie zauważyłam.

Milczał, ale miała wrażenie, że ten wampir wie wszystko, co się w niej dzieje i że pojął to w tym ułamku sekundy, kiedy ich ciała się zetknęły. Patrzył na nią zimnym, pozbawionym uczuć wzrokiem, jakby ją przejrzał na wylot.

Poczuła się niemal przezroczysta.

- Przepraszam – szepnęła.

Kiedy się poruszyła, żeby go minąć, przemówił.

- Hej. – Jego głos był łagodny, głęboki, mroczny i ochrypły. Dziwnie kontrastował z surowym spojrzeniem. – Zrób sobie przysługę i nie przywiązuj się nadmiernie do Lucana. Jest spora szansa, że nie pożyje długo.

Powiedział to bez śladu emocji, po prostu stwierdził fakt. A potem minął ją obojętnie. Jego apatia poruszyła ją do głębi.

Odwróciła się, żeby za nim popatrzeć, ale Tegan już zniknął.

Lucan zważył w ręce lśniący czarny pistolet, potem uniósł go i wpakował cały magazynek w cel umieszczony na końcu strzelnicy.

Choć dobrze było się znaleźć na bezpiecznym gruncie, w otoczeniu broni i czuć, że jest gotowy do walki, myślami ciągle wracał do Gabrielle. Do cholery, ta kobieta naprawdę zalaża mu za skórę. Pomimo tego co jej powiedział, musiał przyznać, że sam wpadł po uszy.

No ale czy mogło być inaczej? A może pytanie powinno raczej brzmieć: czy naprawdę sądził, że poradzi sobie z jej odejściem? Ze świadomością, że zwiąże się z kimś innym?

Wszystko zrobiło się zbyt skomplikowane.

Wyszczał przekleństwo. Wystrzelał kolejny magazynek, rozkoszując się zapachem rozgrzanego metalu i kwaśnego dymu. Zasypany gradem kul cel eksplodował.

- I jak? – spytał Nikolai, a jego oczy połyskiwały podnieceniem. – Milutki, no nie? Reaguje bosko.

- Tak, niezły. Podoba mi się. – Lucan zabezpieczył broń i przyjrzał się jej uważnie. – Beretta 92FS przerobiona na pełny automat? Niezła robota stary. Naprawdę niezła.

Niko wyszczerzy zęby.

- Wspomniałem o specjalnych nabojach do tego cacka. Dodałem do nich tytanowy proszek.

- Rozerwie każdego Szkarłatnego, z którego krwią się zetknie – dodał Dante, który przysiadł na szafce z bronią i ostrzył swoje ostrza.

Bez wątplenia miał rację Kiedyś wampiry zabijano, ucinając im głowy. Ale wtedy istniała tylko jedna skuteczna broń – miecz. Obecnie współczesna technologia stawiała nowe wyzwania przed stronami konfliktu.

Na początku XX wieku członkowie Rasy odkryli, że tytan w niezwykle sposób wpływa na organizm Szkarłatnych, wywołując u nich reakcję alergiczną. Przy zetknięciu z tytanem zmutowana krew drapieźników zachowywała się jak woda, do której wrzucano tabletkę alka-seltzer.

Niko odebrał pistolet Lucanowi i poklepał go z wielką dumą.

- Masz przed sobą prawdziwą truciznę na Szkarłatnych.

- Kiedy możemy go przetestować? – spytał Rio.

- Może dziś? – Do sali bezgłośnie wszedł Tegan. Jego słowa zabrzmiały jak odgłos nadciągającej burzy.

- Masz na myśli to gniazdo, które odkryłeś w porcie? Spytał Dante.

Tegan kiwnął głową.

- Mieszka tam z tuzin Szkarłatnych. To jeszcze żółtodzioby. Szybko się z nimi

rozprawimy.

Lucan wziął broń od Niko i zmarszczył brwi.

- Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję?

Tegan zwrócił na niego zimne spojrzenie.

- Musisz trochę nadgonić, stary. Kiedy zaszyłeś się z tą samicą, mu robiliśmy swoje na górze.

- To zagranie poniżej pasa – stwierdził Rio. – Nawet jak na ciebie, Tegan.

Lucan w milczeniu przyjął cios.

- Nie, on ma rację. Powinienem skupić się na robocie. Musiałem załatwić parę spraw, ale to już koniec. Nie powinno być już więcej problemów.

- Czyżby? Bo muszę ci powiedzieć, że jak spotkałem tę Dawczynię Życia w korytarzu, była dość przygnębiona. Chyba ktoś złamał jej serce. Wyglądała, jakby potrzebowała pociechy.

- Co jej powiedziałaś? Tknąłeś ją? Jak rany, jeśli coś jej zrobiłeś...! – ryknął Lucan wściekły.

Tegan zachichotał, szczerze rozbawiony.

- Spokojnie, stary. Nie musisz się tak rzucać. Twoja samica to nie moje zmartwienie.

- Lepiej o tym pamiętaj – parsknął Lucan. Obrócił się i natrafił na zaciekawione spojrzenia pozostałych wojowników. – Trzymajcie się od niej z daleka, rozumiano? Gabrielle Maxwell jest pod moją opieką, póki przebywa w tej kwaterze. A kiedy odejdzie do Mrocznej Przystani przestanie być moim zmartwieniem.

Musiał ochłonąć i się opanować. Kiedyś dojdzie między nimi do konfrontacji, ale jeszcze nie teraz. Nie mógł go winić. Jeśli Tegan stał się podłym draniem pozbawionym duszy, to Lucan się do tego przyczynił.

- Możemy wrócić do pracy? – warknął, kończąc dyskusję. – Chcę usłyszeć wszystko o tym gnieździe w porcie.

Tegan opisał lokalizację i zaproponował sposób ataku. Choć Lucan mu nie ufał, doszedł do wniosku, że taka akcja to najlepszy sposób na rozładowanie napięcia.

Wiedział, że gdyby teraz znów się zbliżył do Gabrielle, cała ta gadka o obowiązku i poświęceniu rozpadłaby się jak domek z kart. Minęły dwie godziny, odkąd wyszedł z sypialni, a ona nadal tkwiła w jego myślach jak zadra. Nadal czuł pożądanie, kiedy myślał o jej miękkiej, ciepłej skórze.

Wiedział, że ją zranił. Okazała się jego sprzymierzeńcem, skłamała dla niego. Pomogła mu przejść przez piekło, stała u jego boku, czuła i kochająca. Najlepsza partnerka,

jakiej mógł sobie życzyć wampir.

To były niebezpieczne myśli. Nie mógł dłużej tego ciągnąć.

Słuchał, jak wojownicy planują misję. Zgodził się z nimi, że muszą atakować Szkarłatnych w ich gniazdach, a nie tropić pojedyncze osobniki na ulicach.

- Spotkamy się o zachodzie słońca – zdecydował.

Wojownicy zaczęli się zbierać do odejścia, tylko Tegan zwlekał.

Lucan wiedział, że wampir jest dumny z tego, że nikogo nie potrzebuje. Że celowo izoluje się od innych. Kiedyś był wspaniałym kompanem. Mógł się stać potężnym przywódcą, ale wszystko zmieniło się w ciągu jednej, straszliwej nocy. Od tamtej pory rozpoczął się jego upadek, spadł na samo dno i nigdy się już nie podniósł.

Lucan nie mógł sobie wybaczyć roli, jaką odegrał w tamtych wydarzeniach.

- Zaczekaj!

Tegan zatrzymał się z wyraźną niechęcią. Nie odwrócił się, po prostu stał w milczeniu. Kiedy zostali sami Lucan odchrząknął.

- Mamy problem – powiedział.

Tegan odetchnął ze świstem.

- Poczekaj, zawiadomię prasę.

- To nieporozumienie nie zniknie samo. Trwa już za długo, zbyt wiele wody upłynęło.

Jeśli chcesz załatwić porachunki...

- Zapomnij. Stara historia.

- Nie, skoro nie potrafimy o niej zapomnieć.

Tegan się skrzywił. Wreszcie się odwrócił.

- Pijesz do czegoś?

- Chcę tylko powiedzieć, że rozumiem, ile to cię kosztowało. Ile ja cię kosztowałem. – Powoli pokręcił głową i przesunął dłonią po włosach. – Gdyby był inny sposób... Gdyby sprawy ułożyły się inaczej...

- Jezu Chryste, zamierzasz mnie przeprosić? – Spojrzenie zimnych zielonych oczu Tegana mogłoby bez trudu przeciąć szkło. – Daruj sobie, stary. Spóźniłeś się o jakieś pięćset lat. Zresztą przeprosiny niczego nie zmieniają.

Lucan zacisnął mocno zęby, zaskoczony gniewem towarzysza.

Tegan mu nie wybaczył. Nawet nie próbował wybaczyć.

Po tylu latach. Zapewne nigdy tego nie zrobi.

- Nie, masz rację. Przeprosiny niczego nie zmieniają.

Tegan patrzył na niego przez długą chwilę, po czym odwrócił się i wyszedł z Sali.

W prywatnym klubie ze wzmacniaczy wielkości lodówki dobywała się głośna muzyka – choć słowo „muzyka” nie oddawało w pełni tego, co się działo na scenie. Zespół nie tylko nie umiał grać, ale zawodził niczym stado hien.

No ale czego można było się spodziewać po ludziach, skoro widownia składała się z bandy wampirów żądnych krwi?

Ukryty w głębokim cieniu przywódca Szkarłatnych zmrużył oczy i się skrzywił. Rozboleła go głowa, kiedy tylko tu przybył. Miał wrażenie, że zaraz mu eksploduje. Odsunął się na miękkie oparcie fotela w swojej prywatnej łóż, znudzony krwawą orgią. Lekkim gestem dłoni wezwał ochroniarza. Wskazał na scenę.

- Wybawcie ich z cierpień. I oszczędźcie mi moich.

Ochroniarz kiwnął głową i zaszczał. Odslonił wielkie kły, ociekające śliną na samą wzmiankę o zabójstwie. Po czym zniknął, żeby wykonać polecenie.

- Dobry piesek – mruknął jego Pan.

Ucieszył się, kiedy usłyszał przenikliwy dzwonek komórki. Miał pretekst, żeby stąd wyjść. Na scenie zaczęła się rzeź. Tłum oszalałych Szkarłatnych rzucił się na grajków.

Kiedy tłum pograżył się w chaosie, przywódca udał się do prywatnego pomieszczenia za sceną i wyjął z kieszeni płaszcza dzwoniący telefon. Spodziewał się jakiś wiadomości o Gabrielle Maxwell i jej związkach z Rasą.

Ale to nie był żaden z nich.

Wiedział to, nim jeszcze otworzył komórkę i zobaczył informację o ukrytym numerze.

- Zaintrygowany, odebrał. Poznał głos rozmówcy. Ostatnio często z nim rozmawiał. Wysłuchał uważnie szczegółów na temat planowanego ataku, który miał się odbyć dzisiaj wieczorem.

W parę sekund dowiedział się dość, żeby zapewnić sobie przewagę. Zgodnie z warunkami umowy, jeden wojownik miał przeżyć. Choć poniesione rany miały go na zawsze pozbawić woli walki. Los pozostałych, w tym Lucana Thorne'a, był przesądzony.

Ten wampir powinien był już wcześniej zginąć.

Dlatego tym razem rozmówca posunął się do gróźb, przypominając o wynagrodzeniu, które przywódca zdążył już sobie przywłaszczyć.

- Nie przeginaj – warknął przywódca. – Nie prowokuj mnie, bo zażądam dodatkowych pieniędzy. Jeszcze tego pożałujesz.

Klnąc paskudnie pod nosem, zatrzasnął komórkę, kończąc tym samym dyskusję.

Dermaglify na nadgarstku zaczęły boleśnie pulsować głębokim kolorem jego gniewu.

Pokrywały je tatuaże, które kazał sobie zrobić, żeby ukryć swoje dziedzictwo. Gardził życiem, jakie musiał prowadzić. Tak jak wszystkimi, którzy stali mu na drodze do osiągnięcia celu.

Był zły, kiedy wracał do sali. Jego oczy wyłowiły z ciemności sylwetkę jego zastępcy, jedyne Szkarłatnego, który przeżył starcie z życiem z konfrontacji z Lucanem Thorne'em. Skinął na niego i wydał mu rozkazy.

Bez względu na umowę, chciał, by Lucan i jego towarzysze ponieśli zasłużoną śmierć

Rozdział 25

Lucan unikał jej przez cały dzień, ale Gabrielle uznała, że teraz to i tak nie miało już znaczenia. Gdy tylko zapadł zmierzch, z Sali treningowej wyszedł uzbrojony po zęby oddział wampirów. Wszyscy wyglądali groźnie, ubrani w czarne skóry. Nawet Gideon miał wziąć udział w dzisiejszym starciu.

Na korytarzy czekały na nich kobiety. Savannah i Eva przytuliły się do swoich ukochanych i pary wymieniły ze sobą kilka czułych, ciepłych słów. Pośpieszne pocałunki zdradzały lęk żegnających, ale mężczyźni obiecali, że wrócą cali i zdrowi.

Gabrielle trzymała się w pewnej odległości, czując się tu intruzem. Patrzyła, jak Lucan rozmawia z Savannah. Dawczyni Życia kiwnęła głową, a on włożył do jej dłoni jakiś przedmiot i spojrzał nad jej ramieniem na Gabrielle. Nie podszedł do niej, tylko intensywnie się w nią wpatrywał.

A potem odszedł.

Na końcu korytarza skręcił za róg i zniknął. Wojownicy ruszyli za nim, został po nich tylko ciężki odgłos kroków na posadzce i metaliczny szczęk broni.

- Wszystko w porządku? – spytała Savannah, podchodząc do Gabrielle i ją lekko obejmując.

- Tak. Nic mi nie jest.

- Chciał, żebym ci to dała. – Podała jej komórkę. – Zawieszenie broni?

Gabrielle wzięła telefon i kiwnęła głową.

- To chyba koniec.

- Przykro mi. Lucan ufa, że nie opuścisz kwatery i że nie powiesz przyjaciółom, gdzie jesteś. Ale jeśli musisz do nich zadzwonić...

- Dziękuję. – Gabrielle spojrzała na partnerkę Gideona i zmusiła się do uśmiechu.

- Jeśli chcesz pobyć sama, rozgość się, gdzie chcesz. – Savannah uściśnęła ją lekko, a potem spojrzała na Evę, która właśnie do nich podeszła.

- Nie wiem jak wy, ale ja potrzebuje drinka – oświadczyła Eva, a na jej pięknej twarzy malował się niepokój. – Albo nawet trzech.

- Może rzeczywiście przyda nam się trochę wina – odparła Savannah. – Gabrielle, wpadnij do mnie, jak będziesz miała ochotę.

- Dobrze. Dzięki.

Obie kobiety ruszyły do apartamentu Gideona i Savannah, rozmawiając cicho. Gabrielle poszła w innym kierunku. Sama nie wiedziała, czego chce.

Nie, to nie była prawda. Chciała być z Lucanem, w jego ramionach, ale nie zamierzała się ponizacz i błagać go o uwagę. Musiała wyrzucić go z serca i z myśli.

Weszła do najbliższego pomieszczenia, w którym paliła się pojedyncza świeca. Do środka zwabiły ją cisza i słaby zapach kadzidła. To była kaplica. Pamiętała ją z wycieczki po kwaterze.

Przeszła między dwoma rzędami ławek do podestu. To tam paliła się gruba, czerwona świeca. Knot płonął w głębokim kraterze wosku, rzucając na ściany czerwone światło. Gabrielle usiadła w pierwszym rzędzie i przez chwilę się nie ruszała, czując, jak ogarnia ją spokój.

Otworzyła komórkę i zobaczyła, że ktoś się jej nagrał. Nacisnęła przycisk poczty głosowej i odsłuchiwała pierwsze nagranie. Megan, sprzed dwóch dni, mniej więcej wtedy, kiedy dzwoniła do niej do domu, po ataku sługi.

„Gabby, to znowu ja, zostawiłam ci kilka wiadomości w domu, ale nie oddzwoniłam. Gdzie jesteś? Naprawdę zaczynam się martwić! Moim zdaniem nie powinnaś być sama. Oddzwoń do mnie, jak tylko dostaniesz tę wiadomość – natychmiast jak ją odsłuchasz, dobrze?”

Gabrielle skasowała nagranie. Kolejna wiadomość została nagrana wczoraj wieczorem, o jedenastej. Usłyszała nieco znużony głos Kendry.

„Hej, jesteś w domu? Cholera, chyba jest trochę późno. Sorry. Zapewne śpisz. Umówimy się na drinka albo do klubu... Może jutro wieczorem? Zadzwoń do mnie”.

No cóż, przynajmniej kilka godzin temu Kendra była bezpieczna. To rozwiało nieco niepokój Gabrielle. Choć oczywiście pozostawała kwestia tego faceta, z którym się widywała. Szkarłatnego, poprawiła się w myślach, czując niepokój o los przyjaciółki.

Kolejne nagranie. Znowu Megan, jakieś dwie godziny temu.

„Cześć. Tak tylko dzwonię. Czekam na wieści od ciebie. Byłaś na komisariacie? Na pewno ten twój detektyw ucieszył się z wizyty.”

Ton Megan był żartobliwy, całkiem normalny. Zupełnie inny niż na nagraniach, które zostawiła Gabrielle na sekretarce w domu.

Boże, racja.

Przecież Megan i jej chłopak nie mieli powodów do niepokoju. Lucan wymazał im pamięć.

„W każdym razie spotykam się dziś z Jamiem na kolacji w Ciao Bella – twojej

ulubionej. Jeśli ci się uda, wpadnij. Będziemy tam o siódmej. Zarezerwujemy ci miejsce”.

Gabrielle skasowała ostatnią wiadomość i sprawdziła godzinę na wyświetlaczu telefonu. Dziewiętnasta dwadzieścia.

Powinna zadzwonić do przyjaciół i przynajmniej powiedzieć im, że żyje. Tęskniła za ich głosami. Byli jedynym łącznikiem z tym życiem, które znała, zanim Lucan Thorne wyrócił jej świat do góry nogami. Wybrała z pamięci numer telefonu Megan i czekała niespokojnie, aż przyjaciółka odbierze. Nim w słuchawce rozległ się głos, dobiegła ją stłumiona rozmowa.

- Hej, Meg.

- Jesteś! Jamie, to Gabby!

- Gdzie jest ta dziewczyna? Przychodzi czy nie?

- Nie wiem. Gabby, wpadniesz do nas?

Gabrielle słuchała chaotycznej paplaniny przyjaciół żałowała, że jej z nimi nie ma. Żałowała, że nie może cofnąć czasu i sprawić, by wszystko było tak jak dawniej.

- Ja... hm... nie mogę. Coś mi wypadło i...

- Jest zajęta – powiedziała Megan do Jamiego. – Gdzie jesteś? Kendra dzwoniła do mnie, szukała cię dzisiaj. Powiedziała, że była u ciebie, ale cię nie zastała.

- Kendra u mnie była? Widziałaś ją?

- Nie, ale chce się z nami spotkać. Wygląda na to, że zerwała z tym facetem z klubu.

- Brentem! – dopowiedział Jamie głośno, z dramatyczną emfazą, przekrzykując Megan.

- Zerwali?

- Chyba – odparła Megan. – Zapytałam ją o to, a ona stwierdziła, że już się z nim nie widuje.

- To dobrze – powiedziała Gabrielle z ulgą. – To naprawdę dobra wiadomość.

- A co u ciebie? Dlaczego nie możesz przyjść na kolację?

Gabrielle zmarszczyła brwi, rozglądając się po Sali. Płomień świecy zatańczył niespokojnie. Usłyszała ciche kroki i westchnienie. Osoba, która tu weszła, zorientowała się, że sala nie jest pusta. Gabrielle odwróciła się i zobaczyła w drzwiach wysoką blondynkę. Kobieta spojrzała przepraszająco i zaczęła się wycofywać.

- Ja... Nie ma mnie w mieście – powiedziała do przyjaciółki ściszym głosem. – Nie będzie mnie kilka dni. Może dłużej.

- A co robisz?

- Mam robotę na zamówienie – skłamała. Nie chciała tego robić, ale nie miała innego

wyjścia. – Zadzwoń do was, jak będę mogła. Uważajcie na siebie. Kocham was.

- Gabrielle...

Rozłączyła się, nim Megan zmusiła ją do dalszych wyjaśnień.

- Przepraszam – powiedziała blondynka, gdy Gabrielle ruszyła w jej stronę. – Nie wiedziałam, że ktoś jest w kaplicy.

- Już wychodzę. Proszę zostać. Ja tylko... - Gabrielle westchnęła cicho z rezygnacją. – Właśnie okłamałam przyjaciół.

- Och. – Łagodne jasnoniebieskie oczy spojrzały na nią ze współczuciem.

Zamknęła telefon i przesunęła palcem po jego błyszczącej srebrnej obudowie.

- Opuściła wczoraj w pośpiechu mieszkanie i przyjechałam tu z Lucanem. Żadne z moich przyjaciół nie wiem, gdzie jestem ani dlaczego musiałam wyjechać.

- Rozumiem. Może pewnego dnia będziesz im mogła wszystko wyjaśnić.

- Mam taką nadzieję. Ale nie chcę ich narażać na niebezpieczeństwo, mówiąc im prawdę.

Długie złociste włosy zatańczyły łagodnie, gdy kobieta kiwnęła ze zrozumieniem głową.

- Ty pewnie jesteś Gabrielle? Savannah mówiła mi, że Lucan przywiózł tu kobietę i wziął ją pod opiekę. Nazywam się Danika. Jestem... byłam... partnerką Conlana.

Gabrielle uściśnęła jej smukłą dłoń.

- Bardzo mi przykro z powodu twojej straty.

Danika uśmiechnęła się, ale w jej oczach pozostał smutek. Kiedy cofnęła rękę, położyła ją bezwiednie na niewielkiej wypukłości brzucha.

- Chciałam się przywitać, ale marna ze mnie towarzyszką. Niechętnie opuszczam apartament. To bardzo trudne dla mnie. Przystosować się do życia bez niego. Wszystko wygląda teraz zupełnie inaczej.

- Oczywiście.

- Lucan i inni wojownicy byli dla mnie bardzo dobrzy. Wszyscy przyrzekli mnie chronić, bez względu na to, dokąd się udam. Mnie i moje dziecko.

- Jesteś w ciąży?

- W czternastym tygodniu. Miałam nadzieję, że to będzie pierwszy z wielu synów Conlana. Mieliśmy tyle planów na przyszłość. Tak długo zwlekaliśmy z założeniem rodziny.

- Dlaczego? – Gdy usłyszała co powiedziała, skrzywiła się lekko. – Przepraszam. Nie chciałam być wścibska. To nie jest moja sprawa.

Danika sapnęła.

- Nie musisz przeproszać. Nie przeszkadzają mi pytania, naprawdę. Dobrze mi zrobi rozmowa o Conlanie. Chodź, usiądźmy na chwilę. – Wskazała Gabrielle jedną z długich ławek. – Poznałam Conlana, kiedy byłam jeszcze dziewczynką. Mieszkałam w Danii, a na moją wioskę najechał oddział wrogów, przynajmniej tak sądziliśmy. Później się okazało, że była to banda Szkarłatnych. Zabili prawie wszystkich, kobiety, dzieci, nawet starców. Nikt nie był bezpieczny. Dopiero grupa wojowników Rasy, a wśród nich był Conlan, uratowali wioskę i pozostałych przy życiu ludzi. Kiedy odkryli moje znamię, przenieśli mnie do najbliższej mrocznej przystani i tam dowiedziałam się wszystkiego o wampirzej społeczności. Ale nie mogłam przestać myśleć o moim wybawicielu. Tak się złożyło, że kilka lat później Conlan znów pojawił się w okolicy. Byłam okropnie podniecona jego widokiem i wyobraziłam sobie, jak się zdziwiłam, kiedy się okazało, że on też o mnie nie zapomniał.

- Kiedy to było?

Danika odpowiedziała bez chwili namysłu.

-Przeżyliśmy wspólnie z Conlanem czterysta dwa lata.

- Mój Boże – szepnęła Gabrielle. – Aż tak długo?

- Minęło jak z bicia strzelił. Nie będę kłamać i wmawiać ci, że zawsze było mi łatwo, ale nie żałuję ani jednej chwili. Conlan wierzył niezachwianie w to, co robił. Chciał, żeby świat był bezpieczniejszy dla mnie i dla naszych przyszłych dzieci.

- Dlaczego czekaliście tak długo?

- Dopóki Conlan czuł, że musi pozostać w Zakonie, nie było innego wyjścia. Linia frontu nie jest odpowiednim miejscem na wychowywanie dzieci, dlatego wojownicy rzadko zakładają rodziny. Za duże ryzyko, a poza tym nasi mężczyźni muszą się skupić wyłącznie na swojej misji.

- A wypadki?

- Nie, u Rasy nie zdarzają się nieplanowane ciąży, ponieważ akt ten wymaga czegoś więcej niż tylko zwykłego seksu. Płodny czas Dawczyni Życia wiąże się z fazami księżyca. Jeśli chcemy począć dziecko, nasze ciało musi otrzymać równocześnie nasienie partnera i jego krew. To święty rytuał i nikt nie przystępuje do niego bez namysłu.

Nagle Gabrielle poczuła wielki żal. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby być z kim innym niż Lucanem, że mogłaby nosić w sobie dziecko innego mężczyzny. Nie, już raczej woli żyć sama. I tak się składa, że jest na najlepszej drodze do tego.

- Co teraz zrobisz? – spytała, chcąc wypełnić ciszę, która niosła ze sobą myśli o własnej samotnej przyszłości.

- Nie jestem pewna – odparła Danika. – Ale wiem, że nigdy nie zwiąże się z innym

wampirem.

- Ale czy nie jest to konieczne, żeby pozostać młodą?

- Conlan był moim światem. Skoro odszedł, jedno życie mi wystarczy. Po prostu się zestarzeje, jakby się stało, gdybym nigdy go nie spotkała. Będę... śmiertelna.

- Umrzesz – powiedziała Gabrielle.

Uśmiech Daniki nie był tak do końca smutny.

- W końcu tak.

- Dokąd się udasz?

- Planowaliśmy wyjechać do Danii, tam gdzie się urodziłam. Chciał tego ze względu na mnie, ale doszłam do wniosku, że wychowam syna w Szkocji. Przynajmniej pozna ojczyznę swojego. Lucan zaczął już to załatwiać. Będę mogła wyjechać, kiedy tylko poczuję, że jestem gotowa.

- To miło z jego strony.

- Bardzo miło. Nie wierzyłam własnym uszom, kiedy mi o tym powiedział. Przysiągł, że ja i dziecko będziemy mogli zawsze na niego liczyć. To było w dniu pogrzebu, kilka godzin po ceremonii, więc jego poparzenia były jeszcze bardzo poważne. A jednak bardziej przejmował się mną niż swoimi obrażeniami.

- Lucan był poparzony? – zaniepokoiła się Gabrielle. – Kiedy? Dlaczego?

- Trzy dni temu, kiedy odprawił rytuał dla Conlana. – Danika uniosła brwi. – Nie wiedziałaś? Nie, oczywiście, że nie. Lucan nigdy by się nie pochwalił tak honorowym czynem i nie wspomniałby o swoich obrażeniach. Widzisz, tradycja wymaga, by jeden z wojowników wyniósł ciało zmarłego na zewnątrz, na słońce. – Wskazała na mroczny zakamarek kaplicy, gdzie kryła się ciemna klatka schodowa. – Jest to wyraz szacunku i ogromna ofiara. Taka osoba musi zostać na zewnątrz przez osiem minut zdana na łaskę promieni słonecznych.

Gabrielle zmarszczyła brwi.

- Sądziłam, że ich skóra nie toleruje słońca.

- To prawda. Zaczyna się palić, szczególnie szybko u wampirów należących do Pierwszego Pokolenia. Najstarsi członkowie Rasy cierpią najbardziej, nawet w przypadku bardzo krótkiego pobytu na zewnątrz.

- Tacy jak Lucan – stwierdziła Gabrielle.

- To musiała być dla niego prawdziwa tortura. Pozwolił, by słońce spaliło mu skórę. Mógł tam umrzeć, ale chciał osobiście złożyć mojego ukochanego Conlana na wieczny spoczynek.

Gabrielle przypomniała sobie ten pilny telefon, który wyciągnął Lucana z jej łóżka w środku nocy. Nigdy jej nie powiedział, o co chodziło. Nigdy nie podzielił się z nią swoją stratą.

Poczuła ból na samą myśl o tym, jak bardzo musiał cierpieć.

- Rozmawiałam z nim tamtego dnia. Zachowywał się tak, że byłam pewna, że coś się stało, ale nawet się nie zająknął na ten temat. Sprawiał wrażenie zmęczonego, wręcz wyczerpanego.

- Savannah mi zdradziła, że to Gideon go znalazł. Był cały poparzony, nie mógł nawet otworzyć oczy z powodu opuchlizny, ale nie pozwolił sobie pomóc. Sam wrócił do swojego apartamentu, żeby się uleczyć.

- Mój Boże – szepnęła Gabrielle, zaskoczona. – Kiedy go zobaczyłam parę godzin później, wydawał się zupełnie normalny. To znaczy zachowywał się i wyglądał tak, jakby nic mu nie było.

- Cierpi na słońcu bardziej niż inne wampiry, ale jego ciało szybciej się regeneruje. Nie mniej jednak nie było to dla niego łatwe. Po takim wysiłku potrzebował wiele krwi, żeby odzyskać siły. Kiedy wychodził z kwatery, żeby zapolować, zapewne szalał z głodu.

Tak właśnie musiało być. Gabrielle teraz zaczynała wszystko rozumieć. Przez myśl przemknął jej obraz Lucana wysysającego krew chłopaka na placu zabaw, ale teraz nie był to już potworny czyn, tylko sposób na przetrwanie. Zresztą, odkąd poznała Lucana, wszystko widziała w innym świetle.

Z początku uważała, że walka pomiędzy Rasą a Szkarłatnymi to starcie jednego zła z drugim, w tej chwili czuła, że to również jej wojna, od której wyniku zależy jej los. I to nie tylko dlatego, że była związana z tym dziwnym światem. Chciała, żeby Lucan wygrał, również w tej wyniszczającej bitwie, którą toczył sam ze sobą.

Martwiła się o niego. Od wyruszenia wojowników na misję czuła niepokój, który sprawiał, że dreszcze przechodziły jej po plecach.

- Bardzo go kochasz, prawda? – spytała nagle Danika.

- Tak. – Gabrielle wytrzymała jej spojrzenie. Nie było sensu ukrywać prawdy, skoro i tak miała ją wypisana na twarzy. – Wiesz co? Mam fatalne przeczucia co do tej misji. I jeszcze Tegan powiedział, że Lucan nie żyje długo. Boję się, że ma rację.

Danika zmarszczyła brwi.

- Rozmawiałas z Teganem?

- Wpadłam na niego, dosłownie, na korytarzu. Powiedział mi, żebym się nie przywiązywała do Lucana.

- Ponieważ umrze? – Danika odetchnęła głęboko i pokręciła głową. – Tegan uwielbia się bawić czyimś kosztem. Chciał cię tylko zmartwić.

- Lucan wspominał, że są ze sobą skłóceni. Myślisz, że można mu ufać?

Danika rozważyła przez chwilę tę kwestię.

- Lojalność zajmuje ważne miejsce w kodeksie honorowym wojowników. Dla tych mężczyzn jest wszystkim. Nie ma takiej rzeczy, która skłoniłaby ich do jej porzucenia.- Wstała i ujęła rękę Gabrielle w swoje dłonie. – Chodź. Poszukamy Ewy i Savannah. Czekanie będzie łatwiejsze, jeśli będziemy razem.

Rozdział 26

Z punktu obserwacyjnego na dachu jednego z portowych budynków Lucan i jego wojownicy przyglądali się, jak przed podejrzanym domem staje niewielki pickup. Pod kołami zachrzącał żwir. Kierowca był człowiekiem – gdyby nie zdradził go ostry zapach potu, zrobiłaby o głośna muzyka cuntry dobiegająca z otwartego okna samochodu. Wsiadł. W rękach trzymał wypchaną brązową papierową torbę, która śmierdziała smażonym ryżem i wieprzowiną lo mein.

- Świeże mięso – stwierdził Dante, patrząc jak dostawca sprawdza adres na paragonie przyczepionym do przesyłki i rozgląda się z rosnącym niepokojem po nabrzeżu.

Mężczyzna podszedł do drzwi magazynu, rozejrzał się jeszcze raz, po czym zaklął i nacisnął dzwonek. W budynku było ciemno, wyjąwszy marne światło nagiej żarówki nad wejściem. Nagle stalowe drzwi się otworzyły. Lucan dostrzegł drapieżne oczy Szkarłatnego wbite w dostawcę, który pospiesznie wyciągnął torbę i wyrecytował cenę zamówienia.

- Jak to, mam się targować? – spytał zaskoczony mężczyzna z ciężkim bostońskim akcentem. – Co do diabła?

I wówczas wielka łapa chwyciła go za koszulę i poderwała z ziemi. Nieszczęśnik wrzasnął, w panice wrywając się napastnikom z rąk.

- Ups – syknął Niko ze swojego miejsca tuż nad gzymsem. – Właśnie sobie uświadomił, że w dzisiejszym menu nie ma chińszczyzny.

Szkarłatny rzucił się na człowieka, przewrócił go na ziemię i z wprawą rozerwał mu gardło. Śmierć była krwawa i natychmiastowa. Drapieżnik podniósł się i zarzucił sobie ofiarę na ramię, żeby zaciągnąć ją do środka. Lucan wstał.

- Czas ruszać – powiedział.

Wojownicy równocześnie zeskoczyli na ziemię i błyskawicznie pomknęli do gniazda Szkarłatnych. Lucan pierwszy dotarł do wampira i jego nieżywej ofiary. Chwycił go za ramię i obrócił, równocześnie wyciągając z pochwy miecz. Jednym gestem pozbawił bestię głowy.

Ciało szkarłatnego natychmiast zaczęło się rozkładać. Tytan, którym pokryta była klinga miecza, wywołał reakcję w zmutowanym układzie krwionośnym Szkarłatnego. Kilka sekund później pozostała po nim tylko kałuża śmierdzącej czarnej cieczy, wsiąkająca powoli w żwir.

Dalej, przy drzwiach, do akcji szykowali się Dante, Tegan i trzej pozostali

wojownicy. Na znak dany przez Lucana, cała szóstka wpadła do magazynu.

Szkarłatni nie mieli pojęcia, co się dzieje, póki Tegan nie przebił gardła jednego z nich, celnie rzucając nożem. Gdy trafiony wrzasnął i zaczął się gwałtownie rozkładać, reszta pochowała się przed gradem pocisków o mieczami wojowników.

Dwóch poległo w bezpośrednim starciu, dwaj kolejni uciekli w głąb magazynu. Jeden z nich zaczął się za stosem skrzynek i zaczął strzelać. Wojownicy odpowiedzieli ogniem, wykurzając Szkarłatnego na otwartą przestrzeń, gdzie sprawę zakończył Lucan.

Kątem oka wampir zobaczył, że ostatni Szkarłatny próbuje uciec przez labirynt beczek i skrzynek na tyłach pomieszczenia.

Tegan również go zauważył i runął za nim niczym rozpedzona lokomotywa. Zniknął w czeluściach magazynu.

- Koniec! – krzyknął Gideon gdzieś w wypełnionej dymem i kurzem ciemności.

Ledwie to powiedział, gdy Lucan wyczuł nowe zagrożenie. Wychwycił odgłos cichych kroków gdzieś na górze. Przez brudne świetliki umieszczone nad przewodami wentylacyjnymi i stalowymi słupami nic nie było widać, ale on był pewien, że coś się do nich zbliża.

- Na górze! – krzyknął do pozostałych i w tym samym momencie dach runął, a wraz z nim na ziemię zeskoczyło siedmiu uzbrojonych Szkarłatnych.

Skąd się wzięli? Przecież mieli o tym gnieździe precyzyjne dane: sześciu Szkarłatnych, działali samodzielnie i ni mieli związków z innymi. Więc skąd się wzięło wsparcie? Skąd wiedzieli o ataku?

- Pułapka! – Dante wypowiedział na głos obawy Lucana.

Niemożliwe, żeby to był przypadek. Lucan spojrzał na największego z napastników i poczuł, jak wrze w nim krew.

To był ten wampir, który usiekł mu owej nocy przed klubem. Ten z Zachodniego Wybrzeża, Szkarłatny, który omal nie zabił Gabrielle. I mógł to zrobić w przyszłości, jeśli go nie wyeliminuje.

Dante i pozostali wojownicy zasypali grupę Szkarłatnych gradem kul, ale Lucan miał tylko jeden cel.

Dziś dokończy sprawę.

Szkarłatny zbliżył się, uśmiechając się paskudnie.

- Znowu się spotykamy.

Lucan kiwnął głową.

- Po raz ostatni.

Czuli do siebie taką nienawiść, że obaj wyciągnęli miecze, szykując się do starcia wręcz. To miała być walka na śmierć i życie. Lucan zadał pierwszy cios i zrobił małe cięcie w ramię, gdy Szkarłatny wykonał błyskawiczny unik. Wampir roześmiał się, zadowolony, że upuścił wrogowi krwi.

Lucan wykonał precyzyjny zamach i jednym cięciem pozbawił przeciwnika ucha. Szkarłatny spojrzał na krwawy skrawek leżący na podłodze.

- Remis, dupku – zawarczał wojownik.

Rzucili się na siebie, tworząc wir mięśni i zabójczych mieczy. Lucan miał świadomość, że wokół toczy się bitwa, że jego towarzysze odpierają atak, ale cała jego uwaga – cała jego nienawiść – skoncentrowana była na tym jednym wrogu.

Czuł, jak pod wpływem wściekłości kły wysuwają mu się z dziąseł, a źrenice zewężają się w pionowe kreski. Wiedział, że teraz jego twarz prawie się nie różni od twarzy przeciwnika. Dorównywali sobie siłą, ale wściekłość Lucana z pewnością była większa,

Wystarczyło, by pomyślał o Gabrielle i rzeczach, jakie ten Szkarłatny mógł jej uczynić, a jego furia nie miała granic.

Podsycił ją w sobie, nacierając bezustannie na Szkarłatnego. Nie czuł ran, jakie odnosiło jego ciało, choć było ich wiele. Wreszcie powalił przeciwnika i szykował się do zadania ostatniego ciosu.

Ryknął i ciął mieczem szyję Szkarłatnego, oddzielając głowę od ciała. Ręce i nogi wampira zadrgały konwulsyjnie. Furia nadal wrzała w żyłach Lucana. Uniósł miecz wysoko i wbił głęboko w klatkę piersiową wroga, przyspieszając rozkład ciała.

- Uwaga! – usłyszał gdzieś w pobliżu głos Rio. – Nad tobą! Jeszcze jeden, na krokwi! Wszystko wydarzyło się w mgnieniu oka.

Lucan obrócił się, rozpalony walką i spojrzał tam, gdzie wskazywał Rio. Wysoko nad jego głową po krokwiach czołgał się Szkarłatny. Trzymał pod pachą coś, co wyglądało jak niewielka metalowa piłka, na której mrugała czerwona lampka.

- Na ziemię! – Nikolai uniósł swą przerobioną berettę i wycelował w wampira. – Drań zamierza rzucić bombę!

Lucan usłyszał huk wystrzału.

Szkarłatny dostał kulkę dokładnie między oczy, ale bomba już zaczęła spadać.

Pół sekundy później wybuchła.

Rozdział 27

Gabrielle obudziła się ze wzdrygnięciem z drzemki. Leżała na kanapie w salonie Savannah. Były tu wszystkie od kilku godzin, czerpiąc pociechę z towarzystwa – wszystkie z wyjątkiem Evy, która jakiś czas temu poszła do kaplicy. Wydawała się jeszcze bardziej niespokojna niż one, przez większość wieczoru spacerowała nerwowo po salonie.

Gdzieś nad labiryntem korytarzy i pokoi rozległy się stłumione dźwięki. Usłyszała ciche głos mężczyzn i szum windy, która zjeżdżała na dół.

O Boże.

Coś było nie tak.

Czuła to.

- Lucan!

Odrzuciła pled i puściła stopy na podłogę. Serce biło jej jak oszalałe.

- Mnie się to też nie podoba – powiedziała napiętym głosem Savannah.

We trzy z Daniką wybiegły z apartamentu powitać wojowników. Żadna się nie odzywała. Ledwie śmiały oddychać, kiedy szły w stronę windy.

Jeszcze zanim otworzyły się stalowe drzwi, usłyszały niespokojne głosy mężczyzn, wskazujące, że stało się coś okropnego.

Mimo to Gabrielle nie była przygotowana na ten widok.

Uderzył ją w nos zapach dymu i krwi. Skrzywiła się i spróbowała zajrzeć do środka. Dwóch wojowników leżało na podłodze, pozostali kucali.

- Przynieś ręczniki i koce! – krzyknął Gideon do Savannah. – Jak najwięcej, kochanie! – A kiedy ruszyła, zawołał za nią: - Potrzebny będzie wózek! W ambulatorium są nosze na kółkach.

- Ja przyprowadzę – powiedział Niko.

Przeszedł nad wojownikiem leżącym na podłodze. Kiedy mijał Gabrielle, zobaczyła, że włosy i ręce ma czarne od sadzy, ubranie w strzępach, a na skórze setki małych, lekko krwawiących ranek. Gideon wyglądał podobnie. I Dante.

Ale ich obrażenia były niczym w porównaniu z ranami dwóch nieruszających się wojowników.

Serce powiedziało Gabrielle, że jednym z nich jest Lucan. Podbiegła bliżej i dech jej zapało, gdy ujrzała potwierdzenie swoich najgorszych obaw.

Leżał w kałuży krwi, która wyciekła na białą marmurową posadzkę w korytarzu. Buty i skórzana kurtka były podarte, skóra na rękach i nogach poszarpana. Jego twarz pokrywała sadza i krwawiące rany. Ale żył. Wyszczrzył kły i zasyczał, kiedy Gideon poruszył go, żeby założyć opaskę uciskową na ranę na ramieniu.

- Cholera... Przepraszam. Ta jest głęboka. Jezu, nie chce przestać krwawić.

- Pomóż... Rio. – To był rozkaz, choć leżał bezradny na podłodze. – Nic mi nie jest...

- Urwał i skrzywił się boleśnie. – Zajmij się... nim.

Gabrielle uklękła obok Gideona. Wyciągnęła rękę po bandaż.

- Ja to zrobię – powiedziała.

- Na pewno? Paskudnie to wygląda. Musisz przytrzymać ręką, żeby zacisnąć.

- Wiem. – Wskazała głową na nieprzytomnego wampira. – Rób co powiedział.

Rio leżał w agonii. Krwawił mocno z ran na piersi i straszliwych obrażeń na lewej ręce. Poharatana kończyzna owinięta była koszulą nasiąkniętą od krwi. Na twarzy i piersiach miał poparzenia i liczne rany, aż trudno było go rozpoznać. Zaczął jęczeć głucho, dźwięk był tak żalony, że do oczu Gabrielle napłynęły łzy.

Kiedy zamrugała, żeby się ich pozbyć, poczuła na sobie wzrok jasnych oczu Lucana.

- Załatwiłem... tego drania.

- Ciii. – Odgarnęła mu z czoła wilgotne włosy. – Leż spokojnie, nie próbuj mówić.

Zignorował jej polecenie, przełknął z trudem ślinę i ciągnął dalej.

- Tego z klubu... On tam wtedy był.

- Tego, który ci uciekł?

- Tym razem nie zdołał. – Zamrugał powoli, wyraz jego twarzy był dziki i surowy zarazem. – Już nie będzie mógł... cię skrzywdzić.

- Jasne – przytaknął Gideon, który zajmował się Rio. – I masz szczęście, że żyjesz, bohaterze.

Gabrielle coś cisnęło w gardle. Choć zapewniał, że najważniejsza jest misja i że w jego życiu nigdy nie będzie dla niej miejsca, myślał o niej i dzisiaj. Został ranny, bo ją chronił.

Wzięła jego rękę i przytuliła do piersi, położyła jego palce w miejscu, gdzie było jej serce.

- Och, Lucanie...

Savannah wróciła z naręczem ręczników, a zaraz za nią zjawił się Niko. Pchał przed sobą nosze na kółkach.

- Najpierw Lucan – zdecydował Gideon. – Połóżcie go na noszach, a potem wróćcie

po Rio.

- Nie – zaprotestował Lucan z jękiem, a w jego głosie więcej było determinacji niż bólu. – Pomóż mi wstać.

- Chyba nie powinieneś... - zaczęła Gabrielle, ale on zaczął się już podnosić z podłogi.

- Spokojnie, stary. – Dante wziął go pod ramię. – Mocno oberwałeś. Zrób sobie przysługę i pozwól się zawieźć do ambulatorium.

- Powiedziałem, że nic mi nie jest! – Gabrielle i Dante wzięli go pod ręce i pomogli mu się dźwignąć do pozycji siedzącej. Dyszał ciężko, ale pozostał wyprostowany. – Oberwałem, ale do cholery... sam dojdę do łóżka. Nie pozwolę... się nosić.

Dante spojrzał na Gabrielle i przewrócił oczami.

- Jest tak uparty, że gotów to zrobić.

- Tak, wiem.

Uśmiechnęła się, wdzięczna za ten upór, dzięki któremu był taki silny. Razem z Dantem pomogła mu stanąć na nogach.

- Tutaj! – zawołał Gideon do Niko, który ustawił nosze koło Rio. Savannah i Danika robiły wszystko, by zatamować krwawienie, zdejmując z rannego ubranie.

- Rio?! – krzyknęła Eva wysokim głosem. Podbiegła do nich, w dłoni nadal ścisła różaniec. Aż się cofnęła na widok jatki w windzie. – Rio! Gdzie on jest?

- Tutaj – powiedział Niko i chwycił Evę, zanim podeszła bliżej. – To był wybuch. On oberwał najbardziej.

- Nie! – Zasłoniła twarz rękami. – Nie, mylisz się! Nie mój Rio! To niemożliwe!

- On żyje. Evo. Ale musisz być silna.

- Nie! – Zaczęła histerycznie krzyczeć i wrywać się Niko z rąk. – Nie mój Rio! Boże, nie!

Savannah wzięła Evę za rękę.

- Chodź – powiedziała łagodnie. – Oni wiedzą, jak mu pomóc.

W korytarzu słychać było tylko gwałtowne szlochy Ewy. Gabrielle czuła jednocześnie ulgę i przerażenie. Martwiła się o Rio i współczuła kobiecie. Rozumiała jej ból, ponieważ miała świadomość, że na miejscu Rio mógł się znaleźć Lucan.. Parę milimetrów – ułamek sekundy – zdecydowało o tym, który z wojowników walczył teraz o życie.

- Gdzie jest Tegan? – spytał Gideon, nie przerywając swojej czynności. – Wrócił już?

Danika pokręciła głową, ale rzuciła niespokojne spojrzenie Gabrielle.

- Nie było go z wami?

- Zgubiliśmy go zaraz po ataku na gniazdo Szkarłatnych – wyjaśnił Dante. – A po

wybuchu chcieliśmy jak najszybciej przetransportować Lucana i Rio do kwatery.

- To jedziemy – powiedział Gideon i pchnął nosze na kółkach. – Niko, pomóż mi.

Tegan poszedł w zapomnienie, wszyscy znów zajęli się ciężko rannym. Razem przewieźli go do ambulatorium. Gabrielle, Lucan i Dante szli najwolniej, ponieważ wampir chwiał się na nogach.

Gabrielle zerknęła na niego. Bardzo chciała pogłodzić jego posiniaczoną, zalaną krwią twarz. Pod wpływem jej spojrzenia jego rzęsy zadrgały, uniosły się i nagle pojrzał jej prosto w oczy. Nie miała pojęcia, co między nimi zaszło, ale było to coś miłego i ciepłego.

Kiedy dotarli do ambulatorium, Eva stała już przy noszach, pochyłona nad ciałem partnera. Po jej policzkach płynęły łzy.

- Nie tak miało być – jęczała. – To nie miał być mój Rio. Nie w ten sposób!

- Zrobimy dla niego wszystko, co w naszej mocy – zapewnił Lucan, choć sam oddychał z trudem. – Obiecuję ci, Evo. Nie pozwolimy mu umrzeć.

Pokręciła gwałtownie głową, nie spuszczając wzroku z rannego. Kiedy pogłodziła go po włosach, Rio wymamrotał coś niewyraźnie. Był półprzytomny, bardzo cierpiał.

- Chcę go stąd zabrać. Powinien trafić do Mrocznej Przystani. Potrzebuje lekarza!

- Jest za słaby – zaprotestował Gideon. – Przeszedłem odpowiednie przeszkolenie i mam tu sprzęt. Zajmę się nim.

- Chcę go stąd zabrać! – Eva poderwała głowę, jej płonący wzrok wędrował od jednego wojownika do drugiego. – Nie jest teraz wam potrzebny, więc oddajcie go mnie! Już do was nie należy, słyszycie? Jest teraz tylko mój! Chcę mu pomóc!

Gabrielle poczuła, jak pod wpływem tego histerycznego wybuchu mięśnie Lucana twardnieją.

- W takim razie zejdz Gideonowi z drogi i pozwól mu robić swoje – powiedział, automatycznie podejmując rolę przywódcy, mimo swojego ciężkiego stanu. – Musimy go utrzymać przy życiu.

- To ty powinienesz teraz umierać, nie on! – Głos Ewy był zimny. Wzrok miała dziki, a twarz zmieniła się w maskę czystej nienawiści. – Właśnie ty! Taki zawarłam układ! To miałeś być ty!

Zapadła cisza, ale dźwięk wypowiedzianych słów nadal wszystkim dźwięczał w uszach.

Dante i Nikolai automatycznie sięgnęli po broń, gotowi do ataku. Lucan uniósł rękę, by ich powstrzymać. Nie spuszczał oczu z Ewy. Nie przejmował się jej wściekłością. Ale przez nią Rio mógł umrzeć. Wszyscy wojownicy mogli dziś zginąć z powodu zdrady Ewy.

- Szkarłatni wiedzieli, że tam będziemy – powiedział zimno, choć szalała w nim furia.
– Wpadliśmy w zasadzkę. Przez ciebie.

Wojownicy zawarli cicho. Gdyby sprawcą był mężczyzna, Lucan nie zdołałby ich powstrzymać przed atakiem. Ale to była Dawczyni Życia, jedna z nich. Ktoś kogo znali, komu ufali od dawna.

Patrzył na Evę i widział obcą osobę. Widział szaleństwo. Zabójczą desperację.

- Rio miał ocaleć. – Eva pochyliła się nad kochankiem, objęła ręką jego zabandażowaną głowę. Ranny wydał jakiś nieartykułowany dźwięk, a ona przyciągnęła go mocniej do siebie. – Chciałam tylko, żeby przestał walczyć.

- Chciałaś go okaleczyć? – spytał Lucan. – Na tym polega twoja miłość?

- Kocham go! – krzyknęła. – To co zrobiłam... wszystko co zrobiłam... zrobiłam z miłości do niego! Rio będzie szczęśliwszy gdzie indziej, z dala od tej przemocy i śmierci. Będzie szczęśliwszy w Mrocznej Przystani, ze mną. Daleko od waszej cholernej wojny!

Rio zaczął głośniej. Nie wiadomo czy z bólu, czy przez to, co usłyszał.

Lucan powoli pokręcił głową.

- Tej decyzji nie możesz podjąć za niego. Nie miałaś prawa. To jest również jego wojna. On wierzy w to, co robi... wiem, że nadal wierzy, nawet po tym, co mu zrobiłaś. To wojna całej Rasy!

Parsknęła szyderczo.

- I kto to mówi? Wampir, którego tylko krok dzieli od przemiany w Szkarłatnego!

- Jezu Chryste – syknął Dante. – Mylisz się, Evo. Wszystko ci się pochrzało.

- Czyżby? – W oczach, które wbijała w Lucana, błyszczała sadystyczna radość. – Obserwowałam cię, Lucanie. Widziałam, jak walczysz z głodem, kiedy myślisz, że nikt cię nie widzi. Mnie nie oszukało twoje opanowanie.

- Evo, jesteś zdenerwowana – zaprotestowała Gabrielle. Jej głos był dziwnie spokojny.
– Nie wiesz, co mówisz.

Eva się roześmiała.

- Spytaj go, niech zaprzeczy. Zapytaj go, dlaczego odmawia sobie krwi, aż prawie umiera z głodu!

Lucan milczał. Wiedział, że Eva mówi prawdę.

Gabrielle też to wiedziała.

Wzruszyło go, że wystąpiła w jego obronie, ale tu nie chodziło o niego, ale o Rio i o zdradę, która mogła go zabić. Może już zabiła, sądząc z drgawek i jęków.

- Jak zawarłaś ten układ, Evo? Jak się skontaktowałaś ze Szkarłatnymi... Podczas

wyprawy na górę?

Prychnęła z udawanym rozbawieniem.

- To nie było trudne. Po mieście snują się ich ludzie, wystarczy się rozejrzeć. Znalazłam jednego i kazałam się skontaktować z jego Panem.

- Kto to był? – spytał Lucan. – Jak wyglądał?

- Nie wiem. Spotkaliśmy się tylko raz, w hotelu i ukrywał przede mną twarz. Miał ciemne okulary i zgasił światło w pokoju. Nie obchodziło mnie kim był, ani jak wyglądał. Ważne było tylko to, że miał dość władzy, by to zrobić. Wystarczyła mi jego obietnica.

- Mogę sobie wyobrazić, jak zapłaciłaś za tę usługę.

- Cóż znaczą dwie godziny! On jest wart każdej ceny. – nie patrzyła już na Lucana ani na jego wojowników, tylko na Rio. – Zrobiłabym dla ciebie wszystko, ukochany. Zniosłabym... wszystko.

- Choć zapłaciłaś za ten układ swoim ciałem, tak naprawdę sprzedałaś zaufanie Rio – stwierdził Lucan.

Rio zaczął rzezić, a Eva przytuliła go czule. Nagle jego powieki zadrżały. Otworzył oczy. Oddychał płytko, z wysiłkiem. Próbował mówić.

- Ja... - Rozkaszał się, jego ciało wyprężyło się boleśnie. – Evo...

- Och kochany, tak, jestem! – krzyknęła. – Powiedz mi, czego ci trzeba, najdroższy.

- Evo... - Przez chwilę jego jabłko Adama poruszało się bezdźwięcznie. Po chwili spróbował znowu. – Ja... oddalam cię.

- Co?

- Nie żyjesz... - jęknął. Jego bólu nic nie było w stanie ukoić. Jego nabiegłe krwią oczy pały. – Nie istniejesz... dla mnie... Nie żyjesz.

- Rio, czy ty nie rozumiesz? Zrobiłam to dla nas!

- Odejdź – jęknął. – Nie chcę cię... więcej... oglądać...

- Nie mówisz serio! – Uniosła głowę, oczy miała rozbiegane. – On tak nie myśli! Nie może! Rio, powiedz mi, że nie mówisz serio!

Kiedy go dotknęła, Rio zawarczał i resztką sił odsunął jej rękę. Eva zaszlochała. Na sukience miała jego krew. Popatrzyła na te plamy, a potem na Rio, który odciął się od niej zupełnie.

To, co zdarzyło się potem, trwało najwyżej kilka sekund, ale wszyscy mieli wrażenie, że czas nagle zwolnił.

Wzrok Evy padł na leżący koło noszy pas z bronią.

Na jej twarzy pojawiła się determinacja. Sięgnęła po sztylet.

Uniosła go do twarzy.

Szepnęła do Rio, że zawsze będzie go kochać.

Po czym obróciła ostrze i przytknęła czubek do swego gardła.

- Evo, nie! – krzyknęła Gabrielle i rzuciła się naprzód, jakby mogła ją ocalić. – O Boże, nie!

Lucan ją przytrzymał. Chwycił ją w ramiona i obrócił jej twarz ku swojej piersi, zasłaniając jej widok na Evę. Kobieta poderżnęła sobie gardło i upadła bez życia na podłogę.

Rozdział 28

Gabrielle wyszła spod prysznica w apartamencie Lucana, wytarła mokre włosy i włożyła gruby biały szlafrok. Była wyczerpana, większość dnia spędził z Savannah i Daniką, pomagając Gideonowi opatrywać Rio i Lucana. Wszyscy w kwaterze byli wstrząśnięci zdradą Evy i jej tragicznym samobójstwem.

Lucan był w kiepskim stanie, ale wyszedł z ambulatorium o własnych siłach i położył się na łóżku. Gabrielle zaskoczyło, że w ogóle przyjął jakąś pomoc, ale zważywszy na determinację kobiet, nie miał innego wyjścia.

Poczuła wielką ulgę, kiedy otworzyła drzwi łazienki i zobaczyła, że siedzi na wielkim łóżu, oparty na poduszkach. Choć na jego policzku i czole widniały długie szwy, a bandażę opasały szeroką pierś, wyraźnie dochodził do siebie. Był cały i wkrótce będzie zdrowy.

Miał na sobie biały szlafrok. Tylko tyle pozwoliły mu włożyć kobiety po wielu godzinach oczyszczania i opatrywania ran.

- Czujesz się lepiej? – spytał Lucan, patrząc, jak odrzuca w tył mokre włosy. – Pomyślałem, że będziesz chciała coś zjeść, kiedy wyjdiesz spod prysznica.

- Umieram z głodu.

Wskazał na niewielki stolik stojący w kącie sypialni. Gabrielle wyczuła zapach jedzenia. Francuska bagietka, czosnek i przyprawy, sos pomidorowy i ser, czuła to wszystko, stojąc po drugiej stronie pokoju. Zobaczyła talerz z warzywami i owoce, i nawet coś co wyglądało na czekoladę. Podeszła bliżej, a w brzuchu jej zaburzało.

- Manicotti – stwierdziła, wdychając aromat makaronu. Obok kryształowego kieliszka stała odkorkowana butelka czerwonego wina. – I chianti?

- Savannah pytała o twoją ulubioną potrawę. Tylko to przyszło mi do głowy.

Właśnie to danie przygotowała tego wieczoru, kiedy przyszedł oddać jej komórkę. Danie, które wystygło, gdy kochali się namiętnie.

- Pamiętasz, co wtedy gotowałam?

Wzruszył lekko ramionami.

- Siadaj. Jedz.

- Jest tylko jedno nakrycie.

- Spodziewałaś się towarzystwa?

Spojrzała na niego.

- Naprawdę nie możesz jeść? Ani kęsa?

- Mógłbym coś przekazać, ale niewiele. – Gestem wskazał, żeby usiadła. – Ludzkie jedzenie jest tylko na pokaz.

- W porządku. – Usiadła po turecku na podłodze, wzięła kremową serwetkę i położyła ją na kolana. – Ale nie czuję się komfortowo, kiedy tak na mnie patrzysz.

- O mnie się nie martw. Mam już dość kobiecej troski jak na jeden dzień.

- Jak chcesz.

Była zbyt głodna, żeby czekać dłużej, zresztą jedzenie wyglądało przepysznie. Nabrała na widelec trochę manicotti i zaczęła jeść. W rekordowym tempie pochłonęła połowę porcji, przerywając tylko po to, by dolać sobie wina.

Przez cały czas Lucan obserwował ją, siedząc na łóżku.

- Dobre? – spytał, kiedy zauważył, że przygląda mu się znad krawędzi kieliszka.

- Fantastyczne – wymamrotała, wkładając sobie do ust porcję warzyw skropionych obficie sosem winegret. Czowała się teraz dużo lepiej. Przełknęła ostatni kęs, po czym naląła sobie pół kieliszka chianti i z westchnieniem oparła się o ścianę. – Dzięki. I nie musiała tego robić.

- Lubi cię – stwierdził Lucan z nieodgadzionym wyrazem twarzy. – Bardzo nam pomogłaś. Dziękuję w imieniu Rio i swoim.

- Nie musisz dziękować.

- Owszem, muszę. – Kiedy zmarszczył brwi, blizna na jego czole lekko się uniosła. – Byłaś dobra i troskliwa, choć ja... - Urwał, wymamrotał coś niewyraźnie. – Doceniam to, co zrobiłaś.

Och, tylko tyle? Pomyślała. Nawet wdzięczność otaczał emocjonalną barierą.

- Słyszałam, że Tegan dotarł do kwatery w jednym kawałku.

- Tak. Ale Dante i Niko omal nie rozszarpali go na kawałki, za to że tak zniknął.

- Co się stało?

- Jeden ze Szkarłatnych próbował uciec z magazyny tylnym wyjściem, kiedy zaczęło się robić gorąco. Tegan wybiegł za nim na ulicę. Chciał go od razu załatwić, ale postanowił sprawdzić, dokąd pójdzie. Śledził go aż do zamkniętego zakładu psychiatrycznego pod miastem. Pełno tam Szkarłatnych. Jeśli wcześniej mieliśmy wątpliwości, teraz już wiemy, że to duża kolonia. Zapewne kwatery główna na Wschodnim Wybrzeżu.

Poczuła dreszcz na myśl, że poszła tam sama – że była wewnątrz budynku – nieświadoma niebezpieczeństwa.

Lucan zapatrzył się na nią, jakby mu wyznała, że zamierza bawić się granatem. Twarz

mu poszarzała.

- Chcesz powiedzieć, że włamałaś się do środka?

Wzruszyła niepewnie ramionami.

- Jezu Chryste, Gabrielle! – Opuścił nogi na podłogę i siedział dłuższą chwilę, po prostu na nią patrząc. Minęło nieco czasu, nim znów mógł mówić. – Mogłaś zginąć. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Wtedy nie wiedziałam – odparła. Było to marne usprawiedliwienie, ale przynajmniej prawdziwe.

- To bez znaczenia. – Przechesał palcami włosy. – Cholera. Gdzie masz aparat?

- Zostawiłam w laboratorium.

Lucan sięgnął po stojący na nocnym stoliku telefon i połączył się przez interkom z Gideonem.

- Hej, jak się miewasz? Wszystko w porządku?

- Tak – odparł, nie spuszczać wzroku z Gabrielle. – Powiedz Teganowi, żeby dał sobie spokój z rezonansem. Właśnie się dowiedziałem, że mamy zdjęcia z zakładu.

- Gadasz. – Chwila milczenia. – A niech mnie szlag. Chcesz powiedzieć, że ona tam weszła?

Lucan uniósł tylko znacząco brew.

- Zgraj zdjęcia z jej aparatu i powiedz chłopakom, że spotkamy się za godzinę. Porozmawiamy o nowej strategii. Myślę, że te fotki oszczędzą nam wiele czasu.

- Jasne. Widzimy się za godzinę.

Kliknięcie interkomu zakończyło rozmowę.

- Tegan zamierzał wrócić do tego zakładu?

- Tak – odparł Lucan. – To samobójcza misja. Jest na tyle szalony, że chciał tam iść sam. Choć rzecz jasna nikt nie zamierzał go od tego odwozować. A na pewno nie ja.

Wstał z łóżka i zaczął oglądać opatrunki. Pod wpływem ruchu poły szlafroka rozsunęły się, odsłaniając klatkę piersiową i górną część brzucha. Znaki na jego skórze miały kolor wyblakłej henny, były jaśniejsze niż zeszłej nocy. Wydawały się równie słabe jak on, wysuszone i niemal pozbawione koloru.

- Aż tak go nie lubisz? – Spytała, przyglądając mu się uważnie. To pytanie dręczyło ją od chwili, kiedy Lucan po raz pierwszy wspomniął o wampirze. – Co zaszło między wami?

Z początku myślała, że jej nie odpowie. Dalej oglądał swoje obrażenia. W milczeniu poruszał rękami i nogami, sprawdzając, jak się zachowują. Potem, akurat w chwili gdy straciła nadzieję, zaczął mówić.

- Tegan uważa, że coś mu odebrałem. Coś, na czym mu zależało. – Popatrzył teraz na nią. – Jego Dawczyni Życia zginęła. Z mojej ręki.

- Dobry Boże – szepnęła. – Jak?

Zmarszczył brwi o odwrócił wzrok.

- Dawniej wszystko wyglądało inaczej niż teraz. Wojownicy nie wiązali się z Dawczyniami Życia, ponieważ niebezpieczeństwo było zbyt wielkie. Nie mogliśmy odpowiednio chronić rodzin, a nasze wyprawy często trwały wiele miesięcy.

- A Mroczne Przystanie? Czy one nie zapewniały ochrony?

- Było ich wtedy mniej i bardzo niechętnie przyjmowały Dawczynie Życia, które związały się z wojownikami. Nie chciały ryzykować. Byliśmy przecież celem ataków Szkarłatnych, my i nasi bliscy. Tegan wiedział o tym, a jednak połączył się z kobietą. Niedługo potem została schwytana przez Szkarłatnych. Torturowali ją, gwałcili. Wyssali z niej prawie całą krew. Zmienili w służbę.

- O mój Boże – szepnęła Gabrielle. Była wstrząśnięta.

Lucan westchnął, jakby przytłoczył go ciężar wspomnień.

- Tegan oszalał z wściekłości. Zachowywał się jak zwierzę, zabijał wszystko na swojej drodze. Ciągle chodził zakrwawiony i wielu wierzyło, iż kąpie się we krwi. Zatracił się w gniewie i przez rok nie chciał pogodzić się faktem, że jego Dawczyni Życia odeszła na zawsze. Karmił ją swoją krwią, nie chciał dostrzec jej stanu. Sam żywił się tylko przypadkiem. Nie zauważył nawet, że sam powoli popada w nałóg krwi. Nie chciał zakończyć jej cierpień, a sam powoli zmieniał się w Szkarłatnego. Trzeba było coś z tym zrobić, więc...

To zdanie zawisło w powietrzu niczym groźba. Gabrielle dokończyła je za niego:

- Więc ty wzięłeś to na siebie.

Lucan ponuro kiwnął głową.

- Zamknąłem Tegana w celi, a potem zabiłem jego Dawczynię Życia.

Gabrielle zamknęła oczy. Wyczuwała jego żal.

- Och, Lucanie.

- Tegan nie dostawał krwi, póki jego ciało nie ocknęło się z nałogu. Głodziliśmy go przez całe miesiące, nim był w stanie wyjść z celi o własnych siłach. Kiedy się dowiedział, co zrobiłem, byłem pewien, że spróbuje mnie zabić. Ale nie zrobił tego, bo Tegan, którego znałem, nigdy tak naprawdę nie wyszedł z tej celi. To był zupełnie inny wampir, pozbawiony wszelkich emocji. Nie powiedział tego, ale wiem, że od tamtej pory mnie nienawidzi.

- Nie tak bardzo, jak ty nienawidzisz siebie.

Zacisnął zęby, skóra napięła mu się na szczęce.

- Przywykłem do wykonywania niełatwych wyborów. Nie boję się trudnych zadań, nie przeraża mnie, że sprowadzam na siebie wściekłość czy nienawiść. Robię wszystko dla dobra Rasy. Nie obchodzi mnie nic innego.

- Tak, ale zraniłeś przyjaciela. To wielki ciężar – szepnęła.

Rzucił jej wyzywające spojrzenie, ale chyba nie miał dość sił na sprzeczkę. Po tym wszystkim co przeszedł, był zmęczony, śmiertelnie wyczerpany. Wiedziała jednak, że nigdy się do tego nie przyznał.

- Posłuchaj, jesteś dobrym człowiekiem. Masz szlachetne serce, choć ukrywasz to starannie.

Parsknął lekceważąco.

- Tylko ktoś, kto zna mnie trochę ponad tydzień, może tak pomyśleć.

- Naprawdę? Mam wrażenie, że jest tu kilka osób, które powiedzą ci to samo. W tym Conlan, gdyby żył.

Nachmurzył się.

- Co ty możesz o tym wiedzieć?

- Danika powiedziała mi, co dla niego zrobiłeś. O pogrzebie. O tym, jak wyniosłeś go na górę, na słońce. Że doznałeś oparzeń, żeby oddać mu honor.

- Jezu Chryste – warknął i poderwał się na równe nogi. Zaczął krążyć nerwowo po pokoju. Zatrzymał się przy łóżku. Jego głos był schrypnięty, momentami brzmiał jak ryk. – Honor nie miał z tym nic wspólnego. Chcesz wiedzieć, dlaczego to zrobiłem? Z poczucia winy. W ten wieczór, kiedy w kolejce wybuchła bomba, to ja miałem iść na akcję z Niko, nie Conlan, ale nie mogłem przestać o tobie myśleć. Sądziłem, że jeśli cię wezmę... jeśli w ciebie wejdem... to zaspokoję pożądanie i będę mógł odejść, zapomnieć o tobie. Więc tego wieczoru powierzyłem Conlanowi moje zadanie. To ja miałem być w tym tunelu, nie on.

- Mój Boże. Jesteś niewiarygodny, wiesz? – Uderzyła pięścią w stolik i zaśmiała się ze złością. – Wrzuć na luz.

Ten niekontrolowany wybuch zwrócił wreszcie jego uwagę. Zatrzymał się i popatrzył na nią.

- Wiesz dlaczego – powiedział spokojnie. – Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny. – Pokręcił głowę, wykrzywił pogardliwie usta. – Wygląda na to, że Eva miała trochę racji.

Gabrielle wróciła myślami do szokujących wydarzeń w ambulatorium. Wszyscy byli przerażeni czynem Ewy i zaskoczeni szalonymi oskarżycielami, jakie rzucała na Lucana. Wszyscy oprócz niego.

- To, co powiedziała...

- Było prawdą. Sama się przekonałaś na własne oczy. A mimo to broniłaś mnie. Dwukrotnie już ukrywałaś moją słabość. – Zmarszczył brwi, odwrócił głowę. – Nie poproszę cię o to więcej, Moje problemy są tylko moją sprawą.

- I musisz je rozwiązać.

- Muszę się przede wszystkim ubrać i obejrzeć te zdjęcia, które zgrał Gideon. Jeśli będziemy znać rozkład pomieszczeń, uderzymy jeszcze tej nocy.

- Jak to tej nocy?

- Dowalimy im. Załatwimy sprawę. Wysadzimy to gniazdo w powietrze.

- Chyba nie mówisz poważnie? Tam jest pełno Szkarłatnych. Czy ty naprawdę wierzysz, że w czwórkę dacie sobie z nimi radę?

- Robiliśmy takie rzeczy. A poza tym będzie nas pięciu – powiedział, jakby to była jakaś różnica. – Gideon powiedział, że w to wchodzi. Zajmie miejsce Rio.

Gabrielle nachmurzyła się, nie była w stanie uwierzyć, że mówi serio.

- A ty? Ledwie stoisz na nogach!

- Ale stoję. Jest dobrze. Nie będą się spodziewać odwetu tak szybko. To najlepszy moment na atak.

- Chyba oszalałeś! Potrzebujesz odpoczynku. Nie możesz pakować się w coś takiego, póki nie odzyskasz sił! Musisz się wyleczyć. – Widziała mięsień pracujący na jego szczęce, drgający pod ziemistą skórą jego policzka. Rysy jego twarzy wydawały się twardsze. – Nie możesz iść na misję w takim stanie!

- Powiedziałem, że nic mi nie jest! – krzyknął chrapliwie. Kiedy na nią spojrzał, jego srebrzyste tęczęwki pełne były pomarańczowych drobinek, jakby przez lód prześwitywał ogień.

- Nieprawda. Nie masz dość siły. Potrzebujesz krwi. Twoje ciało za dużo ostatnio przeszło. Musisz się pożywić.

Miała wrażenie, że w pokoju zrobiło się zimno. Wiedziała, że go prowokuje. Wyczuwała, że jest pobudzony i spięty, że ledwie nad sobą panuje, odkąd sprowadził ją do kwatery. Że balansuje niebezpiecznie na krawędzi. Czy naprawdę chciała być tą osobą, która popchnie go w przepaść?

Pieprzyć to. Może właśnie tego było mu trzeba.

- Twoje ciało jest wyczerpane i to nie tylko z powodu ran. Jesteś słaby. I boisz się.

- Boję się? – Rzucił jej lodowate spojrzenie. – Czego się niby boję?

- Samego siebie. Ale jeszcze bardziej boisz się mnie.

Czekała na odpowiedź, na podłe słowa, odpowiednie do jego wściekłości. Ale nic nie powiedział. Patrzył na nią przez długą chwilę, o czym ruszył, nieco sztywno, w stronę wysokiej komody po drugiej stronie pokoju.

Gabrielle siedziała na podłodze, obserwując, jak otwiera szuflady, wyciąga ubrania i ciska je na łóżko.

- Co robisz?

- Nie mam czasu na dyskusje z tobą. To bez sensu.

Szafka z bronią otworzyła się, gdy tylko wyciągnął w jej stronę rękę. Podeszedł do niej i wysunął szufladę. Leżało na niej kilka sztyletów i innych narzędzi, ułożonych rzędem na aksamicie. Nie patrząc, chwycił dwa duże noże w czarnych skórzanych pochwach. Wysunął kolejną szufladę i wybrał duży pistolet.

- Nie podoba ci się to, co mówię, więc zamierzasz uciec? – Nie spojrzął na nią, nawet nie zaklął w odpowiedzi. Nie, on ją zupełnie zignorował, a to naprawdę ją wkurzyło. – No to już, spadaj. Udawaj, że jesteś niepokonanym, że nie jesteś śmiertelnie przerażony tym, że komuś na tobie zależy. Uciekaj przede mną. Tylko potwierdzasz, że mam rację.

Straciła wszelką nadzieję, kiedy wyciągnął z szafki zapasowe magazynki i wsadził jeden do pistoletu. Żadne jej słowa go nie powstrzymają. Czuli się bezradna.

Spuściła wzrok na stolik, przy którym siedziała. Spojrzała na talerze i sztuce. Zobaczyła nieużywany nóż, którego ostrze lśniło zachęcająco.

Nie mogła go zatrzymać słowami, ale była jeszcze inna możliwość.

Podwinęła długi rękaw szlafroka. Bardzo spokojnie z determinacją ujęła nóż i przycisnęła jego czubek do swojego przedramienia. Nacisnęła lekko i przecięła skórę.

Nie wiedziała, który ze zmysłów Lucana zareagował pierwszy, ale ryk, który wydał na widok tego, co zrobiła, wstrząsnął sypialnią.

- Do diabła, Gabrielle!

Nóż wyleciał jej z ręki, przeleciał przez pokój i wbił się po rękojęć w ścianę.

Lucan poruszał się tak szybko, że ledwie go widziała. W jednej chwili stał kilka metrów od niej, przy łóżku, w następnej jego dłoń zacisnęła się na jej palcach i poderwała ją z podłogi. Z małej ranki leciała krew, soczysta, ciemnoczerwona. Spływała po jej ręce. Nie puścił jej dłoni.

Stał nad nią, ściana mrocznej, wrzącej furii.

Oddychał ciężko, nozdrza mu drgały. Na jego twarzy malowały się wściekłość i cierpienie, a oczy płonęły głodem. Nie został w nich ani ślad szarości, źrenice zwęziły się w cienkie pionowe kreski. Kły wysunęły mu się z dziąseł, a ostre białe czubki połyskiwały

groźnie na wargach.

- No już, powiedz mi, że nie potrzebujesz tego, co chcę ci dać – szepnęła gwałtownie.

Na jego czole pojawił się pot, kiedy patrzył na jej krwawiącą ranę. Oblizał wargi i powiedział coś w nieznanym języku.

Nie brzmiało to przyjacielsko.

- Dlaczego? – zapytał oskarżycielsko. – Dlaczego mi to robisz?

- Naprawdę nie wiesz? – Wytrzymała jego wzrok, czuła, jak jego gniew opada. –
Ponieważ cię kocham. I tylko tyle mogę ci dać.

Rozdział 29

Lucan sądził, że zna głód. Sądził, że zna furię i desperację – i pożądanie – ale wszystko, czego wcześniej doświadczył, wydało mu się jedynie cieniem uczuć, kiedy patrzył w brązowe oczy Gabrielle.

Jego zmysły zalewał uwodzicielski zapach jaśminu wydzielany przez jej krew. A źródło rozkoszy znajdowało się niebezpiecznie blisko jego ust. Błyszcząca czerwień, gęsta jak miód, szkarłatny strumień wypływający z małej rany, którą sama sobie zadała.

- Kocham cię. – Jej cichy głos przebił się przez ogłuszające uderzenia jego serca. – Kocham cię bez względu na to, czy wiąże nas krew czy nie.

Nie mógł mówić, nie wiedział nawet, co mógłby jej powiedzieć, gdyby tylko słowa przeszły przez zaciśnięte gardło. Z groźnym pomrukiem odepchnął ją od siebie. Ale jego mroczna natura nalegała, by uczynił ją swoją w ten ostateczny, nieodwracalny sposób.

Gabrielle upadła na łóżko, luźno związany szlafrok ledwie zakrywał jej nagość. Na rękawie i klapach widział jaskrawoczerwone plamki. Na udzie miała rozmazaną krew – szkarłatna smuga na brzoskwiniowo kremowej skórze.

Boże, jak bardzo pragnął przyciągnąć usta do tej jedwabistej skóry. Jej skóry.

- Nie.

To słowo wyrwało się z jego ust. Wnętrznosci zaciśnęły się boleśnie, kiedy spróbował się odwrócić. Kolana ugięły się pod nim. Leżała tam i krwawiła, niczym ofiara na ołtarzu.

Upadł na dywan, zgarbił się, walcząc z potrzebą, jakiej nigdy wcześniej nie zaznał. Ona go zabijała, ta tęsknota za nią, ten ból, kiedy wyobrażał ją sobie z innym mężczyzną.

I ten głód.

Zawsze było mu się trudno powstrzymać, ale teraz, gdy czuł zapach jej krwi, po prostu oszalał.

- Lucanie...

Widział, że poruszyła się na łóżku. Słyszał odgłos jej stóp na dywanie, a potem w polu jego widzenia pojawiły się paznokcie u nóg pomalowane na różowo, gładkie jak muszle. Uklękła obok niego. Delikatnie wsunęła palce w jego włosy, potem ujęła w dłonie jego twarz i uniosła mu głowę, zmuszając, by na nią spojrział.

- Napij się ze mnie.

Zacisnął powieki, ale była to słaba próba odcięcia się od jej słów. Nie miał dość siły,

by walczyć z jej czułym dotykiem. Przyciągnęła go do siebie.

Czuł krew na jej nadgarstku. Kręciło mu się w głowie od tego intensywnego zapachu. Do ust napłynęła mu ślina, kły wysunęły się jeszcze bardziej, raniąc dziąsła. Gabrielle zmusiła go, żeby się lekko podniósł. Odgarnęła długie włosy, odsłaniając szyję.

Próbował się cofnąć, ale trzymała go mocno. Przyciągała bliżej.

- Pij. Weź to, czego potrzebujesz.

Pochyliła się nisko. Już nic nie dzieliło jego ust od delikatnie pulsującej tętnicy.

- Zrób to – szepnęła i przysunęła się jeszcze bardziej.

Jego usta spoczęły na jej szyi.

Przytrzymała go w tej pozycji przez niewyobrażalną wieczność. Choć może trwało to jedynie chwilę, nie potrafił powiedzieć. Wiedział tylko, że czuje pod językiem jej ciepłą skórę, bicie jej serca, słyszy jej szybki oddech. Czuł jedynie tęsknotę za nią.

Koniec z zaprzeczaniem.

Pragnął jej – całej – a przyczajona w nim bestia nie okaże litości.

Otworzył usta... i zatopił kły w jej gardle.

Westchnęła, gdy ją ugryzł, ale nie puściła go, nawet kiedy żarłocznie pochłonął pierwszy łyk krwi.

Wypełniała jego usta, gorąca i cudownie słodka, niezwykła. Lepsza niż wszystko, co mógł sobie wyobrazić.

Po dziewięciuset latach życia na Ziemi wreszcie spróbował nieba.

Pił żarłocznie, z całych sił. Ogarniało go coraz większe pożądanie, gdy krew Gabrielle spływała do gardła, zasilając mięśnie. Serce waliło mocno, pompując życiodajny płyn w znużone ciało i uzdrawiając rany.

Jego członek ocknął się już przy pierwszym łyku, a teraz pulsował ciężko między udami. Domagając się więcej.

Gabrielle gładziła go po włosach, przyciągała go do siebie, kiedy z niej pił. Jęczała przy każdym łyku, jej ciało się poddawało. Zapach zrobił się mroczny i wilgotny z pożądania.

- Lucanie – szepnęła, drżąc. – O Boże...

Zawarczał bezgłośnie i ułożył ją pod sobą na podłodze. Pił dalej, zatracając się w rozkoszy.

Moja, pomyślał, samolubnie i dziko.

Za późno, żeby się wycofać.

Ten pocałunek zgubił ich oboje.

Choć samo ugryzienie nią wstrząsnęło, ból szybko przerodził się w coś odurzającego i upojnego. Ciało ogarnęła niesamowita rozkosz, jakby każdy łyk Lucana przenikał ją ciepłym światłem.

Przygniótł ją. Szlafrok rozchylił się, kiedy układał ją na podłodze. Brutalnie zanurzył ręce w jej włosach. Nie zważając uwagi na ból, przycisnął tors do jej biustu. Nie odrywał warg od jej szyi. Z każdym haustem wypitej krwi, jego pożądanie coraz bardziej rosło.

Czuła, jak powracają mu siły, a ciało się regeneruje dzięki niej.

- Nie przestawaj – wymruczała niewyraźnie, gdyż rozkosz narastała w niej z każdą chwilą. – Nie zrobisz mi krzywdy. Ufam ci.

Pomyślała, że odgłos ssania to najbardziej erotyczny dźwięk, jaki w życiu słyszała. Uwielbiała gorący dotyk jego warg, kły wbite w ciało. To doznanie było równocześnie niebezpieczne i podniecające.

Już miała się poddać rosnącemu w niej orgazmowi, kiedy poczuła, jak na jej srom naciska wielki członek Lucana. Była taka mokra, pragnęła go. Wszedł w nią głęboko, wypełnił ją twardym, wulkanicznym żarem, natychmiast doprowadzając do spełnienia. Krzyknęła, kiedy zaczął się w niej poruszać, brutalnie i szybko, mocno ścisnął.

I przez cały czas nie odrywał ust od jej szyi, ciągnąc ją w błogą ciemność.

Zamknęła oczy i odpłynęła.

Gdzieś daleko czuła, jak Lucan porusza się w niej, mocno, natarczywie, jak jego wielkie ciało wibruje w orgazmie. Krzyknął coś nagle i znieruchomiał.

Rozkoszny nacisk na jej szyi zelżał, po czym zniknął zupełnie, pozostawiając po sobie pustkę.

Nadal dryfowała. Niechętnie uniosła ciężkie powieki. Lucan klęczał nad nią, nieruchomy jak skała. Jego usta były poplamione krwią, włosy w nieładzie. Dzikie oczy połyskiwały bursztynowo, były takie jasne. Jego skóra nabrała zdrowego koloru, symbole na jego ramionach i torsie połyskiwały głębokim szkarłatem.

- Co się stało? – spytała niespokojnie. – Nic ci nie jest?

Nie odzywał się przez długą chwilę.

- Jezu Chryste – Jego schrypnięty głos drżał wyraźnie. Nigdy wcześniej nie słyszała, by mówił w ten sposób. Oddychał ciężko. – Myślałem, że... Myślałem, że ja...

- Nie. – Pokręciła głową. – Nie. Nic mi nie jest.

Nie mogła zrozumieć wyrazu jego twarzy, zresztą nie dał jej na to czasu. Cofnął się, zszedł z niej.

Poczuła się pusta, gdy pozbawił ją swego ciepła. Usiadła, pocierając ramiona.

- Wszystko w porządku – zapewniła go. – Naprawdę.
- Nie. – Pokręcił głową i poderwał się na równe nogi. – Nie. To był błąd.
- Lucanie...
- Nie powinienem był do tego dopuścić! – krzyknął!

Z furią podszedł do łóżka i złapał ubranie. Włożył czarne wojskowe spodnie i nylonową koszulę, po czym chwycił broń i buty i wypadł z pokoju jak burza.

Ledwie mógł oddychać, tak mocno waliło mu serce.

Kiedy pił krew Gabrielle i nagle poczuł, że robi się pod nim bezwładna, ogarnął go przeraźliwy strach, który nim wstrząsnął.

Ufała mu, powiedziała mu to sama, kiedy brał jej krew. Czuł, że balansuje na skraju nałogu krwi. Jej głos łagodził nieco ból. Była taka czuła, zależało jej na nim. Jej dotyk, miłość – sama jej obecność – dawały mu oparcie, nie pozwalały bestii wyrwać się spod kontroli.

Ufała, że nie zrobi jej krzywdy, a to zaufanie dawało mu siłę.

Ale kiedy poczuł, że odpływa, bał się... Boże, przez chwilę bał się tak strasznie.

Nadal czuł ten strach, mroczne, zimne przerażenie, że ją skrzywdził, że ją zabił. Pozwolił, by sprawy zaszły za daleko.

Choć odpychał ją od siebie, wypierał się tych uczuć, tak naprawdę do niej należał. Gabrielle posiadała go, jego ciało i duszę. I to nie dlatego, że jej krew odżywiła jego ciało i leczyła rany. Był z nią związany na długo przed tą chwilą, a dowodem był strach, który poczuł, kiedy sądził, że ją stracił.

Kochał ją.

Kochał ją całym sobą, aż po najmroczniejsze, najbardziej samotne zakamarki jego duszy.

I chciał, żeby była obecna w jego życiu. Samolubnie, drapieżnie pragnął ją zatrzymać przy sobie przez resztę swoich dni.

Pod wpływem tych myśli zachwiał się w progu laboratorium. Omal nie upadł na kolana.

- Spokojnie stary. – Dante pojawił się jakby znikąd i chwycił go za ramię. – Cholera. Marnie wyglądasz.

Lucan nie mógł mówić. Nie potrafił znaleźć słów.

Ale Dante nie potrzebował wyjaśnień. Rzucił jedno spojrzenie na jego twarz i kły, nozdrza mu zadrgały, gdy wyczuł zapach seksu i krwi. Zagwizdał przeciągle, a w jego oczach pojawiło się rozbawienie.

- Chyba żartujesz... z Dawczynią Życia? – zachichotał i pokręcił głową, klepiąc Lucana po ramieniu. – Jaja sobie robisz. Choć lepiej, że to ty, a nie ja, brachu.

Rozdział 30

Trzy godziny później kiedy zapadła noc, Lucan i jego towarzysze byli gotowi do ataku. Siedzieli w czarnym Suvie zaparkowanym kilometr od starego zakładu psychiatrycznego.

Zdjęcia Gabrielle okazały się niezwykle użyteczne przy planowaniu uderzenia na gniazdo Szkarłatnych. Oprócz fasady budynku i wejścia na parterze, sfotografowała też kotłownię, kilka korytarzy, klatkę schodową, a nawet – przypadkowo – kamery ochrony, które będzie trzeba wyłączyć, gdy tylko wejdą do budynku.

- Dostanie się do środka to łatwiejsza część zadania – stwierdził Gideon, kiedy po raz ostatni rozważali plan operacji. – Mogę odłączyć kamery na parterze, ale podłączenie 12 ładunków C4 bez zaalarmowania całej koloni może być niewykonalne.

- Nie wspominając już o ludziach – mruknął Dante. – Dlaczego Niko tak się grzebie z tym gazem?

- Idzie – powiedział Lucan, zauważywszy ciemną sylwetkę wampira na tle drzew, Nikolai otworzył tylne drzwi i usiadł koło Tegana. Ściągnął czarną kominiarkę, a jego błękitne oczy błyszczały podnieceniem.

- Bułka z masłem. Rura prowadzi do zbiornika po zachodniej stronie budynku. Wprawdzie nie potrzebują ogrzewania, ale gazownia dostarcza im masę gazu.

Lucan kiwnął głową.

- W takim razie wchodzimy, rozmieszczamy nasze małe prezenty i wynosimy się jak najszybciej.

Niko kiwnął głową.

- Dajcie mi znak, kiedy wszystko będzie na miejscu. Otworzę przepływ gazu i odpalę C4. Ludzie pomyślą, że wybuch spowodowała nieszczelna instalacja gazowa. A jeśli Gwardia Narodowa rozpocznie śledztwo, to graffiti, które sfotografowała Gabrielle, wyprowadzą ich w pole.

A tymczasem oni prześlą swoim wrogom czytelne przesłanie. Szczególnie temu wampirowi z Pierwszego Pokolenia, który stał za wyczynami Szkarłatnych. Jeśli wysadzą kwaterę główną, może drań wyjdzie z ukrycia, żeby zatańczyć z nimi osobiście.

Lucan z niecierpliwością wyczekiwał początku akcji. A jeszcze bardziej chciał, żeby już się skończyła, ponieważ miał w kwaterze niedokończone sprawy. Źle się stało, że zostawił Gabrielle w ten sposób; wiedział, że poczuje się zagubiona i na pewno będzie na niego

wściekła.

Pewne rzeczy trzeba powiedzieć, a on nie był gotowy nawet na myślenie o nich. Nie mógł z nią rozmawiać w chwili, kiedy tak gwałtownie zdał sobie sprawę z uczucia, którym ją obdarzył.

Ale teraz głowę miał pełną planów.

Lekkomyślnych, głupich, pełnych nadziei. Wszystkie skupiały się na Gabrielle.

Wojownicy sprawdzali broń, wkładali kostki C4 do brezentowych toreb, poprawiali słuchawki i mikrofony, które pozwolą im zachować kontakt, kiedy wejdą na teren zakładu psychiatrycznego i rozdziela się, żeby rozmieścić ładunki.

- Dziś robimy to dla Conlana i Rio – powiedział Dante, przesuwając palcem po zakrzywionym ostrzu swoich szponów, a potem chowając je do pochwy na udzie. – Czas na zemstę.

- Racja – poparł go Niko. Reszta wyraźnie popierała ich uczucia.

Kiedy już mieli wysiąść, Lucan podniósł dłoń.

- Zaczekajcie. – jego poważny ton kazał im się zatrzymać. – Muszę wam coś powiedzieć. W tym zakładzie wszystko może się zdarzyć, więc myślę, że wreszcie musicie się dowiedzieć o paru sprawach... I coś mi przyrzec.

Popatrzył w twarze swich wojowników, którzy od lat walczyli u jego boku. Miał wrażenie, że są z nim związani jak bracia. Zawsze poddawali się jego woli, ufali, że dokona właściwych wyborów, że nigdy się nie zawaha.

Ale teraz nie był pewien, jak zacząć. Przesunął ręką po podbródku, westchnął głęboko.

Gideon zmarszczył niespokojnie brwi.

- Wszystko gra? Nieźle wczoraj oberwałeś. Jeśli musisz przeczekać tę akcję...

- Nie. Nie o to chodzi. Nic mi nie jest. Moje rany się zagoiły... dzięki Gabrielle.

Dzisiaj my...

- Żartujesz? – powiedział Gideon, gdy Lucanowi zabrakło słów. Niech go szlag, uśmiechał się szeroko.

- Piłeś z niej? – spytał Niko.

Tegan chrząknęła.

- To Dawczyni Życia – zaznaczył.

- Zgadza się – przytaknął Lucan z zaskakującym spokojem. – A jeśli mnie zechce, zamierzam ją prosić, żeby mnie przyjęła.

Dante przewrócił oczami.

- Gratulacje, stary. Poważnie.

Gideon i Niko również mu pogratulowali, klepali go po ramieniu.

- To nie wszystko.

Popatrzyli na niego wyczekująco, wszyscy prócz Tegana.

- Wczoraj Eva powiedziała o mnie kilka rzeczy... - Gideon, Niko i Dante zaczęli protestować, ale Lucan ich uciszył. – Tak, zdrada, której się dopuściła, jest niewybaczalna. Ale to o mnie... to była prawda.

Dante przyjrzał się mu uważnie.

- O czym ty gadasz?

- O nałogu krwi – odparł Lucan. W samochodzie zapadła cisza. – Mam z tym... problem. Od dawna. Radzę sobie, ale czasami... - opuścił głowę i popatrzył w ciemną podłogę. – Nie wiem, czy go pokonam. Może, dzięki pomocy Gabrielle, uda mi się. Będę walczył z całym sił, ale jeśli zrobi się gorzej...

Gideon zaklął paskudnie.

- To się nie zdarzy. Jesteś najsilniejszy z nas wszystkich. Zawsze byłeś. Nic cię nie złamie.

Lucan pokręcił głową.

- Nie mogę już udawać, że zawsze nad sobą panuję. Jestem zmęczony. Po tylu latach życia w kłamstwie, Gabrielle rozszyfrowała mnie w niecałe dwa tygodnie. Zmusiła mnie, żebym zobaczył siebie takim, jaki jestem naprawdę. Nie podoba mi się wcale to, co widzę, ale chcę stać się lepszy... dla niej.

Niko się skrzywił.

- Cholera. Mówimy tu o miłości?

- Tak – odparł poważnie. – Kocham ją. I dlatego chcę was o coś prosić. Wszystkich.

Gideon kiwnął głową.

- Wal.

- Jeśli będzie ze mną naprawdę źle... teraz, albo później... chcę wiedzieć, że mogę na was liczyć. Jeśli zobaczycie, że nałóg mnie dopadł, jeśli uznacie, że zmieniam się w... Musze mieć wasze słowo, że położycie temu kres.

- Co? – jęknął Dante. – Nie możesz nas o to prosić, stary.

- Posłuchajcie. – Nie przywykł do proszenia. Słowa utkwiły mu w gardle, ale musiał je wypowiedzieć. Miał dość dźwigania tego ciężaru samotnie. I nie chciał żyć w strachu, że przez swoją słabość skrzywdzi Gabrielle. – Musicie mi to przysiąc. Wszyscy. Teraz.

- Nigdy – warknął Dante, ale po chwili kiwnął głową. – Dobra, niech będzie, Oszalałeś, ale niech ci będzie.

Gideon pokręcił głową, po czym wyciągnął rękę i uderzył lekko pięścią o pięść Lucana.

- Jeśli tego właśnie chcesz, będziesz to miał. Przysięgam.

- Ten dzień nigdy nie nadejdzie, ale jeśli się tak zdarzy, wiem, że zrobisz to samo dla każdego z nas – powiedział Niko. – No więc masz moje słowo.

Został tylko Tegan, który siedział nieporuszony na tylnym siedzeniu.

- A ty? – zwrócił się do niego Lucan. – Mogę na ciebie liczyć?

Wampir przyglądał mu się przez dłuższą chwilę w milczeniu.

- Pewnie. Cokolwiek sobie życzysz. Zmienisz się, a ja pierwszy cię załatwię.

Lucan kiwnął głową zadowolony i rozejrzał się po twarzach towarzyszy.

- Jezu. – W końcu ciszę przerwał Dante. – Ta cała gadka o uczuciach sprawiła, że mam ochotę kogoś zabić. Może ruszymy tyłki i zajmiemy się tym gniazdkiem?

Lucan uśmiechnął się szeroko.

- Jasna sprawa.

Pięciu wojowników, od stóp do głów ubranych na czarno, wysiadło z samochodu i zaczęło się podkradać do starego zakładu psychiatrycznego, ukrytego za drzewami.

Rozdział 31

No już. Otwieraj się, do cholery!

Gabrielle siedziała za kierownicą czarnego bmw i czekała niecierpliwie, aż masywna brama się otworzy. Miała wyrzuty sumienia, że zabiera bez pozwolenia jeden z samochodów stojących w garażu, ale po tym co zaszło między nią a Lucanem, czuła, że musi stąd zniknąć. A ponieważ cały teren otoczony był płotem pod napięciem, nie miała alternatywy.

Znajdzie sposób na zwrócenie samochodu, kiedy już wróci do domu.

Kiedy znajdzie się tam, gdzie jej miejsce.

Tej nocy oddała Lucanowi wszystko, ale okazało się, że to nie dość. Była przygotowana, na to, że będzie odrzucał jej miłość, ale nie mogła już nic więcej zrobić.

Oddała mu swoją krew, ciało i serce, a on to odrzucił.

Opadła zupełnie z sił.

Miała dość tej walki.

Skoro tak bardzo chciał być sam, nie będzie go zmuszać do zmiany. A jeżeli chciał się stoczyć, nie zamierzała stać i się temu przyglądać.

Jechała więc do domu.

Ciężka stalowa brama, w końcu się otworzyła. Nacisnęła pedał gazu i wyjechała na cichą, nieoświetloną ulicę. Nie bardzo wiedziała, gdzie się znajduje, póki nie przejechała kilku kilometrów i nie znalazła się na znajomym skrzyżowaniu. Wtedy skręciła w lewo w Charles Street i ruszyła w stronę Beacon Hill.

Kiedy zaparkowała przy krawężniku przed swoim mieszkaniem, dom wydał jej się bardzo mały. U sąsiadów paliły się światła, ale pomimo to budynek sprawiał ponure wrażenie.

Weszła po schodach i wyłowiła z torebki klucze. Pod palcami poczuła mały sztylet, który zabrała z szafki Lucana – coś na wypadek kłopotów w drodze do domu.

Kiedy weszła i zapaliła światło, rozdzwonił się telefon. Pozwoliła, by połączenie przyjęła automatyczna sekretarka, a sama skupiła się na zamykaniu zamków i zakładaniu łańcucha.

Z kuchni dobiegł ją głos Kendry.

„To paskudne, że mnie tak ignorujesz, Gabby”. Przyjaciółka mówiła dziwnie piskliwie. „Muszę się z tobą zobaczyć. To ważne. Musimy porozmawiać”.

Gabrielle weszła do salonu. Jej wzrok przyciągnęły puste miejsca po fotografiach, które zabrał Lucan. Miała wrażenie, że minął rok od tego wieczoru, kiedy powiedział jej prawdę o sobie i o wojnie między członkami jego gatunku.

Wampiry, pomyślała i z zaskoczeniem stwierdziła, że to słowo już jej nie szokuje.

Obecnie niewiele rzeczy mogło ją zdziwić.

Nie obawiała się już, że wariuje, tak jak jej matka. Nawet tragiczna historia tej kobiety nabrała teraz nowego znaczenia. Jej matka wcale nie oszalała. Była tylko nastolatką, której przytrafiła się rzecz, której nie potrafił zrozumieć ludzki umysł.

Gabrielle postanowiła, że się nie da. Była w domu, we własnym domu. I wymyśliła sposób, żeby wrócić do starego życia.

Rzuciła torebkę na blat w kuchni i podeszła do automatycznej sekretarki. Na liczniku nagranych wiadomości pulsowała liczba 18.

- Wole żarty – mruknęła i nacisnęła przycisk odtwarzania.

Kiedy sekretarka zaczęła przewijać taśmę, poszła do łazienki obejrzeć szyję. Ślad po ugryzieniu Lucana był ciemnoczerwony, znajdował się tuż pod uchem, koło znamienia w kształcie kropli krwi i półksiężyca. Dotknęła dwóch ranek i ciemnego siniaka i przekonała się, że wcale nie boją. Zdecydowani gorsza niż ból była ta tępa, pulsująca pustka między nogami, ale nawet i ona bladła wobec przenikliwego chłodu, jaki poczuła w piersi, kiedy Lucan odsunął się od niej, jakby była trucizną. I kiedy uciekł z pokoju.

Odkręciła wodę i umyła się, cały czas słysząc w tle niewyraźny szmer odtwarzanych w kuchni wiadomości. Kiedy sekretarka przeszła do czwartej czy piątej, jej uwagę zwróciło coś dziwnego.

Wszystkie wiadomości nagrała Kendra w ciągu ostatniej doby. Po między niektórymi upłynęło nie więcej niż pięć minut.

A ton głosu Kendry zmieniał się z każdym nagraniem. Z początku był swobodny i żartobliwy. Przyjaciółka proponowała kolację albo drinka w jakimś miłym miejscu. Potem zrobiła się trochę natarczywa. Mówiła, że ma problem i potrzebuje rady Gabrielle.

Dwie ostatnie wiadomości to było już żądania, żeby do niej natychmiast oddzwoniła

Gabrielle pobiegła do torebki i sprawdziła pocztę głosową na komórce. Nagrane na niej było mniej więcej to samo.

Telefony od Kendry.

Dziwny ton jej głosu.

Poczuła zimny dreszcz, gdy przypomniały jej się ostrzeżenia Lucana. Że jeśli Kendra padła ofiarą Szkarłatnych, nie jest już jej przyjaciółką. Że dla niej umarła.

Telefon w kuchni znów zaczął dzwonić.

- O mój Boże – jęknęła, teraz już naprawdę przerażona.

Musi stąd uciekać.

Hotel, pomyślała. Jakies miejsce, gdzieś daleko. Gdzie się ukryje i postanowi co dalej.

Chwyciła torebkę oraz kluczyki do bmw i pobiegła do drzwi wejściowych. Otworzyła zamki i nacisnęła klamkę. A kiedy uchyliła drzwi, ujrzała znajomą twarz, która kiedyś należała do jej przyjaciółki.

Tyle że obecnie z całą pewnością była pod wpływem Szkarłatnych.

- Wybierasz się gdzieś, Gabby? – Kendra oderwała komórkę od ucha i ją zamknęła. Dzwonek telefonu w kuchni zamilkł. Kendra uśmiechnęła się lekko, głowę miała przechyloną pod dziwnym kątem. – Ostatnio strasznie trudno cię złapać.

Gabrielle aż zadrżała na widok pustego, zagubionego spojrzenia nieruchomych oczu Kendry.

- Pozwól mi przejść. Proszę.

Przyjaciółka zaśmiała się głośno, a ten nieprzyjemny śmiech zmienił się w syk.

- Sorry, skarbie. Nie mogę.

- Jesteś z nimi, prawda? – spytała Gabrielle. Zrozumiała już wszystko. – Jesteś po stronie Szkarłatnych. Mój Boże, co oni ci zrobili?

- Ciii – powiedziała Kendra, przyciskając palec do ust i kręcąc głową. – Koniec gadania. Musimy już iść.

Kiedy wyciągnęła rękę do Gabrielle, ta się cofnęła. Pomyślała o sztylecie, który miała w torebce, ale nie była pewna, czy zdoła go wyjąć niepostrzeżenie. A gdyby nawet jej się udało, to czy byłaby w stanie użyć go przeciw przyjaciółce?

- Nie dotykaj mnie – powiedziała, sięgając pod skórzaną klapę torebki. – Nigdzie z tobą nie pójde!

Kendra wyszczerzyła zęby w okropnej parodii uśmiechu.

- Och, sądzę, że powinnaś. W końcu zależy od tego życie Jamiego.

Skinęła głową w stronę czekającego samochodu. Przyciemniona szyba zjechała powoli w dół, a na tylnym siedzeniu Gabrielle zobaczyła Jamiego. Obok niego siedział ogromny zbir.

- Gabrielle?! – krzyknął Jamie, a w oczach miał panikę.

- Och, nie, tylko nie Jamie! Kendra, proszę, nie pozwól, żeby ktoś go skrzywdził!

- To zależy wyłącznie od ciebie – odparła kobieta grzecznie. Wyrwała Gabrielle torebkę z rąk. – Tam, dokąd jedziemy, nie będziesz niczego potrzebować.

I kazała jej iść przodem do czekającego samochodu.

Lucan umieścił dwa ładunki pod wielkimi bojlerami w kotłowni zakładu psychiatrycznego, a potem przykucnął w ukryciu i wyciągnął antenę nadajnika.

- Kotłownia zaminowana – poinformował Niko. – Mam jeszcze trzy ładunki do założenia i zmiatam stąd...

Zamarł, słysząc kroki za zamkniętymi drzwiami.

- Lucan?

- Mam towarzystwo – szepnął i ustawił się koło drzwi, gotów do ataku.

Chwycił rękojeść ząbkowanego noża przytroczonego na piersi. Miał również pistolet, ale ustalili, że podczas misji, nie będą używać broni palnej, żeby nie zaalarmować Szkarłatnych. Zresztą Niko zaczął już pompować gaz do budynku, więc wystrzał mógł łatwo spowodować przedwczesny wybuch.

Drzwi kotłowni zaczęły się powoli otwierać.

Lucan wyczuł odór Szkarłatnego i wyraźny, miedziany zapach ludzkiej krwi. Stłumione mlaskanie i zwierzęce pochrząkiwania mieszały się z cichym pojękiwaniem człowieka. Szkarłatny zaczął wciągać w ciemność kotłowni swoją umierającą ofiarę.

Lucan czekał, aż zobaczy wielką głowę Szkarłatnego, zbyt zajętego zdobyczą. Uniósł rękę i zatopił ostrze w klatce piersiowej wampira. Ten ryknął, rozdziawił usta, a żółte oczy niemal mu wyszły z orbit, kiedy tytan zaczął zatruwać mu krew.

Człowiek upadł bezwładnie na podłogę, podrygując w agonalnych drgawkach. Ciało Szkarłatnego zaczęło się trząść i skwierczeć, na jego skórze pojawiły się bąble, jakby został obłany kwasem.

Gdy tylko upadł i rozłożył się zupełnie, na korytarzu znów rozległy się kroki. Lucan był gotów do kolejnego ataku, ale nim miał szansę zadać cios, odziana na czarno ręka szarpnęła szkarłatnego do tyłu.

Zabłysło ostrze, ciche jak błyskawica, przecięło gardło Szkarłatnego i oddzieliło jego głowę od szyi.

Ciężkie ciało upadło na podłogę. Tegan stał nad nim z ociekającym krwią mieczem w dłoni. Jego zielne oczy były jak zwykle spokojne. Ten wampir to była prawdziwa maszyna do zabijania. Jego ponury uśmiech zdawał się potwierdzać obietnicę, że jeśli kiedykolwiek Lucana opanuje nałóg krwi, poczuje smak jego miecza na własnej skórze.

Lucan nie miał wątpliwości, że gdyby Tegan zaatakował, nie miałby szans.

Wytrzymał chłodne, zabójcze spojrzenie towarzysza i kiwnął z uznaniem głową.

- Powiedz coś – domagał się w słuchawce Niko. – Nic ci nie jest?

- Nic, Sprawa załatwiona.

Wytrzeł sztylet o koszulę nieżywego człowieka, po czym schował go do pochwy. Kiedy uniósł wzrok, Tegana już nie było. Zniknął jak widmo śmierci.

- Ruszam do północnej części budynku, dostarczyć resztę prezentów – poinformował Nikolaia. Wyszedł z kotłowni i ruszył pustym korytarzem.

Rozdział 32

- Gabrielle, co się dzieje? Co się stało z Kendrą? Przyszła do mnie do galerii, powiedziała, że miałaś wypadek i że muszę z nią pójść. Dlaczego skłamała?

Gabrielle nie wiedziała, jak odpowiedzieć na niespokojne, zadawane szeptem pytania przyjaciela. Siedzieli obok siebie na tylnym siedzeniu samochodu, który zmierzał do centrum. Przed nimi w ciemności majaczyły drapacze chmur Dzielnicy Finansowej, światła w biurach mrugały jak lampki na choince. Kendra usiadła koło kierowcy, bykowanego faceta w typie bramkarza z nocnego klubu. Ubrany był w czarny garnitur mafioza i ciemne okulary.

Gabrielle i Jamie mieli podobnego towarzysza. Odsunęli się od niego, byle dalej. Gabrielle uznała, że nie są to Szkarłatni. Miała wrażenie, że nie chowają kłów za zaciśniętymi wargami. Inaczej obydwójce z Jamiem mieliby rozerwane gardła.

Ludzie opętani przez Pana Szkarłatnych.

Tak jak Kendra.

- Co oni nam zrobią, Gabby?

- Nie wiem. – Uścisnęła rękę przyjaciela. Mówiła cicho, choć wiedziała, że ich porywacze i tak wszystko słyszą. – Będzie dobrze. Obiecuję.

Będą musieli wydostać się z samochodu, nim dotrą do celu, Podstawowa zasada samoobrony: nigdy nie pozwól zabrać się w miejsce wybrane przez napastnika. Bo wtedy będziesz na jego terenie.

I szanse na przetrwanie z marnych robią się znikome.

Popatrzyła na klamkę drzwi, przy których siedział Jamie. Przyjaciel przyglądał się jej uważnie, z uniesionymi pytająco brwiami. Spojrzała na niego, a potem znów na klamkę. Zrozumiał. Niemal niedostrzegalnie kiwnął głową.

Ale kiedy zaczął przesuwając rękę w tamtą stronę, Kendra odwróciła się do nich z przedniego siedzenia.

- Jesteśmy prawie na miejscu, kochani. Czy to nie ekscytujące? Jestem podniecona. Nie mogę się doczekać, kiedy poznasz osobiście mojego Pana, Gabby. Mmm. Zje cię za jednym posiedzeniem.

Jamie pochylił się do przodu.

- Spadaj, kłamliwa suko!

- Jamie, nie! – Gabrielle próbowała go powstrzymać, przerażoną to naiwną próbą

wystąpienia w jej obronie. Nie miał pojęcia, co mogą zrobić rozdrażniona Kendra i jej towarzysze.

Ale jamie się nie ugiął, Niemal podskoczył na siedzeniu.

- Tknij jedno z nas, a przysięgam, wydrapię ci oczy!

- Jamie, przestań, już w porządku – prosiła Gabrielle. – Uspokój się, proszę. Będzie dobrze.

Kendra nawet nie mrugnęła okiem, tylko wydała nagły, przenikliwy chichot.

- Och, Jamie, zawsze byłeś wiernym pieskiem Gabby. Hau, hau! Jesteś żaloszny.

Powoli, wyraźnie z siebie zadowolona, odwróciła się do nich tyłem i rozsiadła na przednim siedzeniu.

- Skręć na światłach – powiedziała do kierowcy.

Gabrielle odetchnęła z ulgą i opadła na zimną skórę tapicerki. Jamie opierał się o drzwi samochodu. Kiedy ich wzrok się spotkał, chłopak przesunął się lekko. Drzwi były otwarte.

Serce jej podskoczyło radośnie na widok jego pomysłowości i odwagi. Ledwie zdołała powstrzymać pełen nadziei uśmiech. Samochód zwolnił, podjeżdżając do światła. Było czerwone, ale sądząc z liczby samochodów przed nimi, w każdej chwili mogło zmienić się na zielone.

To była ich jedyna szansa.

Spojrzała na Jamiego i zobaczyła, że doskonale pojmuje jej plan.

Czekała, obserwując światła, a sekundy wydawały jej się godzinami. Wreszcie zapaliło się pomarańczowe, a potem zielone. Samochody przed nimi zaczęły ruszać. Kiedy ich wóz również ruszył do przodu, Jamie popchnął drzwi.

Do wnętrza wpadło świeże powietrze. Oboje rzucili się ku wolności. Jamie wypadł na jezdnię i natychmiast odwrócił się, żeby złapać Gabrielle za rękę i pomóc jej wysiąść.

- Zatrzymaj ją! – wrzasnęła Kendra – Nie pozwól jej uciec!

Ciężka łapa chwyciła Gabrielle za ramię i wciągnęła ją z powrotem do samochodu. Upadła na szeroką pierś mężczyzny, który miażdżył ją w żelaznym uścisku.

- Gabby! – krzyknął Jamie.

- Uciekaj! Uciekaj! – krzyknęła, choć bardziej był to szloch.

- Ruszaj idioto! – krzyknęła Kendra do kierowcy.

Jamie podbiegł do samochodu, chcąc wyciągnąć Gabrielle, ale w tej samej chwili silnik ryknął, opony zapiszczały na asfalcie i wóz ruszył gwałtownie.'

- A on?

- Zostaw go – poleciła Kendra ostro. Uśmiechnęła się do Gabrielle, która bezskutecznie wyrywała się na tylnym siedzeniu. – Już zrobił to, co do niego należało.

Sługa trzymał Gabrielle przez resztę drogi. Wreszcie Kendra poleciła zatrzymać się kierowcy pod eleganckim biurowcem. Wysiedli z samochodu i popchnęli Gabrielle w stronę szklanych drzwi. Kendra rozmawiała z kimś przez komórkę, niemal puchnąc z dumy.

- Tak, mamy ją. Wchodzimy na górę.

Schowała telefon i zaprowadziła ich do pustej, marmurowej recepcji, gdzie znajdował się rząd wind. Kiedy wsiedli do jednej z nich, nacisnęła guzik ostatniego piętra.

Gabrielle natychmiast przypomniała sobie prywatny pokaz, na który Jamie zabrał jej fotografie. Kiedy winda zatrzymała się na najwyższym piętrze i rozsunęły się lustrzane drzwi, była pewna, że zaraz pozna anonimowego kupca.

Sługa, który trzymał ją za ramię, wepchnął ją do apartamentu. Potknęła się, a wkrótce jej podejrzenia stały się faktem.

Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w czarnym płaszczu i ciemnych okularach stał przed ścianą okien. Za jego plecami połyskiwał nocny krajobraz Bostonu. Dorównywał wzrostem wojownikom Lucana i promieniował taką samą pewnością siebie. I chłodną groźbą.

- Proszę wejść – powiedział, a jego niski głos przetoczył się przez pokój jak odgłos burzy. – Gabrielle Maxwell, jak miło wreszcie panią poznać. Tyle o pani słyszałem.

Kendra podeszła do niego i z miłością zaczęła go pieścić.

- Zakładam, że ma pan do mnie jakąś sprawę? – parsknęła Gabrielle. Starła się nie dopuszczać do siebie rozpaczy z powodu przemiany Kendry, ani strachu przed niebezpieczną istotą, która zmieniła przyjaciółkę w coś takiego.

- Podobają mi się pani prace. – Mężczyzna się uśmiechnął, nie pokazując zębów. Odsunął od siebie szorstko Kendrę. – Robi pani interesujące zdjęcia, panno Maxwell. Niestety, muszę prosić, by pani przestała. Źle wpływają na moje interesy.

Próbowała zachować spokój, choć mierzył ją drapieżnym spojrzeniem zza ciemnych szkieł.

- A jakie to interesy? To znaczy oprócz wysysania ludziom krwi?

Zachichotał.

- Władza nad światem, oczywiście. Czy warto walczyć o coś innego?

- Przychodzi mi na myśl parę rzeczy.

Ciemne brwi lekko się uniosły zza ciemnych okularów.

- Och, panno Maxwell, jeśli powie pani miłość albo przyjaźń, będę musiał zakończyć ten miły wstęp do naszej rozmowy. – Złożył razem palce, w przyćmionym świetle zabłyśły

pierścienie. Nie podobało jej się, jak na nią patrzył, jak ją oceniał. Jego nozdrza zadrżały lekko, kiedy pochylił się ku niej. – Podejdz.

Kiedy nie ruszyła się z miejsca, wielki mężczyzna, który stał za nią, pchnął ją mocno. Znalazła się na wyciągnięcie ręki od Pana Szkarłatnych.

- Pięknie pachniesz – wysyczał leniwie. – Jak kwiat, ale jest też zapach... kogoś innego. Ktoś cię ostatnio próbował. Wojownik? Nie zaprzeczaj, wyczuwam go.

Nim się zorientowała, złapał ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Brutalnie przechylił na bok jej głowę i odgarnął włosy, odsłaniając ugryzienie Lucana i to przekłete znamię pod jej lewym uchem.

- Dawczyni Życia – warknął, przesuwając palcami po jej skórze. – I to świeżo związana krwią. Z każdą sekundą robisz się bardziej interesująca, Gabrielle.

Nie podobał jej się intymny sposób, w jaki wyszeptał jej imię.

- Kto cię ugryzł? Którego z wojowników wpuściłaś między te długie nogi?

- Spadaj – powiedziała, zaciskając zęby.

- Nie chcesz mi powiedzieć? – Klasnął językiem i powoli pokręcił głową. – Nie ma sprawy. Wkrótce się dowiemy. Zaprosimy go do nas.

Puścił ją wreszcie i skinął na goryla.

- Zaprowadź ją na dach.

Gabrielle usiłowała się wyrwać, ale nie miała szans w starciu z takim kolesiem. Została wypchnięta przez drzwi z napisem „Wyjście na lądowisko”.

- Zaczekaj! A co ze mną?

- A tak, siostra K. Delaney – mruknął Pan, jakby właśnie sobie o niej przypomniał. – Kiedy odlecimy, chcę żebyś wyszła na dach. Na pewno spodoba ci się widok. Naciesz się nim, a potem... skocz.

Kendra spojrzała nieprzytomnie, a potem przechyliła głowę. Była całkowicie pod jego władzą.

- Kendra! – krzyknęła Gabrielle, usiłując jakoś dotrzeć do przyjaciółki. – Kendra, nie rób tego!

Mężczyzna w czarnym płaszczu i ciemnych okularach minął ją obojętnie.

- Idziemy. Tu nie ma już nic do roboty.

Kiedy Lucan podłożył ostatni ładunek w północnym skrzydle w zakładzie psychiatrycznym, wyszedł na zewnątrz przez przewód wentylacyjny. Wyjął zamykającą go kratę i zeskoczył na ziemię. Trawa zaszeleściła pod nim, kiedy przekoziółkował kilka razy,

jego płuca napelniły się świeżym powietrzem. Wstał szybko i ruszył biegiem w stronę płotu.

- Niko, jak nam idzie?

- Nieźle. Tegan już wraca, a Gideon powinien być tuż za tobą.

- Świetnie.

- Trzymam palce na detonatorach – zawiadomił Nikolai, ale jego głos został zagłuszony nagle rykiem helikoptera, nadlatującego nad teren zakładu. – Powiedz tylko słowo, Lucan. Umieram z ochoty posłania tych drani na księżyc.

- Ja też – zapewnił Lucan. Patrzył ze zmarszczonymi brwiami w niebo, szukając maszyny. – Mamy gości Niko. Leci tu jakiś helikopter.

Gdy tylko to powiedział, zauważył ciemny kształt nad drzewami. Kiedy helikopter zbliżał się do zakładu, zapaliły się światła.

Lucan poczuł zapach sosen i pyłków kwiatowych...i ten inny zapach, który sprawił, że krew zamarzła mu w żyłach.

- Jezu Chryste – jęknął. To był zapach jaśminu. – Nie dotykaj detonatorów, Niko! Na litość boską, cokolwiek się stanie, ten kurewski budynek nie może wylecieć w powietrze!

Rozdział 33

Mieszanka adrenaliny, wściekłości i koszmarnego przerażenia posłała Lucana na dach zakładu psychiatrycznego. Helikopter ledwie usiadł, a on już biegł w jego stronę. Cały aż wibrował z wściekłości, czuł, że jeśli wybuchnie, narobi więcej szkód niż ciężarówka wypełniona C4. Zupełnie serio zamierzał rozerwać na kawałki tego, który śmiał porwać Gabrielle.

Zbliżył się do pojazdu od strony ogona, kryjąc się przed wzrokiem ludzi w kabinie. Po czym skierował się ku drzwiom maszyny, z bronią gotową do strzału.

Zobaczył ją w środku. Siedziała na tylnym siedzeniu obok wielkiego, odzianego na czarno faceta w ciemnych okularach. Wydawała się przy nim taka maleńka, taka przerażona. Ogarnął go jej zapach. Na widok jej strachu ścisnęło mu się serce.

Gwałtownie otworzył drzwi kabiny i wycelował w twarz mężczyzny, równocześnie wyciągając rękę, by złapać Gabrielle. Mężczyzna szarpnął ją mocno w tył, nim zdołał jej dotknąć.

- Lucan? – jęknęła Gabrielle, w jej oczach zabłyśło zaskoczenie. – O mój Boże, Lucan!

Szybko ocenił sytuację. W kabinie był pilot i siedzący koło niego pasażer, który odwrócił się i natychmiast dostał kulę między oczy.

Trwało to może pół sekundy, ale kiedy Lucan znów spojrział na Gabrielle, siedzący koło niej mężczyzna zdążył już przycisnąć do jej gardła groźnie wyglądający nóż. Rękaw długiego, czarnego płaszcza odsłonił derma glify, te same które Lucan zauważył na zdjęciach z kamer nadzoru na Zachodnim Wybrzeżu. Najwyraźniej ich właściciel pochodził z Pierwszego Pokolenia.

- Puść ją – rzucił.

- Proszę, proszę, przyjąłeś zaproszenie szybciej, niż sądziłem – stwierdził Pan Szkarłatnych. – Szybko nawet jak na związanego krwią wojownika. Co szykujesz? Po co tu przyszedłeś?

Zaskoczył go ten niski, arogancki głos.

Czyżby znał tego drania?

- Puść ją, a pokażę ci, po co przyszedłem – powiedział.

- Raczej nie. – Napastnik uśmiechnął się szeroko, odsłaniając zęby.

Kły miał schowane. Był wampirem, ale na pewno nie Szkarłatnym.

Co się u diabła dzieje?

- Jest śliczna, Lucanie. Tak sobie właśnie myślałem, że należy do ciebie.

Chryste, przecież znał ten głos! Majaczył mu gdzieś w pamięci.

Pogrzebany głęboko w przeszłości.

Nagle w jego myślach pojawiło się imię. Ostre niczym sztylet.

Nie. To nie może być on.

Niemożliwe...

Natychmiast odsunął od siebie to wspomnienie, ale chwilowa dekoncentracja drogo go miała kosztować. Do helikoptera podkradł się jakiś Szkarłatny i warcząc, zatrzasnął gwałtownie drzwi kabiny, waląc go nimi w głowę.

- Lucan! – krzyknęła Gabrielle. – Nie!

Zachwiał się, ugięło się pod nim kolano. Ktoś kopniakiem wytrącił mu broń z ręki. Potoczyła się po dachu, daleko poza jego zasięg.

Szkarłatny walnął go wielką pięścią w twarz. W następnej chwili Lucan dostał potężnego kopniaka w żebra. Upadł, ale zdołał podciąć napastnika. Rzucił się na Szkarłatnego, sięgając po sztylet ukryty w pochwie na piersi.

Śmigła helikoptera zaczęły się obracać. Pilot szykował się do startu.

Nie mógł do tego dopuścić.

Jeśli pozwoli, by zabrali Gabrielle z tego dachu, może już nigdy nie zobaczy jej żywej.

- Zabierz nas stąd – polecił pilotowi porywacz Gabrielle. Śmigła już wirowały.

Na zewnątrz Lucan ciągle walczył ze Szkarłatnym, który go zaatakował. Gabrielle zauważyła też następnego, który właśnie wyszedł na dach.

- O nie – jęknęła. Ledwie mogła mówić, gdyż do gardła cały czas miała przyciśnięty ostry brzeszczot.

Mężczyzna pochylił się, żeby zobaczyć, co się dzieje na dachu. Lucan zdołał się podnieść. Jeden błysk stali i Szkarłatny padł z rozplatanym brzuchem. Jego krzyk było słychać nawet w kabinie. Ciało wampira przez chwilę podrygiwało spazmatycznie, a potem zaczęło się... topić?

Lucan zwrócił twarz w stronę helikoptera. W jego oczach migotała wściekłość. Zgarbił się i zaszarżował z rykiem na maszynę.

- Zabieraj nas stąd! – krzyknął Pan Szkarłatnych, a w jego głosie po raz pierwszy słychać było niepokój. – Natychmiast!

Helikopter zaczął się wznosić.

Gabrielle próbowała się wyswobodzić, wsparła plecy o oparcie fotela. Gdyby udało jej się odsunąć jego rękę, może zdołałaby sięgnąć do drzwi...

Helikopter nagle przechylił się, jakby zawadził o budynek. Silnik zawył z wysiłku.

- Startuj, idioto! – wrzasnął jej napastnik.

- Próbuje, panie – jęknął siedzący za sterami sługa. Pociągnął dźwignię, a silnik zaprotestował głośno.

Kolejne szarpnięcie zatrzęsło wnętrzem helikoptera. Kabina pochyliła się do przodu. Pan Szkarłatnych na moment stracił równowagę.

Nóż odsunął się od gardła Gabrielle.

Z determinacją rzuciła się w tył i kopnęła napastnika obiema nogami, odpychając go od siebie. Nos helikoptera pochylał się mocno do przodu. Sięgnęła do drzwi.

Otworzyły się szeroko. Cała kabina wibrowała i kołysała się niebezpiecznie. Napastnik odzyskiwał już równowagę, wiedziała, że za chwilę znów ją złapie. W zamieszaniu zgubił ciemne okulary i teraz patrzył na nią lodowatymi szarymi oczami.

- Powiedz Lucanowi, że to jeszcze nie koniec – wysyczał z uśmiechem.

- Idź do diabła! – krzyknęła Gabrielle, rzuciła się w otwarte drzwi i spadła na dach.

Gdy tylko Lucan ją zobaczył, puścił płożę helikoptera. Maszyna skoczyła w górę i zaczęła się obracać. Pilot rozpaczliwie usiłował odzyskać nad nią kontrolę.

Lucan podbiegł do Gabrielle i postawił ją na nogi. Obmacał ją szybko, żeby sprawdzić, czy nic się jej nie stało.

- W porządku?

Kiwnęła gwałtownie głową.

- Za tobą!

W ich stronę biegł kolejny Szkarłatny. Teraz, kiedy Gabrielle była bezpieczna, Lucan z przyjemnością stawiał mu czoło. Jego ciało było gotowe do walki. Wyciągnął kolejny sztylet i ruszył na spotkanie z napastnikiem.

Starcie było gwałtowne i szybkie, powietrze przecinały pięści i stalowe klingi. Lucan oberwał kilka razy, ale nic nie mogło go zatrzymać. Nadal czuł w sobie krew Gabrielle, dawała mu tyle siły, że mógłby walczyć z dziesięcioma napastnikami naraz. Ciął sztyletem i zadał Szkarłatnemu długą pionową ranę.

Nie czekał, żeby zobaczyć, co z ciałem zrobi tytan. Obrócił się i podbiegł do Gabrielle. Gdy tylko znalazła się w zasięgu jego rąk, przytulił ją do siebie. Mógłby tak stać

całą noc, po prostu wdychając jej zapach, czując, jak bije jej serce, gładząc jej miękką skórę.

Wziął ją za podbródek i złożył na jej wargach pocałunek, równocześnie dziki i czuły.

- Musimy stąd spadać, kochana. I to już.

Helikopter wznosił się coraz wyżej, a z kabiny wyglądał porywacz. Kiedy maszyna zaczęła nabierać prędkości, zaszalował Lucanowi i uśmiechnął się szeroko.

- O Boże! Tak się bałam! Gdyby coś ci się stało...

Szept Gabrielle kazał mu zapomnieć o uciekającym wrogu. Liczyło się tylko, że mogła mówić. Że oddychała. Była z nim i miał nadzieję, że zostanie już na zawsze.

- Jakim cudem cię dorwali? – spytał, głos mu się trząsał, ponieważ ciało zaczęło odreagowywać niedawne przerażenie.

- Kiedy opuściliście kwaterę, poczułam, że muszę się stamtąd wyrwać i pomyśleć. Wróciłam do domu. Zaraz potem zjawiła się Kendra. Wzięła na zakładnika Jamiego, siedział w samochodzie przed domem. Nie mogłam dopuścić, żeby go skrzywdzili. Kendra jest... była... Zabili ją. Moja przyjaciółka nie żyje. – Gabrielle zaszlochała. – Ale przynajmniej Jamie się uratował. Został gdzieś w centrum, zapewne jest przerażony. Muszę go odszukać i upewnić się, że nic mu nie jest!

Lucan słyszał cichnący ryk helikoptera. Musi dać Niko sygnał, żeby wysadził kompleks, nim Szkarłatni zdążą stąd uciec.

- Chodźmy, potem zajmiemy się resztą. – Podniósł ją z ziemi. – Trzymaj się mnie, kochanie. Z całych sił.

- Dobrze. – Objęła go za szyję.

Znów ją pocałował. Czuł niewiarygodną ulgę, że znów trzymał ją w ramionach.

- Tylko nie puszczaj – ostrzegł, patrząc w błyszczące, piękne oczy swojej Dawczyni Życia.

Potem dał krok poza krawędź dachu i opadł wraz z nią, najdelikatniej jak się dało.

- Odezwiąj się, stary! – W słuchawce rozległ się głos Niko. – Gdzie jesteś? Co się tam dzieje?

- Wszystko w porządku – odpowiedział, niosąc Gabrielle przez ciemny trawnik w stronę samochodu wojowników. – Wszystko już będzie dobrze. Naciśnij detonator i po sprawie.

Gabrielle siedziała na kolanach Lucana, kiedy suv zjechał w drogę prowadzącą do kwatery. Przytulał ją z całych sił od chwili, kiedy uciekli z terenu zakładu psychiatrycznego. A gdy cały kompleks zmienił się w piekielną kulę ognia zasłonił jej oczy.

Czyli udało im się – jednym uderzeniem z zaskoczenia zniszczyli kwaterę główną Szkarłatnych. Ale helikopter uniknął eksplozji, zniknął na nocnym niebie.

Lucan był zamyślony, spoglądał na gwiazdy przez przyciemniane szyby samochodu. Gabrielle przypomniała sobie wyraz zaskoczenia – niedowierzania – na jego twarzy, kiedy otworzył drzwi helikoptera.

Tak, jakby zobaczył ducha.

Nadal wydawał się ogłuszony, kiedy wjeżdżali na teren posiadłości. Niko skierował wóz w stronę garażu. Kiedy się zatrzymali i wyłączył silnik, Lucan wreszcie się odezwał.

- Dziś odnieśliśmy zwycięstwo nad naszymi wrogami.

- Jasna sprawa – zgodził się Nikolai. – I pomściliśmy Conlana i Rio. Pewnie chcieliby zobaczyć, jak wszystko wylatuje w powietrze.

Lucan kiwnął głową.

- Ale nie wolno nam uwierzyć, że to ostateczne zwycięstwo. Wchodzimy w nową fazę wojny ze Szkarłatnymi. Teraz będzie jeszcze gorzej. Dziś wsadziliśmy jedynie kij w gniazdo os. Ten, którego musimy dopaść, ich przywódca, nadal żyje.

- Niech zwiewa. Dorwiemy go – mruknął Dante z pewnym siebie uśmiechem.

Ale Lucan pokręcił głową.

- On jest inny. Nie ułatwi nam tego. Potrafi przewidzieć nasze ruchy, zna nasz sposób działania. Zakon będzie musiał zmienić taktykę i wzmocnić swe szeregi. Musimy zorganizować się na całym świecie, zwerbować kolejnych wojowników. Im szybciej, tym lepiej.

Gideon odwrócił się do niego z przedniego siedzenia.

- Myślisz, że to ten wampir ze zdjęć z Zachodniego Wybrzeża?

- Jestem tego pewien – odparł Lucan. – Był w helikopterze, to on porwał Gabrielle. – Poglądził czule jej ramię, na chwilę zawiesił głos, żeby na nią popatrzeć, jakby sam jej widok mu pomagał. – Nie jest Szkarłatnym. Przynajmniej nie teraz. Kiedyś był wojownikiem jak my. Nazywa się Marek.

Gabrielle poczuła falę chłodu. Widziała, że Tegan poruszył się niespokojnie.

Lucan też to poczuł. Obrócił głowę i popatrzył towarzyszowi w oczy.

- Mój brat.

Rozdział 34

Wojownicy, ogłuszeni tą rewelacją, wysiedli z samochodu i zjechali windą do kwatery. Gabrielle stała obok Lucana, splotła palce z jego palcami. I bardzo mu współczuła. Kiedy na nią spojrział, wiedziała, że wyczyta w jej oczach troskę.

Podobną troskę widziała w oczach innych wojowników. Wszyscy zdawali sobie sprawę, co oznacza dzisiejsze odkrycie.

Że przyjdzie taka chwila, kiedy Lucan będzie musiał zabić własnego brata.

Albo tamten go zabije.

Ledwie miała czas ogarnąć to wszystko, gdy drzwi windy otworzyły się, ukazując Savannah i Danikę. Kobiety czekały niespokojne na powrót wojowników. Rozległy się pełne ulgi powitania, pytania o wynik dzisiejszej misji i o to, co się stało, że Gabrielle opuściła kwaterę, nie mówiąc nikomu ani słowa. Dawczyni Życia była zbyt zmęczona, by się tłumaczyć, nazbyt ją wyczerpały zdarzenia tej nocy, żeby mogła mówić.

Wiedziała jednak, że wkrótce będzie musiała odpowiedzieć na te pytania, przynajmniej Lucanowi.

Patrzyła, jak oddala się wraz z innymi wojownikami, pogrążony w dyskusji nad nową taktyką Zakonu. Savannah i Danika pociągnęły ją w przeciwnym kierunku. Usiłowały opatrywać jej zadrapania i siniaki. Uparły się, że musi zjeść coś ciepłego i się wykapać.

Zgodziła się niechętnie, ale nawet doskonała kuchnia Savannah i pachnąca kąpiel nie przyniosły jej spokoju.

Głowę miała pełną myśli o Lucanie, Jamiem i wszystkim, co się wydarzyło tej nocy. Zawdzięczała Lucanowi życie. Zdawała sobie sprawę, że kocha go ponad wszystko, że będzie mu zawsze wdzięczna za ratunek, ale w kwestii ich związku nic się właściwie nie zmieniło. Nie mogła tak po prostu zostać w kwaterze. A bez względu na to, co będzie mówił, nie zamierzała zamieszkać w żadnej Mrocznej Przystani.

Więc co jej pozostało? Nie mogła wrócić do swojego mieszkania. Jej dawne życie już się skończyło. Żeby znów tak żyć, musiałyby wyprzeć się wszystkiego, czego doświadczyła z Lucanem. Musiałyby o nim zapomnieć, wymazać z pamięci wszystko, co teraz wiedziała o sobie i swoich związkach z Rasą.

Prawda była taka, że nie wiedziała, gdzie przynależy.

Nie miała pojęcia, dokąd idzie, ale nagle okazało się, że stoi przed drzwiami

apartamentu Lucana.

Drzwi były uchylone, w środku paliło się przyćmione światło. Gabrielle pchnęła je i weszła do środka.

W przylegającej do salonu sypialni paliła się świeca. Ruszyła tam i stanęła w progu, zaskoczona tym, co zobaczyła. Surowy pokój Licana zmienił się w przytulne gniazdko jak z marzeń. W każdym kącie paliła się wysoka świeca osadzona w kunsztownym srebrnym lichtarzu. Łóżko pokrywał czerwony jedwab. Na podłodze przed kominkiem ułożono z poduszek i jedwabiu przytulne siedzisko. Wyglądało tak romantycznie, zapraszająco.

To był pokój do uprawiania miłości.

Weszła do środka. Zamknęły się za nią drzwi.

Lucan tu był, stał po drugiej stronie pokoju, obserwował ją. Miał na sobie czerwony, jedwabny szlafrok, który odsłaniał jego nagie łydki. W jego oczach był żar, który natychmiast stopił jej serce.

- Dla ciebie – powiedział. – Dla nas, na dzisiaj. Chcę, żeby było wyjątkowo.

Gabrielle poczuła wzruszenie. Na jego widok ogarnęło ją podniecenie, ale wiedziała, że nie może się zgodzić na seks, skoro mieli się rozstać.

- Kiedy dziś w nocy opuściłam kwaterę, nie zamierzałam wracać – powiedziała, nie zbliżając się do niego. Bo gdyby to zrobiła, nie miałyby siły się oprzeć. – Nie mogę. Chcę od ciebie rzeczy, których ty nie możesz mi dać.

- Wymień je. – Ton jego głosu był łagodny. Podeszedł do niej powoli, jakby podejrzewał, że w każdej chwili może uciec. – Powiedz mi, czego pragniesz.

Pokręciła głową.

- Jaki to ma sens?

Jeszcze kilka powolnych kroków. Zatrzymał się na wyciągnięcie ręki.

- Chciałbym wiedzieć. Ciekami mnie, co by cię przekonało, żeby ze mną zostać.

- Na jedną noc? – spytała cicho, nienawidząc siebie za to, że tak bardzo chce poczuć wokół siebie jego ramiona.

- Pragnę cię i jestem gotów dać ci wszystko, Gabrielle. Więc powiedz mi, czego chcesz.

- Twojego zaufania – rzuciła, wybierając rzecz, która na pewno była poza jej zasięgiem. – Nie potrafię... tak żyć, kiedy mi nie ufasz.

- Ufam ci – oświadczył tak poważnie, że natychmiast mu uwierzyła. – Jesteś jedyną osobą, która mnie zna. Niczego przed tobą nie ukrywam. Widziałas już wszystko co najgorsze, a ja chciałbym mieć szansę pokazać ci się z lepszej strony. – Podeszedł bliżej. Czują

ciepło promieniujące z jego ciała, wyczuwała jego pożądanie. – Chcę, żebyś się czuła ze mną bezpieczna, tak jak ja czuję się przy tobie. A więc pytanie brzmi: czy mi zaufasz, wiedząc o mnie aż tyle?

- Zawsze ci ufałam. Zawsze. Ale to nie...

- Więc co jeszcze? – spytał, ucinając jej protesty. – Powiedz mi, co jeszcze muszę ci dać, żebyś została.

- To się nie uda – westchnęła, cofając się. – Nie mogę zostać. Nie w ten sposób. Nie, kiedy mój przyjaciel Jamie...

- Jest bezpieczny. – Kiedy spojrzała na niego niepewnie dodał: - Posłałem Dantego, żeby go odszukał. Dał znać kilka minut temu, że odebrał twojego przyjaciela z komisariatu w centrum i zawiózł do domu.

Poczuła wielką ulgę, a zaraz po niej lęk.

- Co Dante mu powiedział? Usunął mu pamięć?

Lucan pokręcił głową.

- Nie sądzę byśmy mieli prawo podejmować za ciebie tę decyzję. Dante powiedział mi tylko, że jesteś bezpieczna i że skontaktujesz się z nim niedługo i wszystko wyjaśnisz. Sama zdecydujesz, co mu powiedzieć. Widzisz Gabrielle? To zaufanie.

- Dziękuję – mruknęła, ucieszona jego troską. – Dziękuję, że mi dziś pomogłeś. Ocaliłeś mi życie.

- Więc czemu teraz się mnie boisz?

- Nie boję się – zaprotestowała, ale cofała się przed nim nieświadomie, póki za plecami nie natrafiła na łóżko. W jednej chwili znalazł się tuż przy niej.

- Czego jeszcze chcesz ode mnie, Gabrielle?

- Niczego – wyszeptwała cicho.

- Niczego? – spytał, a jego głos był mroczny, natarczywy.

- Proszę, nie sprawiaj, bym pragnęła tu zostać, skoro rano będziesz chciał, żebym odeszła. Pozwól mi odejść już teraz.

- Tego nie mogę zrobić. – Ujął jej rękę i unióś do ust. Jego wargi były ciepłe i miękkie, oczarował ją, jak zawsze. Przyciągnął do siebie jej rękę, położył ją na swojej piersi, tam, gdzie biło mocno jego serce. – Nie pozwolę ci odejść, Gabrielle. Ponieważ, czy tego chcesz czy nie, masz moje serce. Masz moją miłość. O ile ją przyjmiesz.

Przełknęła z trudem.

- Co?

- Kocham cię. – Słowa wypowiedziane było cicho i poważnie, odczuła je jak intymną

pieszczotę. – Gabrielle Maxwell, kocham cię nad życie. Tak długo byłem sam, że nie uświadomiłem sobie tego, póki prawie nie było za późno. – Urwał, zajął jej w oczy. – Bo nie jest... za późno? Prawda?

Kochał ją.

Wypełniła ją radość, czysta, niczym niezmacona.

- Powiedz to jeszcze raz – szepnęła. Chciała mieć pewność, że to prawda.

- Kocham cię, Gabrielle. Każdą cząstką siebie.

- Lucanie – wypowiedziała jego imię z westchnieniem, w oczach wezbrały jej łzy i nagle popłynęły po policzkach.

Wziął ją w objęcia i pocałował mocno, namiętnie, aż zakręciło jej się w głowie, aż serce zaczęło jej walić, a krew w żyłach zapłonęła jak ogień.

- Zaslugujesz na kogoś lepszego niż ja – powiedział, a w jego głosie wyczuła szacunek. – Wiesz, z czym się zmagam. Możesz mnie kochać, przyjmiesz mnie, znając moje słabości?

Ujęła w ręce jego twarz, pozwalając, by dostrzegł miłość w jej oczach.

- Nie jesteś słaby. A ja będę cię kochać choćby nie wiem co. Razem przetrwamy wszystko.

- Dzięki tobie zaczynam w to wierzyć. Dajesz mi nadzieję. – Z miłością pogładził jej ramię, policzek. Podążył wzrokiem za ruchem ręki. – Jesteś cudowna. Możesz mieć każdego, człowieka, wampira...

- Pragnę tylko ciebie.

Uśmiechnął się.

- Więc niech cię Bóg strzeże, bo ja nie chcę żadnej innej. Nigdy jeszcze nie pragnąłem niczego tak samolubnie, jak w tej chwili. Bądź moja, Gabrielle.

- Jestem.

Przełknął ślinę, umknął wzrokiem, jakby nagle opuściła go pewność siebie.

- Mówię o wieczności. Nie zadowolę się niczym innym. Gabrielle, czy chcesz mnie?

- Na wieki – szepnęła, odchylając się na łóżko i ciągnąc go za sobą. – Jestem twoja. Na całą wieczność.

Znów się pocałowali, a kiedy skończyli, Lucan sięgnął po mały złoty sztylet leżący na nocnym stoliku przy łóżku. Przysunął go do twarzy. Gabrielle patrzyła zaskoczona, jak zbliża ostrze do ust.

- Lucan...

Jego oczy były łagodne, poważne i czułe,

- Dałaś mi swoją krew, by mnie uzdrowić. Wzmocniłaś mnie i chroniłaś. Jesteś wszystkim, czego pragnę, wszystkim, czego potrzebuję.

Nigdy nie słyszała, żeby przemawiał tak poważnie. Jego tęczyówki zaczynały płonąć, jasnoszary kolor mieszał się już z bursztynowym.

- Czy uczynisz mi ten zaszczyt i przyjmiesz moją krew, by dopełnić związku?

Jej głos był ledwie słyszalny.

- Tak.

Pochylił głowę i przycisnął ostrze do dolnej wargi. Kiedy odłożył nóż i spojrzał na nią, na jego ustach była szkarłatna krew.

- Chodź, pozwól się kochać – powiedział i przycisnął ten szkarłat do jej warg.

Nic nie przygotowało ją na słodki smak jego krwi.

Była mocniejsza niż wino, odurzająca. Miała wrażenie, że to eliksir przygotowany przez bogów. Poczula, jak wypełnia ją miłość Lucana, jego siła i moc. Miała wrażenie, że zbiera w niej światłość, dając jej przedsmak przyszłości, która czeka ją u jego boku, jako jego Dawczynię Życia. Poczula się zupełnie szczęśliwa, spełniona.

I pożałowała go.

Bardziej niż kiedykolwiek.

Z cichym pomrukiem pchnęła Lucana i zmusiła, by się położył na plecach. Zdjęła błyskawicznie ubranie i usiadła na nim, obejmując udami jego biodra.

Przed sobą widziała jego nabrzmiaty członek, gruby i twardy. Piękne wzory na jego torsie w kolorze głębokiej purpury pulsowały barwami. Popatrzyła na niego, pochyliła się i przesunęła językiem po skomplikowanych liniach biegnących od uda do pępka i wyżej, na pierś i ramiona.

Był jej.

Ta myśl zachłanna, prymitywna. Nigdy jeszcze nie pragnęła go tak bardzo, jak w tej chwili. Dyszała, była mokra, płonęła pożądaniem, niczego nie chciała bardziej niż włożyć go w siebie i zacząć ujeżdżać.

Boże, czy to miała na myśli Savannah, kiedy powiedziała, że związek krwi sprawia, że seks jest dużo lepszy?

Spojrzała na Lucana ze zwierzęcym pożądaniem, nie wiedząc, od czego zacząć. Chciała go pożreć i czcić, i wykorzystać. Zaspokoić potrzebę, którą czuła.

- Powinieneś mnie ostrzec, że dajesz mi afrodyzjak.

Lucan uśmiechnął się szeroko.

- I zepsuć niespodziankę?

- Śmiejesz się, wampirze? – Uniosła brew, po czym ujęła mocno jego członek i włożyła go w siebie jednym posuwistym ruchem. – Obiecałeś mi wieczność, mój panie. Mogę sprawić, że tego pożałujesz.

- Tak? – To słowo zabrzmiało jak zduszony jęk. Zaczęła kołysać się na nim, zmuszając jego biodra do gwałtownych pchnięć. Oczy mu płonęły, wyszczerzył w uśmiechu długie kły, najwyraźniej rozkoszując się tą torturą. – Z radością zobaczę, jak tego dokonasz.

Koniec.